

DESMOND BAGLEY

**NA
RÓWNOWAŻNI**



Rozsądnym jest oczekiwać, że człowiek może bezpiecznie chodzić po linie przez dziesięć minut; byłoby nierozsądne zakładać, iż można robić to bez wypadku przez dwieście lat.

Bertrand Russell

Giles Denison spał. Leżał na plecach, osłaniając czoło zgiętą prawą ręką, z dłonią lekko zaciśniętą w pięść, co nadawało mu dziwnie bezbronny wygląd kogoś, kto zasłania się przed ciosem. Oddychał równo i płytko, lecz coraz głębiej, w miarę jak wracała mu świadomość w tym codziennym cudzie reintegracji psyche po „małej śmierci” snu.

Jego oczy za zamkniętymi powiekami poruszyły się i westchnął, opuszczając rękę i obracając się na bok, aby głębiej wtulić się w prześcieradła. Po kilku chwilach zamrugał oczami, otworzył je i spojrzał bezmyślnie na pustą ścianę obok łóżka. Znowu westchnął, nabierając powietrza w płuca, a potem niespiesznie podniósł rękę i spojrzał na zegarek.

Była dokładnie dwunasta.

Zmarszczył brwi i potrząsnął zegarkiem, po czym przyłożył go do ucha. Miarowe tykanie świadczyło o tym, że chodzi, a ponownie spojrzawszy na tarczę zobaczył szybki, urywany ruch krążącej wkoło wskazówki sekundnika.

Gwałtownie usiadł na łóżku i wytrzeszczył oczy. Zapomniał o niepokoju wywołanym nieokreśloną porą dnia — północ czy południe? — gdyż uświadomił sobie, że to nie jego zegarek. Zawsze nosił piętnastoletnią omegę, którą dostał w prezencie od ojca na dwudzieste pierwsze urodziny, tymczasem był to płaski patek philippe, złociście lśniący, na zwykłym skórzanym pasku, a nie na elastycznej metalowej bransolecie, do jakiej Denison był przyzwyczajony.

Na jego czole pojawiła się pionowa zmarszczka, gdy dotknął zegarka wskazującym palcem, ale silniejszego wstrząsu doznał, kiedy podniósł oczy i rozejrzał się po pomieszczeniu. Nigdy przedtem nie był w tym pokoju.

Uświadomił sobie, że serce łomocze mu w piersi; podniósł rękę i poczuł pod palcami chłód jedwabiu. Spojrzał w dół i zobaczył piżamę. Zazwyczaj spał bez niczego; w piżamach dusił się i powiedział kiedyś, że, jego zdaniem, ubieranie się do łóżka jest bezsensowne.

Nadal był zaledwie na pół obudzony i w pierwszej chwili miał ochotę położyć się, aby poczekać na koniec tego snu i obudzić się znowu we własnym łóżku, ale nagle poczuł potrzebę skorzystania z łazienki. Z irytacją potrząsnął głową i odrzucił pościel

— nie prześcieradła i koce, do których przywykł, ale grubą, pikowaną koldrę — moda na nie przywędrowała ostatnio z kontynentu.

Opuścił nogi na podłogę i usiadł, ponownie patrząc na piżamę. Jestem w szpitalu — pomyślał nagle. — Pewnie miałem jakiś wypadek. Jednak pamięć mówiła mu co innego. Poprzedniego wieczora położył się do łóżka w swoim własnym mieszkaniu w Hampstead; jak zwykle, po wypiciu zbyt wielu głębszych. To codzienne zagłądanie do kieliszka weszło mu w zwyczaj po śmierci Beth.

Palcami gładził miękki jedwab. Doszedł do wniosku, że to nie szpital; ta piżama z pewnością nie była strojem dostarczanym przez służbę zdrowia — nie z tym haftowanym monogramem na piersi. Wykręcił głowę, żeby przeczytać litery, ale haft był skomplikowany, a monogram do góry nogami, więc nie zdołał ich rozszyfrować.

Wstał, rozejrzał się po pokoju i natychmiast zrozumiał, że znajduje się w hotelu. Zauważył kosztownie wyglądające walizki, a w żadnym innym miejscu poza pokojem hotelowym nie spotyka się specjalnych stojaków do ich ustawiania. Zrobił trzy kroki i dotknął lekko ziarnistej skóry, niemal nie noszącej śladów zużycia. Z boku walizki widniały inicjały — trzy nie ułożone w monogram litery: H.F.M.

Głowa pulsowała mu nasilającym się bólem — skutkiem tych kilku kieliszków — i zaschło mu w gardle. Rozejrzał się po pokoju i dostrzegł nietknięte drugie łóżko, schludnie powieszoną na oparciu krzesła marynarkę i porozrzucane na komodzie rzeczy osobiste. Już miał do nich podejść, gdy parcie w pęcherzu stało się nieznośne i zrozumiał, że musi szybko znaleźć łazienkę.

Odwrócił się i niepewnie przeszedł do maleńkiego przedpokoju. Jedną ścianę pokrywała boazeria. Otworzywszy umieszczone w niej drzwi, zobaczył szafę pełną ubrań. Ponownie odwrócił się i po przeciwnej stronie znalazł drzwi wiodące w ciemność. Pomacał za włącznikiem, znalazł go i w wyłożonej białymi kafelkami łazience zapaliło się światło.

Kiedy oddawał mocz, jego myśli zaprzętał nowy problem: zastanawiał się, co też wydało mu się dziwne w tym włączniku. Nagle uświadomił sobie, że przełącznik działał odwrotnie — aby zapalić światło, musiał przesunąć go w górę zamiast, jak zazwyczaj, w dół.

Spłukał muszlę i obrócił się do umywalki, szukając wody. Na półeczce stały dwie szklanki owinięte w przezroczysty papier. Zdjął jedną, zerwał papier i napełniwszy ją wodą z kranu z zielonym kurkiem, łąpczywie wypił. Minęły może trzy minuty od chwili, gdy się obudził.

Odstawił szklankę i potarł lewe oko, które go bolało. Potem spojrzął w lustro nad umywalką i po raz pierwszy w życiu poczuł obłądne przerażenie.

Kiedy Alicja przeszła na drugą stronę lustra, kwiaty przemówiły do niej, a ona poczuła zaledwie lekkie zdziwienie; jednak pewien psycholog był zdania, że „gdyby kwiat przemówił do człowieka, ten byłby naprawdę przerażony”.

Tak się stało z Gilesem Denisonem. Ujrzawszy NIEMOŻLIWE w lustrze nad umywalką, odwrócił się i zwymiotował do muszli klozetowej, lecz gwałtowne skurcze żołądka nie wyrzuciły niczego prócz rzadkiego śluzu. Dysząc z wysiłku, jeszcze raz spojrzął w lustro — i stracił przytomność.

Kiedy ją odzyskał, leżał rozciągnięty na łóżku, wbijając zgięte jak szpony palce w poduszkę. W mózgu, z mechanicznym uporem, dudniła mu jedna myśl: Jestem Giles Denison! Jestem Giles Denison! JESTEM Giles Denison! Jestem GILES DENISON!

W końcu przestał dyszeć i spróbował pomyśleć o czymś innym. Przywarłszy policzkiem do poduszki, zaczął głośno mówić, krzepiąc się znajomym dźwiękiem swojego głosu. Niewyraźnie, ale coraz bardziej stanowczo, mówił sobie:

— Jestem Giles Denison. Mam trzydzieści sześć lat. Wczoraj wieczorem położyłem się do łóżka we własnym domu. Byłem trochę podcięty, to prawda, ale nie tak pijany, żeby urwał mi się film. Pamiętam, że poszedłem spać... to było zaraz po północy.

Zmarszczył brwi, a potem dodał:

— Ostatnio trochę zaglądałem do butelki, ale nie jestem alkoholikiem, zatem to nie delirium tremens. A więc co?

Lewą ręką dotknął policzka.

— Cóż to takiego, do diabła?

Powoli usiadł na brzegu łóżka, zbierając odwagę, aby wrócić do łazienki, co, jak wiedział, musi zrobić. Po chwili wstał i stwierdził, że cały dygocze, odczekał więc, aż atak dreszczy minął, po czym z ociąganiem poszedł do toalety, by znów stanąć oko w oko z obcym w lustrze.

Twarz, którą zobaczył, wyglądała starzej — ocenił, iż jej właściciel był już po czterdziestce. Giles Denison miał wąsy i schludnie przystrzyżoną brodę — ten nieznamy nie nosił zarostu. Giles Denison szczylił się bujną czupryną, człowiek w lustrze świecił zakolami łysiny nad skroniami. Denison, co potwierdzała odpowiednia adnotacja w paszporcie, nie miał żadnych znaków szczególnych — lewą stronę twarzy obcego przecinała stara blizna, ciągnąca się od skroni, przez policzek, do kącika ust; lewa powieka lekko opadała, być może z powodu blizny, a na brodzie z prawej strony

ciemniało brunatne znamię.

Może Denison nie byłby aż tak przerażony, gdyby różnica polegała tylko na tym, ale twarz w lustrze była w ogóle inna. Denison, taki dumny ze swoich lekko arystokratycznych, orlich rysów, skonstatował, że „orla” to ostatnie słowo, jakim można by określić twarz nieznanego — pucołowatą, z okrągłym, niekształtnym nosem i dopiero zarysowującym się, ale wyraźnie dostrzegalnym podbródkiem.

Denison otworzył usta, aby obejrzeć zęby obcego, i spostrzegł błysk złotej koronki na jednym z trzonowych. Zamknął usta i zacisnął powieki, ponieważ znów zaczął się trząść. Kiedy otworzył oczy, starał się już nie patrzeć w lustro. Jego wzrok zatrzymał się na dłoniach, ściskających krawędź umywalki. One też wyglądały inaczej: skóra znacznie starsza, a paznokcie krótko obcięte, jakby tamten je obgryzał. Na prawym kciuku dostrzegł kolejną bliznę, a na wskazującym i środkowym palcu ciemne plamy nikotyny.

Denison nie palił.

Jak w transie odwrócił się od lustra i poszedł z powrotem do sypialni. Usiadł na skraju łóżka i wbił wzrok w pustą ścianę, gotów krzyknąć rozpaczliwie: „Jestem Giles Denison!” — by samemu utwierdzić się we własnej tożsamości. Znowu chwyciły go dreszcze, ale siłą woli wydzwignął się z otchłani szaleństwa i zmusił do w miarę logicznego myślenia.

Wreszcie wstał i podszedł do okna, ponieważ odgłosy ulicy dziwnie przyciągały jego uwagę. Słyszał jakiś niezwykły dźwięk, dźwięk niosący wspomnienia dzieciństwa. Odchylił zasłonę i wyjrzał na ulicę, chcąc zlokalizować jego źródło.

W dole, ze szczękiem i zgrzytem charakterystycznym dla minionej ery transportu, przejeżdżał tramwaj. Dalej, w oślepiającym blasku jasno świecącego słońca, znajdował się ogród, podium dla orkiestry i rzędy kolorowych parasoli nad stołami, przy których siedzieli ludzie, jedząc i pijąc. Za ogrodami przebiegała inna ruchliwa ulica.

Przejechał następny tramwaj i Denison spróbował odczytać napis na tabliczce informacyjnej, ale słowa wydawały się wzięte z jakiegoś obcego języka. W tym tramwaju było jeszcze coś dziwnego, zmrużył więc oczy, chcąc lepiej widzieć dwa jednopiętrowe wagony połączone ze sobą. Popatrzył na szyldy po drugiej stronie ulicy i stwierdził, że również i tam napisy nic mu nie mówią.

Głowa bolała go jak jeszcze nigdy w życiu, więc puścił zasłonę, uciekając przed nieznośnym blaskiem, i obrócił się twarzą do mrocznego pokoju. Podszedł do komody i spojrzał na porozrzucane przedmioty — papierośnicę, prawdopodobnie złotą,

elegancką zapalniczkę, portfel, notatnik oraz garść drobnych.

Usiadł, zapalił nocną lampkę i wziął do ręki srebrną monetę. Na jednej stronie pieniążka był profil otyłego mężczyzny z wydatnym nosem. Właściciel tego portretu niewątpliwie miał w sobie coś z rzymskiego imperatora. Podpis: OLAV V.R. nic mu jeszcze nie mówił. Denison odwrócił monetę. Wizerunek konia stojącego dęba oraz napis: 1 KRONE. NORGE — wyjaśnił wszystko.

Norwegia!

Denisonowi znów zawirowało w głowie i zgiął się wpół, czując gwałtowny skurcz żołądka. Odłożył monetę i ścisnął skronie rękami, dopóki nie poczuł się lepiej. Niewiele lepiej, ale chociaż trochę.

Kiedy odrobinę doszedł do siebie, wziął portfel i szybko przejrzał przegródki, wyrzucając ich zawartość na blat stolika. Opróżniony portfel odłożył na bok, notując w pamięci jego dobrą jakość, i zaczął przeglądać papiery. Znalazł angielskie prawo jazdy na nazwisko Harolda Felthama Meyricka zamieszkałego w Lippscott House, niedaleko Brackley, w Buckinghamshire. Poczłł nieprzyjemne mrowienie na karku, gdy spojrzł na podpis. To było jego pismo. Nie jego nazwisko, lecz jego charakter pisma — co do tego nie miał żadnych wątpliwości.

Wyciągnął rękę i wziął pióro; część kompletu składającego się z wiecznego pióra i długopisu. Rozejrzał się wokół, szukając papieru do pisania, a nie znalazłszy otworzył szufladę nocnego stolika, w której leżała papeteria. Na chwilę znieruchomiał, kiedy na kopercie ujrzał firmowy nagłówek: HOTEL CONTINENTAL, STORTINGS GATA, OSLO.

Ręka trzęsła mu się, gdy przyłożył pióro do papieru, ale dość czytelnie nabazgrał swój podpis — Giles Denison. Popatrzył na znajome pętle oraz zakrętasy i poczuł się niepomnie lepiej, po czym podpisał się inaczej — H.F. Meyrick. Wziął prawo jazdy i porównał podpisy. Stwierdził to, co już wiedział: dokument został podpisany jego charakterem pisma.

Tak samo jak opasła książeczka z czekami podróznymi Cooka. Policzył czeki — dziewiętnaście sztuk po pięćdziesiąt funtów każdy — razem dziewięćset pięćdziesiąt funtów. Jeśli naprawdę był Meyrickiem, to nie brakowało mu forsy. Głowa rozboleła go jeszcze bardziej.

Znalazł tuzin tłoczonych wizytówek z nazwiskiem i adresem Meyricka oraz gruby plik norweskich banknotów, których nie miał ochoty liczyć. Upuścił je na blat i znowu objął rękami pulsującą głowę. Mimo iż dopiero co się zbudził, był zmęczony i

oszołomiony. Wiedział, że grozi mu nawrót psychicznej izolacji. Tak łatwo byłoby skulić się w pościeli i wyrzucić ze świadomości tę zwariowaną, nieprawdopodobną historię, która mu się przydarzyła, uciec w sen z nadzieją, że wszystko okaże się tylko sennym koszmarem i że kiedy się obudzi, będzie znów w łóżku, w swoim mieszkaniu w Hampstead, tysiąc mil stąd.

Wysunął trochę szufladę, włożył palce w szczelinę, a potem zatrzasnął szufladę nasadą drugiej ręki. Jęknął z bólu, a kiedy wyjął dłoń, na palcach pozostały czerwone ślady. Z bólu łzy nabiegły mu do oczu i rozmasowując rękę wiedział już, że to zbyt realne, aby mogło być snem.

A więc jeśli nie był to sen, to co? Poszedł spać jako jedna osoba, a obudził się jako inna, w innym kraju. Chwileczkę! To nie całkiem tak. Zbudził się wiedząc, że jest Gilesem Denisonem — osoba Harolda Felthama Meyricka była czymś zewnętrznym — wewnątrz był nadal Gilesem Denisonem.

Już miał podążyć za tym tokiem rozumowania, gdy znowu poczuł ból brzucha i nagle zrozumiał, dlaczego jest taki słaby i zmęczony. Był głodny jak wilk. Podniósł się z trudem i poszedł do łazienki, gdzie nachylił się nad miską klozetową. Wstrząsały nim gwałtowne wymioty, ale pusty żołądek zwracał jedynie rzadki, kwaśny sok żołądkowy. A przecież poprzedniego wieczoru zjadł obfity posiłek. Niewątpliwie coś tu było nie w porządku.

Wrócił do sypialni i niezdecydowanie przystanął przy telefonie, po czym, w nagłym przypływie determinacji, podniósł słuchawkę.

— Z obsługą pokoi — powiedział.

Własny głos wydał mu się ochrypliwy i obcy. W słuchawce zatrzeszczało.

— Obsługa pokoi — powiedział ktoś po angielsku, z cudzoziemskim akcentem.

— Chciałbym coś zjeść — rzekł Denison. Zerknął na zegarek, dochodziła druga. — Skromny lunch.

— Kanapki? — odpowiedział głos w słuchawce.

— Mogą być — rzekł Denison. — I dzbanek kawy.

— Tak, sir. Numer pańskiego pokoju?...

Denison nie wiedział. Pospiesznie rozejrzał się wokół i na niskim stolczku pod oknem zobaczył coś, co musiało być kluczem od pokoju. Klucz był przymocowany do pięcioletowego mosiężnego breloczka, na którym był wybity numer.

— Trzysta sześćdziesiąt — powiedział.

— Dziękuję, sir.

Denison miał przyływ natchnienia.

— Czy możecie mi przysłać gazetę?

— Angielską czy norweską, sir?

— I taką, i taką.

— „The Times”?

— Tak, a także jego tutejszy odpowiednik. Aha, mogę być w łazience, kiedy przyjdziecie, po prostu zostawcie wszystko na stole.

— Tak jest, sir.

Denison z ulgą odłożył słuchawkę. Kiedyś będzie musiał pokazać się ludziom, ale nie miał ochoty robić tego zaraz. Z pewnością będzie musiał zadać mnóstwo pytań, ale potrzebował czasu, żeby wziąć się w garść. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że wchodząc w rolę innej osoby, napotka wiele pułapek, które trzeba będzie ominąć.

Wziął jedwabny szlafrok od Paisleya, który znalazł złożony na krześle, i wrócił do łazienki, gdzie w przyływie tchórzostwa zasłonił lustro ręcznikiem. Przez chwilę biedził się z nieznanymi kurkami, po czym napuścił gorącej wody do wanny i zdjął piżamę. Zauważył plaster przyklejony na swojej lewej ręce i już zamierzał go zerwać, ale rozmyślił się, nie mając pewności, czy naprawdę chce wiedzieć, co znajduje się pod przylepcem.

Wszedł do wanny i zanurzył się w gorącej wodzie czując, jak ciepło łagodzi nagły ból wszystkich kończyn, i znów sennie zastanowił się, dlaczego jest taki zmęczony, skoro dopiero od dwóch godzin jest na nogach. W końcu usłyszał odgłos otwieranych drzwi i szcęk zastawy. Drzwi ponownie trzasnęły i w pokoju zapanowała cisza, więc wyszedł z wanny i zaczął się wycierać.

Siedząc na wyłożonym korkiem stolku, pochylił się i obejrzał swoją lewą łydkę. Znalazł sinobiałą bliznę zbliżoną wielkością i kształtem do plasterka pomarańczy. Pamiętał, skąd się wzięła: miał wtedy osiem lat i spadł ze swego pierwszego roweru.

Podniósł głowę i zaśmiał się głośno, czując znaczną ulgę. Pamiętał to jako Giles Denison; ta mała blizna była częścią jego ciała, które nie należało do pana Harolda Przekłętego Felthama Cholernego Meyricka.

Wedle norweskich wyobrażeń skromny lunch okazał się furą rozmaitych smakowitości, pomieszczonych na ogromnej tacy, którą Denison zlustrował z prawdziwą przyjemnością, zanim się za nią zabrał. Odkrycie blizny ogromnie go ucieszyło i nawet ośmieliło do ogolenia twarzy Meyricka. Meyrick był na tyle staroświecki, że zamiast elektrycznej maszynki do golenia używał żyletki oraz pędzla z borsuczego włosa oprawionego w srebro, tak więc Denison miał trochę kłopotu z prowadzeniem ostrza po nieznajomej linii szczęki i zaciął się — czy też Meyricka — dwukrotnie. Gdy brał do ręki gazety, jego twarz zdołały dwa zakrwawione kawałki papieru toaletowego.

Londyński „The Times” i norweski „Aftenposten” nosiły tę samą datę — dziewiąty lipca — i Denison zastygł, zatrzymując w pół drogi do ust rękę z kromką żytniego chleba ze śledziem. Jego ostatnim wspomnieniem jako Gilesa Denisona był fakt pójścia do łóżka tuż po północy pierwszego lipca — nie, skoro było po dwunastej, to raczej drugiego lipca.

Gdzieś zgubił tydzień życia.

Dotknął dłonią przedramienia i pomacał przylepiec. Ktoś mu coś zrobił. Nie wiedział kto i nie wiedział dlaczego, ale — na Boga! — dowie się, a wtedy ktoś za to zapłaci. Goląc się, dokładnie obejrzał swoją twarz. Blizna na lewym policzku wyglądała, jak przystało na pozostałość dawnej rany, lecz kiedy jej dotknął, nie wyczuł zgrubienia. Potarł ją silnie palcami, ale nie chciała zejść, tak więc nie była tylko efektem zręcznej charakteryzacji. To samo odnosiło się do znamienia z prawej strony szczęki.

Było też coś dziwnego z jego nosem, policzkami i tym podwójnym podbródkiem. W dotknięciu wydawały się gumowate. Ponieważ nigdy nie miał ani grama zbytecznego tłuszczu, nie wiedział, czy to normalne, czy nie. A poza tym, twarz Meyricka pokryła się zarostem, który przed chwilą zgolił, natomiast zakola łysiny pozostały gładkie, co oznaczało, że ten, kto zmienił linię włosów, nie zrobił tego przez wygolenie.

Jedyną częścią swojej twarzy, którą Denison rozpoznawał, były oczy — nadal pozostawały tymi samymi, szarzielonymi oczami, jakie widział co dzień rano w lustrze, tylko ich wyraz zmienił się nieco ze względu na lekko opadającą lewą powiekę. Słaby ból w zewnętrznym kącie tego oka wzbudził jego podejrzenia, jednak nie dostrzegł tam nic prócz lekkiego zaognienia, które mogło być naturalne.

Pochłaniając posiłek, przejrzał „The Times”. Świat zdawał się obracać na swej politycznej osi równie niepewnie, jak zawsze, i nic się nie zmieniło, więc Denison odłożył gazetę, oddając się rozmyślaniom nad filiżanką parującej kawy. Z jakiego powodu wykradzono człowieka z łóżka, zmieniono jego ciało, obdarzono nową tożsamością, a potem zostawiono go w luksusowym hotelu w stolicy Norwegii?

Nie znalazł odpowiedzi.

Posiłek pobudził go i Denison nabrał chęci do działania. Jeszcze nie czuł się na siłach, aby spotkać się z ludźmi, więc poprzestał na przejrzeniu rzeczy Meyricka. Otworzył szafę. W jednej z szuflad, pod stosem bielizny, znalazł dużą saszetkę. Położył ją na stole i zaczął oglądać zawartość.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mu się w oczy, był brytyjski paszport. Otworzył go i stwierdził, że rysopis właściciela został sfalszowany, tak samo jak podpis Meyricka poniżej. Twarz spoglądająca z fotografii na sąsiedniej stronie należała do Meyricka, który został określony jako urzędnik państwowy. Ktokolwiek wymyślił ten numer, zrobił to bardzo starannie.

Przerzucił kartki i znalazł tylko jeden stempel wjazdowy. Zmarszczył brwi, patrząc na pieczętkę. Sverige? Czy to Szwecja? Jeżeli tak, to przybył do miejsca zwanego Arlanda w Szwecji w dniu, którego nie mógł ustalić, ponieważ stempel był źle odbity. Zajrzawszy na ostatnią stronę odkrył, że miesiąc temu wystawiono mu zezwolenie na wywóz 1500 funtów. Ponieważ turystom wolno było wywieźć maksymalnie 300 funtów, wyglądało na to, że H.F. Meyrick uzyskał pozwolenie przysługujące biznesmenowi.

Ze spodniej przegródki portfela wyjął kartę kredytową American Express, opatrzoną wszechobecnym, podrobionym podpisem. Przyglądał się jej w zadumie, stukając w nią paznokciem. Z tą kartą mógł wszędzie realizować czeki; mógł skorzystać z niej i wykupić bilet lotniczy do Australii, gdyby poczuł nagłą chęć wyemigrowania. Dawała całkowitą i nieograniczoną wolność, jeśli — i dopóki — ktoś nie położy temu kresu, blokując jej numer w głównym biurze.

Umieścił kartę w małym portfelu, razem z prawem jazdy. Lepiej trzymać ten mały kawałek plastiku pod ręką na wypadek nagłej potrzeby.

Meyrick miał bogatą garderobę: codzienne ubrania, garnitury, a nawet smoking ze wszystkimi dodatkami. Denison zajrzał do małego pudełka i stwierdził, że zawiera ono złote precjoza — spinki do mankietów i krawata oraz parę sygnetów — wartości co najmniej tysiąca funtów. Patek philippe na jego przegubie z pewnością nie kosztował

mniej niż pięćset funtów. H.F. Meyrick był bogatym człowiekiem; ciekawe, w jakim państwowym urzędzie pracował?

Denison postanowił się ubrać. Dzień był słoneczny, więc wybrał jasne spodnie i sportową marynarkę. Ubranie pasowało na niego jak szyte na miarę. Obejrzał się w dużym lustrze przymocowanym do drzwi garderoby, starannie ignorując spoglądającą na niego twarz i daremnie walcząc ze zwariowanym przypuszczeniem, że i ona została zrobiona na miarę. Świat znów zaczął wirować, ale Denison przypomniał sobie małą bliźnię na lewej łydce i udało mu się wrócić do rzeczywistości.

Powkładał wybrane przedmioty do kieszeni i z kluczem w ręku ruszył do drzwi. Gdy je otworzył, na podłogę upadła wisząca na klamce z drugiej strony wywieszka. Podniósł ją i przeczytał: VENNLIGST IKKE FORSTYRR — PROSZĘ NIE PRZESZKADZAĆ. W zadumie zawiesił ją na haczyku po wewnętrznej stronie drzwi i zamknął pokój; dałby wiele, żeby wiedzieć, kto zawiesił tę wywieszkę na klamce.

Zjechał na dół windą razem z dwiema wyblakłymi amerykańskimi matronami, które szczebiotały do siebie w środkowowschodnim narzeczu.

— Hej, byłaś w Vigeland Park? Tyle tam posągów... nie wiedziałam, na co patrzeć.

Winda stanęła, drzwi otworzyły się z cichym sykiem i amerykańskie damy ruszyły w miasto na kolejną rundę zwiedzania.

Denison nieśmiało wyszedł za nimi do hotelowego holu i przez chwilę stał przy windach, próbując zebrać myśli i usilnie starając się przybrać nonszalancką pozę przed wejściem na scenę.

— Panie Meyrick... Panie Meyrick, proszę!

Odwrócił głowę i zobaczył, że recepcjonista za kontuarem uśmiecha się do niego. Oblizując nagle wyschnięte wargi podszedł do recepcji.

— Tak?

— Czy zechciałby pan podpisać, sir? Rachunek za posiłek w pokoju. To tylko formalność.

Denison spojrział na podsunięte mu pióro i odłożył klucz od pokoju. Wziął pióro i nabazgrał wyraźnie „H.F. Meyrick”, po czym przesunął rachunek po kontuarze. Recepcjonista wieszał klucz na tablicy, ale odwrócił się i odezwał do Denisona, zanim ten zdołał umknąć.

— Nocny portier odprowadził pański samochód, sir. Oto klucz. Podał mu klucz z przyczepioną tabliczką i Denison wyciągnął po niego rękę. Zerknął na breloczek i przeczytał nazwę — „Hertz” — oraz numer samochodu. Odchrząknął.

— Dziękuję.

— Słyszę, że chyba przeziębził się pan — rzekł recepcjonista.

Denison zaryzykował.

— Czemu pan tak sądzi?

— Pański głos brzmi inaczej.

— Tak, trochę drapie mnie w gardle — odparł Denison.

Tamten uśmiechnął się.

— To pewnie przez to chłodne nocne powietrze.

Denison ponownie zaryzykował.

— O której wróciłem ostatniej nocy?

— Nad ranem, sir. Nocny portier mówi, że była prawie trzecia rano.

Recepcjonista obdarzył go wyrozumiałym uśmiechem.

— Nie byłem zaskoczony, kiedy przespał pan cały ranek.

Ty nie — pomyślał Denison — ale ja tak! W miarę jak nabierał pewności siebie, stawał się coraz śmielszy.

— Czy może mi pan coś powiedzieć? Spierałem się z przyjacielem o to, jak długo jestem w Oslo, i zabijcie mnie, nie pamiętam dokładnie, kiedy się tu zameldowałem. Czy mógłby pan to sprawdzić?

— Oczywiście, proszę pana.

Recepcjonista odszedł na bok i zaczął przeglądać kartotekę. Denison spojrzał na kluczyk od samochodu. Przezornie ze strony Hertza, że umieścili numer samochodu na breloczku; w ten sposób zdoła go rozpoznać. Zapobiegliwie postąpił też nocny portier, odprowadzając wóz — tylko dokąd, u licha?

Recepcjonista wrócił.

— Zameldował się pan osiemnastego czerwca, proszę pana. Dokładnie trzy tygodnie temu.

Motyle trzepoczące w żołądku Denisona zderzyły się ze sobą.

— Dziękuję — odparł machinalnie, po czym odszedł od kontuaru i przeszedł przez hol. Strzałka wskazywała drogę do baru i zerknąwszy w bok ujrzał ciemną, chłodną jaskinię z nielicznymi klientami, pijącymi pojedynczo lub parami. Bar wyglądał zacisznie, a Denison rozpaczliwie potrzebował czasu do namysłu, więc wszedł do środka. Kiedy zjawił się barman, powiedział:

— Proszę piwo.

— Eksportowe, sir?

Denison z roztargnieniem skinął głową. Osiemnastego czerwca. Wyliczył sobie, że stracił tydzień życia, więc jak, do diabła, mógł zameldować się w hotelu Continental w Oslo trzy tygodnie temu? Jak do licha mógł być w dwóch miejscach jednocześnie?

Barman wrócił, nalał piwo do szklanki i odszedł. Denison próbował sobie przypomnieć, gdzie był osiemnastego czerwca, i stwierdził, że nie jest w stanie. Trzy tygodnie to szmat czasu. Gdzie pan był o szóstej siedemnaście wieczorem osiemnastego czerwca? Nic dziwnego, że ludzie nie potrafią przedstawić alibi. Z najwyższym trudem zbierał myśli; umykały mu i rozbiegały się na wszystkie strony. Kiedy ostatnio widział pan swojego ojca? Bzdury!

Z zamętu wyłoniła się jedna wyraźna myśl. Edynburg! Siedemnastego i osiemnastego był w Edynburgu, wzięwszy sobie wolne po ciężkiej pracy. Spędził cudownie próżniaczy ranek, a po południu grał w golfa; wieczorem poszedł do kina i na kolację w Soho, a do Hampstead wrócił dość późno.

On — jako Giles Denison — zjadł kolację w Soho prawie w tym samym czasie, gdy — jako Harold Feltham Meyrick — jadł ją w Oslo. Gdzie tu sens?

Zdał sobie sprawę z tego, że wpatruje się w bąbelki unoszące się w bursztynowym płynie i jeszcze nie tknął swojego piwa. Podniósł szklankę i popił; było zimne i odświeżające.

Miał dwa punkty zaczepienia — dwie rzeczy utrzymujące go przy zdrowych zmysłach. Pierwsza to blizna Gilesa Denisona na łydce H.F. Meyricka, a druga to zmiana głosu Meyricka zauważona przez recepcjonistę. Jaki z tego wniosek? Najwidoczniej było dwóch Meyricków: jeden, który zameldował się tu osiemnastego czerwca, i drugi — on sam — który został podstawiony. Nieważne, dlaczego i jak. Po prostu przyjmijmy, że tak się stało.

Wypił jeszcze trochę piwa i oparł brodę na dłoni, czując nieznajomą wypukłość podbródka. Czy taka poważna operacja plastyczna mogła zostać przeprowadzona w ciągu tygodnia? Dodał to pytanie do listy spraw, które należy sprawdzić.

Co robić? Mógłby pójść do ambasady brytyjskiej i opowiedzieć swoją historię. W myśli ułożył scenariusz.

— Co możemy dla pana zrobić, panie Meyrick?

— No, chodzi o to, że nie jestem Meyrickiem — kimkolwiek on jest. Nazywam się Giles Denison i zostałem porwany z Londynu, zmieniono mi twarz i zostawiono w hotelu w Oslo z kupą forsy oraz kartą kredytową. Czy możecie mi pomóc?

— Oczywiście, panie Meyrick. Panno Smith, zechce pani wezwać lekarza?

— Mój Boże! — powiedział na głos. — Skończyłbym u czubków.

Barman nadstawił ucha i podszedł do Denisona.

— Życzy pan sobie czegoś, sir?

— Tylko zapłacić — odparł Denison kończąc piwo.

Zapłacił drobnymi wyjętymi z kieszeni i opuścił bar. W holu jedne z drzwi opatrzone były wywieszką z napisem GARAGE, więc otworzył je i zszedłszy schodami znalazł się w podziemnym garażu. Sprawdził numer na breloczku Hertza i ruszył wzdłuż pierwszego rzędu wozów. Znalazł go na samym końcu — wielki, czarny mercedes. Otworzył drzwiczki.

Pierwszą rzeczą, która rzuciła mu się w oczy, była nieduża laleczka, leżąca na siedzeniu kierowcy — dość szczególny przedmiot, wykonany z topornie rzeźbionego drewna i sznurka. Korpus zrobiono z cienkiej linki skręconej spiralnie i wychodzącej u dołu w postaci ogonka. Stopy ledwie zaznaczono. Na drewnianej kulce głowy przyklepiono włosy ze sznurka rozpleczonego na poszczególne włókna. Oczy wygięte w krzywym uśmiechu, usta były namalowane, w miejsce nosa wetknięto mały kóleczek. Maskotka była dziwna i nieco odrażająca.

Podniósł ją i odkrył leżący pod nią kawałek papieru. Rozwinął wydartą z notesu kartkę o postrzępionych brzegach i przeczytał niestarannie napisaną wiadomość: „Twoja Drammen Dolly oczekuje cię na Spiraltoppen. Wcześniej rano, 10 lipca”.

Zmarszczył brwi. Dziesiąty lipca był nazajutrz, ale gdzie jest Spiraltoppen i kim — lub czym — jest Drammen Dolly? Spojrzał na brzydką laleczkę. Leżała na siedzeniu kierowcy, jakby zostawiono ją tam specjalnie po to, żeby ją znalazł. Kilkakrotnie podrzucił ją w ręce, a potem wsunął do kieszeni. Wypchała mu marynarkę, ale co go to obchodzi? To nie jego marynarka. Notatkę włożył do portfela.

Samochód był prawie nowy, miał na liczniku niewiele ponad pięćset kilometrów. Denison znalazł plik dokumentów dotyczących wynajmu samochodu; mercedesa wynajęto pięć dni temu — fakt, który sam w sobie nic mu nie mówił. Nie znalazł nic więcej.

Wysiadł z samochodu, zamknął go i opuściwszy garaż bramą wjazdową, wyszedł na ulicę za hotelem. Wszystko wprawiało go w oszołomienie; pojazdy jeździły nie tą stroną ulicy, oznakowania i szyldy były niezrozumiałe, a jego znajomość norweskiego minimalna, ograniczona do jednego słowa — skal, które, aczkolwiek przydatne przy różnych miłych okazjach, było niezbyt użyteczne w codziennym życiu.

Potrzebował informacji i znalazł ją w księgarni na rogu ulicy. Wszedł do środka, w

stoisku z mapami wybrał plan centrum Oslo oraz całego miasta i samochodową mapę południowej Norwegii. Dodał do nich przewodnik po mieście i zapłacił zwitkiem norweskich banknotów z portfela Meyricka. Zanotował w myślach, że powinien policzyć te pieniądze, gdy tylko znajdzie jakieś spokojne miejsce.

Opuścił księgarnię z zamiarem powrotu do hotelu, gdzie będzie mógł przestudiować mapy i zapoznać się z planem miasta. Przystanął na chodniku i wykręcił szyję, spoglądając na róg ulicy, gdzie zazwyczaj można znaleźć tabliczkę z nazwą; istotnie była tam — Roald Amundsen Gata.

— Harry!

Skierował się w stronę hotelu, ale zaraz stanął, czując czyjąś rękę na ramieniu.

— Harry Meyrick! — W głosie brzmiały gniewne nutki.

Była zielonookim rudzielcem około trzydziestki i wykopała topór wojenny — miała zaciśnięte usta i czerwone rumieńce na policzkach.

— Nie jestem przyzwyczajona, żeby wystawiano mnie do wiatru — powiedziała. — Gdzie byłeś przez cały ranek?

Popadł w chwilowe zakłopotanie, ale w porę przypomniał sobie, co recepcjonista powiedział o jego głosie.

— Nie czułem się dobrze — zdołał wykrztusić. — Byłem w łóżku.

— Jest coś takiego, co nazywa się telefon — powiedziała ze złością. — Wynalazł go Alexander Graham Bell, pamiętasz?

— Byłem nieprzytomny po tabletkach nasennych — zaprotestował. W duchu pomyślał, że to prawdopodobnie szczerą prawdą. — Pewnie zażyłem zbyt wiele.

Wyraz jej twarzy zmienił się.

— Faktycznie masz chrypkę — przyznała. — Może ci wybaczę.

Mówiła po angielsku z lekkim amerykańskim akcentem.

— To cię będzie kosztowało drinka, kochanie.

— W hotelu? — zaproponował.

— Dzień jest zbyt piękny, żeby siedzieć w środku. Pójdziemy do Studenterlunden.

Machnęła ręką w kierunku kolorowych parasoli w ogrodzie po drugiej stronie ulicy, za przejeżdżającym przegubowym tramwajem.

Idąc obok niej przez ulicę, Denison czuł się jak w potrzasku, ale też zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli chce się dowiedzieć czegoś o Meyricku, to ta okazja jest zbyt dobra, by ją zmarnować. Został kiedyś zagadnięty na ulicy przez kobietę, która najwidoczniej dobrze go znała, podczas gdy on nie mógł jej sobie przypomnieć. W

tego typu rozmowach istnieje pewien kulminacyjny punkt, po osiągnięciu którego nie można już taktownie zdradzić się ze swoją niewiedzą. Tamtym razem Denison przegapił go, przecierpiał pół godziny pokrętnej konwersacji i pożegnał się uprzejmie, nie mając pojęcia, z kim mówił. Pomyślał ponuro, że był to dobry trening przed dzisiejszym spotkaniem.

Gdy przeszli przez ulicę, powiedziała:

— Dziś rano widziałam Jacka Kiddera. Pytał o ciebie.

— Jak się ma?

Zaśmiała się.

— Świetnie, jak zawsze. Znasz Jacka.

— Oczywiście — odparł z kamiennym wyrazem twarzy. — Poczciwy stary Jack.

Doszli do kawiarni na świeżym powietrzu i z trudem znaleźli wolny stolik. W innych okolicznościach Denisonowi sprawiłoby przyjemność wypicie drinka w towarzystwie ładnej kobiety i w tak miłym otoczeniu, lecz teraz miał głowę zaprzątniętą swoimi problemami. Usiedli. Położył na stoliku paczuszkę z mapami. Jedna z nich wyślizgnęła się z opakowania i jego „największy problem” trącił ją starannie wymanikiurowanym wskazującym palcem.

— Co to?

— Mapy — odparł lakonicznie Denison.

— Mapy czego?

— Miasta.

— Oslo! — Wyglądała na ubawioną. — Po co ci mapy Oslo? Czy nie chwaliłeś się, że znasz Oslo lepiej niż Londyn?

— Kupiłem je dla znajomego.

Denison zanotował w myślach: Meyrick dobrze zna Oslo; pewnie często tu bywa. Trzymać się z dala od miejscowych ciekawostek i plotek. Mogę napotkać więcej takich sytuacji.

— Och! — Wydawało się, że straciła zainteresowanie. Denison zrozumiał, że stanął przed szczególnym problemem. Nie znał imienia tej kobiety, a ponieważ ludzie rzadko mówią o sobie po imieniu, nie miał pojęcia, jak je pozna, chyba że zdoła jakoś zajrzeć do jej torebki i przejrzeć dokumenty.

— Daj mi papierosa, kochanie — powiedziała.

Poklepał się po kieszeniach i stwierdził, że papierośnicę i zapalniczkę zostawił w pokoju. Nie będąc palaczem, nie pomyślał o tym, by włożyć je do kieszeni razem z

resztą osobistych drobiazgów Meyricka.

— Przykro mi — rzekł. — Zostawiłem je w hotelu.

— Coś takiego! — powiedziała. — Nie mów mi, że wielki profesor Meyrick rzucił palenie. Gotowa jestem uwierzyć w raka.

Profesor!

Znów wykręcił się złym samopoczuciem.

— Ten, który zapaliłem dziś rano, smakował jak siano. Może przestanę palić.

Położył rękę na stole.

— Spójrz na te plamy od nikotyny. Wyobraź sobie, jak wyglądają moje płuca.

Potrząsnęła głową z udanym smutkiem.

— To tak, jakby leżał w gruzach zabytek narodowy. Myśleć o Harrym Meyricku bez papierosa to jak próbować wyobrazić sobie Paryż bez wieży Eiffla.

Do stolika podeszła nordycka kelnerka; wyglądała jak Jeanette MacDonald ubrana na występy w White Horse Inn. Denison pytająco uniósł brwi.

— Co zamawiasz?

— Jak zwykle — odparła obojętnie, szukając czegoś w torebce. Uciekł się do gwałtownego ataku kaszlu i poszukiwania chusteczki, przestając dopiero wtedy, gdy usłyszał, jak jego towarzyszka składa zamówienie. Zaczekał, aż kelnerka odejdzie, zanim oderwał chusteczkę od ust. Siedząca naprzeciw kobiecie powiedziała:

— Ten kaszel jest naprawdę paskudny, Harry. Nie dziwię się, że myślisz o rzuceniu papierosów. Nic ci nie jest, kochanie? Może jednak byłoby lepiej, gdybyś położył się do łóżka?

— Nic mi nie jest — rzekł.

— Jesteś pewny? — spytała z troską.

— Całkowicie.

— Teraz mówisz jak dawny profesor Meyrick — powiedziała kpiąco. — Zawsze pewny wszystkiego.

— Nie tytułuj mnie profesorem — rzekł na próbę. Mógł tak powiedzieć w miarę bezpiecznie, obojętnie czy Meyrick naprawdę był profesorem, czy też tylko stroiła sobie z niego kiepskie żarty. Brytyjczycy nigdy nie lubili nadużywania tytułów zawodowych. A w ten sposób mógł z niej wyciągnąć jakąś informację.

Uzyskał jedynie luźną i pozbawioną znaczenia uwagę:

— Będąc na kontynencie, trzeba przejąć tutejsze zwyczaje.

Kontynuował atak.

— Nie lubię tego.

— Jesteś taki brytyjski, Harry.

Wydało mu się, że w jej głosie słyszy drwinę.

— Jednak, rzecz jasna, należy się tego spodziewać.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Och, daj spokój. Nikt nie jest bardziej brytyjski od outsidera, który został Brytyjczykiem. Gdzie się urodziłeś, Harry? Gdzieś w Europie Środkowej?

Nagle jakby lekko się zawstydzila.

— Przepraszam; nie powinnam tego mówić. Zachowuję się jak jędrza, ale ty też jesteś trochę dziwny.

— To skutek pigułek. Barbiturany zawsze tak na mnie działają. Boli mnie głowa.

Otworzyła torebkę.

— Mam aspirynę.

Dotarła do nich walkiriopodobna kelnerka. Denison spojrział na butelki na tacy i powiedział:

— Wątpię, czy aspiryna dobrze robi z piwem.

To byłaby ostatnia rzecz, jakiej spodziewałby się pod określeniem „jak zwykle”; rudowłosa nie wyglądała na miłośniczkę piwa. Wzruszyła ramionami i ze szcękem zamknęła torebkę.

— Jak chcesz.

Kelnerka postawiła dwie szklanki, dwie butelki piwa i paczkę papierosów, powiedziała coś szybko i niezrozumiale i stała wyczekująco. Denison wyjął portfel i wybrał banknot stukoronowy. Z pewnością dwa piwa i paczka papierosów nie mogły kosztować więcej niż sto koron. Mój Boże, nie znał nawet wartości tutejszej waluty! To przypominało przechadzkę z zawiązanymi oczami po polu minowym.

Ulżyło mu, gdy kelnerka bez komentarzy wydała mu resztę ze skórzanej torebki ukrytej pod fartuszkami. Położył pieniądze na stole, zamierzając przeliczyć je ukradkiem. Rudowłosa powiedziała:

— Nie musisz płacić za moje papierosy, Harry.

Uśmiechnął się do niej.

— Nie żałuj sobie — rzekł i wyciągnął rękę, żeby nalać jej piwa.

— Sam rzucasz palenie, ale chętnie płacisz za truciznę innych — zaśmiała się. — To niezbyt moralne.

— Nie jestem moralistą — rzekł, mając nadzieję, że to prawda.

— Nie, nie jesteś — zgodziła się. — Zawsze zastanawiałam się, jak cię zaklasyfikować. Jak byś się określił, Harry? Ateista? Agnostyk? Humanista?

W końcu zaczął dowiadywać się czegoś istotnego o Meyricku. To były pytania, ale wiele mówiące, a on był gotów do dyskusji na tematy filozoficzne — miły i bezpieczny temat.

— Nie ateista — odparł. — Zawsze wydawało mi się, że wierzyć w nieistnienie czegoś jest nieco trudniej niż w istnienie. Uznałbym się za agnostyka — jednego z większości tych, którzy mówią „nie wiem”. A to nie kłóci się z humanizmem.

Obrócił w palcach banknoty i monety na stoliku, przeliczył je w myśli, odjął cenę dwóch piw obliczoną na podstawie sumy, którą zapłacił za piwo w hotelu, i otrzymał cenę paczki papierosów. W przybliżeniu, oczywiście. Wydawało mu się, że cena piwa w luksusowym hotelu będzie o wiele wyższa niż w kawiarni pod gołym niebem.

— W ostatnią niedzielę poszłam do kościoła — powiedziała w zadumie. — Do angielskiego kościoła... wiesz, tego na Mollergata.

Kiwnął głową, jakby wiedział.

— Niewiele stamtąd wyniosłam. Sądzę, że następnym razem spróbuję pójść do amerykańskiego.

Zmarszczyła brwi.

— Gdzie jest amerykański kościół, Harry?

Musiał coś powiedzieć, więc zaryzykował.

— Czy nie w pobliżu ambasady?

Rozpromieniła się.

— Oczywiście. Między Bygdoy Alle i Drammens Veien. To zabawne, prawda? Amerykański kościół znajduje się niemal tuż obok brytyjskiej ambasady. Można by oczekiwać, że będzie raczej przy ambasadzie amerykańskiej.

Wypił łyk piwa.

— Tak, istotnie — odpowiedział, nie wspominając o tym, że właśnie to miał na myśli. Nawet niby-teologiczna konwersacja była usiana groźnymi pułapkami. Musiał z tym skończyć, zanim wpadnie po uszy.

I właśnie przyszła mu do głowy alarmująca myśl, drażniąca i niepokojąca. Ktokolwiek umieścił go w tym pokoju hotelowym, wyposażając go w pieniądze i wszystkie przedmioty niezbędne do życia — a ponadto kilka luksusowych — z pewnością nie przestał go obserwować. Ktoś go pilnuje, inaczej cała ta akcja byłaby pozbawiona sensu. Czy tym obserwatorem mogła być ta rudowłosa, która

najwidoczniej obawiała się o swoją nieśmiertelną duszę? Któż pilnowałby go lepiej od osoby znajdującej się tak blisko niego?

Otworzyła paczkę papierosów i poczęstowała go.

— Jesteś pewny, że nie chcesz?

Potrząsnął głową.

— Całkowicie.

— To musi być cudowne posiadać silną wolę.

Pragnął spokoju, a nie tego nieustannego wymacywania drogi w labiryncie, w którym każdy mijany zakręt mógł okazać się bardziej niebezpieczny od poprzedniego. Znow zaczął kaszleć i wyjął z kieszeni chusteczkę.

— Przepraszam — powiedział stłumionym głosem. — Myślę, że masz rację; lepiej jeśli położę się do łóżka. Czy masz coś przeciw temu, że cię opuszczę?

— Oczywiście, że nie — odparła zatroskanym głosem. — Czy potrzebny ci lekarz?

— To nie jest konieczne — rzekł. — Jutro będę zdrowy; wiem, jak szybko przechodzą mi takie przeziębienia.

Podniósł się z krzesła i ona też wstała.

— Nie fatyguj się i nie odprowadzaj mnie. Hotel jest po drugiej stronie ulicy.

Podniósł paczuszkę i upchał w niej mapy, po czym schował chusteczkę do kieszeni. Rudowłosa spojrzała mu pod nogi.

— Upuściłeś coś — powiedziała i nachyliła się, żeby to podnieść. — Oo, to Spiralen Doll.

— Co? — spytał nieostroźnie.

Musiała mu wypaść z kieszeni, kiedy wyciągał chusteczkę. Ruda spojrzała na niego dziwnie.

— Pokazywałeś mi je w Spiralen, gdy byliśmy tam w zeszłym tygodniu. Śmiałeś się z nich i nazywałeś turystycznym śmieciem. Nie pamiętasz?

— Oczywiście — odparł. — To przez ten przeklęty ból głowy.

Roześmiała się.

— Nie spodziewałam się, że możesz mieć jedną z nich. Nie kupiłeś jej, kiedy tam byliśmy, więc skąd ją masz?

Powiedział prawdę.

— Znalazłem ją w samochodzie, który wynająłem.

— W dzisiejszych czasach nikomu już nie można zaufać — skomentowała ze śmiechem. — Te samochody powinny być czyszczone i przeglądane.

Podąa mu lalkę.

— Chcesz ją?

— Może mam mętklik w głowie — odparł — ale tak.

Wziął od niej maskotkę.

— Teraz już pójdę.

— Wypij gorący grog i dobrze się wyśpij — poradziła. — I zadzwoń do mnie zaraz, jak poczujesz się lepiej.

To byłoby co najmniej trudne, skoro nie znał ani jej nazwiska, ani telefonu.

— Może zadzwoisz do mnie jutro — zaproponował. — Myślę, że będę się już czuł na tyle dobrze, żeby zjeść z tobą obiad. Obiecuję, że tym razem na pewno przyjdę.

— Zadzwoię do ciebie jutro po południu.

— Obiecuj — nalegał, nie chcąc jej zgubić.

— Obiecuję.

Schował lalkę do kieszeni i pomachawszy ręką nieznanomej, wyszedł z ogrodu, czując ulgę z powodu tego, że udało mu się wybrnąć z trudnej sytuacji. Informacje — myślał idąc przez hol hotelu. — Oto czego potrzebuję; bez nich jestem sparaliżowany.

Przystanął przed kontuarem recepcji, gdzie recepcjonista powitał go szerokim uśmiechem.

— Pański klucz, sir?

Obrócił się na pięcie i zdjął klucz z tablicy.

Pod wpływem nagłego impulsu Denison wyjął lalkę.

— Co to jest?

Recepcjonista uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— To Spiralen Doll, sir.

— Gdzie je robią?

— W Spiralen, sir — to w Drammen. Jeśli to pana interesuje, mam prospekt.

— Bardzo mnie interesuje.

Recepcjonista przejrzał papiery na półce i znalazł ulotkę wydrukowaną niebieskimi literami.

— Pewnie jest pan inżynierem, sir.

Denison nie miał pojęcia, kim, do cholery, był Meyrick.

— To leży w zakresie moich zainteresowań — rzekł ostrożnie, wziął klucz i ulotkę, po czym pomaszerował do wind. Nie zauważył mężczyzny, który stał tuż za nim i przyglądał mu się uważnie aż do chwili, gdy zamknęły się drzwi windy.

Znalazłszy się w pokoju, Denison rzucił mapy i prospekt na komodę, po czym podniósł słuchawkę telefonu.

– Chciałbym przeprowadzić rozmowę międzymiastową, z Anglią. Wyjął portfel.

– Z jakim numerem, sir?

– W tym leży pewna mała trudność. Nie znam numeru, tylko adres. Otworzył portfel jedną ręką i wyjął wizytówkę Meyricka. Telefonista miał wątpliwości.

– To może zabrać trochę czasu, sir.

– Nic nie szkodzi. Przez resztę dnia będę w swoim pokoju.

– Jaki to adres, sir?

Denison powiedział wyraźnie:

– Lippscott House opodal Brackley, Buckinghamshire, Anglia. Powtórzył to trzy razy, aby upewnić się, że został dobrze zrozumiany.

– A nazwisko?

Denison otworzył usta i natychmiast je zamknął, a na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie. Wyszedłby na cholernego głupca, gdyby podał nazwisko Meyrick – nikt przy zdrowych zmysłach nie dzwoni do siebie, szczególnie przyznając uprzednio, że nie zna swojego numeru telefonu. Przełknął ślinę i rzekł krótko:

– Nie znam nazwiska.

W słuchawce usłyszał ciche westchnienie.

– Zrobię co w mojej mocy, sir.

Denison odłożył słuchawkę i usiadł w fotelu, żeby poczytać o Spiralen. Pierwsza strona ulotki nosiła nagłówek DRAMMEN. Pod nim znajdowała się fotografia Spiralen Doli, która w niebieskim kolorze wcale nie wyglądała lepiej. Prospekt był w czterech językach.

Spiralen zostało opisane jako „prawdziwie unikatowa atrakcja, jak również wspaniałe dzieło sztuki inżynierskiej”. Najwidoczniej u podnóża Bragernesasen, wzgórza opodal Drammen, znajdował się kamieniołom będący solą w oku ojców miasta, którzy postanowili coś z nim zrobić. Zamiast wydobywać kamień z czoła urwiska, przeniesiono tę operację w głąb wzgórza.

Wykuto w nim tunel szeroki na trzydzieści stóp, wysoki na piętnaście i długi na milę. Jednak nie w linii prostej. Tunel zawijał się sześciokrotnie, tworząc spiralę w głąbi góry, wznoszącą się na pięćset stóp, i prowadził na szczyt Bragernesasen, gdzie mieściła się restauracja czynna przez okrągły rok. Podobno widoki stamtąd były wspaniałe.

Denison podniósł lalkę; jej korpus składał się z sześciu pełnych skrętów sznura. Uśmiechnął się słabo.

Sprawdziwszy mapy stwierdził, że Drammen jest miasteczkiem oddalonym o czterdzieści kilometrów na zachód od Oslo. To byłaby miła poranna przejażdżka i mógłby wrócić wystarczająco wcześnie, żeby odebrać popołudniowy telefon od rudowłosej. Kiepski punkt zaczepienia, ale nie miał lepszego.

Spędził resztę popołudnia, przeglądając rzeczy Meyricka, lecz nie znalazł niczego, co można by uznać za wskazówkę. Zamówił obiad do pokoju, ponieważ podejrzewał, że hotelowa restauracja może być pełna takich uzbrojonych ludzkich min jak napotkana rudowłosa, a wiedział, że nie uda mu się wykręcać bez końca.

Kiedy był w połowie obiadu, uzyskał połączenie. Rozległy się trzaski i syki, po czym słabo słyszalny głos oznajmił:

- Tu rezydencja doktora Meyricka. Doktor!
- Chciałbym mówić z doktorem Meyrickiem.
- Przykro mi, sir, ale doktora Meyricka nie ma w domu.
- Czy może mi pan powiedzieć, gdzie mogę go znaleźć?
- W tej chwili nie ma go w kraju, sir.
- Och! A może wie pan, dokąd pojechał?

Chwila przerwy.

- Sądzę, że podróżuje po Skandynawii, sir.

To do niczego nie prowadziło.

- Z kim rozmawiam?

— Mówi Andrews, służący doktora Meyricka. Czy chce pan zostawić wiadomość, sir?

- Czy rozpoznajesz mój głos, Andrews? — spytał Denison.

Pauza.

- Kiepskie połączenie.

Kolejna pauza.

- Nie przepadam za tymi telefonicznymi kwizami, sir.

— W porządku — rzekł Denison. — Kiedy zobaczysz doktora Meyricka, powiedz mu, że dzwonił Giles Denison, i że skontaktuję się z nim najszybciej, jak zdołam. Zrozumiałeś?

- Giles Denison. Tak, panie Denison.
- Kiedy można się spodziewać powrotu doktora Meyricka?

— Naprawdę nie mam pojęcia.

— Dziękuję, panie Andrews.

Denison odłożył słuchawkę. Był przygnębiony.

Tej nocy źle spał. Dręczyły go koszmary, których nie pamiętał, gdy kilkakrotnie budził się ze snu, ale przypominał sobie, że roilo się w nich od potwornych i okropnych postaci, które mu groziły. Wczesnym rankiem zapadł w głęboki, otępiający zmysły sen i kiedy się obudził, był ociężały i apatyczny.

Wstał z trudem i odsunął zasłonę, by stwierdzić, że pogoda zmieniła się; niebo było ciemnoszare, chodniki mokre, a w powietrzu unosiła się drobna mżawka. Kawiarnia pod gołym niebem w ogrodzie naprzeciwko nie robi interesu w taki dzień.

Telefonicznie zamówił posiłek i wziął prysznic, kończąc go lodowatymi strugami wody, by w ten sposób wykrzesać odrobinę entuzjazmu z nagle ociężałego ciała, co w pewnym stopniu udało mu się. Kiedy kelnerka przysłała ze śniadaniem, miał już na sobie spodnie oraz biały sweter polo i czesał się przed lustrem w sypialni. Niewiarygodne, ale pogwizdywał pod nosem, mimo iż widział przed sobą twarz Meyricka.

Jedzenie też mu pomogło, chociaż było nieznanne i zupełnie nie przypominało angielskiego śniadania. Zostawił surowe, marynowane śledzie i zadowolił się gotowanym jajkiem, chlebem z marmoladą i kawą. Po śniadaniu ponownie sprawdził pogodę, a potem wyjął z szafy marynarkę i prochowiec. Znalazł też cienką, zapinaną na zamek błyskawiczny aktówkę, do której włożył mapy i prospekt o Spiralen z planem ulic Drammen na ostatniej stronie. Potem zszedł na dół do samochodu. Była dokładnie dziewięta.

Nie było łatwo wydostać się z miasta. Wóz był większy i silniejszy od tych, do jakich był przyzwyczajony, a ponadto Denison musiał jechać nieprawidłową dla niego stroną drogi, po obcych ulicach i podczas rannego szczytu. Trzykrotnie nie zauważył znaków i skręcił w złym kierunku. Za pierwszym razem pojechał dalej i beznadziejnie się zgubił; z trudem udało mu się wrócić tą samą drogą. Później, kiedy źle skręcił, natychmiast zawracał, żeby znów nie zgubić drogi.

Zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, że śledzi go mężczyzna w szwedzkim volvo. Nieprzewidziane manewry Denisona sprawiały śledzącemu spore kłopoty, szczególnie kiedy mercedes tak szybko i niespodziewanie zawracał. Mężczyzna, który nazywał się Armstrong, kłął gęsto i soczyście, a kiedy mżawka zmieniła się w gęsto zacinający deszcz, jego język stał się wręcz nieopisanie plugawy.

Denison w końcu wydostał się z centrum miasta i wjechał na sześciopasmową

autostradę, po trzy pasma w obu kierunkach. Wycieraczki musiały mocno pracować, żeby uporać się z deszczem, ale radziły sobie lepiej, kiedy pomajstrował przy włączniku i odkrył, że mają dwie prędkości. Zdecydowanie trzymał się środkowego pasa, uspokajany pojawiającym się od czasu do czasu napisem DRAMMEN na wiszących drogowskazach.

Na lewo było morze — głębokie odgałęzienie Oslofjord — ale niebawem droga skręciła, prowadząc w głąb lądu. Wreszcie deszcz ustał, chociaż nie pokazało się słońce, i poznavszy kaprysy nieznanego samochodu, Denison nawet zaczął cieszyć się przejażdżką. Nagle znalazł się w Drammen, gdzie zaparkował i przestudiował plan na ostatniej stronie prospektu.

Mimo to minął wąski skręt w prawo i musiał pojechać kawałek dalej, zanim znalazł miejsce, gdzie mógł zawrócić, ale w końcu podjechał do wylotu tunelu i zatrzymał się, aby uiścić dwukoronową opłatę.

Wrzucił bieg i wolno ruszył naprzód. Z początku tunel biegł prosto, a potem zaczął skręcać w lewo, pnąc się w górę. Wnętrze było słabo oświetlone, ale Denison włączył reflektory na światła mijania i zobaczył, że ich blask odbija się od wilgotnej, chropowatej kamiennej ściany. Kąt wznoszenia był regularny, tak samo jak promień spirali, i zanim dojechał do tablicy oznaczonej numerem 1, oswoił się już z drogą. Musiał tylko trzymać kierownicę lekko skrzyśną, aby kompensować skręt spirali i powoli piąć się w górę na niskim biegu.

Jednak było to niezwykle doświadczenie — jazda na szczyt wewnątrz góry. Kiedy dotarł na poziom 3, minął go jakiś samochód jadący w dół i na moment oślepił go światłami, lecz był to jedyny problem, jaki napotkał po drodze. Na wszelki wypadek podjechał bliżej zewnętrznego łuku i ściany.

Wkrótce po tym, jak minął poziom 6, wyjechał z tunelu w oślepiające światło dnia i na równą drogę. Po lewej był duży parking, zupełnie pusty, a dalej ujrzał dach wielkiego drewnianego budynku, przypominającego zameczek. Zaparkował tak blisko budynku, jak mógł, po czym wysiadł z samochodu i zamknął drzwi.

Zameczek był najwidoczniej restauracją Spiraltoppen, którą dopiero co otwarto. Denison zajrzał przez szklane drzwi — wewnątrz dwie kobiety ścierały podłogę. Było jeszcze bardzo wcześnie. Cofnął się o kilka kroków i zobaczył gigantyczną Spiralen Doll nad wejściem — szyderczo uśmiechniętą postać wielkości dorosłego człowieka.

Rozejrzał się wokół i zauważył stopnie prowadzące w dół, na skraj urwiska, gdzie na niskim kamiennym murku zainstalowano automat wrzutowy z teleskopem. Zszedł

schodkami do miejsca, skąd otwierał się widok na dolinę Drammen. Chmury rozchodziły się i prześwitujące przez nie słońce oświetlało płynącą daleko w dół rzekę. Powietrze było kryształowo czyste.

Bardzo ładny widok — pomyślał kwaśno — ale co ja tu, do diabła, robię? Czego szukam? Drammen Dolly, kim jesteś?

Przez dłuższą chwilę spoglądał na krajobraz i nie znalazłszy w nim odpowiedzi na dręczące go pytania, wrócił do restauracji, gdzie zakończono już akcję mycia podłogi.

Wszedł do środka i usiadł, wyczekująco rozglądając się wokół. Budynek sprawiał wrażenie zbudowanego ad hoc, pełno tu było dziwnych kątów i sprzeczności, jakby architekt — o ile w ogóle projektował go jakiś architekt — radykalnie zmienił zdanie w trakcie budowy. Wreszcie zjawiała się kelnerka i, nie okazując większego zainteresowania, przyjęła zamówienie od Denisona, by zaraz wrócić z zamówioną kawą. Odeszła nie podając tajnego hasła, więc siedział i ponuro popijał swoją małą czarną.

Po chwili wyjął prospekt i zaczął go przeglądać. Znajdował się na szczycie Bragernesasen, będącej „progiem czystej krainy Drammens-marka, w lecie raj dla wspinaczy, a w zimie dla narciarzy, którzy mogli korzystać z oświetlonych tras”. Może tam coś jest, pomyślał; zapłacił za kawę i wyszedł.

Tymczasem przyjechał jakiś samochód i stał teraz na drugim końcu parkingu. Za kierownicą siedział mężczyzna czytający gazetę. Spojrzał obojętnie, gdy drzwi restauracji zatrzasnęły się za wychodzącym Denisonem, i wrócił do swojej lektury. Denison szczerzej otulił się płaszczem przed chłodnym podmuchem wiatru i odszedłszy od skraju urwiska, pomaszerował ku „czystej krainie Drammens-marka”.

Teren był lesisty, porośnięty wysokimi drzewami szpilkowymi i równie dużymi drzewami liściastymi o białych pniach, które Denison uznał za brzozy, chociaż mógł się mylić — botanika nigdy nie była jego ulubionym przedmiotem. Od parkingu w las wiodła dobrze wydeptana ścieżka. Wkrótce drzewa zwały się wokół Denisona, tak że kiedy się obejrzał, nie dostrzegł już restauracji.

Ścieżka rozwidlała się, więc rzuciwszy w myślach monetą, wybrał prawe odgałenie. Po następnych dziesięciu minutach marszu przystanął i znów zaczął się zastanawiać, co on, do diabła, robi. Wędruje po górach i lasach Norwegii tylko dlatego, że w wynajętym samochodzie znalazł prymitywną lalkę. To przecież śmieszne.

Według teorii rudowłosej nieznajomej, lalkę pozostawił w samochodzie poprzedni

użytkownik. Co za użytkownik? Wóz był najwyraźniej nowy. Lalkę zostawiono na widocznym miejscu razem z notatką zawierającą tajemniczą wzmiankę o „Drammen Dolly”.

Wcześniej rano — tak mówiła notatka. Tylko co oznaczało „wcześniej”? Pokaż się, pokaż, kimkolwiek jesteś, moja mała Drammen Dolly. Machnij swą czarodziejską różdżką i przenieś mnie z powrotem do Hampstead.

Zawrócił i podreptał z powrotem do rozwidlenia ścieżki, tym razem wybierając lewe odgałęzienie. Powietrze po deszczu było świeże i czyste. Krople wody na liściach skrzyły się w promieniach słońca jak diamenty i od czasu do czasu, gdy Denison przechodził pod drzewami, spadały na niego niczym łagodny prysznic.

Nie było tu nic prócz drzew.

Dotarł do kolejnego rozwidlenia szlaku i stanął zastanawiając się, co robić. Z tyłu doszedł go jakiś trzask, jakby łamanej gałązki; obrócił się na pięcie i osłaniając dłońią oczy przed słońcem, popatrzył na ścieżkę i wilgotny las, lecz nic nie zauważył. Odwrócił się, ale z prawej usłyszał następny trzask i kątem oka dostrzegł jakiś ciemny kształt poruszający się szybko między drzewami.

Na odgłos kroków za plecami wykonał błyskawiczny zwrot i stwierdził, że jest celem gwałtownego ataku. Dobiegał do niego jakiś rosły mężczyzna, mający dobre sześć stóp wzrostu i szerokie bary, a w wysoko uniesionej prawej ręce coś, co wyglądało na krótką pałkę.

Denison skończył już trzydzieści sześć lat — to wiek zbyt zaawansowany, aby staczać poważne pojedynki na pięści. Ponadto prowadził siedzący tryb życia, co oznaczało kiepską formę, chociaż i tak lepszą, niż można by oczekiwać, ponieważ nie palił. Jednak refleks miał nadal szybki. Ale uratowało go tylko to, że w swoim czasie był dość dobrym bokserem wagi średniej, który wygrał większość swych amatorskich walk dzięki bojowej postawie.

Ostatnie dwa dni przyprawiły go o nieustanną irytację. Błądził we mgle nie widząc przeciwnika, z którym mógłby walczyć, i ten fakt działał mu na nerwy. Teraz, kiedy miał coś — a raczej kogoś — z kim mógł się zmierzyć, jego instynkt wziął górę.

Dlatego, zamiast odskoczyć przed atakiem, niespodziewanie zrobił wypad w przód, zablokował opadające ramię lewą ręką i wyprowadził potężny prawy prosty w dołek napastnika. Mężczyzna z głuchym sapnięciem wypuścił powietrze i wpółzgięty runął na ziemię, krztusząc się i dławiąc.

Denison, nie tracąc czasu, ruszył najszybciej jak mógł w kierunku parkingu; za

plecami słyszał tupot nóg. Nie próbował się oglądać, tylko wciągnął głowę w ramiona i gnał. Zdał sobie sprawę z tego, że jakiś człowiek zbiega z pagórka po lewej, klucząc między drzewami i starając się odciąć mu drogę — a co gorsza wyglądało na to, że zdoła to zrobić.

Denison przyspieszył, lecz na nic się to nie zdało — tamten wyskoczył na ścieżkę piętnaście jardów przed nim. Denison wciąż słyszał tupot nóg za plecami i wiedział, że jeśli przystanie, znajdzie się w pułapce, więc pędził przed siebie, nie zwalniając kroku.

Kiedy mężczyzna przed nim zorientował się, że Denison się nie zatrzyma, na jego twarzy pojawiło się zdziwienie. Prawą ręką sięgnął za pas i lekko ugiął nogi. Ostrze noża zimno błysnęło w słońcu. Denison runął na przeciwnika udając, że zamierza uskoczyć w lewo — ale w ostatniej chwili zrobił zwód i minął go z prawej.

Prawie udało mu się wyjść bez szwanku, gdyż mężczyzna dał się zwieść. Jednak tamten zdążył jeszcze zrobić gwałtowny ruch prawą ręką i Denison poczuł piekący ból w boku. Mimo to nie zwolnił tempa i pomknął ścieżką, mając nadzieję, że nie potknie się o jakiś wystający korzeń. Nic tak nie dodaje skrzydeł, jak napastnik ścigający cię z nożem w ręku.

Było ich trzech. Olbrzym, którego powalił ciosem w splot słoneczny, będzie do niczego co najmniej przez dwie minuty, a może dłużej. Pozostał jeszcze nożownik i ten drugi, który go ścigał. Z tyłu doszły go jakieś krzyki, ale zza wzniesienia już wyłaniał się dach restauracji.

Zaczynało mu brakować tchu i wiedział, że nie zdoła dłużej utrzymać takiego tempa. Wpadł na parking i pognał do samochodu, wdzięczny losowi za równą nawierzchnię. Trzasnęły drzwiczki samochodu i zaryzykował spojrzenie w lewo, Denison zobaczył, że mężczyzna czytający dotychczas gazetę w zaparkowanym wozie biegnie w jego kierunku.

Gorączkowo sięgnął po kluczyki od mercedesa i podziękował Bogu, gdy gładko wślizgnęły się do zamka. Wskoczył za kierownicę i zatrzasnął drzwi jedną ręką, drugą wpychając kluczyk do stacyjki — za pierwszym razem nie trafił i musiał ponowić próbę. Mężczyzna na zewnątrz uderzył pięścią w boczną szybę, a potem zaczął szarpać za klamkę. Wytężając wszystkie siły, Denison przytrzymał drzwi, a drugą ręką uderzył w bolec blokady.

Wypuścił przy tym kluczyki i teraz próbował je wymacać na podłodze. Płuca mu pękały i z trudem łapał powietrze, a ból w boku nasilił się nagle, ale jakaś część chłodno i logicznie myślącego umysłu mówiła mu, że jest stosunkowo bezpieczny i że

nikt nie zdoła się dostać do zamkniętego samochodu, zanim ruszy z miejsca — oczywiście, jeśli uda mu się odnaleźć ten przeklęty klucz.

Palcami namacał klucz, złapał go, podniósł i wepchnął w stacyjkę. Chłodna logika błyskawicznie wyparowała, gdy zobaczył, że mężczyzna cofa się i wyjmuje pistolet. Denison gwałtownie wcisnął sprzęgło, wrzucił pierwszy bieg i wystartował z piskiem i śwędem opon, zanim zdążył położyć ręce na kierownicy. Wóz zatańczył opętańczo po parkingu, wyrównał i śmignął w głąb tunelu Spiralen jak królik do nory.

W ostatnim błysku słonecznego światła Denison ujrzał w lusterku, że drugi samochód rusza z otwartymi drzwiami, a napastnicy w biegu wskakują do środka. Łasica ścigała królika.

Po dziesięciu sekundach, kiedy dotarł do zakrętu, wiedział już, że jedzie zbyt szybko. Nachylenie przekraczało dziesięć procent przy promieniu skrętu nie większym niż sto pięćdziesiąt stóp; tunel skręcał w prawo, tak że mercedes znajdował się na wewnętrznym łuku. Jechał tak szybko, że siła odśrodkowa wyrzucała wóz za linię środkową i gdyby z przeciwnej strony nadjechał jakiś pojazd, z pewnością doszłoby do zderzenia.

Znalazł się w sytuacji człowieka zjeżdżającego sankami po torze bobslejowym Cresta Run — jednak z pewnymi istotnymi różnicami. Cresta Run jest zaprojektowany tak, że po jego ścianach można się ślizgać; tu ściany były poszarpaną, nie wygładzoną skałą i gdyby się o nie otarł przy tej prędkości, z pewnością rozbiłby wóz. Na Cresta Run nie ma ruchu dwukierunkowego i stałego ostrego zakrętu, a zawodników nie ścigają uzbrojeni prześladowcy — gdyby tak było, na pewno padłyby nowe rekordy.

Tak więc Denison niechętnie zwolnił szybkość i zaryzykował spojrzenie we wsteczne lusterko. Kierowca jadącego za nim samochodu był bardziej zuchwały i nie martwił się ruchem z naprzeciwka. Gnał środkiem jezdni szybko dopędzając mercedesa. Denison dodał gazu, skręcił kierownicę i zaczął się zastanawiać, czy zdoła wyprowadzić wóz z poślizgu.

Ściany tunelu rozmywały mu się w oczach, a światła migąły jak w kalejdoskopie; dostrzegł podświetloną tablicę z numerem 5. Jeszcze cztery okrążenia do końca. Nagle samochód zadrżał i szarpnął się, i Denison musiał walczyć z kierownicą, która nieoczekiwanie zaczęła żyć własnym życiem. Wstrząs powtórzył się i Denison usłyszał głośny trzask z tyłu. Taranowali go. Rozległ się kolejny zgrzyt dartej metalu i mercedes zatańczył po całej szerokości jezdni.

Usłyszał — i poczuł — chrzęst, gdy tylny błotnik wozu trzasnął w ścianę, ale

Denison w tym momencie nie przejmował się zbyt włąsnością Hertz Company, ponieważ zobaczył reflektory nadjeżdżającego z przeciwka samochodu. Szaleńczo manewrując kierownicą, sprzęgłem i pedałem gazu, udało mu się odbić w prawo, ocierając się o bok turystycznego autobusu jadącego w górę. Przez moment za szybą zamajaczyła twarz kierowcy – z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami – lecz zaraz znikła.

Przedni zderzak już ocierał się o ścianę tunelu, sypiąc snop iskier, i Denison skręcił kierownicę, niemal potrącając o tył mijanego autobusu. Samochód przez prawie sto pięćdziesiąt jardów zataczał się od ściany do ściany, zanim Denison odzyskał nad nim panowanie i mógł dziękować Bogu, że autokar nie był pierwszym z kolumny pojazdów.

Mignęła mu tabliczka z numerem 2, a błysk reflektorów we wstecznym lusterku świadczył o tym, że samochód z tyłu również uniknął zderzenia z autobusem i znowu go doganiał. Denison ponownie zwiększył szybkość i opony zaprotestowały rozdzierającym uszy piskiem; cały tunel wypełnił się śwędem palonej gumy.

Poziom 1. Poświata z przodu zapowiadała zbliżanie się następnego pojazdu, Denison zebrał się w sobie, lecz zakręt skończył się i tunel wypełniło wpadające przez wylot światło dnia. Denison wcisnął pedał gazu; mercedes runął naprzód i wypadł z tunelu jak pocisk z armatniej lufy. Kasjer gwałtownie zamachał rękami i odskoczył w bok przed nadjeżdżającym autem. Denison zmrużył oczy przed oślepiającym blaskiem i z maksymalną prędkością śmignął w dół wzgórza w kierunku głównej ulicy Drammen.

U podnóża góry nadepnął na hamulce i szarpnął kierownicą w bok. Samochód przechylił się w gwałtownym skręcie i opony znów zapiszczały, zostawiając na szosie czarne ślady gumy. W następnej chwili Denison dosłownie stanął na pedale hamulca, unosząc się z fotela, aby nie wpaść na grupkę szacownych mieszkańców Drammen, przechodzących przez ulicę na zielonym świetle. Przód samochodu osiadł, a tył podskoczył w górę, gdy wóz zatrzymał się z piskiem, lekko trącając maską udo policjanta, który stał na środku ulicy odwrócony plecami do Denisona.

Policjant odwrócił się; twarz miał pozbawioną wyrazu. Denison opadł na fotel i obejrzał się. Zdążył zobaczyć, jak ściągający go samochód skręca w przeciwną stronę i z dużą szybkością wyjeżdża z Drammen.

Policjant zapukał w boczne okienko i Denison opuścił szybę, wpuszczając rwący potok norweskiej mowy. Potrząsnął głową i powiedział głośno:

— Nie znam norweskiego. Czy mówi pan po angielsku?

Policjant urwał w połowie zdania, z szeroko otwartymi ustami.

Zamknął je natychmiast, zrobił głęboki wdech i rzekł:

— Co pan wyprawia?

Denison wskazał kciukiem za siebie.

— To przez tych przeklętych głupców. Mogli mnie zabić. Policjant wyprostował się i wolno obszedł samochód, uważnie go oglądając. Potem zapukał w okno od strony pasażera i Denison otworzył mu drzwi. Policjant wszedł.

— Jechać! — powiedział.

Kiedy Denison zatrzymał się przed budynkiem z napisem POLISI i wyłączył silnik, policjant stanowczo zabrał mu kluczyki i machnął ręką w kierunku drzwi.

— Do środka!

Oczekiwanie dłużyło się Denisonowi. Siedział w pustym pokoju pod chłodnym okiem norweskiego policjanta niskiej rangi i zastanawiał się, co powinien zeznać. Jeśli powie im prawdę, zadadzą sobie pytanie: Kto chciałby napadać na Anglika nazwiskiem Meyrick? A to, rzecz jasna, prowadziłoby do następnego: Kim jest Meyrick? Denison nie sądził, aby udało mu się przetrzymać tego rodzaju indagacje, a gdyby ujawnił całą resztę, doszliby do wniosku, że mają do czynienia z prawdziwym czubkiem, w dodatku o morderczych skłonnościach. Trzeba im powiedzieć coś innego, byle nie prawdę.

Czekał już godzinę, gdy zadzwonił telefon. Młody policjant rzucił coś w słuchawkę, odłożył ją i powiedział do Denisona:

— Idziemy!

Zaprowadzono go do biura, gdzie za biurkiem siedział starszy stopniem policjant. Podniósł pióro i wskazał nim krzesło.

— Siadać!

Denison usiadł, zastanawiając się, czy angielskie rozmówki dla norweskich policjantów zalecają używanie pojedynczych słów. Oficer trzymał pióro nad jakimś formularzem.

— Nazwisko?

— Meyrick — rzekł Denison. — Harold Feltham Meyrick.

— Narodowość?

— Anglik.

Oficer wyciągnął dłoń, grzbietem do spodu.

— Paszport.

To nie było pytanie.

Denison wyjął paszport i położył go na wyciągniętej dłoni. Policjant przekartkował dokument, odłożył na bok i spojrzał na Denisona oczami twardymi jak granit.

— Jechał pan ulicami Drammen z szybkością około stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Nie muszę panu mówić, że jest to przekroczenie dopuszczalnej prędkości. Przejechał pan przez Spiralen z nieznaną szybkością, ale chyba mniejszą niż sto czterdzieści kilometrów, inaczej stalibyśmy teraz przed przykrą koniecznością zeszkobania pana ze ścian. Jak pan to wyjaśni?

Teraz Denison już wiedział, jak wygląda długa przemowa w wydaniu norweskiego policjanta i nie był tym oczarowany. Oficer cedził słowa.

— Jechał za mną jakiś samochód — powiedział Denison. — Kierowca chciał sobie pograć w berka.

Policjant podniósł brwi, więc Denison mówił dalej.

— Myślę, że to byli młodociani chuligani, którzy chcieli kogoś postraszyć, wie pan, jacy oni są. Ze mną im się udało. Staranowali mnie kilka razy i musiałem jechać szybciej. Od tego wszystko się zaczęło.

Zamilkł i oficer popatrzył na niego twardymi, szarymi oczami, ale nic nie powiedział. Denison pozwolił, aby milczenie potrwało dłuższą chwilę, potem powiedział powoli i wyraźnie:

— Chcę natychmiast skontaktować się z brytyjską ambasadą. Oficer spuścił wzrok i sprawdził coś w formularzu.

— Stan bagażnika pańskiego wozu potwierdza pańską wersję. Był drugi samochód. Znaleźliśmy go, został porzucony. Stan przedniej części tego wozu również potwierdza pańską opowieść. Samochód, który znaleźliśmy, został zeszłej nocy skradziony w Oslo.

Popatrzył na Denisona.

— Czy chce pan coś zmienić w swoim oświadczeniu?

— Nie.

— Jest pan tego pewny?

— Najzupełniej.

Oficer wstał, trzymając w ręku paszport.

— Czekać tu — rzekł i wyszedł.

Denison czekał następną godzinę, zanim policjant wrócił i poinformował:

— Urzędnik z pańskiej ambasady zjawi się niebawem i będzie obecny, kiedy złożysz

pan pisemne oświadczenie.

— Rozumiem — rzekł Denison. — A co z moim paszportem?

— Zostanie przekazany urzędnikowi z ambasady. Pański samochód zatrzymamy tutaj w celu przeprowadzenia badań spektrograficznych lakieru. Jeśli nastąpiło przeniesienie odprysków farby z pojazdu na pojazd, będzie to dowodem potwierdzającym pańskie zeznanie. Zresztą, w obecnym stanie samochód i tak nie nadaje się do jazdy; oba kierunkowskazy są rozbite... łamałby pan prawo.

Denison pokiwał głową.

— Jak szybko dotrze tu wysłannik z ambasady?

— Nie mam pojęcia. Może pan poczekać tutaj.

Oficer odszedł.

Denison czekał dwie godziny. Kiedy poskarżył się, że jest głodny, przyniesiono mu tacę z jedzeniem i kawą. I znowu pozostawiono go samemu sobie; nie zjawił się nikt prócz doktora, który przyszedł opatrzyć mu otarcie z lewej strony czoła. Denison mętnie przypominał sobie, że uderzył się o gałąź podczas ucieczki przez las, ale nie poprawiał lekarza, który zakładał, iż stało się to w Spiralen. Tak czy inaczej, lewa strona twarzy Meyricka zebrała niezłe cięgi; lepiej, żeby go teraz fotografowali z prawego profilu.

Nic nie powiedział o ranie w boku. Obejrzał ją szybko, kiedy był sam w biurze. Nóż musiał być ostry jak brzytwa — przeciął płaszcz, marynarkę, sweter i ciało, na szczęście niezbyt głęboko. Biały sweter był czerwony od krwi, ale rana, która wyglądała na czystą, przestała już krwawić, chociaż bolała przy gwałtownych ruchach. Denison zostawił ją w spokoju.

W końcu ktoś przybył — elegancki młody człowiek o świeżej twarzy podszedł do niego z wyciągniętą ręką.

Doktorze Meyrick, jestem George McCready. Przyjechałem wydostać pana z tych tarapatów.

Za McCreadym przyszedł oficer policji, który przyniósł trzecie krzesło i wszyscy razem zabrali się do sporządzenia pisemnego oświadczenia. Policjant chciał, aby było ono znacznie obszerniejsze od zwięzłej deklaracji, tak więc Denison posłusznie opisał wszystko, co zdarzyło się od chwili, gdy wjechał do tunelu na szczycie Bragernesasen. Wcale nie musiał kłamać. Jego pisemne oświadczenie zostało zabrane i przepisane na maszynie w czterech egzemplarzach, które popodpisywał zarówno on sam, jak i McCready jako świadek. McCready znacząco mrugnął do oficera.

— Sądzę, że to już wszystko.

Tamten kiwnął głową.

— Tak, na razie. Może będziemy jeszcze chcieli porozmawiać z doktorem Meyrickiem. Myślę, że będzie osiągalny.

— Oczywiście — odparł niedbale McCready. Odwrócił się do Denisona. — Wracajmy do pańskiego hotelu. Musi pan być zmęczony.

Poszli do samochodu McCready'ego. Gdy ten wyjeżdżał z Drammen, Denison zastanawiał się nad pewną sprawą. Dlaczego McCready tytułował go doktorem? W paszporcie było zwykle „Mr”. Poruszył się niespokojnie i rzekł:

— Jeżeli jedziemy do hotelu, to chciałbym dostać mój paszport z powrotem. Nie lubię się z nim rozstawać.

— Nie jedź pan do hotelu — rzekł McCready. — To było tylko na użytek gliniarza. Zabieram pana do ambasady. Carey przyleciał dziś rano z Londynu i chce się z panem zobaczyć.

Zaśmiał się.

— Ach, jak on chce się z tobą zobaczyć.

Denison poczuł, że wypływa na głębsze wody.

— Carey — powiedział obojętnie, mając nadzieję, że poprowadzi rozmowę w tym kierunku. McCready rzucił nazwisko Careya mimochodem, jakby Meyrick powinien go znać. Kim, do diabła, był Carey?

McCready nie połknął haczyka.

— Pańskie wyjaśnienie nie było całkiem prawdziwe, no nie?

Przez chwilę czekał na odpowiedź, ale Denison milczał.

— Mają świadka... kelnerkę z restauracji na Spiraltoppen, która mówi coś o jakiejś bijatyce. Podobno widziała człowieka z bronią. Policja ma podejrzenia.

Kiedy Denison nie dał się skłonić do rozmowy, McCready zerknął na niego z ukosa i zaśmiał się.

— Nic nie szkodzi, w tych okolicznościach dobrze pan zrobił. Gliniarzom nigdy nie należy mówić o broni, robią się nerwowi. Jednak te okoliczności w ogóle nie powinny zaistnieć. Carey jest cholernie wściekły.

Westchnął.

— Nie mogę powiedzieć, żebym miał mu to za złe.

Denison niczego nie rozumiał, więc uznał, że im mniej powie, tym lepiej. Oparł się wygodniej, odciążając zraniony bok, i rzekł:

— Jestem zmęczony.

— Tak — mruknął McCready. — Tak mi się zdaje.

Denison stał, przestępując z nogi na nogę w poczekalni ambasady, podczas gdy McCready poszedł gdzieś, zapewne złożyć raport. Po piętnastu minutach wrócił.

— Tędy, doktorze Meyrick.

Denison ruszył za nim długim korytarzem, aż McCready zatrzymał się i uprzejmie przytrzymał przed nim drzwi.

— Oczywiście, spotkał pan już Mr Careya.

Siedzącego za biurkiem człowieka można było najtrafniej określić słowem „kwadratowy”. Był wysokim, krępy męczyzną o kanciastej głowie pokrytej krótko ściętą, zmierzwioną, siwą czupryną. Miał szeroki tors i potężne bary oraz wielkie dłonie o grubych palcach.

— Proszę wejść, doktorze Meyrick. Skinął na McCready'ego.

— W porządku, George, zajmij się swoimi sprawami.

McCready zamknął drzwi.

— Niech pan siada, doktorze — rzekł Carey.

To było zaproszenie, nie rozkaz. Denison usiadł w fotelu po drugiej stronie biurka i czekał przez długą chwilę, podczas gdy Carey mierzył go nieprzeniknionym spojrzeniem. Po pewnym czasie Carey westchnął.

— Doktorze Meyrick, proszono pana, żeby nie oddalał się pan od hotelu i trzymał się centrum Oslo. Gdyby chciał pan wybrać się gdzieś dalej, miał pan dać nam znać, żebyśmy mogli poczynić odpowiednie przygotowania. Widzi pan, nie mamy tu armii ludzi.

Podniósł głos.

— Może nie trzeba było pana prosić; może trzeba było kazać. Wydawało się, że z trudem zapanował nad sobą i ściszył głos.

— Tak więc przylatuję dziś rano i dowiaduję się, że pan zaginął, a potem mówią mi, że szukał pan samotności na szczycie góry... Bóg wie, z jakiego powodu.

Podniósł rękę, aby mu nie przerywano. Denison nie miał nic przeciwko temu; i tak nie zamierzał nic mówić.

— W porządku — rzekł Carey. — Znam historyjkę, którą opowiedział pan miejscowym gliniarzom. To dobra improwizacja i może w nią uwierzą, a może nie.

Położył ręce na blacie biurka.

— A teraz... Co naprawdę się zdarzyło?

— Chodziłem tam sobie po lesie — odparł Denison — kiedy nagle, zaatakował mnie jakiś facet.

— Rysopis?

— Wysoki. Szeroki w barach. Trochę podobny do pana, ale młodszy. Ciemnowłosey. Złamany nos. Miał coś w ręce... chciał mnie uderzyć. Sądzę, że to była pałka.

— I co pan zrobił?

— Rozłożyłem go — rzekł Denison.

— Pan go rozłożył — powiedział beznamiętnie Carey.

W oczach miał niedowierzenie.

— Rozłożyłem go — powtórzył spokojnie Denison. I po krótkiej przerwie dodał: — Kiedyś byłem niezłym bokserem.

Carey zmarszczył brwi i zaczął bębnić palcami o biurko.

— A co stało się potem?

— Drugi facet zachodził mnie z tyłu, więc zacząłem uciekać.

— Rozsądnie... przynajmniej wtedy... I co?

— Inny facet zagroził mi drogę.

— Proszę go opisać.

— Raczej niski, około pięciu stóp siedmiu cali wzrostu, ze szurzącą twarzą i długim nosem. Ubrany w dżinsy i granatową dżersejową kurtkę. Miał nóż.

— Miał nóż, tak? — powiedział Carey. — I co pan wtedy zrobił?

— No, ten drugi facet za moimi plecami był już niedaleko, nie miałem czasu do namysłu, więc rzuciłem się na tego żartownisia z nożem i w ostatniej chwili zrobiłem zwód.

— Co takiego?

— Zrobiłem zwód. To takie wyrażenie sportowe oznaczające...

— Wiem, co to oznacza — warknął Carey. — Przypuszczam, że kiedyś był pan też niezłym graczem w rugby?

— Zgadza się — przytaknął Denison.

Carey pochylił głowę i podparł dłonią czoło, tak że zasłonił sobie twarz. Wydawał się tłumić jakieś gwałtowne emocje.

— A co nastąpiło potem? — spytał zduszonym głosem.

— Później dotarłem z powrotem na parking, a tam był następny mężczyzna.

— Następny mężczyzna — rzekł zmęczonym głosem Carey. — Rysopis.

— Niewiele zdążyłem zauważyć. Chyba nosił szary garnitur. Miał broń.

— Roilo się tam od nich, prawda? — zauważył Carey. Wyglądał, jakby się dusił. — I co zrobił pan wtedy?

— Zanim zauważyłem broń, byłem już w samochodzie, więc odjechałem stamtąd jak najszybciej i...

— I odstawił pan Steve'a McQueena w Spiralen, przemknął z rykiem przez Drammen jak pociąg ekspresowy i stuknął gliniarza w dupę.

— Tak — zgodził się Denison. — Można to tak ująć.

— Tak sędzę — rzekł Carey. Milczał chwilę, a potem powiedział: — Pomijając niewiarygodność tego wszystkiego, nadal chciałbym wiedzieć, po co w ogóle udał się pan do Drammen i dlaczego zadał pan sobie trud i przed opuszczeniem Oslo zgubił swój ogon.

— Zgubił ogon... — powtórzył bezmyślnie Denison. — Nie wiedziałem, że jestem śledzony.

— To teraz pan wie. To dla pańskiego bezpieczeństwa. Jednak mój człowiek mówi, że jeszcze nigdy w życiu nie widział równie profesjonalnej roboty. Użył pan wszystkich możliwych sztuczek. Dwukrotnie prawie się panu udało, a za trzecim razem zgubił pan go.

— Nie wiem, o czym pan mówi — rzekł Denison. — Parę razy zmyliłem drogę, to wszystko.

Carey głośno westchnął i podniósł oczy do góry.

— Zmylił pan drogę — sapnął. Głos miał znużony i ponury. — Doktorze Meyrick, czy może mi pan powiedzieć, dlaczego zgubił pan drogę, skoro zna pan to miasto lepiej niż swoje Buckinghamshire? Kiedy jechał pan w zeszłym tygodniu do Drammen, wcale nie wyglądał pan na zagubionego.

Denison postanowił z tym skończyć.

— Pewnie dlatego, że nie jestem doktorem Meyrickiem.

— Co pan powiedział? — wyszeptał Carey.

Denison opowiedział wszystko. Kiedy skończył, na twarzy Careya malowało się zmieszanie i udręka. Wysłuchał wszystkiego, co mu powiedział Denison, ale nie skomentował tego ani jednym słowem; zamiast tego podniósł słuchawkę, wykręcił numer i rzekł:

— George? Poproś Iana, żeby tu wpadł na chwilę.

Usiadł za biurkiem i poklepał Denisona po ramieniu.

— Mam nadzieję, że zechce pan poczekać parę minut.

Ruszył na spotkanie wchodzącego właśnie mężczyzny, z którym zamienił szeptem kilka słów, po czym opuścił pokój.

Zamknął drzwi z drugiej strony i przez chwilę stał pogrążony w myślach, a potem z irytacją potrząsnął głową i wszedł do biura McCready'ego. Ten podniósł wzrok, zobaczył wyraz twarzy Careya i zapytał:

— O co chodzi?

— Nasz facet zapodział gdzieś swoją piątą klepkę — warknął Carey. — O to chodzi. Zaczął od opowiadania bohaterских historyjek, ale potem było jeszcze gorzej... o wiele gorzej.

— Co mówił?

Carey opowiedział mu wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Dziesięć minut później zakończył:

— Pomijając ten stek bzdur o tajemniczych napastnikach, na szczycie Spiralen zdarzyło się coś, co strąciło Meyricka z jego grzędy.

Potał czoło.

— Kiedy wciskają nam tych jajogłowych, można by oczekiwać, że najpierw badają ich równowagę psychiczną. Teraz potrzebujemy alienisty.

McCready powstrzymał uśmiech.

— Czy to nie nazbyt staroświeckie określenie?

Carey obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

— Staroświeckie i odpowiednie. — Wskazał palcem na ścianę pokoju. — Ten... ten tam nie ma w sobie nic ludzkiego. Mówię ci, skóra mi cierpła, kiedy słuchałem tego, co mówi.

— A więc nie ma żadnej szansy, że on ma rację, co? — spytał nieśmiało McCready.

— Żadnej. Siedziałem przed Meyrickiem podczas pierwszej odprawy w Londynie

przez dwa cholerne dni, aż zacząłem nienawidzić tę tłustą gębę. To Meyrick, nie ma wątpliwości.

— Jest jedna rzecz, która mnie dziwi — rzekł McCready. — Kiedy byłem z nim na posterunku policji w Drammen, nie powiedział ani słowa po norwesku, a o ile wiem, zna ten język.

— Mówi nim płynnie — potwierdził Carey.

— A jednak mówiono mi, że pierwsze, co powiedział, to że nie zna norweskiego.

— Rany boskie! — wykrzyknął Carey. — Znasz jego życiorys. Urodził się w Finlandii i mieszkał tam aż do ukończenia siedemnastu lat, kiedy przeprowadził się tu, do Oslo. Kiedy miał dwadzieścia cztery lata, przeniósł się do Anglii, gdzie mieszka do dziś. Przez dwadzieścia dwa lata. Nie widział piłki do rugby przed przybyciem do Anglii, a przestudiowałem jego akta dokładnie i wiem, że nigdy w życiu nie boksował.

— Zatem to wszystko pasuje do jego historii, iż nie jest Meyrickiem.

McCready zastanowił się i dodał:

— Jakaś kelnerka ze Spiraltoppen mówiła, że widziała broń.

— Histeryczka — prychnął Carey. — Zaczekaj, czy mówiłaś o tym Meyrickowi?

— Wspomniałem.

— To się zgadza — rzekł Carey. — Wiesz co, wcale nie zdziwiłbym się, gdyby historyjka, którą Meyrick opowiedział policji, była najszczerzą prawdą. Kilku szczeniaków, którzy wybrali się na przejażdżkę skradzionym samochodem, dało mu popalić i pomieszało mu się we łbie.

— A broń?

— To ty mu powiedziałaś o broni. Uczepił się tego i ułożył sobie śliczną bajeczkę, dodając kilka szczegółików, takich jak nóż i pałka. Myślę, że w Spiralen poczuł się tak cholernie bezradny, że wymyślił historyjkę podtrzymującą jego poczucie wyższości. Podczas odprawy uznałem go za aroganckiego drania, całkowicie przekonanego o tym, że góruje nad nami, zwykłymi śmiertelnikami. Jednak w Spiralen nie było widać tej wyższości, co?

— Interesująca teoria — przyznał McCready. — Byłby z ciebie dobry psychiatra, gdyby nie jedno. Jesteś pozbawiony empatii.

— Nie znoszę tego faceta — oświadczył bez ogródek Carey. — Jest rozpuszczonym, nadętym, wyniosłym skurwysynem, który uważa, że słońce świeci mu z dupy. Pan Wszystkowiedek we własnej osobie, i w dodatku cholernie napuszony.

Wzruszył ramionami.

— Jednak nie wybieram sobie ludzi, z którymi pracuję. Nie za to mi płacą.

— Mówisz, że jak on siebie nazywa?

— Giles Denison z Hampstead. Hampstead, Jezu Chryste!

— Zaraz wracam — bąknął McCready i opuścił pokój.

Carey szarpnięciem poluzował krawat i usiadł, gryząc kciuk. Podniósł wzrok, gdy McCready wrócił, niosąc jakąś książkę.

— Co tam masz?

— Książkę telefoniczną Londynu.

— Daj mi ją — rzekł Carey i złapał spis. — Zobaczmy... Dennis, Dennis, Dennis... Dennison. Jest tu jakiś George i dwóch innych o imieniu na „G”, ale żaden nie mieszka w Hampstead.

Zadowolony z siebie, zamknął książkę.

McCready wziął ją od niego i przerzucił strony. Po minucie powiedział:

— Denison, Giles... Hampstead. Jego nazwisko pisze się przez jedno „n”.

— Och, Chryste! — jęknął Carey zgębiony. Jednak zaraz doszedł do siebie. — To nie ma znaczenia. Wybrał nazwisko kogoś, kogo zna. Może chłopaka swojej córki.

— Może — odparł niezachęcająco McCready.

Carey zabębnił palcami po biurku.

— Głowę dałbym, że to Meyrick; przecież to śmieszne. Nagle przestał bębnić.

— Mrs Hansen — powiedział. — Była bliżej niego niż ktokolwiek inny. Czy miała coś do powiedzenia?

— Zeszłej nocy zameldowała, że spotkała się z nim. Rano nie stawił się na umówione spotkanie, a później wytłumaczył się, że jest chory. Mówił, że cały ranek był w łóżku.

— A był?

— Tak.

— Czy zauważyła coś... coś dziwnego lub niezwykłego?

— Tylko to, że był przeziębiony i przestał palić. Powiedział, że papierosy smakują jak siano.

Carey, namiętny fajczarz, mruknął:

— Mnie też tak smakują, nawet jak nie jestem przeziębiony. Jednak rozpoznał ją.

— Wypili drinka i porozmawiali — mówiła, że o moralności i religii.

— Pasuje — rzekł Carey. — Meyrick jest gotowy rozprawiać o wszystkim przy każdej okazji, obojętnie czy się na tym zna, czy nie. Potarł podbródek i przyznał niechętnie:

— Chociaż zazwyczaj mówi do rzeczy, ma łeb nie od parady. Nie, to jest Meyrick, a Meyrick jest podszyty tchórzem, dlatego musimy go obstawiać podczas tej operacji. Czy naprawdę myślisz, że Meyrick stawiałby czoło czterem facetom z pistoletami, nożami i pałkami? Ten gość z trudem zdołałby zbić jajko. Postradał ten swój mały, naukowy rozumek, a ta bajeczka o scenach przemocy ma ocalić jego cenne poczucie wyższości, jak już powiedziałem.

— A co z operacją?

— O ile chodzi o Meyricka, operacja zostaje zdecydowanie odwołana — rzekł stanowczo Carey. — A w tej chwili nie mam pojęcia, jak można by ją przeprowadzić bez niego. Zadzwoń w tej sprawie do Londynu, tylko jeszcze raz z nim porozmawiam.

Urwał.

— Lepiej chodź ze mną, George. Będę potrzebował świadka, inaczej ci w Londynie uznają mnie za świra.

Wyszli z biura i poszli korytarzem. Przed pokojem, w którym zostawiono Meyricka, Carey położył rękę na ramieniu kolegi.

— Trzymaj się blisko, George. On może wpaść w szal.

Zastali Meyricka nadal pogrążonego w ponurym milczeniu przy biurku, ignorującego siedzącego naprzeciw człowieka, znanego mu jedynie jako Ian. Ten spojrzał na Careya i wymownie wzruszył ramionami.

Carey zrobił krok naprzód.

— Doktorze Meyrick, przykro mi, ale...

— Nazywam się Denison. Mówiłem panu — padła chłodna odpowiedź.

Carey przemówił łagodniej.

— W porządku, panie Denison, jeśli tak pan chce. Naprawdę uważam, że powinien zbadać pana lekarz. Zaraz to załatwię.

— Najwyższy czas — odparł Denison. — To boli jak cholera.

— Co?

Denison wyciągał sweter ze spodni.

— Ta przeklęta rana od noża. Proszę spojrzeć.

Carey i McCready nachylili się i spojrzeli na długą, ciętą ranę na jego boku. Carey ocenił, że będzie trzeba szesnastu szwów, żeby ją zaszyć.

Obaj jednocześnie podnieśli głowy i spojrzeli po sobie, tknięci okropnym podejrzeniem.

Carey niestrudzenie krążył po biurze McCready'ego. Krawat miał przekrzywiony, a gdyby nie miał krótko przystrzyżonych włosów, zmierzwiłby je całkowicie, tak często drapał się po głowie.

— Nadal w to nie wierzę — rzekł. — Cholera, to zbyt nieprawdopodobne.

Odwrócił się do kolegi.

— George, założmy, że poszedłbyś spać tu, w Oslo, i obudziłbyś się jutro, powiedzmy... w nowojorskim hotelu, mając czyjąś twarz. Jak byś zareagował?

— Myślę, że zwariowałbym — odparł trzeźwo McCready. Uśmiechnął się lekko. — Gdybym obudził się z twoją twarzą, na pewno bym zwariował.

Carey zignorował żart.

— Jednak Denison nie zwariował — mruknął w zadumie. — Zważywszy okoliczności, zachował nadzwyczajny spokój ducha.

— Jeżeli naprawdę jest Denisonem — napomknął McCready. — Może to Meyrick i kompletny wariat.

Carey wściekł się.

— Na rany boskie! Przez cały czas upierasz się, że to Denison, teraz nagle zmieniasz front i mówisz, że on może być Meyrickiem!

McCready zmierzył go chłodnym spojrzeniem.

— Rola advocatus diaboli bardzo mi pasuje, nie uważasz?

Postukał palcem w biurko.

— Tak czy owak, operację diabli wzięli. Carey ciężko opadł na krzesło.

— Oczywiście, masz rację. Jednak jeśli ten człowiek istotnie jest Denisonem, to musimy znaleźć odpowiedzi na wiele pytań. Po pierwsze, co z nim, do diabła, zrobimy?

— Nie możemy go tu trzymać — odparł McCready. — Z tego samego powodu, dla którego nie trzymaliśmy tu Meyricka. Ambasada jest jak akwarium

Carey przechylił głowę w bok.

— Przebywa tu ponad dwie godziny. To prawie normalne w przypadku obywatela, którego magluje się w sprawie poważnego naruszenia przepisów ruchu drogowego. Sugerujesz, żeby odesłać go do hotelu?

— Pod nadzorem — uśmiechnął się McCready. — Mówi, że umówił się z pewną rudowłosą na obiad.

— Mrs Hansen — pojął Carey. — Czy on o niej wie?

— Nie.

— Niech tak zostanie. Ona ma się trzymać blisko niego. Zapoznaj ją z sytuacją i poproś, żeby go strzegła przed kłopotami. Mógłby wdepnąć w jakieś dziwne sytuacje. I pogadaj z nim jak dobry wujaszek. Postraszyć go ogniem piekielnym, żeby został w hotelu. Nie chcę, aby wałęsał się po całej okolicy.

Carey wyjął kartkę papieru i zaczął po niej bazgrać.

— Po drugie, potrzebujemy lekarzy. Oblaskawionych, którzy będą zadawać tylko takie pytania, jakie pozwolimy im zadać. Chirurg plastyczny i — tu uśmiechnął się blado do McCready'ego — psychiatra. Musimy mieć pewność.

— Nie możemy czekać, aż się zjawią.

— Zgoda. Będziemy działać przy założeniu, że istotnie dokonano podstawienia, że ten człowiek jest Denisonem. Wiemy, kiedy dokonano zamiany: wczoraj, wcześnie rano. Przemycono go... Jak?

— Na noszach, musiał być nieprzytomny.

— Racja! — powiedział Carey. — Transport pacjenta ze szpitala do szpitala pod nadzorem wykwalifikowanej pielęgniarki i prawdopodobnie lekarza. Wzięli pokój na tym samym piętrze co Meyrick. Dokonali zamiany i wczoraj rano zabrali Meyricka — zapewne karetką podstawioną pod tylne wejście, po uzgodnieniu z personelem hotelu. Hotelarze nie lubią paradowania z noszami przez główny hol.

— Dojdę do tego — rzekł McCready. Może dobrze będzie sprawdzić wszystkich ludzi, którzy zameldowali się poprzedniego dnia, niezależnie od piętra, na którym wynajęli pokój. Nie wydaje mi się, żeby to była robota dla dwóch ludzi.

— Mnie też. Sprawdź też przybyłych i wyjeżdżających w ciągu ostatniego tygodnia... Ktoś musiał obserwować Meyricka od dłuższego czasu.

— To piekielnie dużo roboty — wyraził swe zastrzeżenia McCready. — Czy wciągamy do współpracy Norwegów?

Carey zastanowił się.

— Na razie nie. Trzymamy karty przy orderach.

Na myśl o długotrwałej i żmudnej pracy, jaką będzie musiał wykonać, McCready'emu wydłużyła się twarz. Carey odchylił się w tył wraz z krzesłem.

— Trzeba również sprawdzić to z innej strony, w Londynie. Dlaczego właśnie Giles Denison z Hampstead?

Jego krzesło opadło z łoskotem.

— Czy nie uderzyło cię, że Denison w pewnych sprawach był bardzo lakoniczny?
McCready wzruszył ramionami.

— Niewiele z nim rozmawiałem.

— Popatrz — rzekł Carey. — Mamy tu człowieka, który znalazł się w cholernie paskudnej sytuacji. Otrząsnąwszy się z pierwszego szoku, nie tylko zdołał wyprowadzić w pole Mrs Hansen, ale był na tyle sprytny, że zadzwonił do domu Meyricka. Ale dlaczego tylko do Meyricka? Dlaczego nie sprawdził siebie?

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Carey westchnął.

— Jakiś Giles Denison zniknął z Hampstead. Na pewno ktoś go szuka! Nawet jeśli Denison jest niezonatym sierotą, to musi mieć znajomych... i pracę. Czemu nie zadzwonił, żeby uspokoić ich, że nic mu nie jest, jeszcze żyje i dobrze bawi się w Oslo?

— Nie przyszło mi to do głowy — przyznał McCready. — To przemawia za tym, że jednak jest Meyrickiem. Cierpiącym na omamy i nie potrafiącym się ich pozbyć.

Carey z przygnębieniem skinął głową.

— Dowiedziałem się od niego tylko tyle, że jest Gilesem Denisonem z Hampstead, nic więcej.

— Dlaczego nie przycisnąć go teraz? — zaproponował McCready. Carey zastanowił się nad tym i potrzęsął głową.

— Nie, zostawię to psychiatrze. Jeśli to naprawdę Meyrick, takie pytania mogą zupełnie pomieszać mu w głowie.

Znów przysunął sobie notatnik.

— Każemy komuś sprawdzić Gilesa Denisona w Hampstead i zobaczymy, co znajdzie.

Wyrwał kartkę.

— No, bierzmy się do roboty. Chcę, żeby te depesze zostały natychmiast wysłane do Londynu, najwyższy priorytet i stopień kodowania. Chcę jak najszybciej mieć tu tych konowałów.

Giles Denison zamieszał swoją kawę i uśmiechnął się do siedzącej po drugiej stronie stołu Diany Hansen. Ten uśmiech nie zgasł, co było sporym osiągnięciem, ponieważ właśnie w tej chwili, jak grom z jasnego nieba, uderzyła go nagła myśl, od której aż ścisnęło go w żołądku. Czy ta siedząca przed nim rozkoszna Diana Hansen była kochanką Meyricka?

Ta myśl sprawiła, że stanął przed dylematem. Czy powinien się do niej dobrać, czy nie? Cokolwiek zrobi — lub nie zrobi — ma pięćdziesiąt procent szans na popełnienie błędu. Ta niepewność popsuła mu wieczór, który do tej pory był relaksujący i miły.

Został odwieziony samochodem ambasady z powrotem do hotelu, wysłuchawszy uprzednio przemowy George'a McCready'ego, który poważnie ostrzegł go przed konsekwencjami niestosowania się do wskazówek.

— Chyba już się pan zorientował, że wpakowano pana w jakąś dziwną aferę — powiedział McCready. — Robimy, co możemy, żeby wszystko wyjaśnić, ale przez następne kilka dni lepiej niech pan zostanie w hotelu.

I poparł to znaczącym pytaniem:

— Jak tam pański bok?

— Lepiej — odparł Denison. — Jednak przydałby mi się lekarz. Opatrzył go George McCready, korzystając z podręcznej apteczki, z wprawą zdradzającą, że rany od noża nie były dla niego czymś nowym.

— Sprowadzimy lekarza — zapewnił go McCready. — Jutro.

— Umówiłem się na kolację — powiedział Denison. — Z tą rudowłosą, o której wam mówiłem. Co mam robić? Jeżeli ona będzie zachowywać się tak jak wczoraj, na pewno sypnę się na czymś.

— Nie sędzę — odparł z przekonaniem McCready.

— Rany boskie! Nawet nie znam jej nazwiska.

McCready poklepał go po ramieniu i powiedział uspokajająco:

— Poradzi pan sobie.

Denison był rozżalony.

— Bardzo dobrze, że chcecie, abym nadal był Meyrickiem, ale przecież coś powinniście mi powiedzieć. Na przykład, kim on jest?

— Wszystko wyjaśni się jutro — rzekł McCready mając nadzieję, że się nie myli. —

Na razie niech pan wróci do hotelu jak grzeczny chłopiec i nie opuszcza go, dopóki nie zadzwonię. Niech pan spokojnie idzie na kolację z... ze swoją rudowłosą, a potem do łóżka.

Denison spróbował jeszcze raz.

— Jest pan z wywiadu czy czegoś takiego? Jest pan szpiegiem?

Jednak McCready nie odpowiedział na to pytanie.

Tak więc odwieziono Denisona do hotelu i nie minęło dziesięć minut od chwili, gdy znalazł się w swoim pokoju, jak zadzwonił telefon. Spojrzał czujnie na aparat i pozwolił mu zadzwonić kilka razy, zanim wyciągnął rękę, jakby chwycił węża.

— Tak? — powiedział z rezerwą.

— Tu Diana.

— Kto? — spytał ostrożnie.

— Diana Hansen, a ktośby inny? Umówiliśmy się na kolację, pamiętasz? Jak się czujesz?

Znów dosłyszał słaby amerykański akcent ukryty za poprawną angielszczyzną.

— Lepiej — rzekł, myśląc, że to bardzo miło z jej strony, iż podała mu swoje nazwisko.

— Cieszę się — powiedziała ciepło. — Czy czujesz się na tyle dobrze, żeby pójść na kolację?

— Tak sądzę.

— Mhm — mruknęła z powątpiewaniem. — Jednak wydaje mi się, że jeszcze nie powinieneś wychodzić; wieje dość zimny wiatr. Może zjemy w hotelowej restauracji?

Jeszcze lepiej; właśnie sam miał to zaproponować. Powiedział z większym przekonaniem:

— To byłoby świetnie.

— Spotkamy się w barze o wpół do ósmej.

— Dobrze.

Wyłączyła się i Denison powoli odłożył słuchawkę. Miał nadzieję, iż McCready ma rację, że zdoła zręcznie poprowadzić rozmowę z tą kobietą, uchodząc za Meyricka. Usiadł w fotelu i skrzywił się, gdy ostro zakłuło go w boku. Wstrzymał oddech, aż ból zelżał, a potem rozluźnił mięśnie i spojrział na zegarek. Wpół do szóstej. Miał jeszcze dwie godziny do spotkania z tą Hansen.

Co za galimatias! Co za cholerny bałagan! Zagubiony za twarzą innego mężczyzny najwidoczniej wpadł w sam środek jakiejś afery, w którą wmieszany był brytyjski

rząd. Ten facet, Carey, był cholernie protekcyjny, gdy słuchał o tym, co wydarzyło się na szczycie Spiralen, i nawet nie starał się ukryć niedowierzania. I właśnie to, bardziej niż jakikolwiek inny powód, skłoniło Denisona do wyjawienia, kim jest. Z pewnością udało mu się zetrzeć uśmiech z twarzy Careya.

Tylko kim był Carey? Zacznijmy od tego, że najwidoczniej był szefem McCready'ego – ale to do niczego nie prowadziło, bo kim był McCready? Pracownikiem jakiejś sekcji ambasady brytyjskiej w Oslo, zajmującym się czym? Stosunkami handlowymi? Raczej mało prawdopodobne.

Carey wyraźnie powiedział, że ostrzegano Meyricka, aby nie opuszczał hotelu. Sądząc po tym, co zdarzyło się na Spiralen, ostrzeżenie było uzasadnione. Jednak kim, do licha, był Meyrick, że był tak ważny? Człowiek z tytułem doktora, a może profesora, określony w paszporcie jako urzędnik państwowy.

Denisona znów zaczęła boleć głowa. Chryste! – pomyślał. – Byłbym cholernie zadowolony, mogąc wrócić do Hampstead, do mojej pracy i ludzi, których...

Myśl urwała się, pozostawiając całkowitą pustkę, i Denisona ścisnęło w żołądku. W myślach zaniósł się przeraźliwym zawodem. – Boże pomóż! – krzyknął w duchu, gdy zrozumiał, że w mózgu ma pustkę, że nie wie, na czym polega jego praca, że nie potrafi przypomnieć sobie nazwiska żadnego przyjaciela czy znajomego, i że wszystko, co o sobie wie, to to, że jest Gilesem Denisonem z Hampstead.

Dławiło go w gardle. Z trudem podniósł się i chwiejnie poszedł do łazienki, gdzie gwałtownie zwymiotował. I znów słyszał w myślach uporczywy refren: JSTEM GILESEM DENISONEM. Jednak nic poza tym – żadnej więzi z poprzednim życiem.

Wyszedł z łazienki i położył się na łóżku, spoglądając w sufit. Musisz sobie przypomnieć! – powtarzał. – Musisz! Ale pamięć nie podsuwała mu niczego – tylko Gilesa Denisona z Hampstead i niewyraźne wspomnienie jakiegoś domu.

Myśl!

Blizna na łydce – to pamiętał. Widział, jak siedzi na małym dzieciennym rowerku, zjeżdżając zbyt szybko ze wzgórza, i nieunikniony upadek na dole – a potem łzy i pocieszenia matki. Pamiętam to, powiedział sobie z triumfem.

Co jeszcze? Beth – pamiętał Beth, która była jego żoną, ale umarła. Ile lat temu to było? Trzy lata. A potem była whisky, za dużo whisky. Przypominał sobie whisky.

Denison leżał na łóżku i starał się przywołać odporne wspomnienia. Krople potu wystąpiły mu na czoło, zacisnął pięści, wbijając paznokcie w ciało.

Wreszcie przypomniał sobie coś jeszcze. Wrócił z Edynburga siedemnastego

czerwca, ale co tam robił? Pracował, oczywiście, ale na czym polegała ta praca? Mimo usilnych starań nie mógł przeniknąć gęstej mgły, która kłębiła mu się pod czaszką.

Po południu osiemnastego czerwca grał w golfa. Z kim? Oczywiście, człowiek może rozegrać partię golfa sam ze sobą, a także sam pójść do kina i samotnie zjeść obiad w Soho, ale niepodobna, żeby zapomniał wszystkie szczegóły. Gdzie grał w golfa? Do którego kina poszedł? Do której restauracji w Soho?

W nagłym przebłysku świadomości poraziła go nowa myśl, tak wyraźna, że niewątpliwie była prawdą: Przecież ja nigdy w życiu nie grałem w golfa!

Wszystko zawirowało mu w głowie i zapadł w niosący ulgę sen.

Denison wkroczył do baru za piętnaście ósma i zobaczył przy jednym ze stolików kobietę przedstawiającą się jako Diana Hansen. Podszedł do niej i powiedział:

— Przepraszam za spóźnienie. Uśmiechnęła się i odparła łagodnie:

— Już zaczęłam myśleć, że znowu nie stawisz się na spotkanie.

Usiadł.

— Zaspąłem.

— Jesteś blady. Dobrze się czujesz?

— Nic mi nie jest.

Dręczyło go jakieś podświadome wspomnienie; coś się stało tuż przed tym, zanim zapadł w sen. Wzdrygał się przed analizowaniem tego wrażenia, ponieważ budziło w nim przeraźliwy lęk. Zadrzał.

— Zimno? — zapytała współczująco.

— Nic, czego nie uleczyłby porządny drink.

Skinął na przechodzącego kelnera i pytająco unosząc brwi, spojrzął na towarzyszkę.

— Proszę wytrawne martini.

Odwrócił się do czekającego kelnera.

— Wytrawne martini i... Czy macie tu szkocką na słodzie?

Zazwyczaj kupował najtańszą, jaką mógł znaleźć w tanich supermarketach, lecz dysponując pieniędzmi Meyricka mógł sobie pozwolić na najlepszą.

— Tak, sir. Glenfiddich?

— Bardzo dobrze. Dziękuję.

Diana Hansen powiedziała:

— Może bardziej przydałoby ci się coś do jedzenia. Jadłeś coś dzisiaj?

— Niewiele.

Tylko posiłek na posterunku policji w Drammen, zjedzony raczej dla kalorii niż dla przyjemności.

— Ach wy, mężczyźni! — powiedziała z grymasem. — Jeśli was zostawić samym sobie, jesteście jak dzieci. Poczujesz się lepiej, gdy zjesz kolację.

Odchylił się na krzesło.

— Słuchaj — jak dawno się znamy, Diano?

Uśmiechnęła się.

— Liczysz dni, Harry? Prawie trzy tygodnie.

A więc poznał ją — a raczej Meyrick poznał ją — w Oslo.

— Właśnie próbuję stwierdzić, ile trzeba czasu, żeby obudzić w kobiecie macierzyńskie uczucia. Widzę, że wystarczą niecałe trzy tygodnie.

— Czy tak właśnie pracuje umysł naukowca?

— Na przykład tak.

Czy to miało jakieś znaczenie? Czy doktor Meyrick był naukowcem — rządowym ekspertem?

Spojrzała na drugi koniec sali i wydawało się, że lekko spochmurniała.

— Widzę Jacka Kiddera i jego żonę.

Denison odczekał chwilę i odwrócił się.

— Och! Gdzie?

— Właśnie wchodzą.

Wyciągnęła rękę i przykryła nią jego dłoń.

— Czy chcesz, żeby cię niepokoił? On jest trochę nudny, naprawdę. Denison spojrzał na wysokiego, tęgiego mężczyznę, któremu towarzyszyła mała kobietka. Diana Hansen wymieniła nazwisko Jacka Kiddera, kiedy wpadł na nią przed księgarnią. Jeżeli nie miała ochoty zadawać się z Kidderami, to jemu to jak najbardziej odpowiadało — i tak miał już za dużo na głowie.

— Masz rację — powiedział. — Nie sądzę, żebym dziś wieczór mógł ścierpieć towarzystwo nudziarza.

Zaśmiała się.

— Dzięki za komplement, chociaż zawoalowany. Taktownie splawię go, jeśli do nas podejdziesz.

Westchnęła teatralnie.

— Jednak jeśli znów wygłosi ten swój przeklęty slogan, to zacznę krzyczeć.

— Jaki?

— Musiałeś go słyszeć. Zawsze go mówi, kiedy opowiada jeden z tych swoich okropnych dowcipów. „Znacie mnie — Kidder z nazwiska i z charakteru”¹ — powiedziała, zabawnie przedrzeźniając amerykański akcent.

— Jack był zawsze duszą towarzystwa — rzekł sucho Denison.

— Nie wiem, jak Lucy z nim wytrzyma. Skoro mówi się o mężu pantoflarza, to taką żonę można chyba nazwać pantoflarką?

Denison wyszczerzył zęby w uśmiechu.

¹ Kidder po angielsku znaczy: łobuz (przyp. tłum.)

— To brzmi okropnie.

Diana Hansen bardzo ułatwiła mu sprawę. Właśnie podała zwięzłą charakterystykę Kidderów, włącznie z imionami i temperamentem. Nie zrobiłaby tego lepiej, nawet gdyby robiła to świadomie.

Kelner postawił drinki na stole i Denison stwierdził, że dostał whisky z lodem, co było bezczeszczeniem dobrej szkockiej. Nie miał ochoty robić z tego powodu awantury, więc podniósł szklaneczkę. Skal! Sącząc whisky pomyślał, że to jego pierwszy kieliszek, od kiedy przeistoczył się w Meyricka.

Poczuł na języku znajomy smak, wyzwalający falę wspomnień, które cisnęły się do głowy, pozostając jednak na skraju świadomości. Z tymi wspomnieniami, mimo iż podświadomymi, nadszedł strach i przerażenie, od których serce załomotało mu w piersi. Pospiesznie odstawił szklaneczkę czując, że jest bliski paniki.

Diana Hansen spojrzała na jego drżące palce.

— O co chodzi, Harry?

Denison opanował się.

— Wydaje mi się jednak, że whisky to niedobry pomysł. Właśnie przypomniałem sobie, że jestem nafaszerowany proszkami.

Udało mu się uśmiechnąć.

— Jeśli mną potrząsniesz, zacznę grzechotać. Nie wydaje mi się, żeby można je popić alkoholem.

Odstawiła kieliszek.

— Zatem chodźmy na kolację, zanim dopadną nas Kidderowie.

Wstała i wzięła ze stołu torebkę. Denison podniósł się i razem ruszyli do wyjścia, ale zaraz obróciła do niego głowę i mruknęła:

— Obawiam się, że jest za późno.

Kidder też wstał, jego wielkie cielsko blokowało przejście.

— Hej, Lucy, spójrz kto tu jest! To Diana i Harry.

— Cześć, Jack — rzekł Denison. — Jak minął dzień?

— Byliśmy na Holmenkollen, no wiesz, na tej wielkiej skoczni, którą widać z każdego miejsca w mieście. Jest naprawdę spora, kiedy się do niej podejdzie. Możesz sobie wyobrazić, że używają jej tylko raz w roku?

— Nie mogę — odparł łagodnie Denison.

Lucy Kidder powiedziała:

— I poszliśmy też do Henie-Onstad Art Centre.

— Taak, sztuka nowoczesna — rzekł lekceważąco Kidder. — Harry, czy ty rozumiesz choć trochę tego Jacksona Pollocka?

— Nie bardzo — przyznał Denison.

Kidder zwrócił się do żony.

— A poza tym, do licha, czy przyjechaliśmy do Norwegii po to, żeby oglądać amerykańskiego artystę?

— On jest znany na całym świecie, Jack. Czy nie jesteś z tego dumny?

— Tak sędzę — rzekł ponuro. — Jednak miejscowi nie są wcale lepsi. Weźmy tego gościa o nazwisku przypominającym potrawę.

Wszyscy spojrzeli na niego pustym wzrokiem, a Kidder niecierpliwie pstryknął palcami.

— Wiecie, o kim mówię, ten miejscowy pacykarz, którego oglądaliśmy wczoraj.

Lucy Kidder westchnęła.

— Edvard Munch — podpowiedziała z rezygnacją.

— O właśnie! Dla mnie zbyt ponury, chociaż na jego obrazkach przynajmniej widać ludzi.

Diana wtrąciła się szybko.

— Harry ostatnio nie czuje się najlepiej. Zabieram go na wczesną kolację, a potem wyślę do łóżka.

— O rany, to okropnie — rzekł Kidder. Zdawał się mówić szczerze.

— Ostatnio jest tu masę zachorowań na tę dwudniową gripę — powiedziała jego żona. — Może mieć paskudny przebieg. Uważaj na siebie, słyszysz?

— Nie sędzę, żeby to było coś poważnego — odparł Denison.

— Jednak lepiej już chodźmy na tę kolację — powiedziała Diana. — Harry cały dzień nic nie jadł.

— Jasne — przytaknął Kidder, usuwając się z przejścia. — Mam nadzieję, że szybko ci przejdzie. Zaopiekuj się nim, Dianko.

Przy kolacji rozmawiali na tematy ogólne, ku wielkiej uldze Denisona, który zdołał bez większego wysiłku prowadzić rozmowę. Nie miał żadnych problemów do chwili, gdy podano kawę i znów przyszła mu do głowy ta niepokojąca myśl o ewentualnym związku między Dianą a Meyrickiem. Spojrzał na nią badawczo i zastanawiał się, co robić. O ile wiedział, Meyrick był starym kozłem.

Nadal uśmiechał się i machinalnie mieszał swoją kawę. Do stolika podszedł kelner.

— Mrs Hansen?

Diana obejrzała się.

— Tak.

— Telefon.

— Dziękuję.

Spojrzała przepaszająco na Denisona.

— Powiedziałam komuś, że tu będę. Mogę cię przeprosić?

— Oczywiście.

Wstała i opuściła restaurację, udając się do holu. Patrzył za nią, aż zniknęła mu z oczu, a potem przestał mieszać kawę i ze szczękiem położył łyżeczkę na spodeczku. W zadumie spojrzał na torebkę po drugiej stronie stolika.

Mrs Hansen! Chętnie dowiedziałby się o niej czegoś więcej. Powoli wyciągnął rękę i podniósł dziwnie ciężką torebkę. Trzymając ją na kolanach, pod blatem stołu, otworzył zatrask i pochyliwszy głowę zajrzał do środka.

Kiedy Diana wróciła, torebka leżała z powrotem na swoim miejscu. Diana usiadła, otworzyła ją i wyjęła paczkę papierosów.

— Nadal nie palisz, Harry?

Potrząsnął głową.

— Wciąż mi nie smakują.

Niedługo potem podpisał rachunek i wyszli do holu, gdzie rozstali się — on, aby pójść do łóżka, a ona, aby udać się do swojego miejsca zamieszkania. Zdecydował, że nie będzie zalecał się do Mrs Diany Hansen, ponieważ było wysoce nieprawdopodobne, by doktor Harold Feltham Meyrick miał romans z kobietą, która nosiła broń — nawet jeśli był to tylko mały pistolet.

Następny dzień był nudny. Denison zastosował się do wskazówek i został w hotelu, czekając na wiadomość od McCready'ego. Zjadł śniadanie w swoim pokoju i zamówił angielskie gazety. Nic się nie zmieniło — wiadomości były równie złe jak zawsze.

Późnym rankiem opuścił pokój, pozwalając pokojowej zrobić swoją robotę, zszedł do holu, gdzie przy kontuarze recepcji zobaczył Kidderów. Cofnął się i z przesadnym zainteresowaniem oglądał gablotę pełną norweskiego srebra, podczas gdy Kidder głośno dyskutował o różnych rodzajach wycieczek autokarowych. W końcu tamci wyszli z hotelu i Denison mógł spokojnie porzucić gablotki.

Odkrył, że do księgarni na rogu ulicy prowadziło wygodne przejście wewnątrz hotelu, więc skorzystał z niego i kupił stertę angielskich książek, które zabrał do pokoju. Przez resztę dnia czytał książkę po książce, dając odpocząć umysłowi. Z dziwną niechęcią wracał myślą do swojego niemiłego położenia, lecz w pewnej chwili, gdy odkładał kolejną lekturę i spróbował myśleć logicznie, nie zdołał się skupić i poczuł przyływ obezwładniającego przerażenia. Kiedy znów wziął książkę do ręki, bolała go głowa.

Do dziesiątej wieczór nikt nie nawiązał z nim kontaktu i zaczął zastanawiać się, czy nie zadzwonić do ambasady, by zapytać o McCready'ego, lecz dziwna niechęć do myślenia sparaliżowała również chęć działania i nie mógł się zdecydować. Przez chwilę spoglądał na telefon, a potem powoli rozebrał się i położył do łóżka.

Już prawie zasypiał, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Usiadł i nasłuchiwał; po chwili ktoś zapukał ponownie — cicho, dwa razy. Denison zapalił światło i włożył szlafrok Meyricka, po czym poszedł otworzyć. McCready szybko wszedł do środka i zamknął drzwi za sobą.

— Jest pan gotów zobaczyć się z lekarzem?

Denison zmarszczył brwi.

— O tej porze?

— Czemu nie? — spytał beztróska McCready.

Denison westchnął. Jeszcze jedna zagadka. Sięgnął po bieliznę i zdjął szlafrok. McCready dotknął piżamy, która leżała starannie złożona na walizce.

— Nie śpi pan w tym?

— Meyrick spał — odparł Denison, siadając na skraju łóżka, żeby założyć skarpetki.

— Ja nie.

— Och! — McCready w zamyśleniu pociągnął się za ucho. Kiedy Denison wziął marynarkę, odwrócił się do McCready'ego.

— Jest coś, co chyba powinien pan wiedzieć. Diana Hansen nosi...

— Kto? — spytał McCready.

— Rudowłosa, którą zabrałem na kolację, ona nazywa się Diana Hansen. Nosi broń. McCready zeszywniał.

— Naprawdę? Skąd pan to wie?

— Zajrzałem do jej torebki.

— Jest pan bardzo przedsiębiorczy. Powiem Careyowi. To go zainteresuje.

McCready klepnął Denisona po ramieniu.

— Chodźmy.

Jego samochód był w garażu i kiedy wyjechali na ulicę, McCready skręcił w lewo, Denison wiedział już, że do ambasady jechało się inną drogą.

— Dokąd jedziemy?

— Niedaleko. Pięć minut stąd. Niech pan zachowa spokój ducha. Nim minęły dwie minuty, Denison zupełnie stracił orientację.

Samochód skręcał i zawracał w obcych uliczkach, uniemożliwiając zapamiętanie drogi. Denison nie wiedział, czy McCready celowo stara się zamieszać mu w głowie, ale uznał, że to możliwe. A może tamten starał się zgubić ewentualny ogon.

Po kilku minutach samochód zatrzymał się przed dużym budynkiem, który mógł być blokiem mieszkalnym. Weszli do środka i windą wjechali na piąte piętro. Kiedy znaleźli się w holu, McCready otworzył jakieś drzwi i powiedział:

— To jest Mr Iredale. Opatrzy pański bok.

Iredale był łysawym mężczyzną w średnim wieku, o żółtawej cerze, po obu stronach nosa aż do kącików warg żłobiły twarz głębokie bruzdy. Powiedział uprzejmie:

— Proszę wejść, Mr Denison, chciałbym pana zbadać.

Denison usłyszał za plecami odgłos zamykanych drzwi i obejrzawszy się stwierdził, że McCready już poszedł. Obrócił się na pięcie i spojrzał na Iredale'a.

— Myślałem, że jadę do lekarza.

— Jestem lekarzem — rzekł Iredale. — Jestem też chirurgiem. My, chirurdzy, mamy taki opaczny snobizm: mówi się do nas „mister” a nie „doktorze”. Nie mam pojęcia dlaczego. Niech pan zdejmie płaszcz, Mr Denison, i pozwoli mi obejrzeć pańskie obrażenia.

Denison zawahał się, po czym powoli zdjął marynarkę i koszulę.

— Zechce się pan położyć na kanapie? — zaproponował Iredale i otworzył czarną torbę, która niewątpliwie była własnością lekarza.

Nieco uspokojony, Denison położył się.

Iredale porozcinał bandażę parą małych nożyczek i obejrzał ranę.

— Paskudna — stwierdził. — Ale czysta. Będzie potrzebne miejscowe znieczulenie. Czy jest pan uczulony na środki przeciwbólowe, panie Denison?

— Nie wiem... nie sędzę.

— Poczuje pan tylko trzy lekkie ukłucia, nic więcej.

Iredale wyjął strzykawkę i napełnił ją płynem z małej fiołki.

— Proszę leżeć spokojnie.

Denison poczuł ukłucia i Iredale rzekł:

— Zaczekajmy, aż zacznie działać. Może pan usiąść. Wyjął z torby oftalmoskop.

— Chciałbym jeszcze obejrzeć pańskie oczy. Błysnął mu światłem w prawe oko.

— Pił pan ostatnio alkohol?

— Nie.

Iredale obejrzał lewe oko, co zajęło mu trochę więcej czasu.

— Wygląda na to, że tu wszystko w porządku — powiedział.

— Dostałem w bok, a nie w głowę — rzekł Denison. — Nie mam wstrząsu mózgu.

Iredale odłożył oftalmoskop.

— Zatem zna się pan trochę na medycynie.

Wziął w dłonie twarz Denisona i pomacał skórę pod brodą.

— Wie pan, co mówią o powierzchownej wiedzy?

Wstał i spojrzał z góry na głowę Denisona, a potem przesunął palcami po linii włosów.

— Niech pan nie spiera się z ekspertami, panie Denison, oni wiedzą, co robią.

— Właściwie jaka jest pańska specjalność? — spytał podejrzliwie Denison.

Iredale zignorował pytanie.

— Miał pan kiedyś kłopoty z włosami? Na przykład, łupież?

— Nie.

— Rozumiem. Dobrze.

Dotknął zranionego boku.

— Czuje pan coś?

— Zdrętwiał mi, ale czuję ucisk.

— Świetnie. Zamierzam zaszyć panu ranę. Nic pan nie poczuje, ale gdyby jednak,

niech pan wrzeszczy jak cholera.

Założył gumowe rękawiczki, które wyjął z zapieczętowanej plastikowej torebki, a z innej wydobył trochę cienkiej nici.

— Lepiej niech pan odwróci głowę — poradził. — Proszę leżeć spokojnie.

Pracował przez prawie piętnaście minut i Denison nie czuł nic prócz ucisku jego palców. W końcu powiedział:

— W porządku, panie Denison, skończyłem.

Denison usiadł i spojrzał na bok. Rana była dokładnie zamknięta i zaszyta rzędem maleńkich szwów.

— Zawsze dobrze szło mi z igłą — stwierdził Iredale tonem towarzyskiej pogawędki.
— Kiedy usunie się szwy, zostanie blizna cienka jak włos. Za rok nie zdoła jej pan znaleźć.

Denison powiedział:

— To nie jest robota zwykłego lekarza. Kim pan jest?

Iredale szybko spakował torbę i wstał.

— Za chwilę przyjdzie do pana inny lekarz.

Podszedł do drzwi i zamknął je za sobą.

W sposobie, w jaki się zatrzasnęły, było coś, co zaalarmowało Denisona. Podniósł się, podszedł do drzwi i stwierdził, że są zamknięte. Zmarszczywszy brwi odwrócił się i rozejrzał po pokoju. Stała w nim kanapa, na której przed chwilą leżał, stół, dwa fotele, a pod ścianą półka z książkami. Ruszył do regału, żeby je przejrzeć, i potknął się o drut, niemal zrzucając stojący na małym stoliku telefon. Ocalił go przed upadkiem i przystanął, spoglądając na aparat.

Iredale poszedł korytarzem i wszedł do pokoju na samym końcu. Carey spojrzał wyczekująco na wchodzącego, przerywając rozmowę z McCreadym. Harding, psychiatra, siedział z wyciągniętymi nogami w fotelu, trzymając dłonie złączone czubkami palców. W pomieszczeniu znajdował się jeszcze jeden człowiek, którego Iredale nie znał. Carey przechwycił spojrzenie Iredale'a i powiedział:

— Ian Armstrong, z mojego personelu. No i co?

Nie mógł ukryć niecierpliwości. Iredale odstawił torbę.

— To nie jest Meyrick — orzekł i po krótkiej przerwie dodał: — Chyba że Meyrick miał ostatnio operację plastyczną.

Carey wydał przeciągłe westchnienie.

— Jest pan pewien?

— Oczywiście, że jestem pewien — potwierdził Iredale z lekką urazą.

— A więc to tak.

Carey spojrział na Hardinga.

— Teraz pańska kolej, doktorze Harding. Niech pan wyciągnie z niego tyle, ile się da.

Harding skinął głową i podniósł się z fotela. Bez słowa wyszedł z pokoju. Gdy zamknął za sobą drzwi, Carey powiedział:

— Orientuje się pan, że — z tego, co już wiemy — ta zmiana nastąpiła w ciągu tygodnia... nie wcześniej.

Wziął ze stołu cienką, kartonową teczkę.

— Właśnie otrzymaliśmy z Londynu długi kablogram o Denisonie oraz to zdjęcie.

Wyjął fotografię i podał Iredale'owi.

— Oto Denison taki, jak wyglądał ostatnio. To wydaje się wręcz niemożliwe.

Iredale obejrzał zdjęcie.

— Bardzo interesujące — skomentował.

— Czy to mogło zostać zrobione w ciągu tygodnia? — naciskał Carey.

Iredale odłożył fotografię.

— O ile mogę stwierdzić, zostało wykonane tylko jedno cięcie — stwierdził zwięźle.

— W zewnętrznym kącie lewej powieki. Bardzo małe nacięcie, które prawdopodobnie przytrzymał jeden szew, dopóki się nie zagoiło. Z pewnością mogło się wygoić w tydzień, chociaż mogła pozostać pewna bolesność. Odkryłem niewielkie zaognienie.

— Chce pan powiedzieć, że wykonano tylko to jedno nacięcie? — powiedział z niedowierzaniem McCready.

— Tak — odpowiedział Iredale. — Chodziło o opuszczenie lewej powieki. Czy macie fotografię Meyricka?

— Tutaj — rzekł Carey. Iredale wskazał palcem.

— O tu, widzicie? Powieka opadła w wyniku ściągnięcia skóry spowodowanego przez tę bliznę.

Po chwili dodał pogardliwie:

— Robota partacza, gdybyście pytali mnie o zdanie. To nie powinno się zdarzyć.

— Tę ranę Meyrick odniósł w czasie wojny, kiedy był chłopcem — poinformował Carey. Postukał palcem w fotografię Meyricka. — Tylko jak, do diabła, odtworzyli tę bliznę na twarzy Denisona, nie nacinając skóry?

— Zrobili to bardzo sprytnie — rzekł Iredale z nagłym entuzjazmem. — Najlepszy tatuaż, jaki kiedykolwiek widziałem, tak samo jak znamię z prawej strony szczęki.

Odchylił się na krześle.

— Oczywiście, w mojej specjalności widziałem wiele tatuaży, ale specjalizuję się raczej w ich usuwaniu niż nakładaniu.

Znów nachylił się i powiódł palcem po zdjęciu.

— Linia włosów została zmieniona przez depilowanie, nic tak prymitywnego jak zwykle golenie, po którym włosy odrastają. Obawiam się, że pan Denison na zawsze utracił część fryzury.

— Wszystko to dobrze — stwierdził McCready, podchodząc bliżej. Pochylił się nad stołem, porównując obie fotografie. — Jednak spójrzcie na tych mężczyzn. Twarz Denisona jest pociągła, a bez brody byłaby jeszcze szczuplejsza. Meyrick ma twarz owalną. I zauważcie różnice w kształcie nosów.

— To zrobiono zastrzykami z płynnego silikonu — stwierdził Iredale. — Niektórzy z moich bardziej lekkomyślnych kolegów w ten sam sposób zwiększają obwód piersi gwiazd filmowych.

W jego głosie słyhać było odrazę.

— Pomacałem jego policzki i wyczułem to. Nie mam wątpliwości.

— Niech mnie diabli! — zaklął Carey.

— Mówicie, że Denisonowi wypadł z pamięci okres rzędu jednego tygodnia? — spytał Iredale.

— Powiedział, że stracił tydzień życia, jeśli o to panu chodzi.

— A więc mogę zaryzykować przypuszczenie, jak tego dokonano — rzekł Iredale. — Został uśpiony, oczywiście, i pozostawał nieprzytomny przez cały tydzień. Zauważyłem plaster na jego lewym przedramieniu. Nie oglądałem go, ale z pewnością tamtędy wprowadzono dożylnie kroplówkę, żeby utrzymać go przy życiu.

Urwał, ale zafascynowany Carey ponaglił go:

— Niech pan mówi dalej!

— Nacięto mu powiekę w kącie oka, dając jej tydzień na zagojenie. Każdy kompetentny lekarz mógł to zrobić w pięć minut. Podejrzewam, że potem wykonano tatuaże. Normalnie wywołują obrzmienie, ale po tygodniu na pewno zniknęło. Pozostałe retusze mogły być zrobione w dowolnej chwili.

Podniósł obie fotografie.

— Widzicie, budowa kośćca twarzy tych dwóch mężczyzn jest bardzo podobna.

Sądzę nawet, że gdybyście mieli zdjęcie Meyricka wykonane piętnaście lat temu, byłby na nim bardzo podobny do Denisona, a raczej do Denisona takiego, jakim był. Rozumiem, że Meyrick był przyzwyczajony do wystawnego życia?

— Jest dość bogaty — rzekł Carey.

— To widać po jego twarzy — stwierdził Iredale i rzucił zdjęcia na stół. — Jednakże Denison wygląda na lekko niedożywionego.

— To ciekawe, że pan to zauważył — rzekł Carey, otwierając teczkę. — Z tego, co tu mamy, wynika, że Denison, jeśli jeszcze nie popadł w alkoholizm, to był tego bardzo bliski. Właśnie stracił pracę — wylany za niekompetencję dwudziestego czwartego czerwca.

Iredale pokiwał głową.

— Symptomatyczne. Alkoholicy nie potrzebują jedzenia, czerpią kalorie z gorzały.

Wstał.

— To wszystko, co dziś wieczór mogę dla was zrobić, panowie. Chciałbym jutro zobaczyć Denisona w celu przywrócenia mu poprzedniego wyglądu, co nie będzie łatwe, ten silikonowy polimer jest cholernie trudny do usunięcia. Czy coś jeszcze?

— Nic, panie Iredale — odparł Carey.

— A więc, jeśli panowie wybaczą, położę się spać. To był długi dzień.

— Wie pan, gdzie znajduje się pański pokój? — zapytał Carey, a Iredale skinął głową i wyszedł.

Carey i McCready przez jakiś czas spoglądali na siebie w milczeniu, potem Carey poruszył się i rzucił przez ramię:

— I co o tym myślisz, Ian?

— Niech mnie diabli, jeśli wiem — rzekł Armstrong.

Carey chrząknął.

— Tak samo jak ja. Byłem już zamieszany w różne upiorne historie, ale ta bije wszystkie na głowę. Teraz musimy zobaczyć, do czego dojdzie Harding, a podejrzewam, że to trochę potrwa. Myślę, że ktoś powinien zrobić kawę. To będzie długa noc.

Carey miał rację, ponieważ minęły dwie godziny, zanim Harding wrócił. Twarz miał zatroskaną.

— Myślę, że nie powinno się zostawiać Denisona bez opieki.

— Ian! — powiedział Carey.

Armstrong wstał, a Harding dodał:

— Jeśli zechce rozmawiać, nie odmawiaj. Pomów z nim, ale nie wdawaj się w szczegóły. Trzymaj się ogólników. Rozumiesz?

Armstrong skinął głową i wyszedł. Harding usiadł i Carey przyjrzał mu się uważnie. W końcu rzekł do psychiatry:

— Wygląda pan tak, jakby przydał się panu kieliszek, doktorze. Whisky?

Harding przytaknął ruchem głowy.

— Dzięki.

Potał czoło.

— Denison jest w kiepskim stanie.

Carey nalał mu whisky.

— Dlaczego?

— Manipulowano nim — odparł Harding pozbawionym wyrazu głosem.

Carey podał mu szklaneczkę.

— Jego umysłem?

Harding upił połowę trunku i lekko się zakrztusił. Wyciągnął rękę ze szklaneczką.

— Proszę dopełnić mi wodą. Tak. Ktoś cholernie brutalnie go potraktował. Ma tygodniową lukę w pamięci i cokolwiek mu zrobiono, zdarzyło się to w ciągu tego tygodnia.

Carey zmarszczył brwi.

— Iredale sugerował, że Denison był przez cały ten czas nieprzytomny.

— Jedno nie przeczy drugiemu. Zapewne przez cały tydzień utrzymywano go w stanie depresji środkami psychotropowymi.

— Mówi pan o praniu mózgu? — zapytał sceptycznie Carey.

— W pewnym sensie. — Harding przyjął dopełnioną wodą szklanekę. — Ktokolwiek zrobił to Denisonowi, stanął przed pewnym problemem. Ideałem byłoby doprowadzić Denisona do takiego stanu, żeby uznał, że jest Meyrickiem, ale to było niewykonalne.

Harding zastanowił się.

— A przynajmniej nie przez tydzień.

— Chce pan powiedzieć, że to jest możliwe? — spytał z niedowierzaniem Carey.

— Och, tak — odparł chłodno Harding. — Możliwe. Jednak tamci nie mieli dostatecznie dużo czasu, więc musieli zrobić to w inny sposób. Tak jak ja to widzę, ich problem polegał na tym, żeby podstawić w hotelu Denisona za Meyricka i mieć pewność, że ptaszek nie wyfrunie z klatki. Nie chcieli, żeby, na przykład, wrócił pierwszym samolotem do Londynu. Tak więc poddali go obróbce.

Emfaza w ustach Hardinga wydawała się czymś nieprzyzwoitym.

— W jaki sposób?

— Czy wie pan coś o hipnozie?

McCready prychnął i Harding, patrząc nań roziskrzonymi nagle oczami, powiedział zimno:

— Nie, to nie czarna magia, panie McCready. Denison był przez długi czas utrzymywany w stanie hipnozy wywołanej narkotykami i w tym czasie celowo manipulowano jego psychiką.

Nagle zrobił rozbijający gest.

— Podejrzewam, iż Denison miał neurotyczne skłonności i niewątpliwie cały szereg sprzyjających cech: irracjonalne obawy, nie zaleczone urazy i tak dalej, które wspomogły ten proces.

— Co pan ma na myśli, mówiąc o neurotycznych skłonnościach? — spytał Carey.

— Trudno powiedzieć, lecz podejrzewam, że miał zaburzenia psychiczne, zanim poddano go obróbce.

— Stuknięty? — przerwał mu McCready.

Harding obrzucił go niechętnym spojrzeniem.

— Nie bardziej niż pan, Mr McCready — rzucił zjadliwie. — Myślę po prostu, że zdarzyło się coś, co wytrąciło go z równowagi.

— Rzeczywiście coś się stało — przytaknął Carey. — Stracił pracę. Wyjął z teczki cienki plik kartek.

— Nie miałem czasu przedyskutować tego z panem wcześniej, ale oto, co mamy o Denisonie. Otrzymamy więcej informacji, ale na razie mamy tylko tyle.

Harding przestudiował zapisane na maszynie kartki, czytając powoli i uważnie.

— Szkoda, że nie wiedziałem tego przed rozmową z Denisonem, zaoszczędziłoby mi to wiele pracy.

— Był reżyserem filmowym zatrudnionym w wytwórni produkującej filmy dokumentalne i reklamowe — poinformował Carey. — Najwidoczniej wykoleił się i kosztował firmę sporo pieniędzy. Uznali, że nie potrafi już powstrzymać się od picia, więc wylali go.

Harding potrząsnął głową.

— Nie to wytrąciło go z równowagi. Picie musiało być objawem, nie przyczyną.

Przewrócił kartkę.

— Widzę, że jego żona umarła trzy lata temu. Zapewne była młoda. Czy wiecie, jak

umarła?

— Jeszcze nie — odparł Carey — ale możemy się dowiedzieć.

— Radziłbym to zrobić. Zastanawiam się, czy właśnie nie wtedy zaczął pić.

— Na razie to nie jest istotne — stwierdził Carey.

Harding spojrział na niego ostro.

— Dla mnie jest — uciął. — Muszę leczyć tego człowieka.

— Wiem, doktorze — łagodził Carey. — Otrzyma pan wszelkie istotne informacje, gdy tylko je uzyskamy. Jednak obecnie interesuje mnie to, co zrobiono Denisonowi i jak tego dokonano.

Harding uspokoił się.

— Dobrze. Denison został dosłownie zdemontowany. Pozostało mu jedynie nazwisko i miejsce zamieszkania, a to drugie w dodatku niezbyt dokładnie określone. Giles Denison z Hampstead. Mogli, oczywiście, wywołać całkowitą amnezję, tylko po co? Denison miał zastąpić Meyricka i potrzebował aktywnej osobowości, żeby odegrać jego rolę. Nie wiem, dlaczego Denison miał uchodzić za Meyricka.

— Mam pewne podejrzenia — mruknął Carey. — Proszę mówić, doktorze.

— Jednocześnie Denison nie mógł zachować zbyt licznych cech swojej osobowości, bo wtedy zapewne odrzuciłby rolę, którą mu wyznaczono. Trzeba go było zamknąć w swego rodzaju czyścicu. Spowodowano, że w jego umyśle powstało kilka bardzo silnych blokad, nie pozwalających mu kwestionować własnej tożsamości. W dodatku, aby zagmatwać obraz, obdarzono go selektywnymi, fałszywymi wspomnieniami. Na przykład, on wyraźnie pamięta, jak grał w golfa, a jednocześnie wie, że nigdy w życiu nie grał w tę grę. W efekcie jest bardzo skonfundowanym człowiekiem, a to prowadzi do paraliżu woli, wystarczającego aby został w jednym miejscu — w hotelu w Oslo — próbując dojść ze sobą do ładu.

McCready poruszył się niespokojnie.

— Czy to możliwe?

— Jak najbardziej. Gdybym nakreślił wymaginowany kwadrat na podłodze tego pokoju, mógłbym zahipnotyzować pana i sprawić, że omijałby go pan w wyniku sugestii posthipnotycznej. Przez resztę życia wchodziłby pan i wychodził z tego pomieszczenia, ale nigdy nie przeszedłby pan po tym kwadracie. Co więcej, nie zdawałby pan sobie sprawy z irracjonalności swojego zachowania.

McCready nie wyglądał na przekonanego, dlatego Harding zaproponował:

— W każdej chwili mogę to panu zademonstrować.

— Nie, nie! — zaprotestował pospiesznie McCready. — Wierzę panu.

Carey uśmiechnął się ponuro.

— Proszę dalej, doktorze.

— Umysł jest samoregulującym się mechanizmem — kontynuował Harding. — Gdyby nie to, wszyscy bylibyśmy wariatami. A dociekanie jest jego podstawową czynnością. Kiedy Denison próbował grzebać w swojej przeszłości, napotkał blokady i był tak zaszokowany nieprawdopodobieństwem tego, co znalazł w swoim umyśle, że poszukał ucieczki w negatywizmie.

Dostrzegł brak zrozumienia na twarzy Careya i wyjaśnił:

— Zasnął. Typowy objaw hysterii. Zrobił to dwukrotnie podczas rozmowy ze mną. Za każdym razem pozwoliłem mu spać przez kwadrans, a kiedy się budził, nie pamiętał powodu swojego zachowania — wymazał go z pamięci. To samoobrona przed szaleństwem, i wydaje mi się, że zdarzało mu się to już wcześniej.

— Zdaje mi się, że nie wszystko pojąłem — stwierdził Carey. — Chce pan powiedzieć, że Denison jest trochę stuknięty i może zasnąć lub stracić przytomność w każdej chwili? Jak więc pan wytłumaczy fakt, iż udało mu się całkiem zręcznie oszukać jednego z moich ludzi albo że znalazłszy się w bardzo niebezpiecznej sytuacji grożącej mu śmiercią, świetnie sobie dał radę?

— Och, on jest w pełni sprawny — rzekł Harding. — Tylko wtedy, gdy usiłuje zgłębić swoją przeszłość, staje przed niemożliwym i popada w negatywizm. Sądząc po tym, co mi pan powiedział o okolicznościach, w jakich został ranny, uważam, że jest bardziej kompetentny, niż mógłbym się w tej sytuacji spodziewać.

— Jest cholernie kompetentny — wtrącił się nagle McCready, i Carey odwrócił się do niego. — Jeszcze ci nie mówiłem, ale namierzył Mrs Hansen.

— Co zrobił?

— Wie, że ona nosi broń, powiedział mi to. Stwierdził także, iż powinienem o tym wiedzieć.

Twarz Hardinga przybrała wyraz „a—nie—mówiłem?”, a na obliczu Careya malowało się ogromne zdumienie.

— Jeszcze jedno — dodał McCready. — Alkoholik czy nie, teraz jest na odwyku. Mrs Hansen mówiła, że wczoraj wieczorem spróbował whisky i sprawiał wrażenie, jakby połknął kwas pruski.

— Ciekawe — rzekł psychiatra. — W mózgu tego człowieka namieszano jak w talerzu z owsianką. Byłoby niezwykle, gdyby to wyleczyło go z alkoholizmu. Jednakże

obawiam się, że lekarstwo jest o wiele gorsze od choroby. Oczywiście, trzeba go hospitalizować. Mogę to załatwić.

Carey wstał.

— Dziękuję, doktorze Harding.

Harding też się podniósł.

— Chciałbym go jutro zobaczyć. Co z nim teraz zrobicie?

— Będzie miał dobrą opiekę — odparł gładko Carey.

— Lepiej, żeby tak było — ostrzegł Harding. — Jeśli nie otrzyma pomocy specjalisty, może postradać zmysły.

Ziewnął.

— No cóż, pójdę spać.

Opuścił pokój i Carey znów usiadł. Wziął do ręki dwie fotografie i zamyślił się głęboko.

— A więc tak — rzekł McCready. — Wszystko wzięło w łeb. Nie ma Meyricka, nie ma operacji.

Carey nie odezwał się słowem, więc McCready zapytał:

— O czym myślisz?

Carey odpowiedział powoli:

— Myślę, że nawet jeśli nie mamy Meyricka, to mamy jego cholernie dobry substytut.

McCready'emu opadła szczęka.

— Chcesz powiedzieć, że masz zamiar go wykorzystać? Słyszałeś, co powiedział Harding... ten człowiek może zwariować. Nie nazwałbym takiego postępowania etycznym.

— Nie mów mi o etyce — odparował szorstko Carey. — Mam robotę do wykonania.

Rzucił fotografie na stół.

— Iredale chce zwrócić Denisonowi jego twarz, a Harding chce odtworzyć jego przeszłość. Jeżeli jutro dopuścimy do niego Hardinga z tą jego cholerną hipnozą, to Denison spakuje manatki i wróci do domu.

Zmarszczył brwi i podjął decyzję.

— Zabierz go z powrotem do hotelu! — rzucił.

— Na rany Chrystusa! — sprzeciwił się McCready. — Czy wiesz, co robisz?

— Wiem — odparł Carey. — Jednak odwożąc Denisona do hotelu, zastanów się nad jednym. Kiedy na Spiralen dokonano zamachu na życie Denisona, to kogo atakowano:

jego czy Meyricka?

McCready powoli otworzył usta, czując zamęt w głowie. Carey rzekł:

— Denisona trzeba pilnować. Nie zdejmuj obstawy jego pokoju i niech ktoś ma oko na jego okno z zewnątrz. I chcę, żeby ten cały przeklęty hotel był pilnie obserwowany. Teraz do roboty.

McCready wysadził Denisona w hotelowym garażu.

— Nie wchodzę na górę — powiedział — ale zobaczymy się jutro. Zerknął na zegarek.

— To znaczy dzisiaj. Boże, jest prawie piąta rano. Niech pan idzie spać.

W czasie krótkiej jazdy obaj milczeli. Teraz Denison zapytał:

— O co w tym wszystkim chodzi? Rozumiem, dlaczego ten pierwszy lekarz, ale ten drugi był psychiatrą, prawda?

— Jutro zobaczy się z panem Carey. On wszystko wytłumaczy.

Urwał, przygryzając wargę.

— Obiecuję panu.

— W porządku — odparł Denison. — Jestem teraz zbyt zmęczony, żeby się spierać. Jednak lepiej niech Carey wymyśli coś wiarygodnego.

Skinął głową McCready'emu i poszedł w kierunku schodów. Nie odwracał się, lecz jeśli to zrobił i gdyby zdołał zinterpretować wyraz twarzy tamtego, wyczytałby na niej współczucie.

Denison otworzył drzwi prowadzące do holu i zobaczył stos walizek. Usłyszał wybuch śmiechu z grupy wcześniej przybyłych — gromadki młodych ludzi, którzy obsiedli hol jak motyle. Podszedł do kontuaru recepcji i stał tam czekając, aż przepracowany nocny recepcjonista zdoła uporać się z tłumem.

W końcu zwrócił na siebie jego uwagę i rzekł:

— Trzysta sześćdziesiąt, proszę.

Denison nie widział dziewczyny, która patrzyła na niego ze zdziwieniem, ale usłyszał spokojny głos za plecami:

— Tatusiu!

Odwrócił się bez pośpiechu i z nagłym przerażeniem uświadomił sobie, że ta młoda kobieta mówi do niego.

Fakt, że nie wpadł w panikę, przynosi chlubę Denisonowi. W pierwszym odruchu chciał się cofnąć i powiedzieć, że nie jest Meyrickiem — że to pomyłka. Jednak zaraz uświadomił sobie, iż to nic nie da; nocny recepcjonista znał jego nazwisko i znajdował się w zasięgu głosu, a ponadto wyparcie się znajomości z pewnością spowodowałoby zamieszanie w holu. Powstrzymał odruch.

Całowała go; czuł, że jego wargi są nieruchome i twarde. Pewnie ten brak reakcji z jego strony sprawił, że cofnęła się o krok i uśmiech zgasł na jej twarzy. Powiedziała:

— Miałam nadzieję, że cię tu zastanę, ale nie spodziewałam się, iż natknę się na ciebie w swoim hotelu, i to o piątej rano. Co tu robisz tak wcześnie... albo tak późno?

Była młoda — ledwie po dwudziestce — miała jasne spojrzenie i zdrową, świeżą cerę. Jej oczy były szare, a usta szerokie i wydatne, może nieco za duże, by jej twarz uznać za naprawdę piękną. Dla niewprawnego męskiego oka zdawała się nie umalowana, lecz mógł to być tylko rezultat mistrzowsko zrobionego makijażu.

Przełknął ślinę.

— Byłem w gościach, rozmowa trochę się przeciągnęła.

— Ach tak.

Głęboko wepchnęła rękę do kieszeni sportowego płaszcza i obróciła głowę, aby spojrzeć na obleganego recepcjonistę.

— Miną całe godziny, zanim dostanę swój pokój. Czy mogę odświeżyć się w twoim? Pewnie wyglądam okropnie.

Zaschło mu w ustach i przez moment nie mógł wydobyć z siebie głosu. Patrzyła na niego z zaciekawieniem.

— Przecież mieszkasz tutaj?

I zaraz roześmiała się.

— Oczywiście, przecież masz w ręku klucz.

— Właśnie miałem zadzwonić — rzekł, robiąc krok w tył i odsuwając się od niej.

— Dlaczego nie z pokoju?

— Stąd jest równie łatwo.

Podszedł do automatów telefonicznych, szukając w kieszeni drobnych.

Publiczne telefony nie znajdowały się w budkach, lecz pod wielkimi, przezroczystymi plastikowymi kloszami, które teoretycznie powinny wyciszać rozmowy. Zdawał sobie sprawę z tego, że dziewczyna poszła za nim i stała opodal.

Sięgnął po portfel, wyjął skrawek papieru i wykręcił numer. Sygnał dzwonka sześciokrotnie zabrzączał mu do ucha, zanim zaspany głos powiedział:

— Tak?

Denison szepnął:

— Chcę mówić z Careyem.

— Musi pan mówić głośniej. Nie słyszę pana.

Podniósł nieco głos.

— Chcę rozmawiać z Careyem.

— Nie sądzę, aby to było możliwe — powątpiewał tamten. — Carey leży w łóżku.

— Dla mnie może być nawet w trumnie. Zbudźcie go. Tu Denison.

Tamten głośno wciągnął powietrze.

— Już.

W niezwykle krótkim czasie Carey znalazł się przy telefonie.

— Denison?

— Są kłopoty. Meyrick...

Carey przerwał mu chrapliwie.

— Skąd pan zna ten numer?

— Rany boskie! To może poczekać.

— Skąd? — upierał się Carey.

— W pokoju, w którym badali mnie lekarze, stał telefon — odparł Denison. —

Zanotowałem numer.

— Och! — rzekł Carey i dodał z rosnącym respektem: — Harding powiedział, że jest pan kompetentny, teraz mu wierzę. W porządku. O co chodzi?

— W hotelu właśnie zjawiała się córka Meyricka.

— Co!?

— Co mam robić, do cholery? — spytał z rozpaczą Denison. — Niech to szlag, nawet nie wiem, jak ona ma na imię!

— Jezu Chryste! — jęknął Carey. — Chwileczkę.

Dał się słyszeć pomruk zmieszanych głosów i Carey rzekł:

— Ma na imię Lyn. L—Y—N.

— Wiecie o niej coś jeszcze?

— A skąd mamy wiedzieć? — prychnął Carey. — Nie wytrąsnę informacji z rękawa.

— Niech was diabli! — rzucił wściekle Denison. — Muszę rozmawiać z tą dziewczyną. Powinienem coś o niej wiedzieć. To moja córka.

— Czy ona tam jest?

Denison zerknął w bok przez plastikowy klosz.

— Stoi dziesięć stóp ode mnie. Dzwonię z holu hotelu i nie wiem, jak dźwiękochłonna jest ta osłona. Dziewczyna chce iść do mojego pokoju.

— Zrobię, co będę mógł — obiecał Carey. — Niech pan czeka.

— Pospieszcie się.

Kątem oka zobaczył, że dziewczyna idzie ku niemu. Wystawił głowę za krawędź osłony i powiedział:

— To potrwa jeszcze minutę, Lyn. Czy masz coś, co chciałabyś wziąć do mojego pokoju?

— Ach, tak, moją małą torbę podróżną. Pójdę i przyniosę ją. Patrzył, jak sprężystym krokiem szła przez hol i czuł, że pot występuje mu na czoło. Carey wrócił do telefonu.

— Margaret Lyn Meyrick, ale woli, aby nazywano ją Lyn. Córka Meyricka z pierwszego małżeństwa.

Denison przetrwał to i szybko zapytał:

— Czy jej matka jeszcze żyje?

— Tak, rozwiedziona, ponownie wyszła za mąż.

— Nazwisko?

— Patricia Joan Metford, jej mężem jest John Howard Metford. To jakaś szycha w City.

— Co z obecną żoną Meyricka?

— Nie ma żadnej. Z tą drugą rozwiódł się trzy lata temu. Nazywała się Janet Meyrick, z domu Austin.

— A co z dziewczyną? Czym się zajmuje? Gdzie pracuje? Jakie ma hobby?

— Nic o niej nie wiemy — odparł Carey. — Te informacje są z akt Meyricka. Nie zajmowaliśmy się jego córką.

— Lepiej szybko to sprawdźcie — powiedział Denison. — Słuchaj, Carey, nie wiem, dlaczego to dla was robię. W tej chwili mam ochotę cisnąć wszystko w diabły.

— Niech pan tego nie robi — rzekł pospiesznie Carey. — Zdobęde tyle informacji o dziewczynie, ile zdołam, i przekażę je tak szybko, jak się da.

— Jak?

— Przyślę zapieczętowaną kopertę przez specjalnego posłańca; ona nie musi wiedzieć, co pan czyta. A jeśli zrobi się zbyt gorąco, znajdę sposób, aby was rozdzielić. Tylko nie daj się zdemaskować, Denison, cokolwiek zrobisz.

W głosie Careya słyhać było błagalne nutki, a Carey — jak osądził Denison na podstawie ich krótkiej znajomości — nie był człowiekiem skorym do błagania. Denison uznał, że to dobra okazja, żeby przykręcić śrubę.

— Kręciliście mną na prawo i lewo od chwili, gdy... gdy mi to zrobiono. Teraz chcę usłyszeć prawdę, całą prawdę. I lepiej, żebym mógł w nią uwierzyć.

Uświadomił sobie, że podnosi głos i że grozi mu wpadnięcie w histerię.

— Jutro otrzyma pan swoje wyjaśnienia — obiecał Carey. — A teraz niech się pan postara poradzić sobie z tą dziewczyną.

— Nie wiem, czy zdołam. Co innego zwieść kogoś obcego, a co innego członka rodziny Meyricka.

— Może nam się uda — rzekł Carey. — Nie wydaje mi się, żeby byli sobie bliscy. Myślę, że ona została wychowana przez matkę.

Denison odwrócił twarz w stronę holu.

— Muszę już kończyć, nadchodzi dziewczyna.

Odłożył słuchawkę i nim połączenie zostało przerwane, usłyszał słaby, skrzeczący dźwięk. Brzmiał tak, jakby Carey powiedział „powodzenia!”.

Denison wyszedł naprzeciw nieznajomej.

— Skończyłem.

Zrównała się z nim i poszli razem.

— Wygląda na to, że się z kimś sprzeczałeś.

— Naprawdę?

— Wiem, że jesteś kłótlivy, ale zastanawiałam się, jak o piątej rano w Oslo udało ci się znaleźć kogoś, z kim możesz się spierać.

Stanęli przed windami i Denison nacisnął guzik.

— Skąd się tu wzięłaś?

— Z Bergen. Wynajęłam samochód i oto jestem. Jechałam przez większość wczorajszego dnia i całą noc. Czuję się trochę zmachana — westchnęła.

— Podróżujesz sama? — zapytał, zachowując neutralny ton głosu.

— Tak — uśmiechnęła się. — Zastanawiasz się, czy mam chłopaka?

Wskazał ruchem głowy rzednącą grupkę w holu.

— Po prostu myślałem, że jesteś z nimi. Winda przyjechała i weszli do środka.

— Nic dziwnego, że jesteś zmęczona, po tak długiej jeździe. Co to znaczy być młodym.

— W tej chwili czuję się stara jak Matuzalem — powiedziała ponuro. — To dlatego,

że jestem głodna. Sądzę, że po śniadaniu poczuję się lepiej.

Zarzykował pytanie:

— Ile masz lat, Lyn? Zaczynam gubić rachunek.

— O tak, zaczynasz. Nie pamiętałeś nawet o moich dwudziestych pierwszych urodzinach... A może wcale nie zapomniałeś?

W jej głosie była nieoczekiwana gorycz.

— Ojciec, który zapomina o... — Urwała i zagryzła wargi. — Przepraszam, tatusiu. W przyszłym tygodniu są moje urodziny.

— W porządku.

W jej zachowaniu Denison wyczuwał jakąś urazę. Zawahał się i rzekł:

— W każdym razie jesteś już na tyle dorosła, żeby przestać mówić do mnie „tatusiu”. Czemu nie miałybyś nazywać mnie Harry?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem, a potem impulsywnie uściśnięła mu dłoń.

Dotarli do pokoju i otworzył drzwi.

— Sypialnia prosto, łazienka na lewo.

Poszła przodem do sypialni i postawiła torbę podróżną.

— Idę do łazienki — oznajmiła. — Zmyję z siebie trochę kurzu. Otworzyła torbę, wyjęła kilka przyborów toaletowych i zniknęła w łazience.

Usłyszał odgłos lejącej się wody, gdy odkręciła kurek, i natychmiast podniósł słuchawkę telefonu.

— Mówię z pokoju trzysta sześćdziesiąt. Jeżeli będzie jakaś wiadomość dla Meyricka, cokolwiek, proszę niezwłocznie mnie zawiadomić.

Odłożył słuchawkę i w zamyśleniu patrzył na torbę podróżną dziewczyny.

Odgłosy w łazience nie cichły, więc szybko przeszedł przez pokój i obejrzał torbę. Była spakowana starannie, niż oczekiwał, co ułatwiało poszukiwania. Zobaczył granatową okładkę brytyjskiego paszportu; wyjął go i przekartkował. Urodziny Lyn Meyrick wypadły dwudziestego pierwszego lipca, miała skończyć dwadzieścia dwa lata. W rubryce „zawód” wpisano „nauczycielka”.

Włożył paszport z powrotem i wyjął książeczkę z czekami podróżnymi. Przeglądając ją gwizdnął cicho; rodzina Meyricków nie należała do ubogich. Znalazł portfel wypchany plastikowymi obwolutami zawierającymi karty kredytowe i fotografie. Nie miał czasu na dokładne oględziny, ponieważ dziewczyna w każdej chwili mogła wyjść z łazienki.

Odłożył portfel i otworzył zamek błyskawiczny wewnętrznej kieszonki torby.

Zawierała klucze od wynajętego samochodu i pęk mniejszych kluczyków. Zapinając kieszeń usłyszał, że odgłosy w łazience cichną, i kiedy dziewczyna wyszła, stał przy fotelu zdejmując marynarkę.

— Teraz o wiele lepiej — powiedziała.

Ubrana w jasnozielony sweterek oraz elastyczne spodnie wyglądała bardzo schludnie. — Kiedy najwcześniej można zamówić śniadanie?

Spojrzał na zegarek.

— Chyba dopiero o wpół do siódmej. Może nocny portier mógłby postarać się o jakieś kanapki i kawę?

Zmarszczyła brwi i usiadła na łóżku.

— Nie, zaczekam i zjem porządne śniadanie — zamrugła oczami i dodała: — Nadal czuję się tak, jakbym prowadziła samochód.

— Nie powinnaś się tak spieszyć.

— Inaczej mówiłeś, kiedy widzieliśmy się ostatnio.

Denison nie wiedział, jak ma to traktować, więc odparł lakonicznie:

— Racja.

Milczenie przedłużało się.

— Jak tam twoja matka?

— W porządku — powiedziała obojętnie Lyn. — Ale on, mój Boże, jest taki nudny!

— Dlaczego?

— No, tylko siedzi w biurze i robi pieniądze. Och, wiem, że ty jesteś bogaty, ale zdobyłeś majątek robiąc COŚ. A on tylko robi pieniądze.

Denison domyślił się, że „on” to John Howard Metford, który był jakąś „szychą w City”.

— Metford nie jest takim złym facetem — zaryzykował.

— To nudziarz — stwierdziła stanowczo. — I ostatnio inaczej o nim mówiłeś.

Denison postanowił powstrzymać się od wydawania jakichkolwiek sądów.

— Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

— Od Andrewsa. Kiedy powiedział mi, że jesteś w Skandynawii, pomyślałam, że będziesz tu albo w Helsinkach.

Nagle zmieszała się.

— Teraz nie jestem pewna, czy powinnam była przyjeżdżać.

Denison zdał sobie sprawę z tego, że stoi nad nią. Usiadł w fotelu,

a ona, jakby w odpowiedzi, wyciągnęła się na łóżku.

— A czemu nie? — spytał.

— Chyba nie mówisz tego poważnie? — W jej głosie był sarkazm i gorycz. — Wciąż mam w pamięci tę okropną kłótnię sprzed dwu lat, a kiedy nie pamiętałeś o moich dwudziestych pierwszych urodzinach, wiedziałam, że zrobiłeś to umyślnie. Bo przecież nie zapomniałeś o moich urodzinach? Ty nigdy o niczym nie zapominasz.

Wpłynął na niebezpieczne wody.

— Dwa lata to szmat czasu — wykręcił się banałem.

Będzie musiał nauczyć się mówić jak polityk — wypowiadać wiele słów, które nie znaczą.

— Zmieniłeś się — stwierdziła. — Jesteś... jesteś spokojniejszy. To na nic.

— Nadal potrafię być przykry, jeśli chcę — uśmiechnął się. — Może po prostu jestem starszy i chyba odrobinę mądrzejszy.

— Ty zawsze byłeś mądry — westchnęła Lyn. — Gdybyś tylko nie miał zawsze racji. Mimo to, chciałam ci coś powiedzieć prosto w oczy. Byłam rozczarowana, kiedy dowiedziałam się, że nie ma cię w Anglii, więc pognałam tutaj.

Zawahała się.

— Daj mi papierosa.

— Przestałem palić.

Wytrzeszczyła oczy.

— Naprawdę się zmieniłeś.

— Na jakiś czas — dodał i wyciągnawszy rękę, otworzył szufladę komody. Wyjął złotą papierośnicę i zapalniczkę, po czym poczęstował dziewczynę.

— Miałem paskudną grypę. Wzięła papierosa i zapaliła go.

— Do tej pory nigdy cię to nie powstrzymywało.

Nerwowo zaciągnęła się i wydmuchnęła kłęb dymu.

— Pewnie jesteś zdziwiony, że nie palę trawki.

Denison podejrzewał, że ma do czynienia z czymś, o czym dotychczas jedynie słyszał — z konfliktem pokoleń.

— Przestań pleść bzdury, Lyn. O co ci chodzi?

— Prosto z mostu, jak zwykle. W porządku. Zrobiłam dyplom.

Spojrzała na niego wyczekująco i zrozumiał, że to miała być bomba. Nie wiedział, jak powinien zareagować, ale uznał, że lepiej potraktować ją z najwyższą ostrożnością. Jednakże uzyskanie dyplomu było zwykle powodem do gratulacji, więc powiedział:

— To dobra wiadomość, Lyn.

Spojrzała na niego czujnie.

— Naprawdę tak uważasz?

— To najlepsza wiadomość, jaką ostatnio słyszałem.

Wydawało się, że jej ulżyło.

— Mama uważała, że to głupota... że z tymi wszystkimi pieniędzmi, jakie dostanę, nie powinnam zawracać sobie głowy pracą, a szczególnie przy tych zasmarkanych dzieciach z West Endu. Wiesz, jaka ona jest. A Nudziarzowi było wszystko jedno.

Przez chwilę jej głos brzmiał wręcz żałościwie.

— Naprawdę tak uważasz?

— Oczywiście.

Stwierdził, że naprawdę jest zadowolony, i dlatego wypadł bardzo przekonująco.

— Och, tatusiu, tak się cieszę!

Wygramoliła się z łóżka i podeszła do torby.

— Spójrz, co tu jest napisane. Zresztą i tak będę musiała wyrobić sobie nowy paszport.

Otworzyła paszport i pokazała mu.

— Zawód — nauczycielka! — oznajmiła dumnie.

Popatrzył na nią.

— Dobrze zdałaś?

Skrzywiła się.

— Dość dobrze.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

— Pewnie myślisz, że córka Meyricka powinna zdać z wyróżnieniem.

W myślach przeklął Meyricka, który najwidoczniej stawiał nieludzkie wymagania. Dziewczyna była bliska wybuchu i każde nierozważne słowo mogło wywołać eksplozję, w której ktoś ucierpi — prawdopodobnie Lyn.

— Bardzo się cieszę, że zrobiłaś dyplom — rzekł spokojnie. — Gdzie będziesz uczyć?

Napięcie opuściło ją i znów położyła się na łóżku.

— Najpierw powinnam nabrać doświadczenia — stwierdziła poważnie. — Ogólnego doświadczenia. Potem zamierzam zrobić specjalizację. Jeżeli już mam mieć kupę pieniędzy, to trzeba je dobrze wykorzystać.

— Jak?

— Muszę wiedzieć znacznie więcej o tym, co robię, zanim będę mogła ci to wyjaśnić.

Denison zastanawiał się, jak ten młodzieńczy idealizm wytrzyma próbę czasu. Jednak mając entuzjazm i pieniądze można wiele zdziałać. Uśmiechnął się:

— Wygląda na to, że ułożyłaś sobie plan na całe życie. Czy w tym programie jest miejsce na małżeństwo i rodzinę?

— Oczywiście, pod warunkiem, że będzie odpowiednim mężczyzną, to znaczy będzie chciał tego, co ja.

Wzruszyła ramionami.

— Jak do tej pory nie spotkałam takiego. Facetów na uniwersytecie można podzielić na dwa rodzaje: tępaków, którzy są zadowoleni z obecnego systemu, i idealistów, którzy nie są. Tępaki pracują na swoje emeryturki, zanim jeszcze zdążą podjąć pierwszą pracę, a idealisci są diabelnie naiwni i niepraktyczni. Ani jedni, ani drudzy mi nie odpowiadają.

— Z pewnością znajdzie się ktoś odpowiedni — przepowiedział Denison.

— Skąd możesz to wiedzieć?

Roześmiał się.

— A jak myślisz, skąd się wzięła eksplozja demograficzna? Mężczyźni i kobiety zazwyczaj jakoś się schodzą. Tak to już jest urządzone.

Zgasła papierosa, położyła się i zamknęła oczy.

— Zaczekam.

— Podejrzewam, że nie będziesz czekała długo.

Nie odpowiedziała; przyjrzał się jej uważnie. Zasnęła błyskawicznie jak psiak, co nie było takie dziwne zważywszy, że całą noc spędziła za kierownicą. On też nie spał, ale sen to ostatnia rzecz, na którą mógł sobie pozwolić.

Włożył marynarkę i wziął kluczyki z zamykanej na zamek błyskawiczny przegródki w torbie dziewczyny. W holu zobaczył dwie walizki stojące przed kontuarem i upewniwszy się, że należą do Lyn, zwrócił się do portiera:

— Chciałbym zabrać bagaże mojej córki. Jaki jest numer jej pokoju?

— Czy ona ma tu rezerwację, panie Meyrick?

— Możliwe.

Portier sprawdził i wziął klucz.

— Pokój czterysta trzydzieści. Zaniosę bagaż na górę.

W pokoju Lyn Denison dał napiwek portierowi i gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, położył obie walizki na stole. Otworzył je kluczykami i szybko przeszukał, starając się nie pomieszać zawartości. Nie znalazł w nich zbyt wielu wskazówek

rzucających światło na osobę Lyn Meyrick. Obejrzał swoją — czy raczej Meyricka — fotografię oprawioną w skórzane etui. Sąsiednia ramka była pusta. W rogu jednej walizki leżał mały pluszowy niedźwiadek, wytarty od dziecinnych czułości i zachowany zapewne jako maskotka. W drugiej — dwa podręczniki: o teorii i praktyce nauczania oraz o psychologii dziecka. Oba opasłe, pełne wykresów i tabel.

Zapakował walizki i zamknął je na klucz, a potem postawił na stojaku i poszedł do swojego pokoju. Gdy winda zatrzymała się na trzecim piętrze, ujrzał Armstronga wysiadającego z sąsiedniej kabiny. Armstrong trzymał w ręku kopertę.

— Mr Carey kazał mi to panu dać.

Denison rozdarł kopertę i przejrzał krótką notatkę napisaną na maszynie na pojedynczej kartce papieru. Jedyne, czego jeszcze nie wiedział, to informacja, że ulubionym sportem Lyn Meyrick była gimnastyka.

— Carey będzie musiał lepiej się postarać — rzekł krótko.

— Robimy, co możemy — odparł Armstrong. — Później, kiedy ludzie w Anglii się obudzą, dowiemy się więcej.

— Informujcie mnie — polecił Denison. — I niech pan przypomni Careyowi, że nadal czekam na wyjaśnienia.

— Powiem mu.

— Jeszcze jedno. Lyn mówiła, że znalazłaby mnie tu, w Oslo, albo w Helsinkach. To mnie zdziwiło, ale przypomniałem sobie, że nic nie wiem o tym cholernym Meyricku. Carey wspomniał o aktach Meyricka... Chcę je zobaczyć.

— Nie sądzę, aby to było możliwe — powątpiewał Armstrong. — Nie daje pan gwarancji bezpieczeństwa.

Denison zmierzył go zimnym spojrzeniem.

— Ty głupcze! — powiedział spokojnie. — Teraz ja jestem jedyną waszą gwarancją, i niech pan nie zapomni przypomnieć o tym Careyowi.

Carey minął skąpany w ciepłych promieniach słonecznego popołudnia ratusz Oslo i obrzucił budynek sardonicznym spojrzeniem. Każdy posąg przedstawiał inny zawód, a całość, niewątpliwie, miała uosabiać Dostojeństwo Pracy. Doszedł do wniosku, że ojcowie miasta musieli kiedyś być socjalistami.

Usiadł na ławce i patrzył na port oraz Oslofjord. Powoli przepłynął statek — prom zmierzający do Kopenhagi — i wciąż przyływały i odpływały mniejsze, lokalne promy do Bygdoy, Ingierstrand oraz innych miejscowości leżących nad fiordem. Właśnie przedefilowali przed nim obwieszeni aparatami turyści i zatrzymał się autokar z kolejną grupą.

Podszedł McCready i usiadł na ławce. Carey, ze wzrokiem wciąż utkwionym przed siebie, powiedział z rozmarzeniem:

— Kiedyś moja praca była łatwa, wystarczyło dobrze się rozglądać. To było w czasach, gdy Jozue wysyłał swoich szpiegów do ziemi Caanan. Potem wtrącili się do tego ci cholerni naukowcy i wszystko spieprzyli.

McCready nie odpowiedział; nieraz widział już Careya w takim nastroju i wiedział, że trzeba po prostu poczekać, aż tamten powie, co mu leży na wątrobie.

— Czy zdajesz sobie sprawę, do czego doszło? — spytał retorycznie Carey. — Myślę, że jesteś Georgem McCreadym, ale mogę się mylić. Co więcej, ty sam możesz uważać, że jesteś Georgem McCreadym i — jeśli wierzyć Hardingowi — też możesz się mylić. Co, do diabła, mam robić w takiej sytuacji?

Nie zwrócił uwagi na to, że McCready otwiera usta.

— Ci cholerni jajogłowi schrzanią cały ten świat — rzucił wściekle i wskazał na rząd posągów. — Przyjrzyj się tym kamiennym pracusiom. Same wymierające zawody. Niebawem umieszczą tam mój posąg z napisem „Agent wywiadu, Mark II”, a moją robotę przydzielą jakiemuś nowoczesnemu komputerowi. Gdzie jest Denison?

— Śpi w hotelu.

— A dziewczyna?

— Też śpi. W swoim pokoju.

— Jeśli przespał się choć pięć minut, to i tak o pięć minut dłużej niż ja. Chodźmy i zbudźmy tego biednego drania. Mrs Hansen dołączy do nas w hotelu.

Wstał i McCready zapytał:

— Ile masz zamiar mu powiedzieć?

— Tyle, ile będę musiał i ani słowa więcej — rzekł krótko Carey. — A to i tak za dużo. Już przyciskał mnie przez młodego Iana. Chce zobaczyć akta Meyricka.

— Nie możesz oczekiwać, że będzie udawał Meyricka niczego o nim nie wiedząc — zauważył rozsądnie McCready.

— Dlaczego ta przekłeta dziewczyna zjawiała się tutaj? — mruczał Carey. — Jakbyśmy mieli mało kłopotów. Dziś rano pokłóciłem się z Hardingiem.

— To mnie nie dziwi.

— George, nie mam wyboru. Skoro zabrakło Meyricka, muszę posłużyć się Denisonem. Będę grał czysto; powiem mu prawdę, no może nie całą, ale to, co mu powiem, będzie prawdą... i pozwolę mu podjąć decyzję. A jeśli zdecyduje się wycofać, to już mój pech.

McCready zauważył wtrącone mimochodem zastrzeżenie i potrząsnął głową. Prawda w wydaniu Careya zmieniała barwę jak kameleon. Denison nie miał szans.

Carey kontynuował:

— Iredale powiedział coś, od czego dreszcz przebiegł mi po plecach. Ten silikon, który wprowadzono Denisonowi pod skórę, został wstrzyknięty w postaci płynnej, ale w tkankach zestala się do konsystencji tłuszczu i jest trwały. Jeżeli Denison zechce odzyskać swoją twarz, potrzebna będzie poważna operacja plastyczna. Będą musieli po prostu wyskrobać to świństwo.

McCready skrzywił się.

— Rozumiem, że to jest ta część prawdy, której nie zamierzasz mi wyjawiać.

— Tak i jeszcze coś, o czym usłyszałem od Hardinga.

Carey przystanął.

— No, jesteśmy przed hotelem. Chodźmy i załatwmy to.

Denison zbudził się z głębokiego snu, słysząc głośne łomotanie do drzwi. Podniósł się chwiejnie, założył szlafrok i otworzył.

— Przepraszam, że budzę — sumitował się Carey — ale już czas, żebyśmy porozmawiali.

Denison zamrugął oczami.

— Proszę wejść.

Odwrócił się i zniknął w łazience, a Carey, McCready i Mrs Hansen weszli do pokoju. Denison wrócił, wycierając twarz ręcznikiem. Spojrzał na Dianę Hansen.

— Mogłem się domyślić.

— Znacie się już — powiedział Carey. — Mrs Hansen pilnowała Meyricka.

Odślonił zasłonę, wpuszczając do pokoju dzienne światło, i rzucił na stół jakąś kopertę.

— Więcej danych o dziewczynie. Cała kupa ludzi w Anglii zajmuje się zbieraniem informacji dla pana.

— Nie dla mnie — poprawił Denison. — Dla was!

Odłożył ręcznik.

— Ona w każdej chwili może zacząć grę pod tytułem „A pamiętasz...?” Wtedy nie pomogą żadne wasze informacje.

— Nie pozostaje panu nic innego, jak udawać kiepską pamięć — rzekł McCready.

— Muszę wiedzieć więcej o Meyricku — nalegał Denison.

— Przyszedłem tu po to, żeby panu powiedzieć. — Carey przysunął mu fotel. — Niech pan wygodnie usiądzie. To zajmie trochę czasu.

Sam zajął drugi fotel i wyciągnął pękatą fajkę, którą zaczął nabijać. McCready i Diana usadowili się na wolnym łóżku. Carey wyjął zapalki i zapalił fajkę.

— Zanim zaczniemy o Meyricku, powinien pan dowiedzieć się, że odkryliśmy, jak i kiedy dokonano zamiany. Otóż zastanowiliśmy się, jak my byśmy zrobili coś takiego, a potem sprawdziliśmy naszą teorię. Został pan przyniesiony na noszach ósmego lipca i umieszczony w pokoju trzysta sześćdziesiąt trzy, zaraz naprzeciwko. Meyricka prawdopodobnie uspio „głupim Jasiem” dodanym do jego wieczornej kawki, lub czymś takim, i tuż po północy albo nad ranem dokonano zamiany.

— Meyricka zabrano następnego dnia rano, zanim pan się obudził — powiedział McCready. — Za zgodą personelu hotelu zniesiono go do karetki, a potem zawieziono na przystań numer dwa przy Vippetangen, gdzie przetransportowano go na statek płynący do Kopenhagi. Tam już czekała na niego inna karetka, która zabrała go Bóg wie gdzie.

— Gdyby natychmiast skontaktował się pan z ambasadą — rzeki Carey — moglibyśmy wcześniej rozwikłać tę zagadkę, i wtedy to my czekaliibyśmy w Kopenhadze.

— Rany boskie! — wykrzyknął Denison. — Czy wtedy szybciej uwierzylibyście mi? I tak zabrało wam sporo czasu, żeby tu ściągnąć waszego lekarza i oswojonego psychiatrę.

— Ma rację — przyznał McCready.

— Myślisz, że dlatego zrobili to w ten sposób? Żeby zyskać na czasie?

— Możliwe — odparł McCready. — Udało im się, no nie?

— Och, jasne, że im się udało. Jedyne co mnie dziwi, to ta historia na Spiralen następnego dnia.

Carey odwrócił się do Denisona.

— Ma pan tę lalkę i notatkę?

Denison otworzył szufladę i podał mu je. Carey rozwinął kartkę i głośno przeczytał wiadomość.

— „Twoja Drammen Dolly oczekuje cię na Spiraltoppen. Wczesnie rano, 10 lipca.”

Podniósł papier do nosa i powąchał.

— Perfumowany. Myślałem, że ta moda skończyła się w latach dwudziestych.

— Pierwszy raz słyszę o tej notatce — powiedziała Diana. — Wiedziałam o lalce, ale nie o notatce.

— Ona zaprowadziła Denisona do Spiralen — wyjaśnił McCready.

— Czy mogę ją zobaczyć? — zapytała i Carey podał jej kartkę. Przeczytała i powiedziała z namysłem: — To mogło być wtedy...

— Tak, Mrs Hansen? — podchwycił Carey.

— No, kiedy Meyrick i ja pojechaliśmy w zeszłym tygodniu do Drammen, jedliśmy obiad w restauracji na Spiraltoppen.

Wyglądała na lekko zmieszana.

— Musiałam pójść do toalety i nie było mnie dość długo. Miałam kłopoty z żołądkiem... jakaś nagła biegunka.

McCready wyszczerzył zęby.

— Nawet agenci wywiadu są tylko ludźmi — zauważył uprzejmie.

— Kiedy wróciłam, Meyrick gawędził z jakąś kobietą i wydawało się, że dobrze im się rozmawia. Gdy podchodziłam, ona szybko odeszła.

— To wszystko? — spytał Carey.

— Wszystko.

Spojrzał na nią w zadumie.

— Myślę, że jest coś jeszcze, coś, co pani przemilczała, Mrs Hansen.

— No, chodzi o Meyricka. Przez ostatnie tygodnie spędziłam z nim wiele czasu i sprawiał na mnie wrażenie ostrego kobieciarza, może nawet seksualnego atlety. McCready zachichotał.

— Czy robił pani nieprzyzwoite propozycje?

— Miał tyle rąk, co ośmiornica macek. Zastanawiałam się, czy zdołam dotrwać do końca operacji, nie zostając zgwałcona. Myślę, że nie przepuściłby niczemu, co ma

dwie nogi i nosi spódniczkę... może oprócz Szkota, ale i tego nie jestem pewna.

— No, no — powiedział Carey. — Jak mało wiemy o naszych bliźnich.

— Był dwukrotnie rozwiedziony — wtrącił Denison.

— A więc sądzi pani, że ta notatka wyznaczała schadzkę.

— Tak — odparła Diana.

— Przecież Meyrick nie dałby się nabrać, obojętnie, jak bardzo był napalony — stwierdził Carey. — Był zbyt inteligentny. Kiedy w zeszłym tygodniu wybierał się z panią do Drammen, powiadomił mnie. Zgodnie ze wskazówkami. Ponieważ pani z nim jechała, wyraziłem zgodę.

— Czy Meyrick wiedział, że Diana pracuje dla pana? — zapytał Denison.

Carey potrząsnął głową.

— Nie. Woleliśmy zachować to w tajemnicy. Jednak Meyrick nie znalazł notatki.

Wskazał ustnikiem fajki na Denisona.

— Pan ją znalazł i pojechał na Spiralen. Niech pan powie, czy mężczyźni, którzy pana zaatakowali, sprawiali wrażenie, iż chcą pana złapać czy zabić?

— Nie zatrzymywałem się, żeby ich o to zapytać — odparł kwaśno Denison.

— Hm — mruknął Carey i pogrążył się w myślach, raz po raz pykając fajkę. Po chwili poruszył się i rzekł:

— W porządku, pani Hansen. Myślę, że to wszystko.

Skinęła głową i opuściła pokój, a Carey zerknął na McCready'ego.

— Chyba musimy mu powiedzieć o Meyricku.

McCready wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Nie wiem, jak mógłbyś się z tego wykręcić.

— Muszę wiedzieć — nalegał Denison — jeśli mam nadal odgrywać jego rolę.

— Ufam Mrs Hansen, a ona nie wie — rzekł Carey. — A przynajmniej nie wszystko.

Działam w myśl zasady „wiedzieć tylko tyle, ile trzeba”.

Westchnął.

— Sądzę, że pan powinien wiedzieć, więc mówię. Po pierwsze, Meyrick jest Finem.

— Z takim nazwiskiem?

— Dziwne, ale to jego własne nazwisko. W 1609 roku Anglicy wysłali dyplomatę na dwór Michała, pierwszego cara z dynastii Romanowów, aby wynegocjował traktat handlowy i rozwinął handel futrami. Dworacy Jakuba I musieli skądś dostawać swoje cholerne gronostaje. Ten dyplomata nazywał się Merick — czy Meyrick — i był bardzo płodny. W każdym nadbałtyckim kraju zostawił swoich potomków, a ostatecznym

tego wynikiem jest Harry Meyrick.

— Wygląda na to, że Harry wdał się w swojego przodka — skomentował McCready. Carey zignorował uwagę.

— Oczywiście, po fińsku nazywał się nieco inaczej, lecz kiedy wyjechał do Anglii, powrócił do rodzowego nazwiska. Jednak to tylko przy okazji.

Odłożył fajkę.

— Co bardziej istotne, to to, że Meyrick jest karelskim Finem; mówiąc dokładniej, gdyby został w domu, byłby teraz Rosjaninem. Czy dobrze orientuje się pan w historii nowożytnej?

— Przypuszczam, że przeciętnie — odrzekł Denison.

— Co oznacza, że piekielnie kiepsko — zauważył Carey. — No dobrze; w 1939 roku Rosjanie napadli na Finlandię i Finowie powstrzymali ich w czasie tak zwanej wojny zimowej. W 1941 roku Niemcy zaatakowały Rosję i Finowie uznali to za sprzyjającą okazję do odegrania się na Ruskich, a szkoda, gdyż w ten sposób znaleźli się po stronie przegranych. Mimo to trudno sobie wyobrazić, że mogli postąpić inaczej. Pod koniec wojny, którą Finowie nazywają przedłużoną wojną, podpisano traktat pokojowy i przesunięto granicę. Poprzednia przebiegała zbyt blisko Leningradu, co denerwowało Rosjan. Artylerzysta stojący w Finlandii mógł ślać pociski w samo centrum Leningradu, więc Rosjanie zagarnęli cały Półwysep Karelski, a wraz z nim sporo innych miejsc. W ten sposób rodzinne miasto Meyricka, Enso, znalazło się po rosyjskiej stronie, a Rosjanie zmienili jego nazwę na Swietogorsk.

Carey posłał fajkę, która zgasła. Zabułgotała nieprzyjemnie.

— Czy mówię jasno?

— Wystarczająco jasno — odparł Denison. — Jednak potrzebuję czegoś więcej niż lekcji historii.

— Dochodzimy do tego — uspokoił go Carey. — Pod koniec wojny Meyrick miał siedemnaście lat. W Finlandii panował piekielny bałagan; wszyscy karelscy Finowie opuszczali półwysep, ponieważ nie chcieli żyć pod rosyjskim panowaniem. To z kolei wywołało zamieszanie w całym kraju, bo nie było gdzie ich ulokować. Finowie musieli cholernie ciężko pracować na reparacje, których zażądali Rosjanie, i nie starczyło pieniędzy, ludzi ani czasu na budowanie domów. Tak więc zwrócili się do Szwedów i spokojnie zapytali, czy ci nie przyjęliby stu tysięcy emigrantów. Carey strzelił palcami.

— Ot, tak, a Szwedzi wyrazili zgodę.

— Bardzo szlachetnie z ich strony — mruknął Denison.

Carey skinął głową.

— I tak młody Meyrick znalazł się w Szwecji. Nie został tam długo, wkrótce przybył tutaj, do Oslo, gdzie mieszkał do ukończenia dwudziestu czterech lat. Potem wyjechał do Anglii. Przez cały czas był zupełnie sam — jego rodzina zginęła w czasie wojny — lecz gdy tylko znalazł się w Anglii, ożenił się po raz pierwszy. Jego żona miała to, czego potrzebował — pieniądze.

— A kto nie potrzebuje pieniędzy? — zapytał cynicznie McCready.

— Pójdzie nam szybciej, jeżeli przestaniesz robić głupie uwagi — skarcił go Carey.
— Musi pan także wiedzieć i to, że Meyrick jest bardzo bystry. Ma smykałkę do wynalazków, szczególnie w dziedzinie elektroniki, i jeszcze coś, czego na ogół brak przeciętnym wynalazcom: umiejętność zamieniania swoich wynalazków na gotówkę. Kapitał pierwszej pani Meyrick wynosił zaledwie kilka tysięcy funtów, co jednak wystarczyło mu na początek. Kiedy się rozwiedli, zrobił z niej milionerkę, a drugie tyle zostawił sobie. I dalej robił pieniądze.

Carey zapalił zapałkę i przyłożył ją do fajki.

— Był nie tylko bystry, ale i bogaty. Posiadał kilka fabryk i złapał parę kontraktów z Ministerstwa Obrony. Sporo jego elektroniki jest zarówno w angielsko-francuskim myśliwcu Jaguar, jak i w concordzie. Produkował również przeróżne części do czołgu Chieftain. Teraz osiągnął pozycję pozwalającą mu kierować pracą specjalnych komisji do spraw technicznych związanych z obronnością, a premier wybrał go do Trustu Mózgów. Jest piekielnie ważnym facetem, ale zwykły zjadacz chleba nic o nim nie wie. Rozumie pan?

— Tak sędzę — odrzekł Denison. — Jednak to mi cholernie mało daje.

Carey wydmuchnął w powietrze kłęb dymu.

— Myślę, że Meyrick odziedziczył intelekt po swoim ojcu, zatem zajmijmy się jego starym.

— Czy musimy? — westchnął Denison.

— To istotne — potwierdził beznamiętnie Carey. — Hannu Merikken był fizykiem i wszystko wskazuje na to, że niezłym. Z tego, co o nim wiemy, wynika, że gdyby nie został zabity w czasie wojny, kandydowałby teraz do Nagrody Nobla. Wojna uniemożliwiła mu jego poprzednie badania, zaczął wtedy pracować dla fińskiego rządu w Viipuri, które było drugim co do wielkości miastem Finlandii. Jednak leżało w Karelii i teraz należy do Rosjan, którzy nazwali je Wyborg.

Spojrzał na zamknięte oczy Denisona i powiedział ostro:

— Mam nadzieję, że pana nie nudzę.

— Niech pan mówi dalej. Po prostu usiłuję zapamiętać nazwy.

— Viipuri zostało w znacznym stopniu zniszczone w czasie wojny; laboratorium Merikkena również legło w gruzach. Tak więc wyniósł się stamtąd co prędzej i wrócił do domu w Enso, leżącego około trzydziestu kilometrów od Viipuri. Wiedział już, że nic nie powstrzyma Rosjan, i chciał zabezpieczyć swoje papiery, żeby nie zaginęły. Przed wojną prowadził liczne badania, ale wyników nie opublikował.

— I co zrobił? — zapytał Denison. Opowieść zainteresowała go.

— Włożył papiery do metalowej skrzynki, zamknął ją szczelnie i zakopał w ogrodzie przy domu. Pomagał mu w tym młody Harri Merikken, nasz Harry Meyrick. Następnego dnia Hannu Merikken, jego żona i młodszy syn zostali zabici przez tę samą bombę, a gdyby Harri był wtedy w domu, zginąłby także.

— A te papiery są ważne?

— Tak — odparł ponuro Carey. — W zeszłym roku Meyrick był w Szwecji i natknął się na kobietę, która przygarnęła go na jakiś czas, gdy został ewakuowany z Finlandii. Powiedziała, że robiła porządki na strychu i natrafiła na pudełko, które zostawił. Oddała mu je. Tej nocy w hotelu przejrzał jego zawartość. Większość znalezionych tam przedmiotów ubawiła go — pozostałości entuzjazmu siedemnastolatka. Były tam schematy zaprojektowanego przez niego radioodbiornika — już wtedy interesował się elektroniką — kilka rysunków zdalnie sterowanego modelu samolotu i tym podobne rzeczy. Jednak między stronami starego pisma dla radioamatorów znalazł kartkę zapisaną ręką ojca, i to sprawiło, że papiery ukryte w ogrodzie Merikkena stały się nagle naprawdę ważne.

— Czego dotyczyły?

Carey zignorował pytanie.

— Z początku Meyrick nie zdawał sobie sprawy z wagi znaleziska i powiedział o nim paru naukowcom w Szwecji. Potem coś mu zaskoczyło w głowie i pognął do Anglii, gdzie zaczął rozmawiać z właściwymi ludźmi. Mamy szczęście, że był taką grubą rybą, iż wiedział, z kim mówić. Ludzie, z którymi rozmawiał, zainteresowali się i w ostatecznym wyniku długotrwałych dyskusji na scenie pojawiłem się ja.

— Chodziło o to, żeby pojechać i pokopać w ogródku?

— Zgadza się. Sęk w tym, że ten ogród znajduje się teraz w Rosji. — Carey wytrząsnął fajkę do popielniczki. — Kilku moich ludzi węszy teraz przy rosyjskiej granicy. Zgodnie z planem, gdy tylko się zameldują, Meyrick i ja mieliśmy

przeskoczyć na drugą stronę i wykopać papiery.

McCready pstryknął palcami.

— Łatwe jak przejście przez Piccadilly.

— Jednak Meyricka porwano — przypomniał Carey. — I podstawiono pana.

— Tak — rzekł z ciężkim westchnieniem Denison. — Dlaczego mnie?

— Nie sądzę, że musimy się w to zanadto wgłębiać — stwierdził delikatnie Carey. Nie chciał, żeby Denison zaczął zastanawiać się nad swoją przeszłością i popadł w negatywizm. — Sądzę, iż potrzebowali kogokolwiek, kto był na tyle podobny do Meyricka, że do upodobnienia wystarczył tylko drobny zabieg chirurgiczny.

Była jeszcze cała lista innych warunków — ktoś, kogo nie będą zaraz szukać, ktoś o odpowiednich predyspozycjach psychicznych, ktoś łatwo osiągalny. Tę robotę przygotowano bardzo starannie w Anglii i w tej chwili w Londynie dziesięcioosobowy zespół brał pod lupę najdrobniejsze szczegóły życia Denisona w nadziei znalezienia śladów wskazujących jego porywaczy. Szkoda, że nie można było przesłuchać ofiary, ale Harding stanowczo to odradzał, a Carey potrzebował Denisona — nie chciał mieć na głowie wariata.

— W ten sposób dochodzimy do następnego aktu gry — rzekł. — Jacyś ludzie, nazwijmy ich Grupą X, zgarnęli Meyricka, ale nie zamierzają rozgłaszać tego faktu. Nie wiedzą, czy wpadliśmy na ślad zamiany, czy nie, a my nie mamy zamiaru im tego mówić.

Spojrzał na Denisona.

— I dlatego potrzebujemy pańskiej współpracy, Mr Denison.

— W czym? — spytał ostrożnie Denison.

— Chcemy, żeby nadal udawał pan Meyricka, i chcemy, żeby pojechał pan do Finlandii.

Denisonowi opadła szczęka.

— Przecież to niemożliwe — powiedział. — Nigdy mi się nie uda. Nie umiem po fińsku.

— Jak do tej pory udawało się panu — zauważył Carey. — Oszukał pan Mrs Hansen i całkiem dobrze radzi pan sobie z córką Meyricka. Harding miał całkowitą rację... Jest pan bardzo kompetentny.

— Ale język! Meyrick zna fiński.

— Mówi płynnie i idiomatycznie po fińsku, szwedzku, norwesku i angielsku — rzucił niedbale Carey. — Jego francuski ujdzie, ale włoski i hiszpański nie są zbyt

dobrze.

— To jak, do diabła, ma mi się udać? — dopytywał się Denison. — Znam tylko angielski i szkolną francuszczyznę.

— Proszę się nie przejmować. Coś panu opowiem. — Carey znów zaczął nabijać fajkę. — Pod koniec pierwszej wojny światowej wielu brytyjskich żołnierzy poślubiło Francuzki i zostało we Francji. Wielu z nich zatrudnił Komitet Grobów Wojennych do poszukiwania wojennych cmentarzy. Dwadzieścia lat później nadeszła następna wojna i nowy Brytyjski Korpus Ekspedycyjny. Ci nowi żołnierze stwierdzili, że starzy zupełnie zapomnieli angielski, swój ojczysty język, i umieją mówić tylko po francusku.

Zapalił zapałkę.

— I właśnie to zdarzy się Meyrickowi. Nie był w Finlandii od czasu, gdy miał siedemnaście lat; sądzę, że można spokojnie założyć, iż mógł zapomnieć ten język.

— Tylko do czego ja jestem wam potrzebny? Nie mogę przecież doprowadzić was do papierów, jedynie Meyrick mógł to uczynić.

— Kiedy to się stało — powiedział Carey — w pierwszym odruchu chciałem odwołać operację, ale potem zacząłem się zastanawiać. Po pierwsze, nie wiemy, czy Meyrick został porwany w związku z tą akcją. Mogło to nastąpić z innych powodów. W tym przypadku papiery są względnie bezpieczne. Po drugie, uświadomiłem sobie, że będzie pan znakomitym czynnikiem odwracającym uwagę... może pan pokrzyżować szyki przeciwnikom, tak samo jak oni pokrzyżowali je nam. Jeżeli pojedzie pan do Finlandii, nie będą wiedzieć, co u licha myśleć. W powstałym galimatiasie mamy szansę zagarnąć papiery. Co pan o tym sądzi, Denison?

— Myślę, że zwariowaliście.

Carey wzruszył ramionami.

— Mam zwariowany zawód i widziałem, jak udają się bardziej szalone przedsięwzięcia. Niech pan przypomni sobie majora Martina, człowieka, którego nie było.

— On nie musiał odpowiadać na pytania — rzekł Denison. — To wszystko jest po prostu śmieszne.

— Oczywiście, zapłacimy panu — powiedział spokojnie Carey. — Nawet bardzo dobrze zapłacimy. Otrzyma pan również rekompensatę za obrażenia, których pan doznał, a Mr Iredale jest gotów w każdej chwili doprowadzić pana do poprzedniego stanu.

— Doktor Harding też?

– Doktor Harding też – potwierdził Carey. Zastanawiał się, w jakim stopniu Denison zdaje sobie sprawę z tego, że jego procesy myślowe nie przebiegają normalnie.

– A jeśli odmówię? – spytał Denison. – Czy wtedy także otrzymam pomoc Iredale'a i Hardinga?

McCready znieruchomiał, czekając na odpowiedź Careya. Ten spokojnie wydmuchnął kłęb dymu.

– Oczywiście.

– A zatem to nie jest szantaż – stwierdził Denison.

Carey, którego nic nie było w stanie zaszokować, przybrał zaszokowany wyraz twarzy.

– Nie ma mowy o szantażu – oświadczył z godnością.

– Dlaczego papiery Merikkena są takie ważne? Co w nich jest?

– Tego nie mogę panu zdradzić – powiedział spokojnie Carey.

– Nie mogę czy nie chcę?

Carey wzruszył ramionami.

– W porządku, nie chcę.

– A więc odmawiam.

Carey odłożył fajkę.

– Tu chodzi o bezpieczeństwo państwa, Denison, i działamy na zasadzie „wiedzieć tylko tyle, ile to konieczne”. Mrs Hansen nie musi wiedzieć, Ian Armstrong nie musi wiedzieć. Pan też nie musi.

– Zostałem porwany i pchnięty nożem – zirytował się Denison. – Zmieniono mi twarz i grzebano w moim umyśle.

Podniósł rękę.

– Och, wiem o tym, Harding tyle mi uświadomił, i jestem przerażony do szpiku kości, gdy próbuję przypomnieć sobie, kim przedtem byłem. Teraz prosicie mnie, żebym uczestniczył w tej szaradzie, pojechał do Finlandii i znów naraził się na niebezpieczeństwo.

Głos mu drżał.

– A kiedy pytam was dlaczego, macie czelność mówić mi, że nie muszę wiedzieć.

– Przykro mi.

– Nie obchodzi mnie, jak bardzo jest panu przykro. Możecie zarezerwować mi bilet na samolot do Londynu.

— I kto kogo teraz szantażuje? — spytał ironicznie Carey.

— To uzasadnione żądanie — stwierdził McCready.

— Wiem o tym, do diabła! — Carey obrzucił Denisona lodowatym spojrzeniem. — Jeżeli piśnie pan choć słowo o tym, co teraz panu powiem, spędzi pan resztę życia za kratami. Zadbam o to osobiście. Zrozumiano?

Denison kiwnął głową.

— Nadal chcę to wiedzieć — upierał się.

Carey wyduszał słowa z opornych warg:

— Wygląda na to, że w 1937 lub 1938 roku Hannu Merikken odkrył sposób odbijania promieni rentgenowskich.

Denison spojrzał na niego pustym wzrokiem.

— Czy to wszystko?

— To wszystko — potwierdził Carey.

Wstał i przeciągnął się.

— To mi nie wystarcza — odparł Denison. — I co w tym tak cholernie ważnego?

— Powiedziano panu to, co chciał pan wiedzieć. Powinien pan być zadowolony.

— To za mało. Muszę wiedzieć, jakie to ma znaczenie.

Carey westchnął.

— W porządku. George, powiedz mu.

— Na początku też tak uważałem — rzekł McCready. — Tak jak pan nie wiedziałem, po co to całe zamieszanie. Prowadząc pewne badania podstawowe, Merikken odkrył ten efekt przed wojną, a w tamtych czasach nie miało to większego zastosowania. Znaczenie promieni X opierało się na ich działaniu przenikającym i kto chciałby je odbijać. Tak więc Merikken odnotował zjawisko jako ciekawe, lecz bezużyteczne, i nie opublikował go.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

— Dowcip polega na tym, że teraz każde laboratorium przemysłu zbrojeniowego na świecie stara się znaleźć sposób na odbicie promieni X, ale nikomu się to jeszcze nie udało.

— A dlaczego odkrycie stało się takie ważne?

— Dlatego że wynaleziono laser — wyjaśnił Carey grobowym głosem.

— Czy wie pan, jak działa laser? — zapytał McCready, a kiedy Denison potrząsnął przecząco głową, powiedział: — Weźmy na przykład pierwszy laser, jaki skonstruowano w 1960 roku. Składał się z długiego na cztery cale pręta o średnicy

mniej niż pół cala, wykonanego z syntetycznego rubinu. Jeden koniec był posrebrzony, aby utworzyć zwierciadlaną powierzchnię, a drugi tylko częściowo posrebrzony. Pręt owinięto spiralną lampą wyładowczą, nieco podobną do lampy błyskowej, używanej w fotografii. Rozumie pan?

— Na razie tak.

— W tych elektronowych lampach błyskowych jest więcej energii, niż ludzie sądzą. Na przykład zwykła lampa błyskowa, używana przez zawodowego fotografa, wyzwala energię równą w przybliżeniu 4000 koni mechanicznych w tym niewielkim ułamku sekundy, kiedy wyładowują się kondensatory. Flesz wykorzystywany w pierwszych laserach był znacznie silniejszy — powiedzmy około 20 000 koni mechanicznych. Kiedy lampa błyska, światło wchodzi do rubinowego pręta i następuje coś dziwnego: światło wędruje po nim tam i z powrotem, odbijając się od posrebrzonych końców, i wszystkie fotony wyrównują krok. Jajogłowi nazywają to światłem spójnym w odróżnieniu od zwykłego, w którym każdy foton wędruje osobno. Teraz, kiedy wszystkie fotony wędrują równo, narasta ciśnienie światła. Jeśli wyobrazi pan sobie grupkę ludzi próbujących wyważyć drzwi, to zobaczy pan, że szybciej im się to uda, jeżeli będą napierali razem, a nie pojedynczo. Wszystkie fotony napierają naraz i wypadają z półposrebrzonego końca pręta w postaci strumienia światła, a ten strumień ma energię prawie 20 000 koni mechanicznych, którą wprowadzono w pręt.

McCready uśmiechnął się.

— Jajogłowi mieli z tym wiele uciechy. Odkryli, że można tym wywiercić dziurę w ostrzu żyłki znajdującej się w odległości sześciu stóp. W swoim czasie proponowano, żeby określać moc lasera w gilettach.

— Trzymaj się tematu — wtrącił z irytacją Carey.

— Szybko dostrzeżono militarne znaczenie odkrycia. Na przykład można wykorzystać laser do mierzenia odległości. Wystrzel z niego w jakiś cel i zmierz odbite światło, a możesz oznaczyć odległość co do cala. Były też inne zastosowania, ale też jeden nieprzyjemny fakt. Laser wykorzystywał światło, a światło można łatwo zatrzymać. Nie trzeba dużej chmury, żeby wygasić strumień światła, obojętnie jak silny.

— A promienie X to co innego — rzekł z namysłem Denison.

— Racja! Teoretycznie możliwe jest zbudowanie lasera na promieniowanie rentgenowskie, ale jest pewien problem. Promienie X przenikają, ale nie odbijają się. Nikt nie znalazł sposobu, w jaki można by je odbić — oprócz Merikkaena, który odkrył

to przed wojną — a zasada działania lasera opiera się na wielokrotnym odbiciu.

Denison potarł podbródek, czując obwisły fałd. Zaczął się już do tego przyzwyczajać.

— Jakie zastosowanie miałby taki gadżet?

— Weźmy na przykład rakietę lecącą z prędkością iluś tam tysięcy mil na godzinę i uzbrojoną w głowicę nuklearną. Trzeba ją zestrzelić, w tym celu bierze się inną rakietę, np. taką jak amerykański sprint. Jednak nie wycelowuje się jej bezpośrednio w nieprzyjacielski pocisk, lecz tam, gdzie on będzie. To wymaga czasu na obliczenia i piekielnie dużej mocy obliczeniowej. Mając laser na promienie X, namierza się go na nieprzyjacielską rakietę. Laser działa z szybkością światła — 186 000 mil na sekundę — i przewierca ją na wylot.

— Bzdury — wtrącił Carey. — Przecina się ją na pół.

— Mój Boże! — wyszeptał Denison. — To promienie śmierci.

Zmarszczył brwi.

— Czy można uzyskać odpowiednią moc?

— Od czasu pierwszych laserów poczyniono znaczne postępy — powiedział sucho McCready. — W tych wielkich nie używa się już lamp, zasila się je energią z silników raketowych. Dzięki temu uzyskano moc rzędu milionów koni mechanicznych... jednak wciąż jest to zwykle światło. Promieniami X można by strącić satelitę z orbity.

— Teraz rozumie pan, jakie to ma znaczenie? — spytał Carey. A kiedy Denison skinął głową, zapytał go: — I co ma pan zamiar zrobić?

Zapadło długie milczenie. Denison zastanawiał się. Carey wstał, podszedł do okna i bębniąc palcami po szybie, patrzył na Studenterlunden. McCready z rękami założonymi za głowę wyciągnął się na łóżku i wbił wzrok w sufit.

Denison poruszył się i rozplótł dłonie. Wyprostował się w fotelu i przeciągnął, po czym głęboko westchnął.

— Nazywam się Harry Meyrick — powiedział.

Trzy dni później, schodząc na śniadanie, Denison kupił gazetę na stoisku w holu. Przejrzał ją popijając kawę, kiedy dołączyła do niego Diana Hansen.

— Co słytać? — spytała. Wzruszył ramionami.

— Świat nadal jedzie na taczkach do piekła. Posłuchaj tego. Pierwsza wiadomość. Dwa kolejne porwania samolotów, jedno udane, a drugie nie. W tym nieudanym — Boże pomóż! — zostali zabici dwaj pasażerowie. Druga — skażenie środowiska. Zderzenie tankowców na Bałtyku, piętnastomilowa plama dryfuje ku Gotlandii; Szwedzi są zrozumiale rozgoryczeni. Trzecia. Strajki w Anglii, Francji oraz we Włoszech i związane z nimi zamieszki w Londynie, Paryżu i Mediolanie. Czwarta...

Podniósł rękę.

— Mam kontynuować?

Upiła kawę.

— Ty też wydajesz się trochę rozgoryczony.

— A jak byś się czuła na moim miejscu? — spytał ponuro.

Diana wzruszyła ramionami.

— Gdzie Lyn?

— Młodzi mają zdrowy sen.

— Mam wrażenie, że ona ostrzy sobie pazurki, szykując się do wydrapania mi oczu — powiedziała w zadumie Diana. — Ostatnio zrobiła parę dziwnych uwag.

Wyciągnęła rękę i poklepała dłoń Denisona.

— Ona uważa, że jej tatuś wpadł w złe towarzystwo.

— Ile racji ma to dziecko.

— Dziecko! — Diana podniosła brwi. — Jest tylko osiem lat młodsza ode mnie. Już dawno przestała być dzieckiem, to zdrowa młoda kobieta i wcale nie głupia, więc uważaj na siebie.

Denison przechylił głowę na bok.

— Oczywiście! — rzekł z lekkim zdziwieniem. W duchu uważał, że Diana trochę przesadza. Oceniał jej wiek na trzydzieści dwa lata, co oznaczało, że prawdopodobnie ma trzydzieści cztery, a to czyniło ją o dwanaście lat starszą od Lyn — niewiele mniej w porównaniu z nim, który był o czternaście lat starszy od dziewczyny.

— Carey chce się z tobą widzieć — oznajmiła Diana. — Kiedy wyjdiesz z hotelu, skreć w lewo i przejdź około trzystu jardów, a znajdziesz się w miejscu, gdzie budują

jakiś pomnik czy coś takiego. Bądź tam około dziesiątej.

— W porządku.

— O, jest twoja kochana córeczka — zauważyła Diana i dodała głośniejszym głosem: — Dzień dobry, Lyn.

Denison odwrócił się i uśmiechnął z uznaniem, widząc szykowny wygląd Lyn. Wszystko zależy od pieniędzy, myślał, wspaniałe pomysły władców świata mody wyglądają jak łachmany, gdy przefiltruje się je przez pensję londyńskiej młodszej maszynistki.

— Dobrze spałaś?

— Świetnie — potwierdziła bez troski Lyn i usiadła. — Nie spodziewałam się, że zobaczę panią przy śniadaniu, Mrs Hansen. — Zerknęła z ukosa na Denisona. — Nocowała pani w hotelu?

— Nie, kochanie — odparła słodko Diana. — Przyniosłam twojemu ojcu wiadomość.

Lyn naląkała kawę.

— Co dziś robimy?

— Mam rano spotkanie w interesach — oświadczył Denison. — Może pójdziecie we dwie na zakupy?

Twarz Lyn zachmurzyła się na moment.

— W porządku — ucięła.

Diana odpowiedziała przesadnie słodkim uśmiechem.

Denison znalazł Careya podpierającego tyłkiem wystający gzyms, a plecami zwróconego do królewskiego pałacu. Agent spojrzął na nadchodzącego i rzekł szorstko:

— Jesteśmy gotowi do akcji. Czujesz się na siłach?

Denison skinął głową.

— Jak ci idzie z dziewczyną?

— Mam dość odgrywania tatusia — prychnął ze złością Denison. — Ledwie udaje mi się to ciągnąć. Ona zadaje cholernie trudne pytania.

— Jaka ona jest?

— Miła dziewczynka, której z pewnością groziłoby, że zostanie potwornie rozpuszczona, gdyby nie jedna rzecz.

— Tak?

— Jej rodzice rozwiedli się i to skomplikowało jej życie. Zaczynam sobie

uświadamiać, jakim niepoprawnym draniem jest Harry Meyrick.

Urwał i dodał:

— Czy też był.

Spojrzał na Careya.

— Jakież wieści?

Carey przecząco machnął ręką.

— Powiedz mi coś więcej.

— Hmm, jej matka to bogata suka, która ignoruje dziewczynę. Wydaje mi się, że gdyby jutro padła trupem, Lyn wcale by się tym nie przejęła. Jednak Lyn zawsze czuła respekt przed ojcem; nie lubi go, ale ma dla niego szacunek. Widzi w nim coś... coś w rodzaju Boga.

Denison potarł podbródek i powiedział w zadumie:

— Sądzę, że ludzie czują respekt przed Bogiem, ale czy naprawdę go lubią? Krótko mówiąc, za każdym razem, gdy próbowała zbliżyć się do Meyricka, zostawała odepchnięta. W ten sposób nie wychowuje się córki; to ją dobija.

— Mnie też nie podobała się jego arogancja — rzekł Carey. — I to jest to, co cię w końcu zdradzi. Nie jesteś wystarczająco zimnym draniem, żeby być Meyrickiem.

— Dzięki Bogu.

— Jednak jakoś ci z nią idzie? Jako Meyrickowi?

Denison skinął głową.

— Na razie tak, ale na przyszłość niczego nie gwarantuję.

— Myślałem o niej — powiedział Carey. — Założmy, że weźmiemy ją do Finlandii...

Co pomyśleliby przeciwnicy?

— Rany boskie! — skrzywił się z niesmakiem Denison.

— Pomyśl, człowieku! — nalegał Carey. — Sprawdziliby ją, a kiedy dowiedzieliby się, kim jest, byłiby cholernie speszeni. Pomyśleliby, że jeśli jesteś tak dobry, iż udało ci się zmylić córkę Meyricka, to jesteś wystarczająco dobry, żeby zwieść mnie.

— I niewiele by się pomylili — rzekł kwaśno Denison. — Musiałem ci powiedzieć, kim jestem.

— Możesz to zrobić. To powiększy zamieszanie, a w zamieszaniu trafiają się najlepsze okazje. W tej chwili potrzeba nam naprawdę dużo szczęścia. Poprosisz Lyn, żeby jutro poleciała z tobą do Helsinek?

Denison był zakłopotany.

— Jeżeli o mnie chodzi, to nie ma problemu. Ja wchodzę w to z otwartymi oczami,

ale ona jest oszukiwana. Czy zagwarantujesz jej bezpieczeństwo?

— Oczywiście. Będzie równie bezpieczna, jakby była w Anglii.

Minęła długa chwila, zanim Denison podjął decyzję.

— Dobrze — zgodził się z rezygnacją. — Poproszę ją.

Carey lekko poklepał go po ramieniu.

— W ten sposób wracamy do charakteru Meyricka. Jak powiedziałeś — to kawał drania. Pamiętaj o tym, kiedy będziesz z nią rozmawiał.

— Ty chcesz ją mieć w Finlandii — odparł Denison. — Ja nie. Gdybym naprawdę zachował się jak jej ojciec, uciekłaby gdzie pieprz rośnie, jak zawsze. Chcesz tego?

— Nie powiem, że chcę. Jednak jeśli przegniesz w drugą stronę, to zorientuje się, że nie jesteś Meyrickiem.

Denison pomyślał o wielu chwilach, kiedy zranił Lyn swoim pozornym zapominalstwem. Jak, na przykład, w sprawie jej maskotki; niedbale wziął ją do ręki i zapytał, co to jest.

— Przecież wiesz — powiedziała Lyn ze zdumieniem.

Nieostrożnie potrząsnął głową i dziewczyna wybuchła: — Przecież sam dałeś mu imię.

W jej oczach widział ból.

— Nazwałeś go Miś-Ptyś.

Denison uśmiechnął się kwaśno:

— Nie martw się; wystarczająco ją ranię będąc po prostu sobą.

— A więc to uzgodnione — ucieszył się Carey. — Macie jutro po południu spotkanie na Uniwersytecie Helsińskim z profesorem Pentti Kaarianenem. Zaaranżowała je twoja sekretarka.

— Kim on do diabła jest?

— Przed wojną był jednym z asystentów Hannu Merikkena. Masz przedstawić się jako syn Merikkena i wypytać go o to, co ojciec robił w swoim laboratorium od roku 1937 do 1939. Chcę się dowiedzieć, czy były jakieś przecieki o tych badaniach nad promieniami X.

Przerwał na chwilę.

— Weź ze sobą dziewczynę; uwiarygodni twoją legendę.

— Dobrze. — Denison zmierzył Careya twardym spojrzeniem. — Ona ma na imię Lyn. Nie jest jakąś cholerną kukielką, to ludzka istota.

Carey odpowiedział mu takim samym spojrzeniem.

— Tego właśnie się obawiam — rzekł.

Carey patrzył za odchodzącym Denisonem i czekał, aż przysiadzie się McCready. Westchnął.

— Czasami ogarnia mnie rozpacz.

McCready powstrzymał uśmiech.

— O co chodzi tym razem?

— Widzisz te budynki?

McCready spojrział na drugą stronę ulicy.

— Te nędzne domy?

— To Victoria Terrace. Teraz mieści się tam posterunek policji. Władze chciały rozebrać te budynki, ale miłośnicy zabytków sprzeciwili się i spór wygrali, zwracając uwagę na walory architektoniczne.

— Nie rozumiem.

— Wiesz, w czasie wojny mieściła się tam kwatera główna gestapo i wielu Norwegom te budynki wciąż śmierdzą.

Po chwili dodał:

— Miałem tam kiedyś spotkanie z człowiekiem o nazwisku Dieter Brun. Niezbyt przyjemny facet. Został zabity pod koniec wojny. Ktoś przejechał go samochodem.

McCready milczał, ponieważ nieczęsto zdarzało się, by Carey wspominał dawne czasy.

— Krążę po Skandynawii od prawie czterdziestu lat, od Spitsbergenu po granicę duńsko-niemiecką i od Bergen po granicę rosyjsko-fińską. W przyszłym miesiącu skończę sześćdziesiąt lat. I ten cholerny świat wcale się nie zmienił.

W jego głosie słychać było cichą melancholię.

Następnego dnia rano wszyscy polecili do Finlandii.

Lyn Meyrick martwiła się o swojego ojca — to dla niej zupełnie nowe i nieoczekiwane doświadczenie. Dotychczas obawy związane z jego osobą dotyczyły ich wzajemnych stosunków. Teraz niepokój o ojca sprawiał, że czuła dziwną pustkę w żołądku.

Ucieszyła się, kiedy zaproponował jej wyjazd do Finlandii; to zadowolenie powiększał fakt, że po raz pierwszy traktował ją jak dorosłą osobę. Zasięgał jej opinii i spełniał jej życzenia w sposób, w jaki nigdy przedtem tego nie robił. Nieśmiało zastosowała się do jego życzenia, żeby mówiła mu po imieniu, i przyzwyczaiła się do tego.

Jednak owo zadowolenie pomniejszała obecność Diany Hansen, przy której traciła całą swoją dorosłość i czuła się niezdarna jak podłotek. Zdumiewał ją też rodzaj związku łączącego Dianę i ojca. Z początku myślała, że są kochankami, co jej nie dziwiło ani nie szokowało. No, nie bardzo szokowało. Ojciec był jeszcze dosyć młodym mężczyzną, a matka nigdy nie ukrywała powodów ich rozvodu. Jednak Diana Hansen nie wydawała jej się kobietą odpowiednią dla ojca, a ich wzajemny stosunek był chłodny i niemal rzeczowy.

Jego zachowanie również budziło jej zdziwienie. Często stawał się zamyślony i nieobecny. To oczywiście nic nowego, ponieważ zawsze potrafił wyłączyć się w trakcie rozmowy, co sprawiało wrażenie, jakby odgradzał się od niej niewidoczną ścianą. Nowością było to, że wracając do rzeczywistości, uśmiechał się do niej tak jak nigdy przedtem, aż ścisnęło się jej serce. I zdawał się dokładać starań, żeby zrobić jej przyjemność.

A ponadto tracił pamięć. Nie zapominał o niczym wielkim czy istotnym, ale o mało ważnych sprawach, takich jak... jak na przykład Miś-Ptyś. Czy człowiek może zapomnieć o zabawce, która wniosła tyle radości w życie małej dziewczynki? Jeśli było w przeszłości coś, co ją w ojcu irytowało, to właśnie jego zdolność zapamiętywania szczegółów — zwykle pamiętał zbyt wiele. A teraz... To bardzo zastanawiające.

Nie ukrywała zadowolenia, gdy poprosił, żeby poszła z nim na uniwersytet, na spotkanie z człowiekiem o niemożliwym do wymówienia nazwisku. Wahał się, więc zapytała go:

— Po co tam idziesz?

— Po prostu chcę się czegoś dowiedzieć o moim ojcu.

– Przecież to mój dziadek... też jestem ciekawa. Oczywiście, że pójdę.

Wydawało jej się dziwne, że miała dziadka, który nazywał się Hannu Merikken. Siedziała przed lustrem i przyglądała się sobie, upewniając się, że wszystko w porządku. Wcale źle nie wyglądam, pomyślała, patrząc na proste czarne brwi i szare oczy. Oczywiście, mam zbyt duże usta. Nie jestem oszałamiająco piękna, ale ujdzie.

Złapała torebkę i ruszyła do drzwi, aby wyjść na spotkanie ojca. Nagle przystanęła i zamyśliła się. Co mi przychodzi do głowy? Przecież to mój ojciec... a nie... Potrząsnęła głową, odganiając myśl, i otworzyła drzwi.

Profesor Kaarianen był wesołym, puciołowatym mężczyzną około sześćdziesiątki, w niczym nie przypominającym zasuszonego akademika, jakiego spodziewała się Lyn. Wyszedł zza biurka, żeby powitać Denisona, i powiedział coś po fińsku. Denison zaprotestował, unosząc rękę:

– Przykro mi, nie mówię po fińsku.

Kaarianen uniósł brwi i przeszedł na angielski:

– Ciekawe.

Denison wzruszył ramionami.

– Czyżby? Wyjechałem, kiedy miałem siedemnaście lat. Mówiłem po fińsku przez piętnaście lat i nie posługiwałem się tym językiem przez blisko trzydzieści.

Uśmiechnął się.

– Można powiedzieć, że mój fiński uległ atrofii.

Kaarianen ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Tak, tak, ja również mówiłem kiedyś płynnie po niemiecku, a teraz?

Rozłożył ręce.

– A więc jest pan synem Hannu Merikkena.

– Pan pozwoli, to moja córka, Lyn.

Kaarianen podszedł do dziewczyny i wyciągnął rękę.

– I jego wnuczka... To dla mnie wielki zaszczyt. Ale proszę siadać. Napijcie się państwo kawy?

– Dziękujemy, z przyjemnością.

Kaarianen podszedł do drzwi, powiedział coś do dziewczyny w sąsiednim pokoju i wrócił.

– Pański ojciec był wielkim człowiekiem, doktorze... eee... Meyrick.

Denison skinął głową.

— Tak się teraz nazywam. Wróciłem do starego rodzowego nazwiska.

Profesor roześmiał się.

— Tak, dobrze pamiętam, jak Hannu opowiadał mi tę historię. Sprawił, że wydawała się tak romantyczna. A co pan porabia w Finlandii, doktorze Meyrick?

— Prawdę mówiąc nie wiem — odparł ostrożnie Denison. — Chyba zaspokajam potrzebę dotarcia do swoich korzeni. A może to atak przewlekłej tęsknoty za ojczyzną, jeśli tak pan woli.

— Rozumiem — rzekł Kaarianen. — I chciałby pan dowiedzieć się czegoś o swoim ojcu, dlatego przyszedł pan do mnie?

— O ile wiem, pracował pan z nim przed wojną.

— Tak i wiele na tym skorzystałem. Pański ojciec był nie tylko wielkim naukowcem, ale i świetnym nauczycielem. Miał czterech współpracowników, o ile sobie przypominam. Powinien pan pamiętać.

— Przed wojną byłem dzieckiem — bronił się Denison. — Zaledwie kilkunastoletnim chłopcem.

— I nie pamięta mnie pan. — Kaarianen mrugnął jowialnie i poklepał się po brzuchu. — To mnie nie dziwi, bardzo się zmieniłem. Ja jednak pamiętam pana. Był pan młodym łobuzem, zepsuł pan jedno z moich doświadczeń.

Denison uśmiechnął się.

— Jeśli zawiniłem, błagam o wybaczenie.

— Tak — powiedział w zadumie Kaarianen. — Wtedy pracowaliśmy z pańskim ojcem we czwórkę. Tworzyliśmy niezły zespół.

Zmarszczył brwi.

— Wie pan, że chyba tylko ja zostałem. Zaczął liczyć na palcach.

— Olavi Koivisto poszedł do wojska i został zabity. Liisa Linnankivi również zginęła w czasie bombardowania Viipuri; to było tuż przed śmiercią pańskiego ojca. Kaj Salojarvi przeżył wojnę, umarł trzy lata temu, biedaczysko... rak. Tak, tylko ja pozostałem ze starego zespołu.

— Czy wszyscy zajmowaliście się tymi samymi badaniami?

— Czasem tak, czasem nie. — Kaarianen pochylił się do przodu. — Czasami pracowaliśmy nad własnymi projektami, a Hannu tylko nam doradzał. Jest pan naukowcem, doktorze Meyrick, zna pan zasady pracy w laboratorium...

Denison kiwnął głową.

— Czym głównie zajmował się mój ojciec w trakcie swoich badań przedwojennych?

Kaarianen rozłożył ręce.

— A czymże jak nie budową atomu? Wszyscy myśleliśmy tylko o atomie. Wie pan, to były pionierskie czasy, bardzo ekscytujące.

Urwał i po chwili dodał sucho:

— Niebawem stały się zbyt ekscytujące, ale wtedy już nikt w Finlandii nie miał czasu na to, żeby myśleć o atomie.

Splótł ręce na brzuchu.

— Dobrze pamiętam, jak Hannu pokazał mi pracę Meitnera i Frischa interpretującą doświadczenia Hahna. Z pracy jasno wynikało, że reakcja łańcuchowa może zajść i uzyskanie energii atomowej jest całkiem możliwe. Wszyscy byliśmy zemocjonowani, nie wyobraża pan sobie jak bardzo, i zostawiliśmy inne prace, żeby zająć się tym nowym zjawiskiem.

Ze znużeniem wzruszył ramionami.

— Jednak był rok 1939, rok wojny zimowej. Zabrakło czasu na takie błahostki jak atomy — rzekł sardonicznie.

— Nad czym pracował mój ojciec, kiedy to się stało?

— O, jest kawa — ucieszył się Kaarianen.

Zajął się filizankami i poczęstował Lyn ciasteczkami. — A co pani robi, młoda damo? Jest pani naukowcem jak pani ojciec i dziadek?

— Obawiam się, że nie — odparła uprzejmie Lyn. — Jestem nauczycielką.

— Nauczyciele też są potrzebni — powiedział profesor. — O co mnie pan pytał, doktorze?

— Zastanawiałem się, nad czym pracował mój ojciec, zanim przeczytał ten artykuł o rozszczepieniu atomu.

— Ach, tak — przypomniał sobie profesor i trochę bezradnie machnął ręką. — Wie pan, to było dawno temu, od tej pory tyle się wydarzyło... trudno sobie przypomnieć.

Wziął ciasteczko i już miał je ugryźć, gdy zawahał się i rzekł:

— Pamiętam, to miało coś wspólnego z pewnymi własnościami promieni X.

— Czy pan zajmował się tymi badaniami?

— Nie, to Liisa. A może Olavi?

— Tak więc nie wie pan, jaki był charakter tej pracy?

— Nie.

Na twarzy Kaarianena pojawił się szeroki uśmiech, zaśmiał się głośno.

— Jednak znając pańskiego ojca, mogę powiedzieć, że nie miała ona żadnego

praktycznego znaczenia. On był bardzo dumny z tego, iż zajmuje się czystą fizyką eksperymentalną. W tamtych czasach wszyscy tacy byliśmy: dumni z tego, że nie skaził nas świat.

Ze smutkiem potrząsnął głową.

— Szkoda, że dziś jest inaczej.

Następne półtorej godziny upłynęło na wspominkach Kaarianena przerywanych rozpaczliwymi wysiłkami Denisona, zbywającego jakoś pytania profesora o obecne prace Meyricka. Kiedy Denison uznał, że wizyta trwała już odpowiednio długo, podziękował profesorowi i pożegnali się obiecując, że będą ze sobą w kontakcie.

Wyszli z Lyn na plac Senacki i poszli z powrotem do hotelu przez Aleksanterinkatu, helsiński odpowiednik Bond Street. Lyn była zamyślona i spokojna, więc Denison rzekł:

— Grosik za twoje myśli.

— Tak się zastanawiałam — powiedziała. — W pewnej chwili wydało mi się, że chcesz wycisnąć jakieś informacje z profesora Kaarianena.

Bo tak było, na Boga! — pomyślał Denison. — Cholera, jesteś o wiele za sprytna.

— Chciałem tylko dowiedzieć się czegoś o moim ojcu, o jego pracy i tak dalej — wyjaśnił.

— Jednak sam niewiele mu powiedziałeś — rzuciła oskarżycielsko. — Za każdym razem, gdy on zadawał ci pytanie, uchylałeś się od odpowiedzi.

— Musiałem — potwierdził Denison. — Większa część mojej pracy wiąże się z obronnością kraju. Nie mogę o niej paplać w obcym kraju.

— Oczywiście — zgodziła się beznamiętnie Lyn.

Znaleźli się przed sklepem jubilerskim i Denison wskazał palcem na wystawę.

— Co o tym myślisz?

Zaparło jej dech.

— Och, jest piękny!

To był naszyjnik z grubego, lekko oszlifowanego złota, o wymyślnym, a jednocześnie naturalnym kształcie. W przypiływie zuchwalstwa Denison wziął Lyn za rękę.

— Chodź — zachęcił. — Do środka.

Naszyjnik kosztował go 215 funtów z pieniędzy Meyricka; zapłacił kartą kredytową. Uważał, iż Meyrick powinien poświęcać córce więcej uwagi, ponadto sądził, że w ten sposób odwróci jej uwagę od innych spraw.

— To twój prezent urodzinowy — oznajmił.

Z wrażenia zaparło jej dech.

— Och, dziękuję, ta... Harry!

Impulsywnie pocałowała go.

— Tylko że nie mam nic, co by do niego pasowało.

— No to będziesz musiała coś sobie kupić, prawda? Wracajmy do hotelu.

— Tak, wracajmy.

Chwyciła go za rękę.

— Ja też mam dla ciebie niespodziankę... w hotelu.

— Och? Cóż to takiego?

— No, pomyślałam sobie, że skoro znowu jesteś w Finlandii, powinieneś znów zaznajomić się z sauną.

Zaśmiał się i rzekł wesoło:

— Jeszcze nigdy w życiu nie byłem w saunie.

Stała jak wryta i wytrzeszczyła na niego oczy.

— Przecież musiałeś.... Kiedy byłeś chłopcem.

— Och, tak. Wtedy byłem.

W duchu sklął się za nieostrożność. Carey dał mu do czytania książki o Finlandii; znajomość języka to jedno, ale o pewnych sprawach każdy Fin powinien wiedzieć — nawet jeśli wyemigrował. Sauna zdecydowanie zaliczała się do takich spraw.

— Często myślę o latach spędzonych w Finlandii jak o innym życiu. Wyjaśnienie było niezręczne, ale musiało wystarczyć.

— Najwyższy czas, żebyś ponownie zaznajomił się z sauną — powiedziała zdecydowanie. — W Londynie często do niej chodzę, to świetna zabawa. Na szóstą zamówiłam dla nas obojga saunę w hotelu.

— Świetnie! — ucieszył się nieszczerze.

W hotelu umknął do swego pokoju i zadzwonił pod numer, który mu dano. Kiedy zgłosił się Carey, Denison zdał mu sprawozdanie z rozmowy z Kaarianenem, a Carey je podsumował:

— A więc wszystko sprowadza się do tego: Merikken w tym czasie rzeczywiście pracował nad promieniami X, lecz nikt nie pamięta, co dokładnie robił. Ci, którzy wiedzieli, nie żyją. To pocieszające.

— Tak — przyznał Denison.

— Zdaje się, że nie jesteś zadowolony — rzekł Carey.

— Nie o to chodzi. Mam inny problem.

— Wal.

— Lyn na dziś wieczór zamówiła saunę.

— I co?

— Zamówiła ją dla nas obojga.

— I co? — Po krótkiej przerwie Carey zachichotał. — Chłopie, widzę, że masz złe informacje albo włochate myśli. Tu nie Hamburg ani zaułki Soho; jesteś w Helsinkach, a Finowie to porządni ludzie. Myślę, że znajdziesz jedną saunę dla panów, a drugą dla pań.

— Och! — zachnął się zmieszany Denison. — Chodzi o to, że niewiele o tym wiem. Człowiek odnosi mylne wrażenie.

— Czy nie czytałeś książek, które ci dałem?

— Musiałem to ominąć.

— Na pewno nie ma nic złego w tym, że ojciec wykąpie się z córką w saunie — stwierdził kategorycznie Carey. — Jednak można to robić w swoim domu, ale raczej nie w międzynarodowym hotelu.

Po chwili dodał:

— Lepiej o tym poczytaj. Meyrick nie zapomniałby o saunie, każdy Fin o tym wie.

— Zrobię to.

— Miłej zabawy — powiedział Carey i wyłączył się.

Denison odłożył słuchawkę i poszperał w swojej walizce, w której znalazł cienką książkę o saunie napisaną dla angielskojęzycznych gości przyjeżdżających do Finlandii. Przystudiowawszy ją stwierdził z ulgą, że zasadniczo sauna przypomina coś w rodzaju łaźni tureckiej — z pewnymi różnicami.

Wrócił na początek broszury i przeczytał wstęp. Wynikało z niego, że jedna taka łaźnia przypadała na sześciu Finów, tak więc — pomyślał — saun było tu chyba więcej niż łaźni w Anglii. Czysty naród z tych Finów — mens sana in corpore sauna. Kamienie ogrzewano brzołowymi polanami lub — nowocześnie — elektrycznymi grzałkami. Wilgotność utrzymywano przez lóły — wylewanie wody na gorące kamienie. W broszurze próbowano nadać rangę mistycznego rytuału czemuś, co zasadniczo było zupełnie prozaiczną czynnością, i Denison doszedł do wniosku, że fińska sauna jest odpowiednikiem japońskiej ceremonii parzenia herbaty.

Za piętnaście szósta zadzwoniła Lyn.

— Jesteś gotowy?

— Tak, oczywiście.

— Spotkamy się później na basenie. Masz spodenki kąpielowe? Denison przebiegł w myśli listę rzeczy Meyricka.

— Tak.

— A zatem do zobaczenia o wpół do siódmej.

Wyłączyła się.

Pojechał na ostatnie piętro hotelu, znalazł saunę dla mężczyzn i poszedł do przebieralni, ale nie spieszył się, obserwując innych. Rozebrał się i poszedł do przedsionka, gdzie skorzystał z prysznicy, wziął jeden ze sterty ręczników i wszedł do sauny.

Było bardzo gorąco.

Kątem oka zobaczył, jak jakiś mężczyzna kładzie swój ręcznik na ławce z drewnianych deszczulek i siada na nim, więc poszedł za jego przykładem. Drewno pod nogami było nieznośnie rozgrzane i Denison już zaczął się pocić. Jeden mężczyzna wyszedł z sauny, a drugi wziął wiadro wody i polał nią deski, o które Denison opierał stopy. Uniosły się kłęby pary, ale pod nogami zrobiło mu się odrobinę chłodniej.

Kolejny mężczyzna wyszedł z sauny, a Denison obrócił się i zobaczył termometr na ścianie, nad głową. Pokazywał 115 stopni. Nie jest tak źle, pomyślał; tyle mogę wytrzymać. Potem spojrzął jeszcze raz i zobaczył, że termometr był wyskalowany w stopniach Celsjusza. Chryste Panie! Woda wrze w temperaturze 100 stopni.

Zamrugnął strząsając pot z oczu i odwróciwszy głowę stwierdził, że w saunie został tylko on i jeszcze jeden człowiek — mężczyzna o potężnych barach i szerokim, mocno owłosionym torsie. Tamten podniósł drewniany czerpak i napełnił go wodą z wiadra. Zatrzymał się w pół ruchu i spojrzął wyczekująco na Denisona.

— Lóylya?

Denison odpowiedział jednym z kilku fińskich słów, jakich zdążył się nauczyć.

— Kiitos.

Mężczyzna wylał chochlę wody na znajdującą się w rogu kwadratową wannę z rozgrzanych kamieni. Gorąc uderzył Denisona jak pięścią, tak że mimowolnie zakrztusił się. Mężczyzna niespodziewanie powiedział do niego coś po fińsku i Denison potrząsnął głową.

— Przykro mi, nie znam fińskiego.

— Aha, pierwszy raz w Finlandii?

— Tak — odparł Denison i dodał: — Nie byłem tu od dziecka.

Tamten kiwnął głową. Jego owłosiony tors spływał potem. Wyszczrzył zęby.

— Pierwszy raz w saunie?

Kropla potu ściekła Denisonowi po nosie.

— Od dawna... od wielu lat.

Tamten skinął głową i wstał. Znów wziął chochlę i odwróciwszy się plecami do Denisona, napełnił ją z wiadra. Denison zacisnął zęby. Jeżeli jakiś przeklęty Fin może to wytrzymać, to ja też, pomyślał.

Niedbałym ruchem ręki mężczyzna chlusnął wodę na rozgrzane kamienie, po czym szybko wyszedł z sauny, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Fala gorąca znowu uderzyła Denisona z niemal nieznośną intensywnością, tak że zaczął kaszleć i pluć. Cholerny żartowniś — podpuszczać nowicjusza!

Czuł, że kręci mu się w głowie, i próbował wstać, ale stwierdził, że nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Sturlał się z ławki i usiłował na czworakach dojść do drzwi czując, jak gorące drewno parzy mu dłonie. Zapadał w ciemność i ostatnią rzeczą, jaką dostrzegł, była własna ręka, macająca w poszukiwaniu klamki — potem upadł i stracił przytomność.

Nie widział, jak otworzyły się drzwi, i nie czuł, jak go podniesiono i wyniesiono z sauny.

Obudził się w ciemności.

Przez długi czas nie mógł zebrać myśli z powodu pulsującego bólu pod czaszką. Potem odrobinę rozjaśniło mu się w głowie; poruszył się i zrozumiał, że leży na łóżku. Jednocześnie usłyszał cichy szcęk. Znowu się poruszył i zdał sobie sprawę z tego, że jest nagi — natychmiast przypomniał sobie saunę.

W pierwszej chwili pomyślał, że zemdlął z gorąca i został zaniesiony do własnego pokoju, lecz kiedy spróbował podnieść rękę, ta teoria natychmiast rozwiała się jak dym. Na obu przegubach czuł ucisk i dotyk zimnego metalu, a gdy poruszył rękami, ponownie usłyszał słaby szcęk i zrozumiał, że to kajdanki.

Przez chwilę leżał spokojnie, a potem podparł się na jednym łokciu i spojrział w ciemność, aby wreszcie spuścić stopy na podłogę i usiąść na łóżku. Ostrożnie rozsunał nogi, przynajmniej one nie były skute i mógł chodzić. Tylko dokąd mógł pójść? Wyciągnął ręce przed siebie, potem na boki, najpierw na lewo, a potem na prawo, aż dotknął jakiegoś przedmiotu. Rzecz była płaska i kanciasta; doszedł do wniosku, że to nocny stolik. Przesunął rękami po blacie, ale nic tam nie stało.

Chociaż głowa nie bolała go już tak bardzo, czuł się słaby jak dziecko i przez kilka minut siedział, zbierając siły. Zastanawiał się, czy owo osłabienie było naturalnym efektem sauny. Osądził, że gdyby sauna działała tak na wszystkich, to nie byłaby w Finlandii taka popularna. Ponadto nie miał pojęcia, jak długo był nieprzytomny. Dotknął swojej ręki i stwierdził, że skóra jest chłodna i sucha.

Po chwili wstał i trzymając ramiona wyciągnięte przed siebie, zaczął powoli posuwać się naprzód. Nie zrobił więcej jak kilka kroków, gdy uderzył się o coś w palec u nogi i poczuł przeszywający ból.

— Niech to szlag! — zaklął z wściekłością i cofnął się, aż nogami wyczuł łóżko. Usiadł i rozmasował sobie stopę.

Po drugiej stronie pokoju usłyszał jakiś dźwięk i zobaczył smugę szarości; mignięcie, które szybko zniknęło. Nagle oślepił go strumień światła; zamrugał oczami i zmrużył je przed ostrym blaskiem. Jakiś głos odezwał się po angielsku z obcym akcentem:

— A więc doktor Meyrick obudził się, a nawet wstał.

Denison osłonił oczy rękami.

— Nie ruszaj się, Meyrick. Zostań na łóżku — rozkazał głos, a potem dodał zimno:

— Wiesz, co to jest?

Światło przesunęło się trochę, tak że w poświacie odbitej od ścian pokoju zdołał dostrzec niewyraźną sylwetkę. Ujrzał błysk metalu w wyciągniętej ręce.

— No? — ponaglał głos. — Co to jest, Meyrick?

— Pistolet — powiedział Denison ochryple. Odchrząknął. — Chciałbym wiedzieć, o co tu, do diabła, chodzi.

Głos był rozbawiony.

— Nie wątpię, że chciałbyś.

Gdy Denison starał się zidentyfikować akcent, smuga światła przesunęła się po jego ciele.

— Widzę, że zranił się pan w bok, doktorze Meyrick. Jak to się stało?

— Banda szaleńców napadła mnie w Norwegii. Wygląda na to, że w Finlandii też takich nie brakuje.

— Biedny doktor Meyrick — kpił głos. — Wydaje się, że wciąż wpada pan w tarapaty. Zawiadomił pan o tym policję?

— Jasne, że tak. A co miałem zrobić? Powiadomiłem też brytyjską ambasadę w Oslo.

Przypomniał sobie, co Carey mówił o arogancji Meyricka, więc dodał gniewnie:

— Banda niedołęgów, co do jednego!

— Z kim widział się pan w ambasadzie?

— Mężczyzna nazywany McCready zabrał mnie z posterunku policji do ambasady.

Słuchaj, mam już tego dość. Nie będę odpowiadał na żadne pytania. Na żadne.

Pistolet poruszył się lekko.

— Tak, będziesz. Spotkałeś Careya?

— Nie.

— Kłamiesz.

— Jeśli zdaje ci się, że znasz odpowiedź, to po co pytasz? Nie znam nikogo, kto nazywa się Carey.

W ciemnościach rozległo się westchnienie.

— Meyrick, powinieneś wiedzieć, że mamy twoją córkę. Denison zdrętwiał, ale siedział spokojnie. Po chwili odezwał się:

— Udowodnij.

— Nic łatwiejszego. Pistolet powoli zniknął.

— W dzisiejszych czasach magnetofony są dogodnie małe, nieprawdaż?

W ciemności za światłem latarki rozległ się cichy syk i jakiś człowiek rzekł:

— Teraz powiedz mi, co twój ojciec robi tu, w Finlandii?

— Jest na wakacjach.

To był głos Lyn. Denison rozpoznał go mimo lekkiego zniekształcenia, znacznie mniejszego niż w słuchawce telefonu.

— Czy to on ci tak powiedział?

— A któż by inny? — Wydawała się ubawiona.

— Jednak dziś po południu był u profesora Kaarianena. To bardziej wygląda na interesy niż wakacje.

— Chciał dowiedzieć się czegoś o swoim ojcu, a moim dziadku.

— A czego chciał się dowiedzieć?

Zapadła głucha cisza, a potem odezwał się mężczyzna:

— Niech pani mówi, Miss Meyrick; nic nie zrobimy ani pani, ani pani ojcu, jeśli odpowie pani na moje pytania. Zapewniam, że puścimy panią wolno.

Pstryknął wyłącznik i głosy zamilkły.

— Widzi pan, doktorze Meyrick! Oczywiście nie mogę gwarantować, że ostatnie zapewnienia mojego przyjaciela są prawdziwe.

Pistolet znów się pojawił, lśniąc w świetle latarki.

— A teraz, wracając do Mr Careya, co miał do powiedzenia?

— Maglował mnie za przekroczenie przepisów ruchu drogowego — rzekł Denison.

Głos przemówił ostrzej:

— Niech się pan bardziej postara. Teraz, kiedy już połączyłem pana z Careyem, chcę wiedzieć, co robi pan w Finlandii. Chcę usłyszeć prawdę, i to szybko. I lepiej niech pan zacznie poważnie myśleć o stanie zdrowia pańskiej córki.

Broń drgnęła ponaglająco.

— Mów!

Denison nigdy nie zdawał sobie sprawy z tego, w jak bardzo niekorzystnej sytuacji znajduje się nagi człowiek — ten fakt odbierał mu resztki sił.

— W porządku — zgodził się. — Jesteśmy tu, aby rozmawiać z fińskim rządem.

— O czym?

— O sprawach związanych z obronnością.

— Z kim w rządzie?

— Niezupełnie z rządem — powiedział w przypiływie natchnienia. — Z kimś z armii, z wywiadu wojskowego.

– Nazwisko?

Denison pospiesznie starał się wymyślić jakieś nazwisko, chociaż trochę podobne do fińskiego.

– Saarinen.

– To architekt.

– Nie ten, ten jest pułkownikiem – wyjaśnił Denison, mając nadzieję, że w tutejszej armii istnieje taki stopień. Wytężał słuch, ale nie słyszał nic oprócz sporadycznych szmerów po drugiej stronie światła.

– W jakiej sprawie?

– Chodzi o wywiad elektroniczny, urządzenie do podsłuchiwania rosyjskich transmisji, szczególnie na wojskowych pasmach.

Nastała długa cisza.

– Chyba wiesz, że takie rzeczy już się robi.

– Nie w taki sposób, jaki ja wymyśliłem.

– Dobra. Jaki to sposób? I niech nie muszę wyduszać z ciebie każdej odpowiedzi, bo inaczej może będziemy musieli wyrwać parę zębów twojej córce.

– Wymyśliłem automatyczny dekodery – rzekł Denison. W jego mózgu pękła jakaś bariera i nagle ogarnęła go fala panicznego przerażenia. Czuł, jak pot spływa mu po piersi, ale udało mu się opanować strach, spychając go w głąb podświadomości – jednak pozostały mu słowa, które stamtąd przypłynęły.

– To proces stochastyczny – zaczął, nawet nie wiedząc, o czym mówi – oparty na metodzie Monte Carlo. Rosyjska transmisja jest kilkakrotnie próbkowana i poddana seriom przypadkowych transformacji. Każde przekształcenie jest porównywane z bankiem danych w pamięci komputera. Jeżeli pasuje, wybiera się odgałęzienie prowadzące do dalszych transformacji. Jest wiele ślepych zaułków i dlatego potrzebny jest duży, szybki komputer o sporej mocy.

Oblał się potem. Nie zrozumiał ani słowa z tego, co powiedział.

– Większość z tego pojąłem – rzekł głos i Denisonowi zdawało się, że usłyszał w nim odcień podziwu. – Wynałazłeś coś takiego?

– Zaprojektowałem obwody i pomogłem opracować oprogramowanie.

– Nie rozumiem jednego i muszę to wiedzieć. Dlaczego chcecie dać to Finom?

– Nie dajemy im – odparł Denison. – Oni nam to dali. Opracowali dekodery teoretycznie, ale nie mieli środków, aby go wyprodukować, więc zwrócili się do nas.

– Profesor Kaarianen?

— Słuchaj. — Denison zignorował pytanie. — Chcę jeszcze raz przesłuchać taśmę.

— Po co?

— Nie powiem już ani jednego cholernego słowa, dopóki jej nie wysłucham — upierał się Denison.

Pauza.

— No dobra, puszczę jeszcze raz.

Pistolet zniknął i rozległo się pstryknięcie.

— Teraz powiedz mi, co twój ojciec robi tu, w Finlandii?

— Jest na wakacjach.

Denison nadstawił ucha, słuchając rozmowy i analizując głosy. Podniósł ręce i powoli rozsunął je, by ogniwa łańcucha napięły się.

— Chciał dowiedzieć się czegoś o swoim ojcu, a moim dziadku.

— A czego chciał się dowiedzieć?

Pauza.

— Niech pani mówi, Miss Meyrick, nic nie zrobimy ani pani, ani pani ojcu, jeśli od...

Denison zerwał się i skoczył. Przedtem tak wparł się nogami w podłogę pod łóżkiem, by przy skoku mógł odepchnąć się z całej siły stopami i udami. Rozłożył ręce najszerzej, jak mu pozwoliły kajdanki, i wyciągnął je przed siebie, jakby chciał chwycić mężczyznę za uszy. Łańcuch kajdanek uderzył przeciwnika w krtań.

Magnetofon i latarka upadły na podłogę; latarka potoczyła się, rzucając groteskowe cienie na ściany pokoju, a magnetofon zabelkotał. Denison nadal naciskał na gardło przeciwnika i zbliżywszy dłonie do jego głowy, poczuł pod palcami materiał. W niepewnym świetle zobaczył błysk pistoletu, który tamten wyciągał z kieszeni. Gwałtownie sięgnął ręką i udało mu się chwycić go za przegub.

Mocno ściskając lewą ręką jego prawy nadgarstek, pchnął z całej siły, tak że ogniwa łańcucha wpiły się w gardło przeciwnika. W ten sposób broń znalazła się tuż przy uchu wroga i kiedy wypaliła z ogłuszającym hukiem i oślepiającym błyskiem, ten zatoczył się i upuścił pistolet.

Denison zanurkował po broń i błyskawicznie wyprostował się. Trzasnęły drzwi, a magnetofon gadał jak najęty. Denison dopadł drzwi, które prowadziły na wąski korytarz. Na jego końcu znajdowały się następne drzwi. Biegąc do nich słyszał, jak Diana Hansen mówi za jego plecami: „Lyn, jeśli tak do tego podchodzisz, tym gorzej dla ciebie”.

Słyszał słowa, ale nie rozumiał ich sensu i nie miał czasu, żeby się nad nimi zastanawiać. Wpadł w drzwi i znalazł się w jasno oświetlonym korytarzu hotelowym. Nie dostrzegł nikogo, więc pobiegł na róg, gdzie korytarz skręcał i dochodził do wind; tam w ostatniej chwili wyminął dwoje ludzi w wieczorowych strojach. Jedna z kabin zjeżdżała w dół.

Słyszając za plecami wrzask przerażenia, pognął do schodów i zbiegł dwa piętra niżej, wywołując niemałe poruszenie w holu, do którego wpadł, głośnie wzywając policję i wymachując pistoletem. Na sobie nie miał nic prócz pary kajdanków.

Niewiarygodne! — rzekł Carey. Głos miał bezbarwny, jakby sam nie wierzył w to, co mówi, i to jedno słowo zamarło bez echa w pokoju.

— Oto, co się stało — zakończył spokojnie Denison.

McCready poruszył się.

— Wygląda na to, że na kamienie w saunie wylano coś więcej niż wodę.

— Prawdopodobnie — przytaknął Carey. — Słyszałem, że niektórzy lubiący eksperymenty Finowie używają koskenkorva do loylya.

— Co to takiego? — spytał Denison.

— Gatunek fińskiej wódki. — Carey odłożył fajkę. — Domyślam się, że jakiś sprytny chemik sporządził obezwładniającą mieszaninę par. Tak sędzę.

Zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

— Czy mógłbyś powtórzyć wszystko, co powiedziałeś tamtemu gościowi o tym cholernym dekodekcie?

— Mam to wyryte w pamięci — odparł kwaśno Denison. — Powiedziałem: „To proces stochastyczny, oparty na metodzie Monte Carlo. Rosyjska transmisja jest kilkakrotnie próbkowana i poddana seriom przypadkowych transformacji. Każde przekształcenie jest porównywane z bankiem danych w pamięci komputera. Jeżeli pasuje, wybiera się odgałęzienie prowadzące do dalszych transformacji. Jest wiele ślepych zaułków i dlatego potrzebny jest duży, szybki komputer o sporej mocy.”

— Pewnie — stwierdził sucho Carey.

— Nawet nie wiem, co znaczy „stochastyczny” — przyznał się bezradnie Denison.

Carey wyjął z kieszeni przybornik do fajki i zaczął ją czyścić z chrzęstem.

— Ja wiem, co oznacza to słowo. Proces stochastyczny zawiera element prawdopodobieństwa. Metoda Monte Carlo została pierwotnie opracowana w celu przewidywania stopnia dyfuzji sześćciufluorku uranu przez porowatą przegrodę. Później została wykorzystana w innych celach.

— Ale ja nie mam o tym zielonego pojęcia! — wykrzyknął Denison.

— Wygląda na to, że masz — rzekł Carey. — Jeśli myślisz, że plotłeś banialuki, to się mylisz. Matematyk albo informatyk zrozumiałby cię. I miałeś rację w jeszcze jednej sprawie: rzeczywiście potrzebny byłby komputer diabelnie dużej mocy — liczba przekształceń, nawet w przypadku krótkiej wiadomości, sięgałaby wielu milionów. Prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, żeby istniał komputer, który byłby w stanie tego

dokonać.² Chyba że użyto by równie sprawnego oprogramowania.

Denison zaczął się trząść.

— Czy ja byłem matematykiem? Czy pracowałem przy komputerach? — szepnął.

— Nie — uspokoił go Carey. — Co ci przyszło do głowy, żeby opowiadać mu takie rzeczy?

— Plotłem trzy po trzy, nie mogłem mu wyjawić, co naprawdę tu robimy.

McCready pochylił się ku niemu.

— Co czułeś, kiedy mu to opowiadałeś?

— Śmiertelnie się bałem — wyznał Denison.

— Tego faceta?

Denison gwałtownie potrząsnął głową.

— Nie faceta, siebie. Tego, co siedzi we mnie.

Ręce znów zaczęły mu dygotać. Carey pochwycił spojrzenie McCready'ego i nieznacznie pokręcił głową; ta linia przesłuchania była zbyt niebezpieczna dla Denisona.

— Na razie zostawmy to i pójdźmy dalej. Mówisz, że ten facet zaakceptował cię jako Meyricka? — kontynuował McCready.

— Nie kwestionował mojej tożsamości.

— Dlaczego skoczyłeś na niego? Trzeba wielkiej odwagi, żeby rzucić się na człowieka trzymającego broń.

— On nie trzymał broni — sprostował Denison. — Wyjmował magnetofon. Nagle zorientowałem się, że nagranie jest spreparowane.

Te pogrożki na końcu rozmowy brzmiały inaczej, bardziej głucho. Cała reszta to zwykły dialog, zapewne część jakiejś rozmowy. Wywnioskowałem, że ten facet nie ma Lyn, więc mogłem działać swobodnie.

— Logicznie — przyznał Carey. — I słusznie.

Z rozbawieniem mruknął do siebie: — Kompetentny!

McCready powiedział:

— Wczoraj po południu w barze hotelowym przysiadł się do Lyn jakiś gość i zaczął ją wypytywać. W popielniczce albo w wazonie musiał być ukryty mikrofon i rozmowę nagrano. Akurat była tam Diana Hansen, zobaczyła, co się dzieje i wkroczyła, krzyżując mu szyki. Oczywiście, wtedy nie wiedziała o podsłuchu.

Na twarzy Denisona pojawiło się nagle zrozumienie.

² Książka została napisana w 1973 r. (przyp. tłum.).

— Słyszałem głos Diany na taśmie. Ona też groziła Lyn.

McCready wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Kiedy plany tamtego faceta spaliły na panewce, poszedł jak zmyty, a Diana i Lyn pokłóciły się. Mikrofon nadal tam był, więc to też zostało nagrane na taśmę. Wygląda na to, że twoja córka próbuje wyciągnąć tatusia z sideł podstępnej kobiety.

— O nie! — jęknął Denison.

— Będziesz musiał stać się bardziej stanowczym rodzicem — doradził McCready.

— Czy Lyn wie, co zaszło?

Carey odchrząknął i spojrział na zegarek.

— Szósta rano, ona jeszcze śpi. Kiedy zniknąłeś, poleciłem Mrs Hansen, by ją powiadomiła, że idziecie we dwoje do miasta i późno wrócicie. Nie chciałem jej niepokoić.

— Na pewno się dowie — rzekł McCready. — To zbyt dobra historia, żeby dało się ją zatuszować: szacowny doktor Meyrick biegający nago, jak go pan Bóg stworzył, po najlepszym hotelu w mieście i wymachujący pistoletem. Tego nie da się ukryć przed prasą.

— Czemu to zrobiłeś? — dopytywał się Carey. — I jeszcze wzywałeś policję?

— Myślałem, że złapię tego gościa. Kiedy mi się nie udało, zacząłem się zastanawiać, co zrobiłby Meyrick, prawdziwy Meyrick. Jeżeli ktoś zagrozi bronią niewinnemu człowiekowi, ten zaraz zaczyna wzywać gliniarzy. Niewinny Meyrick byłby cholernie wściekły, tak więc zacząłem szaleć po holu.

— Też logiczne — mruknął Carey. Głośno zaś powiedział: — W porządku, teraz ten człowiek w saunie. Rysopis.

— Owłosiony, miał futro jak niedźwiedź.

— To mnie nie obchodzi, nawet gdyby był włochaty jak Ezaw — rzekł zgryźliwie Carey. — Nie możemy rozbierać podejrzanych, żeby sprawdzić, ile mają włosów. Jaką miał twarz?

— Brązowe oczy — mówił ze znużeniem Denison — kwadratowa twarz, trochę zniekształcona. Nos skrzywiony w bok, dołek w brodzie.

— To ten gość, który przepytывał Lyn Meyrick — stwierdził McCready.

— A ten drugi, ten z bronią?

— Nie widziałem go. W pokoju było ciemno, a kiedy go dopadłem, poczułem, że ma na twarzy jakąś maskę. Jednak... — urwał niepewnie.

— No, dalej — zachęcił go Carey.

— Mówił po angielsku, ale z jakimś akcentem.

— Jakim akcentem?

— Nie wiem — odparł z rozpaczą Denison. — Nazwijmy go ogólnie środkowoeuropejskim. Chodzi o to, że wydaje mi się, iż już kiedyś słyszałem ten głos.

Carey zaczął go maglować ze zdwojoną energią. Po piętnastu minutach Denison krzyknął:

— Mówię, że nie wiem! Objął głowę rękami.

— Jestem zmęczony.

Carey wstał.

— Dobrze, możesz iść spać. My ci nie będziemy przeszkadzać, ale nie mogę ręczyć, czy miejscowe gliny też. Co im powiesz, jeśli zechcą znów się z tobą zobaczyć? Przygotowałaś sobie jakąś historyjkę?

— Powiem samą prawdę.

— Na twoim miejscu pominąłbym ten fragment o dekodерze — poradził Carey. —

To dla nich trochę za wiele.

Skinął głową na McCready'ego.

— Chodź, George.

Zostawili Denisona, który poszedł do łóżka. W windzie Carey przesunął dłonią po twarzy.

— Nie myślałem, że ta akcja będzie nas kosztować tyle bezsennych nocy.

— Znajdźmy gdzieś trochę kawy — zaproponował McCready. — Przecież musi tu być jakiś otwarty bar.

W milczeniu wyszli z hotelu i pomaszrowali Mannerheimintie. Na ulicy panował spokój, od czasu do czasu przejeżdżała taksówka albo rowerzysta spieszący wcześniej do pracy. Nagle Carey powiedział:

— Denison mnie niepokoi.

— Chodzi ci o ten kawałek o dekodерze?

— A o cóż innego, do diabła? — Kąciki ust Careya wygięły się w dół. — I nie tylko, ale głównie o to. Ktoś taki jak Meyrick mógłby wymyślić taką bajeczkę, ale jak wpadł na to Denison?

— Zastanawiałem się nad tym — powiedział ostrożnie McCready. — Czy brałeś pod uwagę możliwość podwójnej zamiany?

Carey zgubił krok.

— Wyrażaj się jaśniej.

— No, mamy tego faceta, którego uważamy za Denisona. Jego przeszłość jest zablokowana i za każdym razem, gdy usiłuje ją zgłębić, oblewa go zimny pot. Sam widziałeś.

— I co?

— No, założmy, że on jednak jest Meyrickiem, również z zablokowaną przeszłością, któremu tylko wydaje się, iż jest Denisonem. Harding orzekł, że to możliwe. Wtedy fragmenty przeszłości, które przypomniałyby mu się w razie potrzeby, należałyby do Meyricka.

Carey jęknął.

— Co za cholerna kołomyjka!

Zdecydowanie potrząsnął głową.

— To nie pasuje. Iredale powiedział, że on nie jest Meyrickiem.

— Wcale nie — rzekł spokojnie McCready. — Mogę dokładnie przytoczyć jego słowa: „On nie jest Meyrickiem, chyba że Meyrick przeszedł ostatnio operację plastyczną”.

Carey zastanowił się nad tym.

— Przestań mącić mi w głowie. To oznaczałoby, że człowiek, którego przez ostatnie trzy tygodnie mieliśmy w hotelu w Oslo, nie był Meyrickiem, lecz jego sobowtórem.

Zatrzymał się na środku chodnika.

— Słuchaj, George, wyjaśnijmy jedno. — Wskazał palcem w kierunku hotelu. — Ten mężczyzna nie jest Meyrickiem. Ja znam Meyricka, on walczy językiem i używa jako broni sarkazmu, ale jeśli przyszłoby mu bić się naprawdę, zemdlałby ze strachu. Denison jest spokojnym, uprzejmym człowiekiem, który w razie potrzeby działa jak urodzony zabójca. To antyteza Meyricka. Wbij to sobie do głowy i dobrze zapamiętaj.

McCready wzruszył ramionami.

— Jednak pozostaje nam wiele pytań, na które nie mamy odpowiedzi.

— Znajdziemy te odpowiedzi. Chcę, żeby ci w Londynie wreszcie sprawdzili Gilesa Denisona. Chcę, żeby sprawdzili każdy dzień, a jeśli trzeba, każdą minutę jego życia, i dowiedzieli się, skąd zna ten matematyczny żargon. I chcę, żeby Harding znalazł się tu tout de suite.

— To mu się na pewno spodoba — rzekł sardonicznie McCready. — Zawiadomię ich.

Przeszli kolejne sto jardów i McCready odezwał się:

— Denison jest rzeczywiście niesamowity. Komu przyszłoby do głowy, żeby użyć

kajdaneł jako garoty?

Zachichotał.

— Myślę, że on nie jest ani Meyrickiem, ani Denisonem, tylko Clarkiem Kentem.

Careyowi opadła szczęka.

— A któż to taki?

— Superman — powiedział śmiało McCready.

Denison położył się spać, ale został zbudzony i przesłuchany przez policję. Potem znów zasnął. Wstał o czwartej, wykąpał się i ubrał, po czym zszedł schodami na dół. Przechodząc przez hol zobaczył, jak recepcjonista wytrzeszcza na niego oczy, odwraca się i z uśmiechem mówi coś do portiera. Doktor H.F. Meyrick stał się najwidoczniej miejscową znakomitością.

Rozejrzał się po holu i nie zauważył nikogo znajomego, więc poszedł do baru, gdzie zastał Dianę Hansen siedzącą przy stole i czytającą książkę. Gdy stanął obok stolika, podniosła wzrok.

— Zastanawiałam się, kiedy się zjawisz.

— Musiałem się trochę przespać. Wczorajszy dzień był zbyt męczący.

Usiadł i podniósłszy popielniczkę, zajrzał pod spód. Diana roześmiała się.

— Nie ma pluskiew, sprawdziłam.

Odstawił popielniczkę.

— Gdzie jest Lyn?

— Wyszła.

Kiedy pytająco podniósł brwi, wyjaśniła:

— Zwiedza miasto.

Zjawił się kelner.

— Mita otatte?

— A olutta, olkaa hyva — rzekł Denison. Spojrzał na Dianę. — A ty?

— Ja nic — odparła. — Coraz lepiej mówisz po fińsku.

— Tylko tyle, żeby zaspokoić najniezbędniejsze potrzeby. Czy Carey wyciągnął jakieś wnioski z wczorajszych wydarzeń?

— Carey wyjechał. Mam ci powiedzieć, żebyś siedział spokojnie, aż wróci.

— Dokąd pojechał?

— Do Szwecji.

— Do Szwecji! — Spojrzał pustym wzrokiem. — Po co?

— Nie mówił mi.

Wstała i wzięła swoją książkę.

— Teraz, skoro już przekazałam wiadomość, zajmę się swoimi sprawami.

Jej wargi wygięły się w uśmiechu.

— Lepiej nie chodź już do sauny.

— Nigdy więcej! — obiecał żarliwie. Zagryzł wargi. — Jednak mogą znów spróbować.

— Nie martw się — uspokoiła go. — Jesteś pod opieką Iana Armstronga; to nazwisko do niego pasuje.³ W tej chwili siedzi przy barze. Nie daj poznać, że go widzisz, i nie poruszaj się zbyt szybko, żeby mógł za tobą nadążyć.

Wyszła, kiedy kelner przyniósł mu piwo. Wypił je melancholijnie i zamówił następną butelkę. Armstrong niespiesznie sączył swoje piwo przy barze. Dlaczego do Szwecji? Co mogło się tam zdarzyć takiego, że ściągnęli Careya? Denison nie znalazł odpowiedzi na to pytanie.

Dopijał drugą butelkę, gdy do baru weszła Lyn. Usiadła przy stoliku i spojrzała na piwo.

— Wyglądasz na zmarnowanego.

Uśmiechnął się do niej.

— Bo jestem zmarnowany. Późno poszedłem spać.

— Tak mi powiedziano — odparła bez uśmiechu. — Dziś rano słyszałam dziwną historię o tobie.

Zerknął na nią czujnie i postanowił uprzedzić cios.

— A ja słyszałem coś dziwnego o tobie. Czemu pokłóciłaś się z Dianą?

Na jej policzkach pojawiły się czerwone plamy.

— A więc powtórzyła ci!

— Nic mi nie mówiła — zaprzeczył szczerze Denison.

— Jeśli nie ona, to kto? — wybuchnęła Lyn. — Byłyśmy tam same. Gwałtownie tarmosiła pasek torebki i nie odrywała oczu od blatu stołu.

— To nie jest przyjemne, kiedy trzeba się wstydzić za własnego ojca. Nigdy nie wierzyłam w to, co opowiadała o tobie matka, ale teraz widzę, że to była prawda.

— Uspokój się — łagodził. — Napij się czegoś. Co ci zamówić? Coca-cole?

Wysunęła podbródek.

— Wytrawne martini.

Powstrzymując śmiech, dał znak obsłudze i zamówił martini. Kiedy kelner odszedł, powiedziała:

— To było obrzydliwe z twojej strony.

— Co jest takie obrzydliwe w Dianie Hansen?

— Wiesz, o co mi chodzi. Słyszałam, że bogaci przemysłowcy wyczyniają dziwne

³ Armstrong — po angielsku dosłownie: silnoreki (przyp. tłum.)

rzeczy, ale, mój Boże, nie spodziewałam się tego po tobie. Nie po własnym ojcu.

Jej oczy były nienaturalnie błyszczące.

— Nie, nie wiem, o co ci chodzi. Cóż takiego miałem zrobić? — zapytał prosto z mostu.

Spojrzała na niego z urazą.

— Wiem, że zeszłego wieczoru wyszedłeś z tą kobietą, sama mi powiedziała. I wiem też, jak wróciłeś. Musiałeś być pijany w sztok. Czy ona miała coś na sobie? Nic dziwnego, że wezwali policję.

— O mój Boże! — wykrzyknął z przerażeniem. — Lyn, to nie było tak!

— To dlaczego wszyscy o tym mówią? Usłyszałam o tym dziś rano, przy śniadaniu. Przy sąsiednim stoliku siedzieli jacyś Amerykanie... powinienes ich słyszeć. To było takie... obrzydliwe!

Wybuchnęła płaczem.

Denison pospiesznie rozejrzał się po barze, a potem położył dłoń na rękę Lyn.

— To nie było tak, wyjaśnię ci.

I opowiedział jej, pomijając wszystkie ważne szczegóły, które tylko skomplikowałyby sprawę. Przerwał tylko raz, gdy zjawił się kelner z martini, a potem bez przeszkód dokończył opowieść.

Dziewczyna otarła oczy chusteczką i prychnęła:

— Akurat wierzę!

— Jeżeli nie mnie, to może uwierzysz policji? — zapytał z rozgoryczeniem. — Miałem ich na głowie cały ranek.

— A dlaczego Diana powiedziała mi, że wychodzicie razem?

— To najlepsze, co mogła zrobić. Nie chciała, żebyś się martwiła. Co zaś do waszej kłótni, słyszałem fragment nagrany na taśmę.

Wyjaśnił jej to i rzekł:

— Teraz taśmę ma policja.

Lyn przeraziła się.

— To znaczy, że wszyscy słuchają tej kłótni?

— Wszyscy oprócz mnie — rzucił sucho Denison. — Masz swoje martini.

Przyszło jej do głowy coś innego.

— Przecież mógł zrobić ci krzywdę, mógł cię zabić!

— Jednak nie zabił i wszystko jest w porządku.

— Kto to mógł być?

— Sądę, że pod pewnymi względami jestem niezwykle ważnym człowiekiem — odparł ze znużeniem. — Powiedziałem ci wczoraj, że nie papłę o mojej pracy. Ktoś potrzebował informacji i podjął bezpośrednie działania.

Wyprostowała ramiona i spojrzała na niego błyszczącymi oczami.

— Ale nie uzyskał ich.

Brutalnie podciął skrzydła rodzącemu się kultowi bohatera.

— Jeżeli zaś chodzi o Dianę Hansen, nic nas nie łączy, a przynajmniej nie to, co myślisz. Jednak nawet gdyby było inaczej, nie powinno cię to obchodzić. Zachowałeś się jak urażona małżonka, a nie córka.

Blask zgasł. Lyn lekko skuliła ramiona i spojrzała w swoje martini. Nagle podniosła je i wypila jednym haustem. Zatkąło ją i zakrztusiła się lekko, zanim odstawiła kieliszek. Denison uśmiechnął się.

— Czy teraz czujesz się lepiej?

— Przepraszam — szepnęła żałośnie.

— W porządku. Nic się nie stało. Chodźmy na spacer.

Skinął na kelnera, zapłacił rachunek i wstając od stołu, zerknął na drugi koniec baru, gdzie zobaczył robiącego to samo Armstronga. Posiadanie własnej obstawy wyraźnie poprawia samopoczucie.

Wyszli z baru do holu. Kiedy zbliżali się do wyjścia, wszedł obładowany bagażem portier, a za nim tęga postać.

— Spójrz, kto tu jest, Lucy! — zahuczał głos. — To Harry Meyrick.

— O, do diabła! — syknął Denison, ale nie było już odwrotu.

— Kto to?

— Przedstawię was sobie — rzekł ponuro do Lyn.

— Cześć, Harry! — wrzasnął Kidder, idąc z wyciągniętą ręką przez hol. — Miło cię widzieć, wiesz.

— Cześć, Jack — odparł bez entuzjazmu i pozwolił zmiażdżyć sobie palce.

— Świat jest mały — stwierdził odkrywco Kidder. — To samo mówiłem Lucy wtedy, gdy w Sztokholmie wpadliśmy na Williamsonów. Pamiętasz Williamsonów?

— Oczywiście.

— Chyba wszyscy wybraliśmy się na objazd Skandynawii, co? Nie zdziwiłbym się, gdyby Williamsonowie też się tu zjawili. Czy nie byłoby wspaniale?

— Wspaniale! — zgodził się Denison.

Lucy Kidder wyłoniła się zza pleców męża.

— O, Harry, miło mi cię widzieć. Czy Jack mówił ci, że spotkaliśmy w Sztokholmie Williamsonów?

— Tak, mówił.

— Jaki świat jest mały — powtórzyła za mężem Lucy Kidder.

— Bardzo mały — przytaknął Jack. — Gdyby dotarli tu Williamsonowie i ta twoja miła przyjaciółka, Diana Hansen, moglibyśmy urządzić partyjkę pokera. Ta dziewczyna to ostry gracz.

— Diana Hansen? — wtrąciła Lyn. — No, ona tu jest.

Twarz Kiddera promieniała zdziwieniem i zadowoleniem.

— Czy to nie cudownie? Może uda mi się odegrać trochę mojej forsy, Lucy.

— Raczej stracić, to bardziej prawdopodobne — odparła cierpko. — Jack naprawdę wierzy, że umie grać w pokera.

— Daj spokój, mamusiu — powiedział dobrodusznie. — Nie bij starego.

Przyjrzał się Lyn.

— A kim jest ta młoda dama?

— Przepraszam — rzekł Denison. — Jack Kidder, moja córka, Lyn, Lucy Kidder.

Uścisnęli sobie ręce.

— Nie przyznałeś się, że masz córkę, Harry. A już na pewno nie mówiłeś, że jest taka piękna. Gdzie ją ukrywałeś?

— Lyn była na uniwersytecie — wyjaśnił Denison. — Teraz ma wakacje.

Lucy przerwała im.

— Nie chcę wam przeszkadzać, Jack, ale chyba musimy się zameldować. Recepcjonista czeka.

— Jasne — rzekł Kidder. — Zobaczymy się jeszcze, Harry. Powiedz Dianie, żeby otworzyła talię kart, zagramy w pokera.

— Powiem — obiecał Denison i wzięwszy Lyn pod rękę, wymaszerował z hotelu. Pod nosem dodał: — Prędzej padnę trupem.

— Kto to był? — spytała Lyn.

— Największy nudziarz w całej Ameryce Północnej — odparł. — Ze swoją udręczoną żoną.

Carey i McCready mieli gwałtowny atak morskiej choroby. Kurczowo trzymali się relingu małej łodzi, która kołysała się w podmuchach letniego wichru wiejącego z południa i ze świstem przelatującego wąskim przesmykiem między lądem a wyspą Oland. Różnili się tylko jednym: Carey sądził, że umiera, a McCready wiedział, że zaraz umrze. Obaj poczuli się lepiej, gdy zeszli na ląd w Borgholm. Tam czekał na nich samochód i oficer policji, który ze sztywnym ukłonem przedstawił się jako „Hoglund, Olof”.

— Ja jestem Carey, a to jest McCready — wyjaśnił ten pierwszy. Wiatr nadlatywał znad morza i wicherzył mu siwe włosy. — Możemy zaczynać?

— Oczywiście. Tędy.

Prowadząc ich do samochodu, Hoglund powiedział:

— Mr Thornton od was przybył godzinę temu.

Carey stanął jak wryty.

— Ach tak?

Zerknął z ukosa na McCready'ego i mruknął:

— Czego on, do diabła, chce?

W milczeniu przejechali ulicami Borgholmu. Jeszcze nie był to czas na rozmowy; przyjdzie później, kiedy zobaczą to, co przyjechali obejrzeć. Carey zajął się rozważaniami wywołanymi obecnością Thorntona i nawet gdyby chciał przedyskutować je z McCreadym, nie mógłby tego zrobić w obecności Hoglunda.

Samochód zatrzymał się przed dwupiętrowym budynkiem i weszli do środka. Hoglund wprowadził ich do pokoju na zapleczu, gdzie stał stół oparty na krzyżakach. Na stole leżał długi przedmiot nakryty białym prześcieradłem. Za nim stał niski młody człowiek ze spiczastą bródką, w białym fartuchu. Hoglund przedstawił go jako doktora Carlsona.

— Znacie już Mr Thorntona.

Thornton — wysoki, czarnowłosy mężczyzna o trupich rysach, gładkiej, nie poznaczonej zmarszczkami skórze i nieprzeniknionym wyrazie twarzy — był młodo wyglądającym sześćdziesięcioletkiem lub przedwcześnie postarzałym czterdziestolatkiem, trudno orzec. On sam nie zamierzał nikomu tego powiedzieć. Nie miał zwyczaju mówić czegokolwiek, jeśli nie musiał, a nawet jeśli musiał, robił to bardzo niechętnie. Mógłby być szefem Careya, ale nie był — Carey ucieszył się z tego,

że pracuje w innym wydziale.

Thornton spojrział na wchodzących swymi żółtymi oczami dyspeptyka. Carey lekko skinął mu głową i zwrócił się do Carlsona.

— Dobry wieczór, doktorze — powiedział ze znużeniem. Zmęczenie dawało mu się we znaki. — Mogę to zobaczyć?

Carlson bez słowa kiwnął głową i podniósł prześcieradło. Carey spojrział z twarzą pozbawioną wyrazu i gestem pokazał, żeby dalej odchylić całun.

— Tak go znalezione?

— Ciało zostało oczyszczone z zewnątrz — wyjaśnił Carlson. — Było pokryte ropą. I oczywiście usunięto kajdanki.

Carey pokiwał głową.

— Oczywiście. Nie miał ubrania?

— Ten człowiek był nagi.

McCready uniósł brwi i spojrział na Careya.

— Tak samo jak...

Carey był niewiarygodnie niezręczny. Odwrócił się i z całej siły nadepnął McCready'emu na nogę.

— Przepraszam, George — rzekł i zwrócił się do Carlsona: — Co było przyczyną śmierci, doktorze?

Carlson zmarszczył brwi.

— Z tym musimy poczekać do sekcji. W tej chwili trudno orzec: otrucie czy utonięcie.

Thornton zrobił krok naprzód.

— Powiedział pan „otrucie”?

Carey analizował ton jego głosu. Mimo iż zabrzmiał jak zwykle bezbarwnie, Careyowi wydało się, że wykrył w nim nutę szczerego zdziwienia.

— Pokażę panom — powiedział lekarz. Otworzył usta trupowi i wzięwszy długą szpatułkę, włożył mu ją głęboko do gardła. McCready skrzywił się i odwrócił. Carlson wyjął szpatułkę i podsunął Careyowi. — Wymaz z gardła.

Carey obejrzał poczerniały koniec szpatułki.

— Ropa?

Carlson skinął twierdząco głową.

— Nie wydaje mi się, aby miało jakiegokolwiek znaczenie, czy utopił się w ropie, czy otruł się nią — zauważył Thornton. Wyraźnie się rozluźnił.

— Zgadzam się z tym — rzekł Hoglund. — Dokonał pan identyfikacji, Mr Carey? Carey zawahał się.

— W tej chwili... nie.

Skinął na Thorntona.

— A pan?

— Nigdy w życiu nie widziałem tego człowieka — oświadczył Thornton.

Twarz Careya przybrała ponury wyraz.

— Zwłoki będzie trzeba... zachować. Czy macie odpowiednie wyposażenie?

— Nie na Olandii — odparł Carlson.

— Zabierzemy ciało na kontynent, gdy tylko doktor Carlson dokona sekcji — rzekł Hoglund.

— Nie — powiedział stanowczo Carey. — Ciało musi być zidentyfikowane, zanim je pan potnie. To oznacza, że trzeba je przewieźć do Anglii lub ktoś musi przyjechać tutaj. W obu wypadkach chcę, aby przy sekcji asystował jeden z naszych patologów.

— Ten przypadek należy do naszej jurysdykcji — ostro sprzeciwił się Hoglund.

Carey ze znużeniem potarł oczy; powieki piekły go, jak pokryte piaskiem. Musi rozegrać to ostrożnie, zważając na szwedzką tradycję neutralności.

— O ile o nas chodzi — mówił powoli ten przypadek staje się sprawą wagi państwowej. Zamierzam zadać kilka pytań mojej górze i sugeruję, żeby pan również skonsultował się ze swoimi zwierzchnikami. Niech nasi przełożeni sprzeczą się o kwestię jurysdykcji, mój przyjacielu; tak będzie bezpieczniej dla nas obu.

Gdy Hoglund zastanawiał się nad radą, Carey dodał:

— W każdym razie incydent miał miejsce na wodach międzynarodowych.

— Może tak będzie najlepiej — zgodził się Hoglund. Zachowywał się sztywno. — Zrobię, jak pan radzi. Czy chcą panowie zobaczyć kajdanki?

Kiedy Carey skinął głową, podszedł do półki i wziął z niej parę kajdanków. Carey obejrzał je.

— Angielskie — stwierdził. Podał je Thorntonowi. — Nie sądzi pan?

Ten wzruszył ramionami.

— To nic nie znaczy.

Zwrócił się do Hoglunda.

— Czy ustalono, że nie wypadł z tankowca?

— Sprawdzono załogę tankowca — wyjaśnił Hoglund. — Jeden załogant został zabity, ale ciało wyłowiono.

Na gest Hoglunda Carlson z powrotem zakrył zwłoki prześcieradłem.

— Ten człowiek prawdopodobnie wypadł z tego drugiego statku. Kapitan tankowca twierdził, że tamci płynęli bez świateł.

— A co miał powiedzieć? — spytał cynicznie Carey. — Jednak może i mówi prawdę. Czy zidentyfikowali już ten statek?

— Jeszcze nie. Nie zgłoszono zaginięcia żadnej łodzi; nikt nie zgłosił się po ubezpieczenie. Rzecz jasna, prowadzimy dochodzenie. — Hoglund zmarszczył brwi. — Oprócz ciała pozostaje problem ropy. Oczyszczenie brzegów Gotlandii będzie słono kosztowało i ktoś musi za to zapłacić.

— Jest coś, czego nie rozumiem — rzekł McCready. — Jeżeli ropa dryfuje do Gotlandii, to dlaczego ciało wypłynęło tutaj, przy Olandii? Dzieli je spora odległość.

— Ciało zostało wyłowione z morza na południe od Gotlandii — powiedział Hoglund. — Jednak statek płynął tutaj.

Carey odchrząknął.

— Czy ma pan jakiś punkt zaczepienia dla dalszego dochodzenia?

— Nic szczególnego. Kapitana tankowca nie było w tym czasie na mostku, a łódź zatonała w ciągu kilku minut. Oceniał ją na jakieś trzysta do czterystu ton wyporności. Doszedł do tego w oparciu o uszkodzenia dziobu tankowca i jego szybkość w chwili zderzenia.

— Mały statek przybrzeżny — rzekł w zadumie Carey. — Albo większa łódź rybacka. Hoglund wzruszył ramionami.

— Wkrótce to ustalimy.

Nie byłbym tego taki pewien, przyjacielu — pomyślał Carey. Zwrócił się do Carlsona:

— Nie kwestionujemy pańskich umiejętności patologa, doktorze Carlson. Mam nadzieję, że pan to rozumie. Czy poczyni pan przygotowania do przechowania ciała?

Carlson spojrzał czujnie na Hoglunda, który skinął głową.

— Rozumiem. Zrobię to, o co pan prosi.

— A więc nie mamy tu już nic do roboty — oświadczył Carey. — Chyba że Mr Thornton ma coś do dodania.

— Nic — potwierdził Thornton. — Identyfikację pozostawiam panu.

Opuścili pomieszczenie. Przy wejściu do budynku Carey przystanął, żeby zapiąć płaszcz i zapytać Thorntona:

— Pańskie nieoczekiwane przybycie to dla nas niespodzianka. Co pana sprowadza?

— Przypadkiem byłem w ambasadzie w Sztokholmie — odparł gładko Thornton. — Oczywiście, w innych sprawach. Mają tam mało ludzi, więc kiedy wyszła ta sprawa, zaproponowałem, że przyjadę tu zadbać o interes Królestwa.

Carey postawił kołnierz.

— Skąd pan wiedział, że tu chodzi o interes Królestwa? — spytał łagodnie.

Thornton odpowiedział mu równie spokojnie:

— Kajdanki, rzecz jasna.

Ruchem głowy wskazał na pokój, z którego wyszli.

— Kim on był?

— Dowiemy się, kiedy zostanie zidentyfikowany.

Thornton uśmiechnął się.

— Wiem, że pański wydział lubuje się w tajemnicach, ale nie powinien pan popadać w obsesję.

Pokazał palcem.

— Hoglund czeka na pana przy samochodzie.

— A pan nie jedzie?

— Przyleciałem helikopterem... Przepraszam, że nie mogę panów zabrać z powrotem, ale nie wiem, skąd przybyliście, prawda? — Thornton uśmiechnął się złośliwie.

Carey mruknął coś pod nosem i poszedł do samochodu. W czasie jazdy znowu zachowali milczenie ze względu na obecność Hoglunda, lecz gdy dojeżdżali do zatoki, Carey zapytał nagle:

— Czy ambasada brytyjska została poinformowana o pochodzeniu tych kajdanek?

Hoglund zmarszczył czoło.

— Nie sądzę. Nie przeze mnie.

— Rozumiem. Dziękuję.

Wiatr osłabł i powrotna podróż do Szwecji była łatwiejsza. Carey i McCready zostali na pokładzie, gdzie mogli spokojnie porozmawiać.

— Nie spodziewałem się tam Thorntona. O co mu chodzi? — zastanawiał się McCready.

— Nie wiem — odparł Carey. — Próbował puszczać mi dym w oczy. Czy wyobrażasz sobie, że taka szycha z Whitehallu, jak Thornton, podejmuje się wykonania rutynowego zadania, które może wykonać byle urzędnik z ambasady? Mózg się lasuje.

Rąbnął pięścią w reling.

— Niech szlag trafi te międzywydziałowe animozje! Niby wszyscy jesteśmy po tej samej stronie, ale więcej czasu zajmuje mi zabezpieczanie sobie tyłów przed takimi Thorntonami niż właściwa praca!

— Czy myślisz, że on wie o zamianie Meyricka?

— Nie mam pojęcia — rzekł ponuro Carey. — Według tego, co tam powiedział, nawet nie zna Meyricka.

Spojrzał na szare morze.

— Ktoś miał pecha.

— Meyrick na pewno.

— Myślałem o ludziach, którzy go porwali. Przerzucili go do Kopenhagi i wsadzili na łódź, żeby zabrać go... Dokąd? Łódź zderzyła się z tankowcem płynącym na zachód.

— A więc prawdopodobnie płynęła na wschód — stwierdził McCready. — Sugestywne, łagodnie mówiąc.

— Nie wyciągajmy pochopnych wniosków — zirytował się Carey.

— Masz rację. Szczególnie nie wyciągajmy przedwczesnego wniosku, że ten zatruty ropą sztywniak to Meyrick. Już to przerabialiśmy.

Carey zareagował gwałtownie:

— Chcę, żeby Iredale był obecny przy autopsji i sprawdził, czy są jakieś ślady operacji plastycznej. Chcę, żeby pobrano odciski palców i porównano je z tymi z domu Meyricka. Proponuję, aby zwłoki zidentyfikowała jedna z jego eks-żon.

— A czemu nie córka?

— Próbuję to rozwikłać — rzekł Carey z westchnieniem. — Jeśli zdołam, zanim wsiądziemy do samolotu, to może uda mi się przespać w czasie lotu do Helsinek.

Jego głos nie brzmiał optymistycznie.

Carey siedział w Cafe Hilden przy Aleksanterinkatu i sączył piwo, czekając na Hardinga. Po dwunastu godzinach snu czuł się wypoczęty i mniej przygnębiony niż przedtem. Wiedział, że wcześniejsze przygnębienie było wywołane zmęczeniem. Jednak, mimo że odpoczął i myślał teraz trzeźwo, decyzja, którą miał podjąć, nie przychodziła mu łatwo.

Zobaczył wychodzącego zza rogu Hardinga i podniósł rękę. Kiedy psychiatra podszedł do stolika, Carey zapytał:

— Widział się pan z Denisonem?

Harding skinął głową.

— Niech się pan napije piwa.

Harding usiadł.

— Chętnie. Nie myślałem, że na tej mroźnej północy może być tak gorąco.

Carey poszedł do baru i wrócił z dwiema kolejnymi butelkami.

— Jaki werdykt?

Harding przechylił głowę na bok, obserwując, jak piana podnosi się w szklance.

— To dziwne, ale wydaje się w lepszym stanie niż wtedy, gdy go ostatnio widziałem. Jest bardziej zintegrowany. A jak z jego piciem?

Carey postukał palcem w szklankę.

— Czasem wypija jedno piwo.

— Może okazać się, że to przeżycie wyleczy go z alkoholizmu. — Harding uśmiechnął się krzywo. — Jednak nikomu nie zalecałbym tej kuracji. Teraz, kiedy wiemy więcej o jego przeszłości, mogę lepiej ocenić obecny stan pacjenta. — Wyjął z kieszeni notes. — Denison był zapalonym miłośnikiem motoryzacji i jeździł lotusem elanem. Trzy lata temu miał wypadek, za który częściowo, ale tylko częściowo, ponosi winę, a w którym zginęła jego żona. Byli małżeństwem od osiemnastu miesięcy. Ona spodziewała się dziecka. Denison wziął na siebie całą odpowiedzialność za wypadek. Wtedy zaczął pić. Kiedy znalazł się na krawędzi popadnięcia w alkoholizm, stracił pracę z powodu niekompetencji.

— To mnie zdumiewa — rzekł Carey. — Ponieważ on jest cholernie kompetentny w tym, co teraz robi.

Uśmiechnął się.

— Zamierzam zaproponować mu stałą pracę.

Harding skosztował piwa.

— Po tym, co mu zrobiono, nie wspomina już swojej żony. Oczywiście pamięta o niej i o jej śmierci, ale tak, jakby to wydarzyło się komuś innemu. Naturalnie, po trzech latach tak właśnie być powinno. U normalnego człowieka upływ czasu łagodzi ból i pod tym względem Denison jest teraz normalny.

— Cieszę się, że to słyszę — oświadczył Carey.

Harding obrzucił go przenikliwym spojrzeniem. Zadowolenie Careya budziło w nim głęboką nieufność. Powiedział:

— W konsekwencji uwolnił się od poczucia winy i nie musi znieczulać się wódą. Dlatego znów jest kompetentny. Wydaje mi się nawet, że przy odrobinie fachowej pomocy może stać się lepszym człowiekiem, niż był tuż przed porwaniem.

— Jak długo to potrwa?

— Trzy do sześciu miesięcy, tak sędzę.

Carey potrząsnął głową.

— Za długo. Potrzebuję go teraz. Czy może nadal robić swoje?

Harding zastanawiał się chwilę.

— Wie pan co, zdaje się, że on w tej chwili dobrze się bawi. Lubi ryzyko związane z tym zajęciem, a możliwość wypróbowania swojego sprytu dobrze mu robi.

— A więc nadaje się — skonstatował z zadowoleniem Carey.

— Tego nie sugerowałem — zachnął się Harding. — Ja nie myślę o pańskiej przeklętej operacji, myślę o Denisonie.

Znowu zastanawiał się przez chwilę.

— Wygląda na to, że obecne zagrożenia nie budzą jego niepokoju. Powiedziałbym, że jedynym niebezpieczeństwem jest to, że może w jakiś szokujący sposób odkryć swoją przeszłość.

— Do tego nie dojdzie — oświadczył z przekonaniem Carey. — Nie tam, gdzie go poślę.

— W porządku — odparł Harding. — A więc jest zdrow tak, jak tylko może być człowiek w jego stanie... co wcale nie oznacza, że nic mu nie jest.

— W ten sposób dochodzimy do innego problemu — rzekł Carey. — Meyrick nie żyje.

Rozważył to stwierdzenie, doszedł do wniosku, że może nie być w pełni uzasadnione, i poprawił się:

— Prawdopodobnie nie żyje. Znaleźliśmy ciało, ale kto raz się sparzył...

— Rozumiem, na czym polega kłopot — mruknął z krzywym uśmiechem Harding.

— Nie mogę powiedzieć dziewczynie, że jej ojciec nie żyje... Nie wtedy, gdy jest tu Denison. Wybuchłaby jak wulkan i diabli wzięliby jego legendę, a ja potrzebuję go jako Meyricka. Pytanie tylko, czy mam powiedzieć o tym Denisonowi?

— Nie robiłbym tego — poradził Harding. — I tak z trudem radzi sobie z Lyn Meyrick. Jeżeli dowie się, że jej ojciec nie żyje, stanie przed moralnym dylematem, jeśli jest człowiekiem o surowych zasadach moralnych, a myślę, że jest.

Westchnął.

— Bóg wie, że my nie jesteśmy.

— Reprezentujemy moralność wyższego rzędu — stwierdził ironicznie Carey. — Największym dobrem jest to, co dobre dla większości. W głębi duszy zawsze byłem zwolennikiem Benthama, tylko w ten sposób mogę znieść moją pracę.

Opróżnił szklanekę.

— Gdzie jest teraz Denison?

— Zwiedza miasto — powiedział Harding. — Zabrał córkę i poszedł obejrzeć pomnik Sibeliusa.

Wygląda jak organy — oceniła po namyśle Lyn. — Gdyby miał klawiaturę, można by na nim grać. To trochę śmieszne, jeśli się zastanowić. Sibelius układał utwory orkiestralne, prawda?

— Tak sędzę — odparł Denison. Sprawdził w swoim przewodniku. — Pomnik waży dwadzieścia osiem ton i został wykonany przez kobietę. Chyba można to nazwać wczesnym przejawem aktywności Ruchu Wyzwolenia Kobiet... Dowód, że ręka poruszająca kołyską równie dobrze może posługiwać się palnikiem acetylenowym. Usiądźmy i obejrzyjmy paradę.

Usiedli na ławce i patrzyli na wysiadających z autobusu wycieczkowiczów; w powietrzu unosił się amerykański akcent. Denison zobaczył Armstronga przechodzącego alejką poniżej pomnika i odwrócił wzrok, by spojrzeć na morze. Ciemnoniebieska toń upstrzona białymi żaglami jachtów odbijała jaśniejszy błękit nieba. Zastanawiał się, kiedy Carey wykona następny ruch.

Lyn westchnęła z zadowoleniem.

— Czy to nie piękne? Nie przypuszczałam, że Finlandia może tak przypominać jakieś miejsce leżące nad Morzem Śródziemnym... na przykład Ibizę. Pamiętasz, jak tam było?

— Mmm — mruknął obojętnie.

Lyn zaśmiała się.

— Ten śmieszny hotelik, w którym nie było wody i nie mogłeś się wykąpać. Nigdy nie słyszałam, żebyś się tak wściekał. Jak nazywał się właściciel, ten mały grubasek?

— Nie pamiętam.

Mógł tak powiedzieć; człowiek nie musi pamiętać każdego przypadkowego spotkania.

— A potem zjadłeś nieświeże frutti di mare i zabrali cię do szpitala na płukanie żołądka.

— Zawsze miałem wrażliwy żołądek — rzekł Denison. Wskazał ręką na morze: — Chyba się ścigają.

Chciał odwrócić jej uwagę od wspomnień.

— Rzeczywiście — przytaknęła. — Mam nadzieję, że Hesperia nadal stoi na kołkach, skoro nie pływasz nią tego lata. Pytam dlatego, że jeśli nie będziesz jej używał, to chciałabym ją pożyczyć. Prawie obiecałam Janice i Kitty, moim

przyjaciółkom, że popływamy razem.

Denison milczał nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Nie psuj nam zabawy. Billy Brooks spuści ją na wodę, a ja zrobię klar.

— W porządku — mruknął. — Tylko uważaj na siebie. Angielskie wody nie są tak spokojne jak Bałtyk. Kiedy masz zamiar wrócić?

— Jeszcze nie zdecydowałam. Muszę napisać do dziewczyn i wszystko zaplanować, a potem skontaktować się z Billym. Już dwa lata temu chciałeś wyposażyć jacht w nowe żagle. Zrobiłeś to?

— Tak.

Szybko podniósł się z ławki.

— Chodźmy, jest późno, a muszę się spotkać z kimś w hotelu.

— Bardzo to tajemnicze — zauważyła. — Skąd to nagłe spotkanie? Uśmiechnęła się do niego.

— To brzmi jak typowa wymówka w stylu Oscara Wilde'a: „Muszę odrzucić pańskie zaproszenie ze względu na wcześniejsze zobowiązania”.

Czyżby tak łatwo było go przejrzeć? Zmusił się do uśmiechu i wyjaśnił:

— Po prostu obiecałem Kidderom, że wypiję z nimi kolejkę przed kolacją, to wszystko.

— Och. — Machnęła niefrasobliwie ręką. — A więc chodźmy. Nie możemy pozwolić im czekać.

Gdy odchodzili, Denison zauważył, że Armstrong wstaje z ławki i rusza za nimi. I jaki pożytek z obstawy? — pomyślał kwaśno. — Przeciwnik idzie obok mnie i kłuje ostrym języczkiem. Coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę z krzywdy, jaką tą maskaradą wyrządza Lyn, i postanowił zobaczyć się z Careym, aby poprosić go, żeby ich jakoś rozdzielił.

Wrócili do hotelu i Lyn zapytała:

— Czy masz coś przeciwko temu, że wpadnę do twojego pokoju?

Rozejrzała się po holu.

— Jest coś, o czym chcę z tobą pomówić.

— O czym?

Wskazała na wejście do hotelu.

— Na przykład o nim.

Denison odwrócił się i zobaczył wchodzącego Armstronga.

— Chodzi za nami już od dwóch dni.

— Powinien — potwierdził Denison. — Jest kimś w rodzaju strażnika. Jeżeli znów — broń Boże! — udam się do sauny, on pójdzie tam ze mną.

— Myślę, że lepiej będzie, jeśli powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi. Czuję, że wiele przede mną ukrywasz. W twoim pokoju czy w moim?

— W porządku — rzekł z rezygnacją.

Wsiadli do windy razem z trojgiem innych osób i Denison skorzystał z okazji, żeby poukładać sobie w myślach, co ma powiedzieć Lyn nie opowiadając kłamstw, ale ukrywając większość prawdy. Doszedł do wniosku, że powinien wykręcić się koniecznością zachowania tajemnicy państwowej.

Otworzył drzwi i wszedł do środka za Lyn.

— Co chcesz wiedzieć?

— To wielka tajemnica, prawda?

Usiadła na łóżku.

— Której nie mogę ci wyjawić — odparł. — To część mojej pracy. Pewnego dnia próbowali mnie załatwić, więc ambasada przysłała tego młodego faceta, nawiasem mówiąc, nazywa się Armstrong, żeby mnie pilnował. To wszystko.

— Nic więcej?

— Niczego więcej nie masz prawa wiedzieć, Lyn. Przykro mi. Rozłożył ręce.

— Wiąże mnie tajemnica państwowa.

Zacisnęła zęby.

— Mnie także jest przykro, ponieważ to mi nie wystarcza.

— Mój Boże, nie mogę ci powiedzieć nic więcej. Jeśli będę opowiadał na prawo i lewo, co tu robię, to uznają, iż stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju.

Roześmiał się.

— Nie wpuściliby mnie do moich własnych fabryk... w najlepszym wypadku. W najgorszym poszedłbym do więzienia.

Usiadł obok niej na łóżku.

— Nie chodzi o to, że ci nie ufam, Lyn, po prostu gdybyś wiedziała to, co ja, groziłoby ci niebezpieczeństwo. Nie chcę cię narażać, Lyn.

Milczała przez chwilę. Jej twarz wyrażała niepokój, a palce nerwowo szarpały narzutę. Oblizwała wargi.

— Martwiłam się.

— Wiem, ale nie ma się czym martwić. Już po wszystkim, a Armstrong zadba, żeby to się już nie powtórzyło.

— Nie o to się martwiłam.

— A o co?

— O siebie. A właściwie o ciebie. Czuję, że tu coś jest nie tak.

Denisona ścisnęło w żołądku.

— Ze mną wszystko w porządku. Ponosi cię wyobraźnia. Wydawało się, że go nie słyszała.

— Nic wielkiego... Te najistotniejsze sprawy były w porządku. Tylko drobiazgi. Na przykład Miś-Ptyś; jak mógłbyś zapomnieć Misia-Ptysia? A ponadto ci Kidderowie.

— Co z Kidderami?

— Dwa lata temu spławiłbyś takiego faceta pięcioma słowami.

Spojrzała na niego uważnie.

— Zmieniłeś się. Za bardzo się zmieniłeś.

— Na lepsze, mam nadzieję. — Denison nie rezygnował z walki.

— Tak mi się zdaje — potwierdziła lekko drżącym głosem. — Teraz znacznie łatwiej można z tobą wytrzymać.

— Przykro mi, że kiedyś sprawiałem ci tyle przykrości. Jak już mówiłem, może staję się starszy i mądrzejszy.

— To mnie zbijało z tropu — wyznała. — A jestem taka sama jak wszyscy: nie lubię być zmieszana. I przyszła mi do głowy zwariowana myśl... tak zwariowana, że uznałam, iż tracę rozum.

Denison otworzył usta, ale zakryła mu je dłonią.

— Nie, nie trzeba. Pozwól, że sama to poukładam. Nie chcę znowu dać się zbić z tropu.

Zabrała rękę i Denison poprosił cicho:

— Mów dalej, Lyn.

— Odkryłam, że nachodzą mnie dziwne myśli o tobie.

Przełknęła ślinę.

— Myśli, jakich żadna dziewczyna nie powinna mieć o swoim ojcu, i wstydziałam się ich. Byłeś taki inny, wiesz, zupełnie niepodobny do mojego ojca... ta zmiana była zbyt wielka. Usiłowałam określić, na czym to polega, i doszłam do wniosku, że nagle stałeś się po prostu ludzki.

— Piękne dzięki — rzekł Denison.

— Znów słyszę mojego dawnego tatusia — powiedziała gwałtownie. — Och, umiałeś używać ironii i sarkazmu jak ostrza noża.

— Nie chciałem ironizować — odparł szczerze Denison.

— A potem zauważyłam inne rzeczy, takie jak Miś-Ptyś, Kidderowie oraz to, że przestałeś palić. Wtedy przyszedł mi do głowy ten szalony pomysł.

Denison wstał.

— Lyn, myślę, że lepiej, jeśli na tym poprzestaniemy — uciął zimno. — Wpadasz w histerię.

— Nie, nie przestaniemy! — krzyknęła zrywając się i patrząc mu w twarz. — Znałeś na wrywki wszystkie utwory Sibeliusa, a dlaczego by nie? Przecież jesteś Finem! Jednak dziś rano powiedziałeś, iż tylko „sądzisz”, że on układał utwory orkiestralne. I nie wiem jak ty, nie widzieliśmy się przez tyle lat, ale ja nigdy nie byłam na Ibizie i, o ile wiem, nigdy nie leżałeś w szpitalu z powodu zatrucia pokarmowego!

Denison przeraził się.

— Lyn!

Była bezlitosna.

— Nie ma jachtu o nazwie Hesperia. Zawsze mówiłeś, że żeglowanie jest najmniej skutecznym sposobem lokomocji znanym człowiekowi, a każdy wie, że efektywność jest twoim bożkiem. Billy Brooks nie istnieje, wymyśliłam go. A ty powiedziałeś, że kupiłeś żagle do nie istniejącego jachtu.

Twarcz jej pobieliała, a oczy nabiegły łzami i Denison wiedział, że była śmiertelnie przerażona.

— Nie możesz być moim ojcem — szepnęła. — Nie jesteś moim ojcem. KIM JESTEŚ?

Gdzie, do diabła, jest Denison? — pytał z irytacją Carey.

— Zjawi się — uspokajał go McCready. — Na razie niewiele się spóźnił.

Carey był podenerwowany.

— Mogli go znowu napaść.

— Jeżeli tym się martwisz, to niepotrzebnie. Przecież pilnuje go Armstrong.

Carey nie odpowiedział. Pochylił głowę i powtórnie przeczytał długi kablogram.

— No, to już wyjaśnione — stwierdził z ulgą. — Ta sprawa spędzała mi sen z powiek.

— Co takiego? — zainteresował się Harding.

— Kiedy Denison został uprowadzony z sauny, wyrecytował litanie terminów matematycznych, żeby zbić z tropu przeciwnika. Sam nie wiedział, co mówi, był to bowiem rodzaj żargonu naukowego, jakim mógłby posługiwać się Meyrick.

Rzucił depezę na stół.

— Nie wiedzieliśmy, skąd Denison znał te sprawy.

— Musiał zetknąć się z nimi kiedyś, w przeszłości. — Harding nie miał cienia wątpliwości.

— Właśnie — przytaknął Carey. — Jednak on nie miał takiej przeszłości.

— Oczywiście, że nie. — Harding zmarszczył czoło w zadumie. — Przecież był reżyserem filmowym.

— Ale szczególnego rodzaju — zauważył McCready. — Robił filmy dokumentalne. Dowiedzieliśmy się, że nakręcił cykl filmów popularnonaukowych o matematyce dla jednej z dużych firm komputerowych. Myślę, że reżyser filmowy powinien orientować się w problematyce kręconego filmu, chociaż, sądząc po niektórych gniotach, nie jest to takie pewne. W każdym razie ktoś porozmawiał z ludźmi z tej firmy komputerowej i dowiedział się, że Denison nie tylko szybko chwycił wszelkie zawiłości obcej mu dziedziny wiedzy, ale w dodatku autentycznie się nią zainteresował. W większości były to filmy rysunkowe, traktujące o teorii prawdopodobieństwa. Znał ten żargon, to jasne.

— Jednak w swoim czasie dreszcz przebiegł mi po plecach — wyznał Carey. — Mrs Hansen, proszę zadzwonić do hotelu i sprawdzić, co zatrzymało Denisona.

Diana Hansen wstała i przeszła przez pokój. Już miała podnieść słuchawkę, gdy telefon zadzwonił. Przyłożyła słuchawkę do ucha, po czym skinęła na Carey'a.

— To do pana, mówi Armstrong.

Carey odebrał telefon.

— Ian, czemu się spóźniacie?

— Byłem w swoim pokoju — relacjonował Armstrong. — Miałem otwarte drzwi, tak żebym mógł obserwować drzwi do pokoju Denisona. Jakies dwadzieścia minut temu wypadła stamtąd panna Meyrick, więc wyszedłem na korytarz, żeby sprawdzić, co się stało. Złapała mnie i powiedziała, że Denison miał jakiś atak. Wszedłem do jego pokoju i znalazłem go na podłodze, nieprzytomnego. Doszedł do siebie pięć minut temu.

— Jak się teraz czuje?

— Twierdzi, że dobrze.

— A więc lepiej przyprowadź go tutaj — zdecydował Carey. — Poproszę Hardinga, żeby go zobaczył.

Zapadło krótkie milczenie.

— Miss Meyrick mówi, że ona też przyjdzie.

— Nic z tego — nie zgodził się Carey. — Spław ją.

— Pan chyba nie rozumie — rzekł Armstrong. — Kiedy zobaczyła mnie na korytarzu, powiedziała, że DENISON miał atak, nie Meyrick.

Carey wysoko uniósł brwi.

— Ona wie?

— Widocznie.

— Przyprowadź ich tutaj i nie spuszczaaj ich z oka. Dyskretnie. Odłożył słuchawkę.

— Dziewczyna połapała się, a pański pacjent wraca tu jak bumerang. Znów miał jeden z tych swoich ataków.

— Negatywizm — orzekł Harding. — Na pewno przez tę dziewczynę Meyricka.

— Nazwała go Denisonem — powiedział matowym głosem Carey.

Przez dwadzieścia minut czekali w milczeniu. Carey wyjął fajkę i nabił ją, po czym zaczął zawzięcie pykać. Harding wyciągnął długie nogi i w głębokim skupieniu wpatrywał się w czubki swoich butów. Zmarszczył czoło w zadumie. Diana Hansen kopciła papierosy jeden za drugim, gasząc na pół wypalone w popielniczce. McCready chodził tam i z powrotem, wydeptując bruzdę w dywanie.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszyscy sprężyli się w oczekiwaniu. McCready otworzył, wpuszczając Lyn i Denisona oraz idącego tuż za nimi Armstronga. Carey spojrział badawczo na Denisona.

— Harding chciałby zamienić z tobą słowo w innym pokoju. Masz coś przeciwko temu?

— Nie — oświadczył spokojnie Denison i poszedł za psychiatrą. Kiedy drzwi za nimi się zamknęły, Carey wstał i zwrócił się do Lyn:

— Panno Meyrick, nazywam się Carey i jestem z tutejszej ambasady brytyjskiej. To jest pan McCready. Panią Hansen już pani zna, podobnie jak pana Armstronga.

Lyn była blada, lecz dwie różowe plamy na jej policzkach przybrały krwisty kolor na widok Diany Hansen. Potem machnęła ręką w kierunku drzwi, za którymi zniknął Denison.

— Kim jest ten człowiek? I gdzie jest mój ojciec?

— Proszę usiąść — zaproponował Carey i skinął na McCready'ego, żeby przysunął jej krzesło.

— Nie rozumiem — rzuciła Lyn. — Wyjaśnił mi, że nazywa się Denison i opowiedział niewiarygodną historię...

— Która przypadkiem jest prawdziwa — przerwał jej Carey. — Wolałbym, żeby nie była.

Lyn podniosła głos:

— A więc, co się stało z moim ojcem?

Carey spojrział na Dianę Hansen, która wstała i podeszła do Lyn.

— Panno Meyrick, z przykrością muszę panią zawiadomić...

— On nie żyje, tak?

Carey skinął głową.

— Uważamy, że to był wypadek. Jego ciało wyłowiono z Bałtyku trzy dni temu. Doszło do zderzenia tankowca z innym statkiem.

— Zatem to, co mi powiedział ten człowiek, Denison, to prawda?

— A co pani powiedział?

Wysłuchali relacji Lyn i w końcu Carey pokiwał głową.

— Wygląda na to, że przekazał pani wszystkie istotne fakty.

Zauważył, że Denison nie wyjawiał jej, co zawierały papiery Merikkena; zaznaczył tylko, iż były ważne.

— Przykro mi z powodu pani ojca.

— Tak — odparła zimno. — Spodziewam się.

Carey pomyślał, że bez trudu zdołała opanować swój ból, ale uznał, że w tych okolicznościach to zupełnie zrozumiałe. Wążąc każde słowo zapytał:

— Panno Meyrick, kiedy Denison opowiedział pani tę historię, czy próbowała pani pytać o jego przeszłość?

— No... tak. Chciałam dowiedzieć się, kim był... kim jest.

— Nie wolno pani tego robić. To może być dla niego niezwykle niebezpieczne.

Lyn wybuchła:

— Jeśli choć połowa z tego, co mi mówił, jest prawdą, to wasze postępowanie z nim jest godne pogardy. Powinien być leczony psychiatrycznie.

— I jest — oświadczył Carey. — Doktor Harding to psychiatra. Czym zdradził się Denison?

Powiedziała mu i pokiwał głową.

— Nie mogliśmy oczekiwać, że wciąż będzie mu się udawało — rzekł filozoficznie. — Jednak miałem nadzieję na jeszcze jeden dzień. Jutro mieliśmy was rozdzielić.

— Mój Boże! Za kogo pan się uważa, do cholery?! Nie jesteśmy figurkami szachowymi.

— Denison jest ochotnikiem, panno Meyrick. Sam wybrał.

— Też mi wybór! — Usłyszał ciętą odpowiedź.

Drzwi za plecami Careya otworzyły się. Obrócił się w fotelu i zobaczył wchodzącego Hardinga.

— Ian, idź i posiedź z Denisonem.

— To nie będzie potrzebne — stwierdził Harding. — Zaraz tu przyjdzie. Dałem mu coś do przemyślenia.

— Jak się czuje?

— Nic mu nie będzie.

— Czy pamięta, że wyśpiewał wszystko pannie Meyrick?

— O, tak — odparł Harding. — Nie pamięta tylko, o co pytała go panna Meyrick, zanim stracił przytomność.

Z zainteresowaniem spojrział na Lyn.

— Co to było za pytanie?

— Chciałam dowiedzieć się, kim jest.

Harding potrząsnął głową.

— Niech pani więcej tego nie robi. Sądzę, że będę musiał z panią porozmawiać, młoda damo.

— Niech się pan nie trudzi rzekł ponuro Carey. — Ona wraca do Anglii.

Lyn zmierzyła Hardinga chłodnym spojrzeniem.

— Czy pan jest lekarzem?

Harding zapalił papierosa.

— Między innymi.

— Chyba pomylił się pan, składając przysięgę. Złożył pan przysięgę hipokryty zamiast Hipokratesa.

Harding poczerwieniał, lecz zanim zdążył się odciąć, Lyn napadła na Careya.

— A co do powrotu do Anglii, to z całą pewnością tam wrócę. Wielu ludzi zainteresuje się tym, co będę im miała do powiedzenia.

— Nie robiłbym tego na pani miejscu — rzekł spokojnie.

— Spróbujcie mnie powstrzymać — rzuciła wyzywająco.

Carey odchylił się w fotelu i zerknął na McCready'ego.

— Wygląda na to, że będziemy musieli ją tu zatrzymać. Zajmij się tym... wymeldowaniem z hotelu i tak dalej.

— A co potem? Przecież nie możecie trzymać mnie w nieskończoność. Kiedyś wrócę do Anglii i zadbam o to, żeby wszyscy dowiedzieli się, co wyprawiacie z tym człowiekiem. To będzie ciekawa lektura.

McCready uśmiechnął się.

— Gazety tego nie opublikują. Jest coś takiego, co nazywa się D-notice⁴.

Spojrzała na niego z pogardą.

— Myśli pan, że studenci dwudziestu uniwersytetów będą się przejmowali waszą głupią D-notice?

— Mój Boże! — jęknął McCready. — Ona ma rację. Pan wie, jacy są studenci.

— Co zatem ze mną zrobicie? — spytała z zainteresowaniem. — Zabijecie mnie?

— Nic nie zrobią — oświadczył Denison zza pleców Careya.

Zamknął drzwi.

— Albo będą musieli poszukać sobie innego chłopca na posyłki.

Carey nie odwrócił się. Powiedział tylko:

— Weź sobie krzesło, Denison. Mamy tu problem do rozwiązania. Denison usiadł obok niego.

— Groźbami go nie rozwiążecie.

— Właśnie widzę — stwierdził kwaśno Carey. — A zatem może spróbujemy perswazji. Czego pani właściwie chce, Miss Meyrick?

⁴ D-notice (Defence notice) — nieformalny, w założeniu dobrowolny system cenzury prasowej, chroniący obronność państwa, wprowadzony w Wielkiej Brytanii podczas drugiej wojny światowej i zarzucony pod koniec lat sześćdziesiątych, po próbie naduzycia go przez rząd Wilsona (przyp. tłum.)

Nagle sprawiła wrażenie lekko zmieszanej.

— Chcę, żebyście skończyli z tym, co robicie... jemu. — Ręka Lyn trzęsła się, gdy wskazała na Denisona.

— Nic mu nie robimy. Zgłosił się na ochotnika i może to potwierdzić.

Lyn wybuchła.

— Jak może być ochotnikiem, jeśli nie wie, kim jest? Każdy sąd odrzuciłby taki argument.

— Ostrożnie — przestrzegł nagle Harding obserwujący Denisona.

— On potrzebuje pomocy — powiedziała błagalnie.

— Otrzymuje ją — odparł Carey, wskazując na Hardinga.

— Wie pan już, co ja o tym myślę.

— Proszę mi wyjaśnić, dlaczego tak przejmuje się pani Denisonem? Mimo wszystko, to dla pani obcy człowiek.

Spuściła wzrok.

— Już nie — szepnęła. Podniosła głowę i spojrzała na Careya jasnymi oczami. — A czy o obcych nie powinniśmy się troszczyć? Nigdy nie słyszał pan przypowieści o miłosiernym Samarytaninie, panie Carey?

Carey westchnął i, przygnębiony, zwrócił się do Denisona:

— Zobacz, co ci się uda zdziałać, Giles.

Denison otworzył usta i znów je zamknął. Po raz pierwszy Carey zwrócił się do niego po imieniu, tak jak zazwyczaj zwracał się do Armstronga i McCready'ego. Czy to oznaczało, że został przyjęty do zespołu, czy też ten sprytny stary diabeł postanowił podejść go psychologicznie?

Spojrzał nad stołem na dziewczynę.

— Wiem, co robię, Lyn, a ta operacja jest bardzo ważna.

— Skąd możesz wiedzieć, co robisz? Nie jesteś kompetentny, aby to ocenić.

— Właśnie, że jest — przerwał jej Carey. — Przepraszam. Mów dalej, Giles.

— Nie o to chodzi — kontynuował Denison. — Wpakowano mnie w tę historię, nie pytając mnie o zdanie, ale teraz muszę zgodzić się z Careyem. Jeżeli ta operacja ma zakończyć się sukcesem, muszę nadal być Meyrickiem... twoim ojcem. I zamierzam nim być, obojętnie, co o tym myślisz. Doceniam twoją troskę, ale to zbyt ważne, by brać pod uwagę takie obiekcje.

Milczała, zagryzając wargi. W końcu odezwała się:

— W porządku, Har... Giles. Jednak pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Będę przy tobie jako Lyn Meyrick, twoja córka.

Wokół stołu zapadła głucha cisza.

— No, czy nie o to wam chodziło... żeby ta maskarada trwała nadal?

Wykorzystaliście mnie bez mojej wiedzy, teraz możecie to robić za moją zgodą.

— To może być niebezpieczne — przestrzegł łagodnie Carey.

— Nie mniej, niż posiadanie takiego ojca, jak Harry Meyrick — powiedziała z goryczą. — Jednak takie są moje warunki. Możecie się zgodzić lub nie.

— Zgoda — zdecydował szybko Carey.

— Nie! — zawołał jednocześnie Denison.

Umilkli i spojrzeli po sobie.

— Ona jest uparta — rzekł Carey. — I przyparła nas do muru. Oto odpowiedź.

— Nie zmienisz zdania? — zapytał Denison.

Może mówił do Careya, ale spoglądał na Lyn.

— Nie — ucięła krótko.

— A więc niech tak będzie — postanowił Carey. — Teraz możemy wszystko zaplanować. Dziękuję, doktorze Harding, pańska obecność nie jest przy tym konieczna. Skontaktuję się z panem.

Harding wstał i skinął głową. Szedł już do drzwi, gdy Lyn powiedziała ostro:

— Nie!

Harding stanął.

— O co chodzi? — zapytał ze znużeniem Carey.

— Doktor Harding zostaje z Gilesem — zażądała.

— Rany boskie! — zirytował się Carey, a McCready wydał zduszone prychnięcie.

Harding uśmiechnął się blado.

— Droga Miss Meyrick, ja nie jestem... Nie jestem... hmm...

— Rewolwerowcem, tak jak pozostali? No, niech pan pozwoli, że coś panu powiem.

Byłby pan diabelnie kiepskim lekarzem, gdyby nie pozostał pan przy pańskim pacjencie.

Harding znowu zaczerwienił się.

— Niemożliwe! — rzekł Carey.

— Co w tym niemożliwego? — Lyn w zamyśleniu patrzyła na Hardinga. — Jednak decyzję pozostawiam doktorowi i jego sumieniu, jeśli je ma. Co pan na to, doktorze Harding?

Psychiatra potarł wąską szczękę.

— O ile ma to pomóc Denisonowi, chętnie zostanę. Jednak ostrzegam... nie jestem człowiekiem czynu.

— A więc niech tak będzie — stwierdziła Lyn, parodiując Careya, który spojrzał na nią bezradnie.

— Może to nie taki zły pomysł, o ile doktor wyrazi zgodę, a wygląda na to, że wyraża — zastanawiał się McCready.

Carey poddał się.

— Niech pan siada, Harding — powiedział niechętnie. Gdy podnosił swoją dyplomatkę, Denison mruknął:

— Powiedziałaś „przyparła do muru”, tak?

Carey zignorował uwagę i otworzył walizeczkę.

— Mam podstawy wierzyć, iż poczynaniami doktora Meyricka interesuje się wielu ludzi. Zamierzamy zaspokoić ich zainteresowanie.

Rozłożył dużą mapę Finlandii.

— George poleci do Ivalo w północnej Laponii — postukał palcem — tutaj. To najdalej położone miejsce w Finlandii, do którego można dolecieć. Stamtąd pojedzie samochodem jeszcze dalej na północ, do Kevon Tutkimusasema przy norweskiej granicy. To naukowa stacja badawcza w rezerwacie przyrody Kevo; można by ją nazwać punktem wypadowym.

Spojrzał na McCready'ego.

— Twoim zadaniem jest osłaniać zespół z zewnątrz. Sprawdzisz rezerwat Kevo, upewnisz się, czy jest czysty, nie pod względem higieny oczywiście, i przez cały czas będziesz miał ich na oku. Jednak nie zdradzisz się z tym... masz trzymać się od nich z daleka. Rozumiesz?

— Tak — odparł McCready.

— Denison i pani Hansen, a teraz również panna Meyrick i doktor Harding, pojedą samochodem z Helsinek. Wyruszyście jutro rano i po dwóch dniach dotrzecie do obozu w Kevo. George już tam będzie, ale nie znacie go. On jest waszą kartą atutową, jeżeli wpadniecie w tarapaty.

Palec Careya przesunął się lekko na południe.

— Następnie zwiedzicie park narodowy Kevo. To trudny teren, więc musicie zabrać plecaki i namioty.

Wskazał palcem na McCready'ego.

— Będziemy potrzebowali dodatkowego sprzętu; zajmij się tym, George.

— Po co to wszystko? — spytał Denison.

Carey wyprostował się.

— Z tego, co wyczytałem w aktach Meyricka, i z tego, co o nim wiem, Meyrick nigdy nie interesował się historią naturalną. Czy mam rację, panno Lyn?

— Był typowym technokratą — powiedziała. — Jeśli kiedykolwiek, w co wątpię, myślał o historii naturalnej, to tylko z pogardą.

— Tak przypuszczałem — rzekł Carey. — Skoro więc zajmie się nią teraz, będzie to w sposób oczywisty niezgodne z jego dotychczasowymi zainteresowaniami i zaintryguje ludzi, którzy go śledzą, a jestem pewien, że są tacy. Tamci będą podejrzewać, że Meyrick ma po temu jakieś ukryte powody, które skrzętnie im podsunę.

Poklepał Denisona po ramieniu.

— Zabierzecie kilka prostych instrumentów, teodolit i tak dalej, i będziecie udawać, że czegoś szukacie. Rozumiesz?

— Zaslona dymna. — Denison uśmiechnął się.

— Zgadza się. Spędzicie trzy dni w Kevo, a potem ruszycie na południe do następnego parku narodowego w Sompio. Tam będziecie robić to samo, dopóki was nie odwołamy.

— W jaki sposób? — zapytał McCready.

— Tuż przy rezerwacie jest mała wioska o nazwie Vuotso. Przyślę wam telegram na poste restante: „Wracaj do domu — wszystko wybaczone”. W Sompio dobrze mieć kalosze, to bardzo podmokły teren.

— Zatem musi tam być dzikie ptactwo — skonstatował z nagłym entuzjazmem Harding.

— Bardzo możliwe — odparł obojętnie Carey.

— Innymi słowy — rzekł Denison — Meyrick ma szukać czegoś, czegoś zakopanego w parku narodowym, ale nie wie, w którym. Zna jedynie punkty orientacyjne, stąd teodolit do pomiarów.

— Coś jak poszukiwania skarbu — wtrąciła Lyn.

— Właśnie. Jednak ten skarb nie istnieje, a w każdym razie nie tam. Nawet przygotowałem wam mapę. Jest oczywiście spreparowana, ale robi wrażenie.

— A czym ty się zajmiesz, kiedy my będziemy włączyć się po całej Arktyce?

Carey wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Młody Ian i ja wpadniemy do Swietogorska, aby wykopać papiery, podczas gdy mam nadzieję — wszystkie oczy będą skierowane na was.

Odwrócił się do Mrs Hansen.

— Nic pani nie mówi.

Wzruszyła ramionami.

— A co tu mówić?

— Pani zadanie to ochrona zespołu od wewnątrz. Miałem nadzieję, że będzie pani musiała troszczyć się tylko o jedną osobę, ale teraz jest ich troje. Da pani sobie radę?

— Jeżeli zastosują się do poleceń.

— Lepiej, żeby tak było — powiedział Carey. — Dam pani coś większego od tej pukawki, którą tak nieopatrznie pozwoliła pani znaleźć Denisonowi.

Rozejrzał się dokoła.

— Czy ktoś jeszcze umie strzelać?

— Nieźle posługuję się dubeltówką — pochwalił się Harding.

— Wątpię, czy dubeltówka byłaby mile widziana w parku narodowym — ironizował Carey — ale dobrze przynajmniej, że odróżnia pan kolbę od lufy. Dam panu pistolet. A co z tobą, Giles?

Denison wzruszył ramionami.

— Sądzę, że umiem pociągnąć za spust i wystrzelić.

— To prawdopodobnie zupełnie wystarczy. — Carey spojrzał na Lyn i wydawało się, że zamierza coś powiedzieć, ale rozmyślił się.

— Spodziewa się pan strzelaniny? — zapytał Harding.

Wyglądał na zaniepokojonego.

— Ujmijmy to tak — rzekł Carey. — Nie wiem, czy będzie strzelanina, czy nie, ale jeśli będzie, to mam nadzieję, że strzelać będziecie wy, a nie ja, ponieważ o to chodzi w tych cholernych manewrach.

Schował mapę z powrotem do dyplomatyki.

— To wszystko. Ruszacie jutro, wcześniej rano. George, chciałbym zamienić z tobą słowo, zanim pójdziesz.

Siedzący za stołem wstali. Denison podszedł do Lyn.

— Harding powiedział mi o twoim ojcu. Przykro mi.

— Niepotrzebnie — odrzekła. — Mnie też powinno być przykro, ale nie jest.

Spojrzała na niego.

— Carey mówił, że jesteś dla mnie obcym człowiekiem, ale to mój ojciec był obcy.

Nie widziałam go przez dwa lata i kiedy wydawało mi się, że go odnalazłam, a on był inny i miłszy, okazało się, że wcale go nie znalazłam. Tak więc znów go utraciłam i nic się nie zmieniło. Rozumiesz, co mam na myśli?

Denison wysłuchał jej beładnej przemowy i powiedział niepewnie:

— Tak mi się zdaje.

Położył ręce na jej ramionach.

— Sądzę, że nie powinnaś się w to pakować, Lyn.

Wysunęła brodę.

— Jadę.

Westchnął.

— Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Carey nabił fajkę.

— I co o tym myślisz, George?

— Ta dziewczyna może narobić kłopotów.

— Tak. Pilnuj ich najlepiej, jak potrafisz.

McCready pochylił się.

— To o ciebie się martwię. Myślałem o Meyricku. Jeżeli porwali go Ruscy i jeśli sypał przed śmiercią, to jesteś w śmiertelnym niebezpieczeństwie. W Swietogorsku może czekać na ciebie komitet powitalny.

Carey skinął głową.

— Podejmuję wykalkulowane ryzyko. Na ciele Meyricka nie było śladów przemocy, żadnych oparzeń czy czegoś podobnego, a wątpię, żeby śpiewał dobrowolnie. Wydaje się, że nie mieli czasu, aby skłonić go do gadania, byli zbyt zajęci szmugłowaniem go przez Bałtyk. A ponadto nie wiemy, kto go porwał.

Zapalił zapałkę.

— Teraz martwię się o swoje tyły. Zeszłej nocy konsultowałem się z Lyngiem przez scrambler ambasady. Powiadomiłem go, że Thornton tu węszy. Obiecał, że zajmie się tym.

— Jak?

Carey wzruszył ramionami.

— W Whitehallu nie używają broni, ale jestem przekonany, że mają równie skuteczny oręż. To nie twój problem, George, nie musisz martwić się wojną w Whitehallu, dopóki nie znajdziesz się na takim stanowisku jak ja.

— Nie tyle martwię się Whitehallem, co Swietogorskiem — rzekł McCready. —

Myślę, że trzeba dokonać przesunięć. Armstrong może polecieć na północ, a ja przejdę z tobą przez granicę.

— On nie ma potrzebnego doświadczenia. Dopiero musi je zdobyć, ale z takim starym wygą jak ja dobrze się spisze.

— Ze mną też dobrze by się spisał — nie ustępował McCready. — On i ja przeszlibyśmy przez granicę, a ty mógłbyś udać się na północ.

— Przykro mi — odparł z zalem Carey. — Jednak zbliżam się już do sześćdziesiątki i nie mam pary do biegania po lasach. Ani refleksu, który może być potrzebny, jeśli zrobi się gorąco. Plan pozostaje bez zmian, George.

I dodał w zadumie:

— To może być moja ostatnia akcja w terenie. Chcę, żeby była udana.

23

Samochód zwolnił, dojeżdżając do zakrętu. Prowadzący go Harding powiedział:

— To może być ta droga. Sprawdźcie na mapie, dobrze?

Siedzący z tyłu Denison rozłożył mapę na kolanach.

— Tak jest, właśnie przejechaliśmy Kaamanen. Osiemdziesiąt kilometrów dalej znajduje się obóz Kevo i chyba nic więcej. — Spojrzał na zegarek. — Powinniśmy tam dojechać przed jedenastą.

Harding skręcił w boczną drogę, wóz zaczął podskakiwać i trząść się. Po kilku minutach lekarz skorygował go:

— Raczej po północy. Tą drogą nie da się szybko jechać. Diana zaśmiała się.

— Tylko Finowie mogli wymyślić takie określenie jak kelirikko. Z tego słowa byłby dumny Humpty-Dumpty.

Harding wrzucił niższy bieg.

— Co to oznacza?

— Oznacza „kiepski stan dróg po wiosennych roztopach”.

— Celne określenie — przyznał Harding. — Jestem zadowolony z jednego.

— Z czego?

— Ze słońca, które świeci w nocy. Nie chciałbym jechać tędy po ciemku.

Denison zerknął na siedzącą obok Lyn. Wydawało się, że śpi. Mieli za sobą dwa dni długiej jazdy, bardzo męczącej, i z utęsknieniem myślał o łóżku. Opuścił boczną szybę, żeby przetrzeć pokrywający ją z zewnątrz kurz, a potem spojrział na rosnące wokół karłowate brzozy. Pod wpływem nagłej myśli ścisnęło go w żołądku. Co ja tu robię?

Setki mil na północ, za kręgiem polarnym, w fińskich lasach? To wydawało się wprost niewiarygodne.

Opuścili Helsinki bardzo wcześnie rano poprzedniego dnia i skierowali się na północ od gęsto zaludnionego, południowego wybrzeża. Bardzo szybko zostawili za sobą żyzne pola uprawne i wjechali w krainę lasów i jezior, strzelistych sosen i świerków, zielonolistnych brzoź o białych pniach i wszechobecnego błękitu wód.

Co dwie godziny zmieniali się za kierownicą i w dobrym czasie dojechali do Oulu, gdzie zatrzymali się na noc. Za Oulu krajobraz zmienił się. Jeziora były rzadsze, a drzewa nie tak wysokie. Brzozy, które na południu wyrastały na sto stóp, tu miały ledwie dość sił, aby osiągnąć dwadzieścia, a jeziora zmieniły się w bagna. Gdy przejechali Ivalo, gdzie znajdował się najdalej wysunięty na północ pas startowy, napotkali pierwszych Lapończyków odzianych w krzykliwą czerwień i granat, jednak w tej części kraju było bardzo niewiele ludzi. Denison, za namową Careya, poczytał trochę o Finlandii i dowiedział się, że tę najbardziej odludną część kraju, gminę Inari o powierzchni równej Yorkshire, zamieszkiwało mniej niż osiem tysięcy mieszkańców.

A w okolicach Kevo było ich jeszcze mniej.

Diana przeciągnęła się.

— Niech pan zatrzyma się na następnym wzniesieniu, doktorze. Zmienię pana — zaproponowała.

— Mogę jeszcze prowadzić — rzekł Harding.

— Mimo to niech pan stanie.

Wjechali na pagórek i już mieli przystanąć, gdy Diana zmieniła zdanie:

— Jeszcze kilka jardów, za szczyt wzniesienia.

Harding posłusznie przejechał kawałek dalej i zatrzymał wóz.

— Świetnie — powiedziała wyjmując z futerału lornetkę. — Zaraz wracam.

Denison patrzył, jak wychodzi z samochodu, i otworzył drzwi po swojej stronie. Poszedł za nią drogą i w gąszcz karłowatych brzoź. Kiedy ją dogonił, spoglądała przez lornetkę na drogę, którą przyjechali.

— Widzisz coś?

— Nie — odparła krótko.

— Robisz to co godzinę. I nic nie zauważyłaś. Nikt za nami nie jedzie.

— Mogą być przed nami — stwierdziła nie odrywając lornetki od oczu.

— Skąd ktoś mógłby wiedzieć, dokąd jedziemy?

— Są różne sposoby.

Opuściła lornetkę i popatrzyła na niego.

– Niewiele wiesz o tych sprawach.

– Nie, nie wiem – przytaknął w zadumie Denison. – Dlaczego taka miła dziewczyna, jak ty, zajmuje się czymś takim? Jesteś Amerykanką, prawda?

Przewiesiła lornetkę przez ramię.

– Kanadyjką. To po prostu praca, jak każda inna.

– A ty jesteś zwykłą urzędniczką – powiedział z ironią. – Jak maszynistka w Whitehallu pracująca od dziewiątej do piątej.

Przypomniał sobie zawód wpisany do paszportu Meyricka.

– Albo jak doktor Meyrick.

Spojrzała mu w oczy.

– Wyjašnjmy sobie jedno. Od tej pory nie mów o Meyricku w trzeciej osobie, nawet w cztery oczy.

Postukała palcem w jego pierś.

– Ty jesteś Harry Meyrick.

– Będę o tym pamiętał, nauczycielko.

– Mam nadzieję.

Rozejrzała się wokół.

– Tu wygląda dość spokojnie. Kiedy ostatnio widziałeś kogoś na drodze?

Zmarszczył brwi.

– Chyba godzinę temu. Dlaczego pytasz?

– Chcę sprawdzić, jak wam idzie z bronią. Ćwiczenia w strzelaniu.

Gdy wracali do samochodu, poprosiła:

– Bądź miły dla Lyn Meyrick. Ona jest strasznie zagubiona.

– Wiem – odparł. – Ma ku temu wszelkie powody.

Diana zerknęła na niego z ukosa.

– Można to nazwać zagubieniem... pewnego rodzaju. Niełatwo zakochać się w mężczyźnie wyglądającym jak ojciec, którego się nienawidzi, ale jej się to udało.

Denison stanął jak wryty.

– Nie opowiadaj głupstw.

– Ja! – Zaśmiała się. – Zastanów się trochę, a potem powiedz, kto tu mówi głupstwa.

Harding zjechał z drogi między drzewa. Diana załadowała pistolet nabojami wyjętymi z pudełka i postawiła pustą puszkę po piwie na pniu leżącego drzewa.

— No dobrze, zobaczymy, komu się to uda.

Niemal niedbale podniosła rękę i strzeliła. Puszka podskoczyła i zawirowała w powietrzu.

Po kolei oddali po trzy strzały. Denison chybił za każdym razem, Harding trafił raz, a Lyn — ku swemu własnemu zdziwieniu — trafiła dwa razy.

— Miałeś rację — skwitowała drwiąco Diana wyczyny Denisona.— Umiesz pociągnąć za spust.

A do Lyn powiedziała:

— Nieźle, ale co by było, gdybyś miała strzelać do człowieka, a nie do puszki po piwie?

— Nie... nie wiem — odparła nerwowo Lyn.

— A co z panem, doktorze?

Harding zważył pistolet w dłoni.

— Jeśli ktoś będzie do mnie strzelać, to chyba odpowiem ogniem.

— Chyba więcej nie powinienam oczekiwać — rzekła z rezygnacją Diana. — Wracajmy do samochodu.

Wręczyła każdemu z nich pistolet i patrzyła, jak ładują broń.

— Nie zapomnijcie przestawić bezpiecznik. A najważniejsze, nie zapomnijcie go zwolnić, zanim zaczniecie strzelać. Włóżcie je do śpiworów. Jutro, kiedy pójdziemy dalej pieszo, schowacie je w łatwiej dostępnym miejscu. Ruszajmy.

24

Zwolnij — poleciał Carey i zapalił fajkę.

Armstrong podniósł stopę z pedału gazu i pospiesznie opuścił boczne okienko. Wołałby, żeby Carey nie palił w samochodzie, albo chociaż zmienił gatunek końskiego nawozu, jakim nabijał fajkę.

— Widzisz tę wieżę? — spytał Carey. — Na prawo.

Armstrong spojrział we wskazanym kierunku.

— Wieża ciśnień? — zaryzykował.

Carey chrząknął z rozbawieniem.

— Rosyjska wieża obserwacyjna. To już Matuszka Rosja.

— Jesteśmy tak blisko granicy? Przecież wieża nie stoi dalej niż kilometr stąd!

— Zgadza się — rzekł Carey. — Możesz zawrócić, jedziemy do Imatry i zameldujemy się w hotelu.

Kiedy dotarli do szerszego odcinka drogi, Armstrong zwolnił, po czym zatrzymał wóz.

— Czy tutaj jest dużo takich wież?

— Wzdłuż całej granicy. Podejrzewam, że są połączone elektronicznym systemem wykrywającym. Chłopcy na tych wieżach mogą usłyszeć każde stąpienie. — Krytycznym okiem spojrzał na pajęczynę rusztowań. — Rosjanie są podejrzliwi, zawsze próbują zajrzeć do cudzego ogródka. To zabawny naród.

Armstrong milczał, lecz głęboko zastanawiał się nad jego słowami. Cały kłopot z Careyem polegał na tym, że do ostatniej chwili nie zdradzał swoich planów, czym doprowadzał do szału swoich podwładnych. Armstrong zastanawiał się, w jaki sposób przekroczą granicę.

Zgodnie ze wskazówkami Careya pojechał z powrotem do Imatry i zatrzymał się przed wejściem do hotelu. Budynek był źle zaplanowanym, kamiennym molochem z basztami, kopułkami i wieżyczkami. Armstrong pomyślał, że hotel wygląda jak zamek z bajki zaprojektowany przez nieco bardziej zdyscyplinowanego artystycznie Walta Disneya.

— Ależ koszmar!

— Valtionhotelli — wyjaśnił Carey. — Zbudowany na przełomie wieku, to prawdziwa Art Nouveau. Chodź.

Foyer hotelu było wyszukanie luksusowe w staromodnym stylu. Kamienny portal wejścia był ozdobiony groteskowymi rzeźbami mitologicznych zwierząt i wyłożony ciemnym drewnem. Wpisali się do rejestru i w towarzystwie niosącego bagaże portiera weszli do windy.

Portier otworzył drzwi i z szacunkiem usunął się na bok. Carey wszedł do środka, a Armstrong za nim. Wyłożonym boazerią korytarzem przeszli do bardzo dużej, owalnej sypialni.

— Wezmę łóżko po lewej — rzekł Carey, dając napiwek portierowi. Armstrong rozejrzał się wokół.

— Nieźle. Całkiem nieźle.

— Dla nas, urzędników państwowych, wszystko co najlepsze — zażartował Carey. — Chodźmy na górę i wypijmy drinka.

— Jest tu jakaś góra?

Weszli po szerokich, spiralnych schodach zaczynających się w korytarzyku.

— Ten hotel został zbudowany w 1902 roku — tłumaczył Carey — kiedy Finlandia

była jeszcze częścią Rosji. Finowie twierdzą, że ich kraj nigdy nie był częścią Rosji, ale fakty są faktami. Imatra stała się ulubionym miejscem wypoczynku petersburskiej arystokracji. Sam car zatrzymywał się w tym hotelu... zapewne w tym apartamencie.

Znaleźli się w następnym wielkim, owalnym pokoju z oknami dookoła. Stało w nim pół tuzina foteli i długi, niski stół z politurowanego drewna. Ścianę zdobiła niedźwiedzia skóra. Carey podszedł do wbudowanej w ścianę lodówki, a Armstrong wyjrzał przez jedno z okien.

— Chyba jesteśmy na szczycie największej wieży.

— Zgadza się.

Carey wyciągnął butelkę.

— Skane — to szwedzka. Linie — zabawne, Norwegowie uważają, że wywożąc swoją wódkę do Australii i przywożąc ją z powrotem poprawiają jej smak. Koskenkorva — ta jest miejscowa. Stolicznaja! Co ta tu robi, do diabła? Powiedziałbym, że to piekielnie niepatriotycznie. O, jest piwo.

Armstrong odwrócił się i spojrzał na rząd butelek.

— Mamy wpłynąć do Rosji?

Carey mrugnął.

— Przywileje naszej pracy. Poza tym, może będziemy musieli kogoś ugościć.

— O! — Armstrong pokazał połową lornetkę, którą znalazł na parapecie okna. — Ktoś musiał ją tu zostawić.

Carey potrząsnął głową, otwierając butelkę piwa.

— Część wyposażenia pokoju. W tym apartamencie umieszczają VIP-ów, którym chcą zapewnić trochę rozrywki.

Wziął szklanekę i dołączył do podwładnego.

— Widzisz te kominy?

Armstrong spojrzał na dymiące kominy fabryczne.

— Tak?

— To Palec Stalina — wyjaśnił Carey. — Swietogorsk!

Armstrong przyłożył lornetkę do oczu. Kominy przysunęły się bliżej, tak że mógł prawie policzyć poszczególne cegły.

— Mój Boże! — zdumiał się. — To niemal część Imatry.

Patrzył przez dłuższy czas, a potem powoli opuścił lornetkę.

— Co pan mówił o Stalinie?

— Palec Stalina to miejscowa nazwa. Po wojnie Rosjanie chcieli przesunąć granicę,

więc jak zwykle zwołali konferencję. Swietogorsk, czyli dawne Enso, jest ładnym przemysłowym miasteczkiem, w którym wyrabiano papier. Któryś z Rosjan kreślił na mapie linię przesuniętej granicy, lecz kiedy dociągnął ją do Enso, stwierdził, że Stalin przycisnął je palcem. Popatrzył na Stalina, a ten uśmiechnął się do niego, więc wzruszył ramionami i pociągnął linię wokół jego palca. W ten sposób Enso znalazło się w Rosji.

— Stary drań! — rzekł Armstrong.

— Siadaj i napij się piwa — zaproponował Carey. — Chcę porozmawiać z tobą o akcji. Skoczę tylko na dół i wezmę aktówkę.

Armstrong wyjął z lodówki piwo. Wskazując na niedźwiedzią skórę na ścianie, zapytał wracającego Careya:

— Czy to rosyjski niedźwiedź został obdarty ze skóry?

— Możliwe — odparł Carey z ponurym uśmiechem. — To część tego, co chcę ci powiedzieć.

Położył aktówkę na stole i usiadł.

— O ile o mnie chodzi, to Swietogorsk jest Swietogorskiem... Trzeba być realistą. Jednak będziemy rozmawiali z Finami i w czasie tych rozmów zawsze musimy używać nazwy Enso. Są trochę przeczuleni na tym punkcie.

— Mogę to zrozumieć — mruknął Armstrong.

— Nie wiesz nawet połowy — rzeki Carey bezbarwnym głosem. — To było moje ulubione miejsce pobytu, od kiedy zacząłem pracę, więc wysłuchaj kilku mądrych słów z ust starego człowieka. W 1835 roku człowiek nazwiskiem Lónnrot zebrał wiele podań ludowych i wydał je wierszem. To Kalewala, fiński poemat narodowy. Było to pierwsze wielkie dzieło literackie Finów i stało się podstawą nowej fińskiej kultury.

— Interesujące — powiedział Armstrong. — Tylko jaki, do diabła, ma związek...?

— Posłuchaj dalej. Akcja Kalevali toczy się w Karelii, która teraz jest rosyjska. Sama wioska Kalewala leży obecnie w Rosji.

Podrapał się po nosie.

— Nie ma odpowiedniego angielskiego porównania, ale to tak, jakby Francuzi okupowali Kornwalię i Nottinghamshire, przywłaszczając sobie legendy o Królu Arturze i Robin Hoodzie. Oczywiście, tutaj problem nie polega tylko na tym i niektórzy Finowie są bardzo rozgoryczeni.

— Uważają, że Rosjanie podwędzili im narodowe dziedzictwo?

— Coś w tym stylu. — Carey opróżnił szklanekę. — A teraz przejdźmy do polityki. Po

wojnie prezydent Paasikivi przyjął obcą politykę, która była nowością dla Finlandii, a prowadzącą do tego, żeby zrobić z niej kraj neutralny, podobny do Szwecji. W praktyce ta neutralność działa na korzyść Rosji — za wszelką cenę należy unikać denerwowania Wielkiego Brata ze Wschodu. Ta polityka jest znana jako Linia Paasikiviego i reprezentowana również przez obecnego prezydenta, Kekkonena. Przypomina to chodzenie po linie, ale trudno powiedzieć, co Finowie mogliby robić innego. Wiedzą, co stało się z Estonią i innymi państwami nadbałtyckimi.

Wziął sobie następne piwo.

— Dziś wieczór spotkamy kilku Finów, którzy nie zgadzają się z polityką Paasikiviego. To prawicowcy i, moim zdaniem, cholerni reakcyjniści, ale ci chłopcy przerzucą nas do Enso. Gdyby Kekkonen wiedział, co tu robimy, posiwiłaby mu ta reszta włosów, jakie mu pozostały. Ma dość dobre stosunki z Rosjanami i chce je utrzymać. Nie życzy sobie żadnego incydentu na granicy, który stałby się powodem zerwania stosunków dyplomatycznych, a Moskwie dał pretekst do wysuwania nowych żądań. My też nie... Tak więc z Finami, których dziś spotkamy, będziemy rozmawiać ostrożnie i tak też musimy postępować, kiedy znajdziemy się w Enso.

Zmierzył Armstronga stanowczym spojrzeniem.

— A jeśli zostaniemy schwytani, to działaliśmy na własną rękę, żaden Fin nam nie pomógł. To cholernie ważne, więc dobrze sobie zapamiętaj.

— Rozumiem — odparł ponuro Armstrong.

— Oczywiście, chodzi o to, żeby nie dać się złapać. — Carey otworzył aktówkę. — Tu jest plan miasta Enso z 1939 roku.

Rozwinął plan i rozłożył na stole. Przesunął palec nad mapą, a potem opuścił go, wskazując jakieś miejsce.

— Oto dom, w którym mieszkał Hannu Merikken. Zakopał skrzynkę z papierami w ogrodzie, który ma trochę mniej niż pół akra, ale niewiele mniej.

Armstrong pochylił głowę nad planem.

— To spory obszar. Jak duża jest skrzynka?

— Meyrick twierdził, że ma dwie stopy na półtorej na jedną.

Armstrong policzył w myślach.

— Jeżeli będziemy kopać na chybił trafił, to mamy jedną szansę na osiemset, że ją znajdziemy.

— Możemy zrobić coś lepszego — pocieszył go Carey. — Pierwotnie chcieliśmy, żeby Meyrick wskazał nam miejsce i był obecny przy odkopywaniu skrzynki. Jednak

po tylu latach pamięć odrobinę go zawodziła.

Carey ponownie sięgnął do aktówki.

— Zdołał jedynie sporządzić nam to.

Armstrong obejrzał plan w dużej skali, pedantycznie narysowany tuszem.

— Widać tu cztery drzewa. Skrzynka jest ukryta pod jednym z nich, ale nie mógł sobie przypomnieć, pod którym.

— Teraz wystarczy wykopać najwyżej cztery dziury.

— Od 1944 roku minęło sporo czasu — rzekł Carey. — Trzech z tych drzew już nie ma. Spójrz na to.

Wyjął kilka fotografii.

— Zostały wykonane przez naszych fińskich przyjaciół, mniej więcej trzy tygodnie temu.

Gdy Armstrong oglądał zdjęcia, Carey kontynuował:

— Miałem nadzieję, że Meyrickowi wróci pamięć, kiedy go tu sprowadzę, ale teraz nie mamy już Meyricka, tak więc zostało nam pół akra ziemi i jedno drzewo.

Spojrzał Armstrongowi przez ramię i wskazał palcem:

— Wydaje mi się, że to tu, ale nie jestem pewien.

— A więc będziemy kopać — powiedział Armstrong. — Trzeba to będzie robić pod osłoną zmroku.

Carey wytrzeszczył oczy.

— Jakiego zmroku? Wiem, że nie jesteśmy za kręgiem polarnym, ale mimo to o tej porze roku nie zapadają tu ciemności. W najlepszym wypadku lekki półmrok.

— Czy musimy to robić teraz? — zapytał Armstrong. — Czemu nie zaczekać na inną porę roku?

Carey westchnął.

— Oprócz tego, że te papiery są niezwykle ważne, jest jeden ważny powód, dla którego musimy wydobyć je jak najszybciej.

Postukał palcem w mapę.

— Kiedy mieszkał tu Merikken, ten dom stał w dobrej podmiejskiej dzielnicy. Jednak Enso rozrastało się, a tutejsze budynki popadły w ruinę, więc teren przeznaczono pod zabudowę. Nim nadejdzie jesień, pojawią się tam buldożery. Musimy być pierwsi.

— Szkoda, że Meyrick nie dokonał swego wielkiego odkrycia rok wcześniej — skomentował Armstrong. — Czy w tym domu ktoś teraz mieszka?

— Tak, Rosjanin nazwiskiem Kunajew. Jest brygadziwą w jednej z papierni. Żona i troje dzieci, jeden kot, nie mają psa.

— Tak więc pójdziemy tam i zaczniemy w biały dzień kopać mu dziury w ogródku. Na pewno będzie zachwycony!

Armstrong rzucił zdjęcia na stół.

— To niewykonalne!

Carey był niewzruszony.

— Nie ma rzeczy niewykonalnych, mój drogi. Zaczniemy od tego, że te papiery są w blaszanej skrzynce. Źle mówię, skrzynka jest ze stalowej blachy, a ja mam sprytny wykrywacz metalu, mały, ale skuteczny.

— Jak wykrywacz min?

— Coś w tym rodzaju, ale mniejszy. Na tyle mały, że możemy go bez ryzyka przewieźć przez granicę. Zrobiono go na moje zamówienie. Jeśli polegać na zawodnej pamięci Meyricka, skrzynka jest przykryta najwyżej dwiema stopami ziemi. Przetestowałem ten gadżet z mniejszym pudełkiem i nawet gdy zakopałem je pod trzema stopami ziemi, od pisku prawie popękały mi bębenki.

— A więc usłyszymy sygnał i zaczniemy kopać. A co w tym czasie będzie robić Kunajew?

Carey wyszczerzył zęby.

— Przy odrobinie szczęścia nie będzie go tam. Towarzysz Kunajew będzie uwijał się jak stachanowiec w swojej cholernej papierni, zwijając papier toaletowy, czy robiąc coś innego.

— Jednak będzie tam jego żona — wysuwał zastrzeżenia Armstrong. — I dzieci, a pewnie też najbliżsi sąsiedzi.

— To nie ma znaczenia. Weźmiemy ich wszystkich za rączki i wyprowadzimy z tego cholernego ogródka.

Spotkanie z Finami odbyło się tej nocy w domu na przedmieściu Imatry.

— Jest ich trzech — informował Carey, gdy jechali na rendez-vous. — Lassi Virtanen i jego syn, Tarmo, oraz Heikki Huovinen.

Armstrong zachichotał, chyba bardziej z nerwowego napięcia niż z innego powodu.

— Nigdy nie sądziłem, że spotkam syna Lassie.

— Jeżeli masz więcej takich uwag, to lepiej zachowaj je dla siebie, dopóki ta operacja się nie skończy — zgrzytnął zębami Carey. — Ci faceci nie mają poczucia humoru. Stary Virtanen był w czasie wojny pilotem myśliwca i nadal uważa, że to źle, iż Niemcy przegrali. Wciąż nie wiem, kim jest w większym stopniu: sympatykiem nazistów czy wrogiem Rosjan, zapewne tym i tym po trosze. Wychował syna na swoje podobieństwo. Huovinen jest odrobinę bardziej liberalny, ale i tak sporo na prawo od Attyli, wodza Hunów. Oni są narzędziami, których użyjemy, i nie chcę, żeby obrócili się przeciw nam. Pamiętaj o tym.

— Zapamiętam — przyrzekł Armstrong. Czuł się tak, jakby Carey wylał na niego wiadro zimnej wody. — Jaki jest plan?

— Finowie produkują wspaniały papier — powiedział Carey. — A Rosjanie chętnie korzystają z ich umiejętności. Budują nową papiernię w Enso; wszystkie urządzenia są fińskie i instalują je Finowie, z których większość mieszka w Imatrze. Codziennie przechodzą przez granicę.

Armstronga olśniło.

— A my przejdziemy ją z nimi. Wspaniale!

— Nie ciesz się przedwcześnie — mruknął Carey. — To nie będzie takie proste.

Wskazał palcem.

— To ten dom.

Armstrong zatrzymał samochód.

— Czy ci trzej przechodzą do Enso?

— Tak.

Armstrong zastanowił się chwilę.

— Jeżeli Virtanenowie tak bardzo nienawidzą Rosjan, to dlaczego pomagają im budować fabryki papieru?

— Należą do niedowarzonej tajnej organizacji — bardzo prawicowej, rzecz jasna. Są przekonani, że szpiegują przygotowując się do nadejścia Der Tag.

Carey wzruszył ramionami.

— Sądzę, że rząd trzyma ich na długim sznurku i w każdej chwili może ich na nim powiesić. Jednym z problemów Linii Paasikiviego jest utrzymanie równowagi między prawicą i lewicą. Rząd nie może zbyt energicznie dobierać się do komunistów ze względu na naciski Rosji, ale kogo, do diabła, obchodzi, co stanie się z jakimiś neohitlerowcami? Pozostawiono ich tylko jako ciężarek na drugim końcu politycznej szali, lecz jeśli zbyt się wychyła, dostaną w łeb. Tak więc wykorzystajmy ich, dopóki możemy.

Lassi Virtanen był utykającym mężczyzną po pięćdziesiątce, o zaciętej twarzy. Jego syn, Tarmo, miał około trzydziestki i raczej nie przypominał ojca; miał świeżą cerę i oczy skrzące się podnieceniem. Armstrong przyjrzał mu się uważnie i uznał, że tamten zbyt łatwo się ekscytuje, by powierzyć mu jakieś ważniejsze zadanie. Heikki Huovinen, śniady mężczyzna z gęstym, ciemnym zarostem, aby porządnie wyglądać, musiałby golić się dwa razy dziennie; Armstrong ocenił, że Huovinen nie golił się od dwóch dni.

Siedzieli wokół stołu, na którym stały liczne półmiski ze skandynawskimi kanapkami. Było tam również tuzin butelek piwa i dwie butelki bezbarwnego spirytusu. Pokosztowali śledzi, a potem starszy Virtanen napełnił małe kieliszki spirytusem i lekko uniósł swój.

— Kippis!

Podniósł ramię i wlał zawartość kieliszka do gardła. Armstrong poszedł za przykładem Careya i zrobił to samo. Mocny trunek gryzł w gardło i palił w żołądku. Carey odstawił pusty kieliszek.

— Niezła — pochwalił. — Całkiem niezła.

Ze względu na Armstronga mówił po szwedzku. Piekielnie trudno było znaleźć współpracowników mówiących po fińsku; na szczęście drugim językiem Finów był szwedzki.

Tarmo Virtanen roześmiał się.

— To z tamtej strony.

— Wódka to jedyna dobra rzecz, jaką mają Rosjanie — stwierdził niechętnie Lassi Virtanen. Ponownie napełnił kieliszki. — Heikki jest zaniepokojony.

— Och! — Carey spojrział na Huovinena. — A czym?

— To nie będzie łatwe — powiedział Huovinen.

— Oczywiście, że będzie łatwe — przerwał mu Lassi. — Nie ma sprawy.

— Dobrze ci mówić — rzekł Huovinen. — Ciebie tam nie będzie. To ja muszę wymyślić wszystkie wyjaśnienia i wymówki.

Zwrócił się do Careya:

— Przez najbliższe trzy dni nie można tego zrobić.

— Dlaczego?

— Pan i pański przyjaciel macie zająć miejsce Virtanenów, prawda? No, Virtanenowie mają tam teraz co robić, wiem, bo jestem ich brygadziwą. Jutro Lassi pracuje przy płytach osłonowych, ale Tarmo nie ma wiele do roboty i nie będzie specjalnie potrzebny. Pojutrze Tarmo będzie zajęty. Jedyne dzień, kiedy mogę obejść się bez nich obu nie narażając się na zbyt wiele pytań, wypada za trzy dni, a i wtedy będę musiał naopowiadać piekielnie dużo kłamstw.

Carey pomyślał, że Huovinen się boi, ale w żaden sposób nie dał tego po sobie poznać.

— Co o tym sądzisz, Lassi?

— Jest w tym trochę prawdy, ale to nie musi być tak. Heikki, mógłbyś postarać się, żeby jutro nikt nie pracował przy osłonie. Mały sabotaż?

— Nie teraz, kiedy mam na karku tego gruzińskiego drania Dzotenidze — gwałtownie zaoponował Huovinen.

— Co to za jeden? — spytał Carey.

— Rosyjski główny inspektor nadzorujący budowę. Kiedy papiernia ruszy, będzie w niej głównym inżynierem, więc chce, żeby wszystko grało. Krąży wokół mnie jak sęp.

— Żadnego sabotażu — przykazał beznamietnie Carey. — Ja też chcę, żeby wszystko grało.

Huovinen energicznie pokiwał głową.

— Za trzy dni — powtórzył. — Wtedy mogę spokojnie obyć się bez Virtanenów.

Carey powiedział:

— Przyjdziemy tu pojutrze wieczorem. Spędzimy tu noc i odejdziemy rano, tak jak zrobiliby to Virtanenowie. Czy reszta brygady nie będzie zdziwiona, widząc dwóch obcych?

— Zajęliśmy się tym. Mogą być zdumieni, ale nie będą mówić.

Huovinen wyprostował się.

— Są Finami — oznajmił dumnie. — Karelczykami.

— A ty jesteś ich brygadziwą.

Huovinen uśmiechnął się.

— To również ma znaczenie.

Carey spojrział na Lassi i Tarmo Virtanenów.

— Wy dwaj zostaniecie wtedy w domu i nie będziecie nigdzie wychodzić. Nie chcemy, żeby ktoś zaczął się dopytywać, jak wam się udało być jednocześnie w domu i w Enso.

Młody Virtanen zaśmiał się i postukał w butelkę wódki.

— Zostawcie nam więcej tego, a nie wyjdziemy z domu.

Carey zmarszczył brwi.

— Zostaniemy w domu — obiecał Lassi.

— Bardzo dobrze. Macie ubrania?

— Wszystko tu jest.

Carey wyjął z kieszeni dwie złożone karty.

— To nasze przepustki, możecie je sprawdzić?

Huovinen wziął dokumenty i obejrzał je. Wyjął własną przepustkę dla porównania.

— Są bardzo dobre — ocenił. — Naprawdę bardzo dobre, ale wyglądają na nowe... są zbyt czyste.

— Pobrudzimy je — zaproponował Carey. Huovinen wzruszył ramionami.

— Właściwie to nie ma znaczenia. Strażnicy graniczni mają dość oglądania przepustek. Przejdziecie.

— Mam nadzieję — rzekł sucho Carey. Lassi Virtanen podniósł swój kieliszek.

— A więc uzgodnione. Nie wiem dokładnie, co tu robicie, panie Angliku, ale wiem, że z pewnością nie będzie to z korzyścią dla Ryssa. Kippis!

Wypił swoją wódkę.

Carey i Armstrong wypili również, a Virtanen natychmiast ponownie napełnił ich kieliszki. Armstrong rozejrzał się po pokoju i dostrzegł fotografię na komodzie. Lekko odchylił się na krześle, żeby lepiej widzieć, i Lassi, pochwyciwszy jego spojrzenie, roześmiał się i wstał.

— To z przedłużonej wojny — powiedział. — Miałem wtedy ogień w żyłach.

Podał Armstrongowi fotografię. Przedstawiała o wiele młodszego Lassi Virtanena stojącego przy myśliwcu ozdobionym czarną swastyką.

— To mój messerschmitt — oznajmił dumnie Virtanen. — W tym samolocie zestrzeliłem sześciu rosyjskich drani.

— Naprawdę? — zapytał uprzejmie Armstrong.

— To były dobre czasy — rozmarzył się Virtanen. — Jednak nie mieliśmy

porządnego lotnictwa. Wszystkie typy maszyn, jakie w tym czasie robiono na świecie, mieliśmy. Amerykańskie Brewstery i Curtiss Hawki, angielskie Blenheimy i Gladiatory, niemieckie Fokkery i Dornier, włoskie Fiaty, francuskie Morane-Saulniery, nawet rosyjskie Polikarpow. Niemcy przechwycili kilka na Ukrainie i przysłali je nam. Fatalnie się je pilotowało. Nasze siły powietrzne stanowiły prawdziwą, zwariowaną zbieraninę... A jednak powstrzymywaliśmy Rosjan do końca.

Klepnął się w nogę.

— Oberwałem w 1944, zestrzelili mnie pod Raisalą i udało im się to tylko dlatego, że było ich czterech. Wylądowałem za linią frontu, ale przeszedłem ją z kulą w nodze, wymykając się tym cholernym rosyjskim patrolom. To były dobre czasy. Wypijmy!

Zanim Carey i Armstrong zdołali opuścić towarzystwo, zrobiło się późno, ponieważ musieli wysłuchać monologu Virtanena opowiadającego o swoich doświadczeniach wojennych i gęsto zakrapiającego je wódką. Jednak w końcu udało im się wyjść. Armstrong usiadł za kierownicą samochodu i spojrzał wymownie na Careya.

— Wiem — rzekł ze znużeniem Carey. — Pijak niegodny zaufania. Nie dziwię się, że nie są w stanie niczego osiągnąć.

— Ten człowiek żyje przeszłością — powiedział Armstrong.

— W Finlandii jest wielu takich jak on — ludzi, którzy od wojny żyją w świecie iluzji. Virtanenowie nie są ważni, oni zostają tutaj. Przechodząc przez granicę, musimy polegać na Huovinenie.

— Wlewał w siebie wódkę, jakby chciał zrobić zapas na wypadek suszy — zauważył ze zniechęceniem Armstrong.

— Wiem, ale mamy tylko ich. Carey wyjął fajkę z ust.

— Ciekawe, jak McCready i reszta towarzystwa radzą sobie na północy. Nie może im iść gorzej niż nam.

Jestem zmęczony — powiedział Harding. — Jednak nie wydaje mi się, żebym zdołał zasnąć.

Denison sprawdził, czy na ziemi nie ma kamieni, a potem zaczął rozwijać swój śpiwór. Odrzucił na bok wystający kamyk i zapytał:

— Dlaczego?

— Nie mogę przyzwyczać się do dziennego światła w środku nocy.

Denison wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Czemu nie przepisze pan sobie tabletki na sen?

— Może to zrobię.

Harding urwał źdźbło trawy i zaczął je żuć.

— A jak pan ostatnio śpi?

— Nieźle.

— Miewa pan sny?

— Jeśli nawet, to nie pamiętam ich. Czemu pan pyta?

Harding uśmiechnął się.

— Jestem pańskim nadwornym uzdrowiaczem, wyznaczonym przez tę smarkulę.

Ruchem głowy wskazał Lyn, która z powątpiewaniem zaglądała do czajnika.

Denison rozwinął swój śpiwór i usiadł na nim.

— Co pan o niej myśli?

— Prywatnie czy zawodowo?

— I tak, i tak.

— Wygląda na niezwykle zrównoważoną młodą kobietę.

W głosie Hardinga było słycać rozbawienie.

— Trzeba przyznać, że umiała poradzić sobie z Careyem... robiła z nim, co chciała. I trafiła mnie w czułe miejsce. Sądzę, że jest bardzo zaradna.

— Dość chłodno przyjęła śmierć ojca.

Harding odrzucił źdźbło trawy i zapalił papierosa.

— Mieszkała z matką oraz ojczymem i nie miała wiele do czynienia z Meyrickiem, jeśli nie liczyć ich kłótni. Powiedziałbym, że jej stosunek do śmierci ojca jest zupełnie normalny. W tym czasie miała inne problemy.

— Tak — przytaknęła w zadumie Denison.

— Myślę, że nie powinien się pan martwić o Lyn Meyrick — stwierdził Harding. —

Przywykła kierować się własnym zdaniem, chociaż wysłucha też zdania innych, jeśli już o tym mówimy.

Diana Hansen zeszła z pagórka. W dopasowanej koszuli i jasnobrązowych spodniach wpuszczonych w pionierki wyglądała schludnie i efektownie — zupełnie nie przypominała chłodnej intelektualistki, którą Denison poznał w Oslo. Spojrzała na Lyn i podeszła do obu mężczyzn.

— Czas na twój numer z teodolitem, Giles.

Denison podniósł się z ziemi.

— Wciąż tu są?

— Tak mi powiedziano. I jest tu jeszcze jakaś inna grupa. Stajemy się popularni. Lepiej idź na tę grań i staraj się być na widoku.

— W porządku. — Denison wyjął teodolit z futerału, wziął lekki trójnóg i poszedł na wzgórze we wskazanym przez Dianę kierunku.

Harding uśmiechnął się, patrząc na malejącą postać. Pomyślał, że Lyn Meyrick pokieruje również Denisonem, jeśli będzie miała okazję. Z psychiatrycznego punktu widzenia było to niezwykle interesujące — jednak najpierw będzie musiał porozmawiać z dziewczyną. Wstał i podszedł do Lyn, która męczyła się z kuchenką gazową.

Denison zatrzymał się na szczycie wzniesienia i ustawił teodolit. Wyjął z kieszeni kartkę papieru, teraz już mocno pogniecioną, i przestudiował ją, a potem rozejrzał się wokół. Tę podrobioną mapkę Carey dał mu na poparcie oszustwa. Została nakreślona wiecznym piórem — „W 1944 nie było długopisów”, rzekł Carey — i sztucznie postarzona. Na górze kartki nagryzmołono jedno słowo — Luonnonpuisto, a niżej naszkicowano trzy linie wychodzące z jednego punktu, o kątach dokładnie podanych w stopniach. Na końcu każdej linii znajdowało się jedno słowo — Jarvi, Kukkula i Aukio — wypisane zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Jezioro, wzgórze i przesmyk.

— Skąpe dane — stwierdził Carey. — Jednak to uzasadni, dlaczego włączycie się z teodolitem po rezerwatach. Jeśli ktoś zechce zrabować wam tę kartkę, pozwólcie mu ją wziąć. Może zaczniemy handlować teodolitami.

Denison rozejrzał się ponownie. W dole dostrzegł nitkę rzeczki Kevojoki, a w oddali błękitne wody jeziora zamkniętego ścianami wąskiej doliny. Pochylił głowę i nastawił teodolit na brzeg jeziora. Za każdym razem, gdy to robił, miał dziwne uczucie deja vu, jakby robił to przez całe życie. Czyżby był geodetą?

Sprawdził odczyt na podziałce i znów wycelował obiektyw na wzgórze po drugiej stronie doliny, wykonując kolejny pomiar. Wyjął z kieszeni notes i obliczył kąt między jeziorem a pagórkem, po czym rozejrzał się dookoła szukając przesmyku. Cała ta szopka musiała wyglądać wiarygodnie, ponieważ wiedział, że jest obserwowany — zasłona dymna Careya okazała się skuteczna.

Już pierwszego dnia przy lunchu Diana oznajmiła mimochodem:

— Jesteśmy śledzeni.

— Skąd wiesz? — zapytał Denison. — Nikogo nie widziałem.

— McCready mi powiedział.

McCready nie pokazał się w obozowisku w Kevo i Denison nie widział go od czasu spotkania w Helsinkach.

— Rozmawiałaś z nim? Gdzie on jest?

Diana ruchem głowy wskazała na jezioro.

— Po drugiej stronie doliny. Mówi, że śledzi nas grupka złożona z trzech mężczyzn.

Denison sceptycznie odniósł się do tej rewelacji.

— Pewnie masz walkie-talkie w plecaku.

Potrząsnęła przecząco głową.

— Tylko to.

Z kieszeni anoraka wyjęła małe lusterko z nierdzewnej stali, szerokie na trzy cale; w środku płytki była mała dziurka.

— Heliograf — wyjaśniła Diana. — To mniej skomplikowane od radia i trudniejsze do wykrycia.

Obejrzał dwustronne lusterko — bo w gruncie rzeczy nie było to nic innego — i zapytał:

— Jak to wycelowujesz?

— Wiem, gdzie jest teraz George McCready — powiedziała. — Dopiero co przysłał mi wiadomość. Jeśli zechcę mu odpowiedzieć, podniosę lusterko i spojrzę na jego pozycję przez otwór. Potem popatrzę na swoje odbicie i zobaczę plamę światła na policzku, w miejscu gdzie słońce przechodzi przez dziurę. Jeśli ustawię płytkę tak, że ta plama pokryje się z otworem, lustro po drugiej stronie błysnie prosto w oczy George'a. Potem to już tylko kwestia znajomości alfabetu Morse'a.

Denison już chciał spróbować, ale zabrała mu tę zabawkę.

— Mówiłam ci, że jesteśmy obserwowani. Ja mogę udawać, że się maluję, ty nie.

— Czy McCready domyśla się, kto nas śledzi?

Wzruszyła ramionami.

— Nie zdołał podejść dostatecznie blisko, żeby to stwierdzić. Myślę, że najwyższy czas, żebyś zaczął swoje przedstawienie z teodolitem.

Tak więc nastawił przyrząd i zaczął sprawdzać kąty. W ciągu dwóch minionych dni powtarzał te czynności kilkakrotnie.

Wreszcie znalazł coś, co przy pewnej dozie wyobraźni można by nazwać przesmykiem, i wykonał trzeci pomiar. Obliczył kąt, zapisał go w notesie i schował notatnik do kieszeni razem z podrobioną mapką. Rozbierał teodolit, gdy na wzgórze weszła Lyn.

— Kolacja gotowa.

— Dzięki — rzekł. — Potrzymaj to.

Dał jej teodolit.

— Czy Diana mówiła coś o tej drugiej grupie, która nas śledzi?

Lyn kiwnęła głową.

— Twierdzi, że idą naszym śladem, bardzo szybko.

— A gdzie jest pierwsza grupa? — spytał Denison.

— Gdzieś przed nami.

— Jesteśmy jak plasterek szynki w kanapce. Chyba że to wszystko jest wytworem wyobraźni Diany. Ja nie zauważyłem nikogo, a już na pewno nie George'a McCready'ego.

— Dziś rano obserwowałam, jak sygnalizował — oświadczyła Lyn. — Był po drugiej stronie doliny. Stałam przy Dianie i widziałam błyski lusterka.

Denison złożył statyw i oboje ruszyli w dół zbocza.

— Ty i Harding często ostatnio konferujecie ze sobą. Znaleźliście jakiś interesujący temat?

Zerknęła na niego z ukosa.

— Rozmawiamy o tobie — powiedziała spokojnie. — Wypytywałam go; ponieważ nie mogę pytać ciebie, pytałam jego.

— Mam nadzieję, że nie dowiedziałaś się niczego złego.

Uśmiechnęła się.

— Nie.

— Co za ulga — odparł. — Co mamy na kolację?

— Gulasz wołowy.

Westchnął.

— Wprost nie mogę się doczekać.

27

McCready był straszliwie zmęczony. Leżał na stoku w cieniu karłowatej brzozy i obserwował grupkę czterech mężczyzn posuwających się w górę doliny po drugiej stronie rzeki. Przez ostatnie dwa dni niewiele spał; oczy bolały go i piekły. Już dawno doszedł do wniosku, że do tego zadania potrzeba dwóch ludzi.

Opuścił lornetkę i zamrugał, po czym przetarł oczy i sprawdził obozowisko na szczycie skały na drugim brzegu rzeki. Na głazie nad obozem pojawiła się nowa postać, wyglądająca na Denisona. O trzeciej rano było już wystarczająco jasno, żeby go dostrzec; słońce wyłoniło się zza horyzontu o północy i stało już wysoko na niebie. Wyglądało na to, że Diana poleciła im pełnić warty.

McCready przesunął łokcie i sprawdził wyższe piętra doliny; zacisnął usta, gdy dostrzegł jakiś ruch. Trzej mężczyźni z pierwszej grupki schodzili w dół, trzymając się blisko brzegu. Już wcześniej przeszedł przez rzekę, żeby podejść do ich obozu, i chociaż nie udało mu się zbliżyć na tyle, żeby podsłuchać, o czym mówią, usłyszał wystarczająco dużo, aby wiedzieć, iż nie byli Finami. Ich język miał słowiański rytm i McCready zauważył, że byli bardzo lekko wyekwipowani — nie mieli namiotów, a nawet śpiworów.

Przeniósł wzrok na czteroosobową grupkę, zmierzającą w górę doliny. Obie grupy nie widziały się wzajemnie, ponieważ dzielił je zakręt rzeki omywającej w tym miejscu wysoką skałę. Wyliczył sobie, że jeśli nadal będą się posuwali w tym samym tempie, to spotkają się pod skałą, wprost pod szczytem, na którym widział Denisona.

McCready zmarszczył brwi. O ile pierwsza grupa miała kiepskie wyposażenie, o tyle druga była wyekwipowana w stopniu graniczącym z dekadentckim luksusem. Widział, jak zatrzymali się na posiłek, i zauważył składany grill. Dwaj z nich nieśli zwoje lin, jakby spodziewali się wspinaczki. Może to Finowie, pomyślał, lecz teraz mocno w to wątpił; nawet Finowie nie urządzają ćwiczebnych marszów o trzeciej nad ranem.

Kiedy poprzednio obserwował pierwszą grupę, był zbyt daleko, żeby rozróżnić twarze, lecz teraz podeszli bliżej i miał większe szansę. Cierpliwie czekając, zastanawiał się nad różnicami między obu oddziałami i doszedł do wniosku, że muszą one należeć do różnych obozów. Dwie minuty później był już tego pewien — kiedy

zobaczył twarz mężczyzny idącego na czele czteroosobowej grupki.

Był nim Jack Kidder, wielki hałaśliwy Amerykanin, który pojawił się najpierw w Oslo, a potem w Helsinkach.

Język, w jakim porozumiewali się członkowie tamtej drugiej grupy, nie był ani fińskim, ani angielskim. Można było spokojnie założyć, że oba oddziały nie tylko działały osobno, ale również nic nie wiedziały o sobie. Co ciekawsze, za dwadzieścia minut miały się natknąć na siebie.

McCready odłożył lornetkę i przetoczył się na bok, po czym otworzył leżący obok plecak. Wyjął coś, co wyglądało jak kolba karabinu, i odchylił okutą stopkę, umocowaną na zawiasach. Z pustej, zrobionej ze szklanego włókna kolby wyjął lufę oraz zamek i w ciągu trzydziestu sekund złożył karabin.

Z uczuciem poklepał kolbę. Karabin Armalite AR-7 z reguły wchodził w skład zestawu przeżyciowego dla lotników amerykańskich sił powietrznych. Ważył mniej niż trzy funty i nie tonął w wodzie zarówno po rozebraniu jak i gotowy do strzału, ale jego największą zaletą było to, iż rozłożony mierzył niecałe siedemnaście cali długości, a więc bez trudu można go było schować w plecaku.

McCready zamocował magazynek z ośmioma długimi nabojami, drugi schował do kieszeni, a potem wyczołgał się tyłem z kępy drzew i zaczął przekradać się do rzeki parowem, który przezornie wyszukał wcześniej na taką okazję. Dotarł na brzeg naprzeciw skały, na samym zakręcie, i ukrył się za głazami pozostawionymi niegdyś przez lodowiec.

Ze swojego stanowiska na zewnętrznym łuku zakola rzeki widział obie grupy, chociaż żadna z nich nie zdawała sobie jeszcze sprawy z obecności drugiej. Spojrzał na skałę, ale nie dostrzegł Denisona, który znajdował się znacznie wyżej. Nie ma to jak odrobina zamieszania, pomyślał, przykładając karabin do ramienia.

Gdy oba oddziały dotarły do zakrętu, wystrzelił — nie w Kiddera, ale tuż przed niego, i piasek wytrysnął spod nóg Amerykanina. Kidder wrzasnął i dał nura w bok, a cała czwórka zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

McCready nie widział tej nagłej zmiany sytuacji; obrócił się i oddał kolejny strzał w pierwszego z trzech mężczyzn. Kula zarykoszetowała od skał nad głową tamtego. Mężczyzna instynktownie schylił się i natychmiast przypadł do ziemi, jednak nie tak szybko, by McCready nie dostrzegł pistoletu, który nagle pojawił się w dłoni tamtego.

McCready wsunął się do swojej niszy, jak żółw chowający głowę w skorupę, i czekał, co będzie dalej.

Denison drgnął, słysząc dobiegający z dołu odgłos strzału. Zanim zdążył ruszyć pędem do obozu, usłyszał kłaśnięcie drugiego wystrzału, które odbiło się echem od wzgórza za jego plecami. Potem nie słyszał już nic prócz tupotu swoich butów na skale.

Pochylił się nad śpiworem Diany i stwierdził, że już nie spała.

— Ktoś strzelał.

— Słyszałam. Obudź pozostałych.

Zbudził Lyn, a potem podszedł do Hardinga, który — wbrew swoim oczekiwaniom — spał twardym snem.

— Co się dzie...? — rzekł sennie, lecz zerwał się gwałtownie, gdy dwa kolejne strzały zmały ciszę poranka. — Co jest, do diabła?

Diana energicznie machnęła ręką.

— Za grań! — zawołała. — Dalej od rzeki.

Harding pospiesznie wkładał buty na nogi, klnąc siarczyście. Denison podbiegł do Diany, która pomagała Lyn.

— Co ze sprzętem?

— Zostaw go. Nie bierz niczego oprócz pistoletu.

Pomógł Lyn wstać i pędem pobiegli przed siebie, na wzgórze i za grań, oddaloną o jakieś trzysta jardów. Tam zaczekali, zdyszani, aż dogoniła ich Diana i Harding. W krótkich odstępach czasu padły trzy następne strzały i Denison rzekł:

— To wygląda na jakąś cholerną bitwę.

— Musimy zniknąć — zdecydowała Diana. — Schronimy się tam. Pobiegli.

Po drugiej stronie rzeki, na brzegu, McCready patrzył i uśmiechał się. Tak jak przypuszczał, żadna z grup nie miała czasu, by stwierdzić, skąd padły strzały. Ich członkowie natychmiast ukryli się w sposób zdradzający profesjonalistów, a teraz skokami posuwali się naprzód, gotowi do obrony lub ataku. Kidder dostrzegł człowieka nadchodzącego z prawej i strzelił. Chybił, ale strzelając odsłonił się i ktoś wystrzelił do niego. Kolejne pudło.

Kidder skrył się i zdjął plecak krępujący mu ruchy. Gdy pozostali zrobili to samo, McCready uśmiechnął się. Ta sytuacja stanowiła miniaturową kopię typowej wielkiej bitwy. Kidder, dla zwiększenia możliwości manewrowania, pozbywał się zapasów — co mogło być dobrym pomysłem, ponieważ jego oddział przewyższał liczebnie

przeciwnika — chociaż o tym nie wiedział. Jednak jeśli przegra i zostanie zmuszony do odwrotu, utraci swoje zapasy.

McCready ponownie poklepał kolbę karabinu i cofnął się, aby przeczłogać się parowem z powrotem na pierwotne stanowisko w kępie karłowatych drzew. Po drodze usłyszał trzy kolejne strzały. Podniósł lornetkę i zbadał sytuację. Denison zniknął ze skały i obozowisko było opuszczone; prawdopodobnie wycofali się za wzgórze i ukryli wśród skał, co było rozsądną reakcją.

McCready spojrział na drugi brzeg. Wąski pas piasku między brzegiem rzeki a skałą był z obu jej stron pilnowany przez dwóch mężczyzn i obie grupki rozpoczęły właśnie klasyczny manewr oskrzydający. Kidder wraz z jednym ze swych ludzi wspinali się na skałę, wyraźnie zamierzając wejść na jej wierzchołek. Wtedy mieliby nie tylko przewagę liczebną, ale również większe pole ostrzału.

Sęk w tym, że przeciwnicy wpadli na ten sam pomysł i jeden z nich zabrał się do tego wcześniej. McCready ze swojej łoży z zainteresowaniem obserwował, jak posuwają się w górę. Oceniał, że następnym polem bitwy stanie się opuszczony obóz. Jeżeli samotny wspinacz po prawej zdoła dotrzeć na szczyt przed Kidderem i jego kompanami, mimo ich liczebnej przewagi będzie miał większe szansę.

Tymczasem u stóp skały oba oddziały ryglowały przejście, chaotycznie wymieniając strzały, bardziej po to, by zaznaczyć przeciwnikowi swoją obecność, niż próbując atakować. McCready pogładził karabin i pomyślał: „Jak rozpętać wojnę — Kurs skrócony”. Miał nadzieję, że żadne z mniejszych państw nie wpadnie na ten pomysł, używając pocisków atomowych zamiast kul.

Mężczyzna po prawej znalazł się na wierzchołku, kiedy Kidderowi i jego człowiekowi pozostało do przejścia jeszcze dwadzieścia jardów. Powoli wgramolił się na górę, spojrział na opuszczone obozowisko, a potem szybko ukrył się za skałą. Kidder znalazł się na górze i także obejrzał obóz, po czym gestem nakazał kompanowi, by podczołgał się do niego.

Krzyknął — McCready po drugiej stronie rzeki usłyszał ten przenikliwy okrzyk — i obaj wypadli na otwartą przestrzeń, biegnąc na drugą stronę. Ukryty mężczyzna strzelił i towarzysz Kiddera zatoczył się, a potem upadł między głazy. Kidder przypadł do ziemi, a jednocześnie u stóp skały rozległa się nowa kanonada, przyciągając uwagę McCready'ego.

Druga strona również miała rannego i po sposobie, w jaki trzymał on swoją rękę, McCready domyślił się, że kula złamała kość. W oddali usłyszał słabe okrzyki; Kidder

czołgał się między głazami w kierunku rannego kolegi, a mężczyzna po drugiej stronie skały pospiesznie schodził na dół.

Po piętnastu minutach obie grupki zmykały w przeciwnie strony. Oddziałek Kiddera cofał się w dół rzeki — jeden z mężczyzn mocno utykał, trafiony w nogę. Ich przeciwnicy kierowali się w górę doliny.

Ta nierozstrzygnięta potyczka zakończyła się remisem i McCready pomyślał, że żadna ze stron nie ma pojęcia, co naprawdę zaszło.

Diana Hansen zaczęła godzinę od chwili, gdy ucichły strzały, a potem powiedziała:

— Pójdę i zobaczę, co się dzieje.

— Idę z tobą — rzekł Denison.

Zawahała się.

— Dobrze. Ja pójdę na lewo, ty na prawo. Będziemy poruszali się na przemian, osłaniając się wzajemnie.

Spojrzała na dwoje pozostałych.

— Wy będziecie nas ubezpieczać; jeśli ktoś do nas wygarnie, zaczniecie strzelać najszybciej, jak zdołacie, nieważne, czy kogoś traficie, róbcie tylko dużo hałasu.

Ruszyła pierwsza. Denison patrzył, jak zygzakiem biegnie w stronę grani. W połowie drogi zatrzymała się i machnięciem ręki dała mu znak, żeby poszedł w jej ślady. Zrobił to, starając się jak najlepiej naśladować jej ruchy. Kiedy miał ją równoległe po lewej, klapnął na ziemię i zaczął się zastanawiać, gdzie Diana nauczyła się swego fachu.

Znowu ruszyła naprzód i tym razem dotarła na szczyt grani, skąd spojrzała na obóz. Gdy skinęła ręką, Denison również wbiegł na górę i ostrożnie wyjrzał zza skały. Obóz był pusty i wydawało się, że nic nie zginęło; dostrzegł nawet błysk w otwartym futerale teodolitu leżącym tam, gdzie go zostawił, zapomniawszy zamknąć.

Diana podczołgała się do Denisona.

— Obejdę obóz z lewej, a ty z prawej, podejźmy z dwóch stron. Nie spiesz się za bardzo i nie strzelaj do wszystkiego, co się rusza... to mogą być ja.

Skinął głową. Diana już odchodziła, kiedy ponownie spojrzał na obozowisko i dostrzegł jakiś ruch. Schował się za grań i złapał Dianę za kostkę.

— Tam ktoś jest — szepnął. Odwróciła się.

— Gdzie?

— Przy skale, na której staliśmy na straży.

— Nikogo nie widzę.

— Zauważyłem jakieś poruszenie przy tym głazie.

Odczekali chwilę, obserwując obóz, aż wreszcie Diana powiedziała:

— Chyba ci się wydawało.

Denison westchnął.

— Pewnie tak.

Nagle zacisnął dłoń na jej ramieniu.

— Nie, spójrz! Teraz jest po drugiej stronie.

Zza krawędzi wzgórza wyłonił się jakiś mężczyzna, przystanął, by nabrać tchu, i powoli poszedł w kierunku obozowiska. Kiedy tam dotarł, rozejrzał się wokół i zdjął plecak.

— To George McCready. — Diana cmoknęła z zadowoleniem i podniosła się z ziemi.

McCready wyglądał, jakby miał zaraz upaść. Ubranie było przemoczone, a kiedy się poruszył, zachlupotało mu w butach. Widział dwójkę nadchodzących, ale nie wyszedł im naprzeciw. Zamiast tego usiadł i zaczął rozsznurowywać buty.

— Przekłęta rzeka — burknął. — Przechodziłem ją trzy razy.

— Co to za strzelanina? — dopytywała się Diana.

McCready opisał jej, co się stało.

— Jedna grupa składała się z Amerykanów; nie wiem, kim byli ci drudzy. Ich język przypominał słowiański.

— Rosyjski?

— Możliwe — rzekł McCready. — Mam nadzieję. Jeżeli ścigają nas, to jest szansa, że nie dopadną Careya.

Wykręcił skarpetki.

— Kiedy będę miał sześćdziesiąt lat, pokręci mnie artretyzm.

— A więc napuściles jednych na drugich — skonstatował Denison. — Nie wiem, czy to był dobry pomysł. Mogą pomyśleć, że to my, i następnym razem pierwsi zaczną strzelać.

McCready pokiwał głową.

— Pora ich zgubić. Najlepiej przejdźmy przez rzekę i wróćmy drugim brzegiem. To nam da te trzy dni, które Carey kazał nam tu spędzić.

— Przecież nie chcemy ich zgubić — sprzeciwiła się Diana. — Nie o to chodziło.

— Wiem — odparł McCready. — Jednak chciałbym wrócić do samochodów i

odjechać, dopóki liżą swoje rany. Możemy zostawić wiele śladów wskazujących, dokąd odjechaliśmy. Przez jakiś czas będą się tu kręcili, przy odrobinie szczęścia mogą sobie urządzić jeszcze jedno zawody strzeleckie, a potem ruszą za nami. W ten sposób zyskamy czas dla Careya i mniej ryzykujemy.

Diana zastanowiła się nad tym.

— Dobrze.

McCready przechylił głowę w bok i spojrzał na Denisona.

— Przywódcą Amerykanów był twój stary kumpel, Kidder.

— Kidder! — powiedział z niedowierzaniem Denison.

— Kiedy zjawił się w Helsinkach, wydało mi się to trochę podejrzanę — wtrąciła Diana. — Ale wyglądał na takiego durnia, że nie brałam go pod uwagę.

— Jeżeli to cię pocieszy, to ja też — przyznał się McCready. — Jednak wiesz, co to oznacza: nasi kuzyni z CIA włożą nam w paradę.

Z plastikowego woreczka wyjął parę suchych skarpetek.

— Chyba że Kidder jest renegatem lub podwójnym agentem. Kocham CIA.

Spojrzał na zatopionego w myślach Denisona.

— Co ci jest? Wyglądasz, jakby ktoś zdzielił cię po głowie.

— Rany boskie! — wykrzyknął Denison. — To był Kidder!

Ze zdumieniem potrząsnął głową.

— Ten człowiek, który przesłuchiwał mnie po porwaniu z sauny. Wydawało mi się, że poznaję ten głos, ale nie mogłem go zidentyfikować, ponieważ mówił bez amerykańskiego akcentu.

— Jesteś pewien? — spytała ostro Diana.

— Jestem pewien. Nie łączyłem go z Kidderem, ponieważ on został w Oslo. Wtedy nie pojawił się jeszcze w Helsinkach. Czy to ważne?

— Być może — odparł McCready. — Tylko jedna banda wie, że nie jesteś Meyrickiem: ci, którzy porwali cię z Hampstead. Jednak człowiek, który cię przesłuchiwał, brał cię za Meyricka. Jeżeli to był Kidder, to CIA nie jest odpowiedzialna za przemodelowanie twojej paskudnej buźki. Wszystkie kawałki łamigłówek mogą się przydać.

— Doktor Harding i Lyn będą się o nas martwić — powiedziała Diana.

Denison odwrócił się.

— Przyprawdzą ich.

Zaczął wchodzić na grań, ale skręcił do skały, na której trzymał straż. Coś go

niepokoilo — zastanawiał się, jak McCready zdołał przemieścić się z jednej strony obozu na drugą. Patrząc z grani pierwszy ślad ruchu dostrzegł opodal skały, tymczasem McCready przybył do obozu z innej strony.

Denison obszedł głaz, pilnie wpatrując się w ziemię. Kiedy McCready przyszedł, miał mokre buty — pełne wody — i zostawiał na gładkiej skale wilgotne ślady. Tu też było gładko, ale nie widział żadnych śladów. Przeszedł na drugą stronę głazu, tracąc z oczu Dianę i McCready'ego.

Coś uderzyło go w tył głowy; poczuł przeszywający ból i osunął się na kolana. Świat zawirował mu w oczach, a uszy rozdarł przeraźliwy ryk. Drugiego ciosu nie poczuł; runął na twarz — w mrok.

Przepełniony autobus podskakiwał, tocząc się wcześniej rano wąską wiejską drogą. Było zimno i Carey szczerzej owinął się płaszczem. Armstrong spoglądał przez okno na wysoką wieżę strażniczą. Zbliżali się do niej.

Pasażerowie — Finowie — przeważnie milczeli, zaspani. Dwa rzędy przed Careyem, na dostawce rozkładanej w przejściu, siedział Huovinen. W pewnym momencie odwrócił się. Jego spojrzenie było pozbawione wyrazu, lecz Careyowi wydawało się, że czyta w nim niepokój. Poprzedniej nocy Huovinen znów pił i Carey miał nadzieję, że kac nie wpłynie na jego zachowanie.

Zapiszczały hamulce, autobus zatrzymał się i Carey wyciągnął szyję, żeby popatrzeć przez przednią szybę. Żołnierz w fińskim mundurze podszedł do kierowcy, zamienił z nim kilka słów, po czym uśmiechnął się i machnął ręką. Pojazd szarpnął i pojechał dalej.

Carey wyjął fajkę i spokojnie nabił ją tytoniem. Trącił łokciem Armstronga i powiedział po szwedzku:

— Czemu nie zapalisz papierosa? Czyżbyś przestał palić?

Armstrong spojrział na niego ze zdziwieniem, po czym wzruszył ramionami. Jeśli Carey chce, żeby zapalił papierosa, to zapali. Sięgnął do kieszeni i wyjął na pół pustą paczkę fińskich papierosów, gdy autobus znowu stanął.

Kierowca wychylił się z kabiny i zawołał do nadchodzącego rosyjskiego żołnierza:

— Kolmekymmentdkuusi!

Żołnierz kiwnął głową, wszedł do autobusu drzwiami dla pasażerów i zlustrował robotników. Wyglądał tak, jakby ich liczył.

Carey zapalił zapałkę i przyłożył do fajki, otulając cybuch dłońmi i zasłaniając dolną część twarzy. Wydawało się, że zamierza ukryć się za zasłoną dymu. Armstrong szybko pojął, o co chodzi, i pstryknął zapalniczką, osłaniając ją ręką, jakby przeciąg z otwartych drzwi mógł zdmuchnąć płomyk.

Rosjanin opuścił autobus i machnął ręką; pojazd zazgrzytał skrzynią biegów i przetoczył się przez posterunek graniczny. Armstrong odwrócił twarz, kiedy mijali oficera — przysadzistego mężczyznę o szerokiej, słowiańskiej twarzy. Poczul gwałtowny skurcz żołądka, gdy uświadomił sobie, że znajdują się w Rosji. Był już w Rosji wiele razy, ale zawsze legalnie — długo omawiali to z Careyem.

Armstrong opowiadał się za całkowicie legalnym wjazdem do Rosji przez

Leningrad.

— Czemu musimy to robić ukradkiem? — pytał.

— Ponieważ i tak bylibyśmy tam nielegalnie — odparł Carey. — Nie moglibyśmy dostać się do Enso zgodnie z prawem. Ruscy nie lubią, jak obcy kręcą się po ich nadgranicznych terenach. I pilnują cudzoziemców w Leningradzie; jeżeli nie ma cię w hotelu Europa, zaczynają cię szukać. Nie, to najlepszy sposób. Przez granicę i z powrotem, szybko i sprawnie, żeby nawet nie zorientowali się, co zrobiliśmy.

Czarne dymy unosiły się z wysokich kominów fabrycznych, gdy autobus toczył się przez Enso. Przez kilka minut krążył ulicami, a potem przejechał przez bramę i stanął przed bardzo długim, niskim budynkiem. Pasażerowie zabrali swoje rzeczy i wstali. Carey spojrział na Huovinena, który nieznacznie skinął głową, tak więc szturchnął łokciem Armstronga i ruszyli, aby dołączyć do kolejki za plecami brygadzysty.

Weszli do budynku przez nie dokończoną ścianę i znaleźli się w ogromnej hali. Z początku Armstrong stracił orientację; był w nieznanym otoczeniu i musiał mieć na oku Huovinena, który raptownie skręcił w prawo, odłączając się od głównej grupy. Zaprowadził ich za wielką maszynę i upewniwszy się, że nikt ich nie widzi, stanął. Był lekko spocony.

— Powinniście mi zapłacić dwa razy więcej — rzekł.

— Niech pan się nie przejmuj — poradził mu Carey. — Co teraz?

— Muszę tu być przez następną godzinę, porozdzielać robotę i odbyć piętnastominutową konferencję z Dzotenidze. Robię to każdego ranka.

Zakaszła i splunął na podłogę.

— Nie mogę wyprowadzić was wcześniej.

— A więc zaczekamy godzinę — zgodził się Carey. — Gdzie?

Huovinen wskazał palcem.

— W maszynie, a gdzieżby indziej?

Carey odwrócił się i spojrział na montowaną maszynę. Przeznaczona do ciągłego wytwarzania papieru, miała ponad trzysta jardów długości i około pięćdziesięciu metrów szerokości.

— Wejdźcie do środka i zdejmijcie płaszcze — polecił. — Za jakieś dziesięć minut przyniosę wam narzędzia. Gdyby ktoś was zobaczył, będziecie dokręcać śruby albo coś w tym rodzaju.

Carey spojrział na dźwig, z którego zwieszał się wielki, stalowy walec.

— Dopilnuj tylko, żeby to nie spadło mi na głowę. I nie zabaw tam dłużej niż

godzinę. Chodź, Iwan!

Armstrong poszedł za Careyem, który wgramolił się do maszyny. Kiedy się odwrócił, Huovinena już nie było. Znaleźli miejsce, gdzie mogli stać wyprostowani. Carey zdjął płaszcz i rozejrzał się dookoła.

— W takim bałaganie każdy angielski robotnik grałby w karty — powiedział. — Nie wiem, jak jest z Finami.

Armstrong schylił się i zerknął przez gąszcz kratownic.

— Oni pracują — zameldował.

— Zatem i my udawajmy zajętych — mruknął Carey.

Po pewnym czasie obok przeszedł jakiś człowiek i zatrzymał się. Usłyszeli szcęk metalu na betonie i oddalające się kroki.

— Narzędzia — rzekł Carey. — Weź je.

Armstrong wyczołgał się, a po chwili wrócił z zestawem kluczy i młotkiem. Carey wziął jakiś klucz i wypróbował go na pierwszej lepszej śrubie.

— A teraz — oznajmił — odkręcimy ten dźwigar, a potem przykręcimy go z powrotem i będziemy to robić, dopóki stąd nie wyjdziemy.

Przyłożył klucz do nakrętki i szarpnął, po czym zastygł w zadumie.

— Może lepiej wystaw głowę i sprawdź, co się stanie, kiedy usuniemy to żelastwo. Nie chcę, żeby cała ta cholerna machina rozsypała się na kawałki.

Półtorej godziny później szli ulicami Enso. Armstrong nadal miał na sobie kombinezon, a na ramieniu łopate, Carey natomiast zdjął swój strój roboczy i był teraz ubrany schludniej. Zapewnił kompana, iż ma regulaminowe wyposażenie miejscowego inspektora gospodarki wodnej. W ręku niósł, zupełnie otwarcie, metalowe urządzenie wykrywające. Armstrong zauważył z aprobatą, iż było ono opatrzone metalową tabliczką informującą cyrylicą, iż wyprodukowano je w Dniepropietrowsku, w zakładach „Sowelektro”.

Idąc rozmawiali — cicho i po rosyjsku. Armstrong zauważył staromodny klimat Enso. To ten tutejszy styl ubierania się, pomyślał, sprawia, że człowiek ma wrażenie powrotu do lat trzydziestych. Zawsze, kiedy był w Rosji, miał takie wrażenie.

— O mało co, a dostałbym ataku serca, gdy ten cholerny Gruzin zaczął pytać, gdzie jest Virtanen — powiedział.

To był niebezpieczny moment. Główny inżynier, Dzotenidze, stał przy maszynie tuż obok nich i wypytywał Huovinena o Lassi Virtanena.

— Te osłony nie są prawidłowe — zrzędził po rosyjsku. — Virtanen nie wykonuje dobrze swojej pracy.

Tłumacz przełożył to Huovinenowi, który wyjaśnił:

— Virtanen ostatnio nie czuje się dobrze. Stara rana z wojny. W rzeczy samej, nie ma go dzisiaj, został w domu, w łóżku.

Dzotenidze był wściekły.

— Dopilnuj, żeby jak najszybciej się tym zajął — polecił i odszedł.

— Gdybym wyciągnął rękę, mógłbym go dotknąć — rzekł Armstrong.

— Huovinen powinien wymyślić lepszą bajeczkę — stwierdził ponuro Carey. — Co będzie, jeśli inżynier sprawdzi i dowie się, że autobus przywiózł komplet robotników? Jednak nic na to nie poradzimy.

Przez pięć minut maszerowali w milczeniu.

— Daleko jeszcze? — spytał Armstrong.

— Nie, to tuż za rogiem — Carey poklepał go po ramieniu. — Słuchaj, łan, jesteś tylko zwykłym robotnikiem, więc daj mówić lepszym od siebie. Jeśli będziesz musiał coś powiedzieć, to udawaj powolnego półgłówka, tępy kloc, jak przystało facetowi, który dzierży laskę idioty.

Wskazał na łopatę.

— Czyli bohaterskiego robotnika.

— Właśnie. A ja będę specjalistą, posługującym się cudem nowoczesnej techniki, i nadętym jak balon.

Skrećili za róg.

— To ten dom.

Carey spojrzał krytycznym okiem na budynek.

— Wygląda na kompletnie zrujnowany.

— Dlatego idzie do rozbiórki.

— Otóż to. — Carey rozejrzał się po ulicy. — Dla zachowania Pozorów zaczniemy na zewnątrz, tu, na ulicy.

Wyjął z kieszeni słuchawki i wepchnął wtyk do gniazda detektora metalu.

— Czy wyglądam wystarczająco fachowo?

— Wprost ślicznie — zapewnił go Armstrong.

Carey prychnął i włączył urządzenie, po czym nastawił czułość. Szedł chodnikiem, trzymając wykrywacz tuż nad ziemią, jak odkurzacz. Armstrong oparł się na łopacie i patrzył na to ze znudzeniem. Carey przeszedł jakieś pięćdziesiąt jardów, a potem

powoli wrócił. Na jego twarzy malował się niepokój.

— Chwytam wiele sygnałów. Ta ulica musi być nafaszerowana metalem.

— Może znalazłeś złoto — podsunął Armstrong.

Carey obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

— Wcale nie żartuję — warknął. — Do diabła, mam nadzieję, że w ogrodzie będzie inaczej.

— Wzbudzasz zainteresowanie — zauważył Armstrong. — Właśnie poruszyła się zasłona w oknie.

— Odegram to jeszcze raz — powiedział Carey.

Znów zaczął chodzić po chodniku, aż zatrzymał się przed domem, wyjął z kieszeni notes i coś w nim napisał. Armstrong leniwie ruszył w kierunku Careya, gdy z domu wyszedł mały chłopiec.

— Co on robi?

— Szuka rury wodociągowej.

— A co to jest?

— Ta rzecz mówi mu, kiedy znajdzie rurę — wyjaśnił cierpliwie Armstrong. — To nowy wynalazek.

Spojrzał na chłopca.

— Czy twój ojciec jest w domu?

— Nie, jest w pracy.

Chłopiec patrzył na Careya, który zaglądał za płot.

— A co on robi teraz?

— Nie wiem — odparł Armstrong. — To on się na tym zna, nie ja. Czy twoja matka jest w domu?

— Pierze. Chcecie się z nią zobaczyć?

Carey wyprostował się.

— Zdaje się, że przebiega tutaj! — zawołał.

— Tak — odpowiedział chłopcu Armstrong. — Chyba chcemy się z nią zobaczyć.

Pobiegnij i powiedz jej to, dobrze?

Chłopiec wbiegł do domu, a Armstrong podszedł do Careya.

— Kunajew jest w pracy, jego żona pierze.

— Dobrze, bierzmy się do dzieła.

Carey podszedł do frontowych drzwi domu w tej samej chwili, gdy się otworzyły. Wyszła z nich dość chuda kobieta o zmęczonej twarzy.

— Czy to... eee... — Carey wyjął notes i sprawdził w nim coś. — Czy to dom Kunajewów?

— Tak, ale męża nie ma.

— A więc wy jesteście obywatelka Kunajewa?

Kobieta okazała lekkie zaniepokojenie.

— Tak?

Carey rozpromienił się.

— Proszę się nie niepokoić, obywatelko Kunajewa. To tylko techniczna formalność związana z przyszłą rozbiórką. Wiecie o tym?

— Tak — odparła. Słaby niepokój ustąpił miejsca lekkiej irytacji. — Musimy się przeprowadzić, teraz, kiedy dopiero co pomalowałam mieszkanie.

— Przykro mi — sumitował się Carey. — No cóż, pod ziemią jest tu wiele rur: gazowych, wodnych, elektrycznych i tak dalej. Mnie obchodzą rury wodociągowe. Kiedy zjawią się tu ludzie od rozbiórki, przyjadą spychacze, a nie chcemy, żeby przerwali rury wodociągowe, bo cała okolica zamieni się w bagno.

— Czemu nie zakręćcie wody, zanim zaczniecie? — spytała praktycznie.

Carey był zaambarasowany.

— To nie jest takie proste, jak się zdaje, obywatelko Kunajewa. — Gorączkowo szukał jakiejś rozsądnej odpowiedzi. — Jak wiecie, to jedna z najstarszych dzielnic Swietogorska, zbudowana przez Finów tuż po pierwszej wojnie światowej. Dwadzieścia pięć lat temu wiele dokumentów uległo zniszczeniu i nie wiemy nawet, któredy przebiegają niektóre rury ani czy się łączą z naszym systemem wodociągowym.

Nachylił się do niej i rzekł poufnie:

— Możliwe, że część naszej wody nadal płynie zza granicy... Z Imatry.

— Chcecie powiedzieć, że dostajemy ją za darmo od Finów?

— Nie obchodzą mnie koszty — powiedział z urazą Carey. — Ja mam tylko znaleźć rury.

Spojrzała przez ramię Careya na Armstronga, który opierał się na szpadlu.

— I chcecie wejść do naszego ogródka... Czy on wykopie wszędzie dziury?

— Wcale nie — zaprotestował Carey. Pokazał jej detektor. — Mam to, nowy wynalazek, który może wyszukać rury bez kopania.

Może będzie trzeba wykopać małą dziurę, jeśli natrafimy na połączenie, ale nie sądzę, żeby do tego doszło.

— No, dobrze — zgodziła się niechętnie. — Tylko starajcie się nie deptać po grządkach z kwiatami. Wiem, że w tym roku wyprowadzają nas z tego domu, ale kwiaty właśnie teraz najładniej kwitną, a mój mąż stara się, żeby tu jakoś wyglądało.

— Postaramy się nie deptać kwiatów — obiecał Carey. — Przejdziemy od razu na tył domu.

Dał znak Armstrongowi i okrążyli dom; chłopiec poszedł za nimi.

— Musimy pozbyć się widowni — powiedział Armstrong ściszym głosem.

— Żaden kłopot; po prostu go znudzimy.

Carey stanął jak wryty, gdy wyszli za róg budynku i zobaczył altankę na tyłach ogrodu; była wielka i zbita z solidnych bali.

— Tego nie było na planie — stwierdził. — Mam nadzieję, że to, czego szukamy, nie znajduje się pod nią.

Armstrong wbił łopatę w ziemię na skraju rabaty, a Carey rozwinął plan ogrodu.

— Tam jest to pozostałe drzewo — wskazał palcem. — Jedno z czterech, które pokazał Meyrick. Najpierw spróbuję przy nim.

Założył słuchawki, włączył detektor i powoli ruszył w kierunku drzewa. Przez pewien czas badał teren wokół pnia, nagabywany przez chłopca, a potem zawołał:

— Niczego tu nie ma!

— Może rura idzie środkiem — podsunął Armstrong.

— To możliwe. Chyba będzie trzeba sprawdzić cały teren.

Co też zrobił. Na użytek małego chłopca co pewien czas wykrzykiwał jakąś liczbę, a Armstrong posłusznie nanosił ją na plan. Po półgodzinie chłopczyk znudził się i poszedł sobie. Carey mrugnął do Armstronga i dalej robił swoje. Sprawdzenie całego ogrodu zajęło im ponad godzinę.

Carey zerknął na zegarek i wrócił do Armstronga.

— Mamy dwie możliwości. Silny odczyt, bardzo silny, na skraju trawnika i słabszy na środku tej rabaty. Proponuję, żebyśmy najpierw sprawdzili trawnik.

Armstrong spojrział w kierunku domu.

— Nadchodzi pani K.

Kobieta właśnie wychodziła z domu. Podchodząc zapytała:

— Znaleźliście coś?

— Chyba znaleźliśmy połączenie — odparł Carey i wskazał ręką. — Właśnie tu. Będziemy musieli kopać. Tylko małą dziurę, obywatelko Kunajewa, rozumiecie. Nie nabałaganimy i nie zniszczymy trawy.

Spojrzała na nierówny trawnik.

— Nie sędzę, żeby to miało znaczenie — machnęła ręką z rezygnacją. — Mój mąż mówi, że trawa nie rośnie tu tak dobrze, jak na południu, skąd pochodzimy. Czy chcecie coś zjeść?

— Mamy swoje kanapki — wymówił się niezręcznie Carey.

— Zrobię wam herbaty — oświadczyła stanowczo i wróciła do domu.

— Miła kobieta — skomentował Carey. — Jest dwunasta, wszyscy porządni robotnicy na pół godziny odkładają narzędzia.

Jedli swoje kanapki, siedząc na trawniku i popijając je herbatą z cytryną, którą przyniosła im kobieta. Nie została, żeby pogawędzić, za co Carey był jej niezmiernie wdzięczny. Ugryzł kanapkę i powiedział w zadumie:

— Zdaje się, że to tu zginął Merikken i jego rodzina... wszyscy oprócz młodego Harri.

Wskazał na dom.

— Ta część wygląda na nowszą od reszty.

— Czy miasto było mocno bombardowane?

— Mój Boże, przez jakiś czas przebiegała tędy linia frontu, na niebie musiało się roić od bombowców.

Armstrong sączył gorącą herbatę.

— Skąd wiemy, że kuferek nadal tu jest? Mógł go wykopać jakiś zagorzały ogrodnik. Może sam Kunajew?

— Nie wpadajmy w przygnębienie. Czas, żebyś zaczął kopać — ponaglił Carey. — Pokażę ci miejsce i pozwolę ci odwalić resztę roboty, jak przystało człowiekowi na moim stanowisku.

Przeszedł przez trawnik, szybko sprawdził teren detektorem i wbił ołówek w ziemię.

— To tu. Równo wytnij darń.

Armstrong zaczął kopać. Odłożył kępki darni na bok i z wydobywanej ziemi starał się usypywać możliwie równą kupkę. Carey siedział pod drzewem i przyglądał się temu, dopijając herbatę. W końcu Armstrong zawołał go.

— Jak głęboka ma być ta dziura?

— Na dwie stopy.

— Wykopałem dwie i pół, a tu wciąż nic.

— Kop dalej. Meyrick mógł się mylić.

Armstrong zabrał się do pracy. Po chwili rzekł:

— Wykopałem stopę głębiej i nadal nic.

— Zobaczmy, co powie ta zabawka. — Carey założył słuchawki i opuścił wykrywacz do otworu. Włączył urządzenie i pospiesznie poprawił wzmocnienie. — Jest tu — stwierdził. — Musi być zaledwie kilka cali głębiej. Prawie popękały mi bębunki.

— Wkopię się jeszcze głębiej, ale nie będzie to łatwe bez powiększania otworu.

Armstrong ponownie wbił szpadel w ziemię i trafił w coś twardego, co brzęknęło metalicznie.

— Mam!

Oczyścił dziurę łopatą najlepiej jak mógł, a potem zaczął gmerać w niej rękami. Po pięciu minutach popatrzył na Careya.

— Wiesz, co znaleźliśmy?

— Co?

Armstrong zaczął się śmiać.

— Rurę wodociągową.

— O rany boskie! — powiedział Carey. — Wyłaż z tej dziury i daj mi popatrzeć.

Zmienił Armstronga i pomacał zaokrąglony metal i kryzę. Wykopał trochę ziemi, odsłaniając więcej metalu, a potem wyszedł z otworu. Armstrong nadal chichotał, więc Carey ostudził go:

— Zasyj tę dziurę i zrób to delikatnie. Znaleźliśmy niewypał bomby.

Śmiech Armstronga urwał się gwałtownie.

— Zdaje się, że waży ćwierć tony — dodał Carey. — Odpowiednik naszej pięćsetfuntówki.

Zebrali się wokół Denisona, który leżał jak długi twarzą do ziemi.

— Nie ruszajcie go — ostrzegł Harding. — Nie wiem, czy nie doznał czegoś poważniejszego niż wstrząśnienie mózgu.

Ostrożnie obmacał czaszkę Denisona.

— Niewątpliwie został bardzo mocno uderzony.

Diana spojrzała na McCready'ego.

— Przez kogo?

McCready tylko wzruszył ramionami.

Harding przesuwiał swe długie palce po ciele nieprzytomnego.

— Obróćmy go, tylko delikatnie.

Odwrócili Denisona na plecy, a Harding podniósł mu jedną powiekę. Zobaczyli nieruchomą źrenicę i Lyn wydała mimowolny okrzyk przerażenia.

— Przepraszam, doktorze — powiedziała Diana i sięgnęła Denisonowi do kieszeni.

Po chwili podniosła się z klęczek i potrząsnęła głową do McCready'ego. Wrócili na środek obozu.

— Nie ma planu i notatnika — oświadczyła. — Nosił je w zapinanej na guzik kieszeni koszuli. Guzik został urwany, a kieszeń rozdarta. Pytanie: przez kogo?

— To nie Jankesi — stwierdził McCready. — Widziałem, jak odchodzili w dół rzeki. I nie ta druga banda, daję za to głowę.

— A więc kto?

McCready z irytacją wzruszył ramionami.

— Na Boga! Jest tu ktoś sprytniejszy ode mnie.

— Nie zamierzam tego komentować — rzuciła zjadliwie Diana. — Rozzłościłbyś się.

— Oczywiście — rzekł McCready — to nie ma żadnego znaczenia. Spodziewaliśmy się, że tak będzie.

— Jednak oczekiwaliśmy, że w ten sposób dowiemy się, kto jest naszym przeciwnikiem.

Stuknęła go palcem w pierś.

— Wiesz, co to oznacza. Śledzą nas trzy osobne grupy.

Zaczęła liczyć na palcach.

— Amerykanie, ta druga banda wyglądająca na Słowian: Rosjanie, Polacy, Bułgarzy, Jugosłowianie, wybieraj wedle uznania, a teraz jeszcze jakiś tajemniczy

ktoś, kogo nawet nie widzieliśmy.

— Tego właśnie oczekiwał Carey, nieprawdaż?

— Tak, ale to jednak bardzo niepokojące. Zobaczmy, jak czuje się Denison.

Wrócili do głazu, gdzie Lyn właśnie mówiła z niepokojem:

— To tylko lekkie wstrząśnienie mózgu, prawda?

— Nie jestem pewien — odparł Harding. — Lyn, w połowie drogi do obozu znajdziesz mój plecak, a w nim czarne pudełko. Przynieś mi je, dobrze?

Lyn pobiegła, a McCready uklęknął przy Denisonie.

— Co mu jest oprócz rozbitej głowy, doktorze?

— Ma słaby puls i chciałbym zmierzyć mu ciśnienie. Ale niepokoi mnie coś jeszcze.

Niech pan spojrzy. — Harding wziął Denisona za rękę i podniósł ją w górę. Kiedy puścił, ręka pozostała uniesiona. Chwycił ją ponownie i zgiął w łokciu, znów zastygła w pozycji, w jakiej ją ustawił.

McCready gwałtownie wciągnął powietrze.

— Może go pan formować jak model z plasteliny — stwierdził ze zdumieniem. — Co mu się stało?

— To rodzaj katalepsji — rzekł Harding.

McCready'emu niewiele to mówiło.

— Czy takie objawy zawsze towarzyszą wstrząśnieniu mózgu?

— Wcale nie. Pierwszy raz widzę coś takiego po uderzeniu w głowę. To wprost niezwykle.

Lyn wróciła i podała Hardingowi czarne pudełko.

— O tym pan mówił?

Kiwnął głową, wyjął elastyczną opaskę ciśnieniomierza i owiązał ją wokół ramienia Denisona. Napompował ją gumową gruszką i pokiwał głową:

— Ciśnienie również ma obniżone. Odwinął opaskę.

— Zaniesiemy go do obozu i owiniemy śpiworem, żeby się ogrzał.

— To oznacza, że zostajemy tutaj. — McCready był niezadowolony.

— Nie możemy go ruszać — powiedział lekarz. — Przynajmniej dopóki nie dowiem się, co mu jest, a to, obawiam się, ma związek z tym, co z nim zrobiono.

Twarcz McCready'ego była pozbawiona wyrazu. Jeśli zostaną w obozie, będą nieruchomym celem dla następnej bandy szpiegów.

— Doktorze, czy on jest przytomny czy nieprzytomny? — zapytała Lyn.

— Och, nieprzytomny — odparł Harding. — Całkowicie wyłączony.

Harding mylił się.

Denison słyszał każde słowo, lecz nie mógł dać żadnego znaku. Kiedy próbował się poruszyć, stwierdził, że nic się nie dzieje — nie był w stanie ruszyć żadnym mięśniem. Jakby ktoś przeciął wszystkie nerwy odchodzące od mózgu. Czuł, jak Harding porusza jego kończynami, i usiłował coś zrobić, ale utracił kontrolę nad swoim ciałem.

Natomiast zyskał okropny ból głowy.

Czuł, jak go podnoszą, niosą, a potem wkładają do śpiwora. Po kilku minutach zrobiło mu się ciepło. Ktoś owinął mu głowę kapturem śpiwora, tak że dźwięki były stłumione i nie słyszał wyraźnie, co mówiono. Wolałby, żeby tego nie robili. Próbował coś powiedzieć, zmusić język do uległości, lecz ten leżał płasko w jego ustach. Również struny głosowe nie poddawały się jego woli — nie był w stanie wydać choćby najcichszego dźwięku.

Słyszał strzępy rozmowy.

— ...wciąż oddycha... odruchowe czynności zachowane... na bok... wyciągnąć język... udusił.

To mówił Harding.

Ktoś obrócił go na bok; poczuł, że wkładają mu palce do ust i wyciągają język.

Po chwili zasnął.

I śnił.

We śnie stał na zboczu pagórka, spoglądając w okular teodolitu. Stopniowo zdał sobie sprawę z tego, że ten przyrząd wcale nie jest teodolitem, lecz kamerą filmową. Znał nawet jej markę — Arriflex.

A plamka błękitnego jeziora w oddali stała się niebieskim okiem ślicznej dziewczyny.

Oderwał się od wizjera kamery i odwrócił do Joe Stauntona, kamerzysty.

— Ładna kompozycja — ocenił. — Możemy kręcić.

Wielkie bloki pamięci wpadały na swoje miejsce z trzaskiem zamykanych stalowych drzwi.

— To na nic, Giles — rzekł Fortescue. — Przebrałeś miarę. Kosztujesz nas zbyt wiele pieniędzy. Jak, do diabła, możesz panować nad czymkolwiek, jeżeli prawie cały czas jesteś zalany?

Pogardliwe słowa spadły jak ciosy pięści.

— A kiedy nie jesteś pijany, masz kaca.

Głos Fortescue'a huczał głucho, jakby wydobywał się z jaskini.

— Już nie możesz liczyć na zasadę starych kumpli. To koniec. Jesteś zwolniony.

Nawet we śnie Denison czuł wilgoć łez na policzkach.

Prowadził samochód, znajomy, rozbity dawno temu lotus. Beth siedziała obok, jej włosy rozwiane na wietrze.

— Szybciej! — ponaglała. — Szybciej!

Położył dłoń na dźwigni zmiany biegów i wrzucił niższy bieg, chcąc wyprzedzić ciężarówkę; wcisnął pedał gazu.

Skuter, jak owad, wypadł mu z bocznej drogi wprost przed maskę. Skręcił i ciężarówka, którą wyprzedzał, również. Beth wrzasnęła, usłyszał przeraźliwy brzęk rozdzieranego metalu i pękającego szkła, a potem nie było już nic.

Przykro mi — rzekł Staunton. — Ten byłby dobry, ale Fortescue nie chciał o niczym słyszeć. Co teraz zrobisz?

— Pójdę do domu, do Hampstead, i upiję się — odparł Denison. Hampstead! Puste mieszkanie pozbawione osobowości. Gołe ściany, niewiele mebli i mnóstwo pustych butelek po whisky.

A potem...

Denison krzyknął przez sen.

Obudził się, poruszył głową i otworzył oczy, by zobaczyć patrzącą na niego Lyn. Obliznął wargi i wykrztusił:

— Beth?

Szeroko otworzyła oczy i obejrzała się.

— Doktorze Harding! Doktorze Harding! On... On się zbudził! — zawołała załamującym się głosem. Kiedy znów na niego spojrzała, próbował wstać. — Nie. Leż spokojnie — nakazała i popchnęła go z powrotem.

— Nic mi nie jest — rzekł słabo.

Pojawił się Harding.

— W porządku, Lyn, niech go obejrzę.

Pochylił się nad leżącym.

— Jak się pan czuje?

— Nieźle... Tylko piekielnie boli mnie głowa. — Sięgnął ręką i delikatnie pomacał tył głowy. — Co się stało?

— Ktoś pana uderzył.

Denison pogmerał drugą ręką w śpiworze, szukając kieszeni na piersi.

— Zabrali plan.

— To bez znaczenia — zapewniła Lyn. — To nieważne, Giles.

— Wiem.

Oparł się na łokciu, przyjął podane mu przez Hardinga proszki i popił je wodą.

— Chyba przestraszyłem pana, doktorze.

— Zachował pan świadomość? — zdziwił się lekarz.

— Tak. I jeszcze jedno: odzyskałem pamięć.

— Całkowicie?

Denison zmarszczył brwi.

— Skąd mam wiedzieć? Nie jestem pewien.

— Teraz nie będziemy o tym mówić — pospiesznie włączył się Harding. — Jak pan się czuje fizycznie?

— Powiem, jeśli pozwolicie mi wstać.

Wylazł ze śpiwora i stanął na nogi, podtrzymywany przez Hardinga. Przez chwilę chwiał się, a potem odtrącił jego ramię i zrobił trzy kroki.

— Wygląda na to, że nic mi nie jest — oznajmił. — Tylko ten ból głowy.

— Po tabletkach powinien ustąpić — uspokoił go Harding. — Jednak na pańskim miejscu nie wykonywałbym zbyt gwałtownych ruchów.

— Nie jest pan na moim miejscu — przerwał mu Denison. — Która godzina? I gdzie są pozostali?

— Jest już po południu — powiedziała mu Lyn. — Tamci sprawdzają, czy ktoś jest w pobliżu. Myślę, że doktor ma rację, nie powinieneś się przemęczać.

Denison podszedł na skraj urwiska, myśląc o niepokoju w głosie McCready'ego, kiedy ten odkrył, że w wyniku napadu cała grupka została unieruchomiona.

— Chyba dam radę przejść przez rzekę — ocenił. — To powinno wystarczyć.

Armstrong kopał następną dziurę. Zasywał pierwszą i pozwolił Careyowi zasłonić ją trawą. Ten zrobił to najlepiej, jak umiał, lecz mimo to trawnik w tym miejscu był wybrzuszony i nierówny, a agent z wiadomych względów nie miał ochoty go udeptywać. Spojrzał w kierunku Armstronga, który zdawał się systematycznie niszczyć rabatę.

— Znalazłeś coś?

— Jeszcze nie.

Armstrong znów wbił szpadel w ziemię i nagle znieruchomiał.

— Czekaj! Chyba coś... — zanim zdążył dokończyć zdanie, Carey już stał u jego boku — ...tu jest.

— Niech sprawdzę.

Carey włożył rękę do dołu i namacał płaską powierzchnię. Pod jego dotknięciem oderwały się płatki jakiegoś materiału i kiedy wyjął rękę, palce miał ubrudzone na brązowo.

— Rdza! — stwierdził. — To jest to. Ostrożnie z tą łopata. Obejrzał się na dom i pomyślał, jakie to szczęście, że pani K. poszła na zakupy, zabierając syna ze sobą. Szczęście w nieszczęściu. Wcześniej przyszła do ogrodu, żeby rozwiesić całotygodniowe pranie, a potem gadała w nieskończoność o niegodziwościach urzędu planowania, wygórowanych cenach w sklepach i innych sprawach bliskich sercu każdej pani domu. Stracili mnóstwo czasu. Powiedział:

— Jeżeli skrzynka skorodowała, będziemy mogli wyrwać wieko i wyjąć papiery bez powiększania dziury.

— Zapomniałem otwieracza do puszek — rzekł Armstrong. — Jednak może uda się tym.

Przyłożył rękę do uda i z bocznej kieszeni kombinezonu, przeznaczonej do noszenia linijki, wyjął nóż w skórzanej pochwie.

— Kupiłem w Helsinkach, pomyślałem, że może się przydać.

Carey mruknął z aprobatą na widok finki. Wyjął nóż z pochwy, po czym obejrzał szerokie ostrze i prostą drewnianą rękojeść.

— Jankesi myślą, że to Jim Bowie wymyślił dobry nóż — westchnął. — Nigdy nie próbuj załatwić nim Fina; na pewno jest lepszym nożownikiem niż ty. Zapewne Rosjanin z tych stron również. Ta finka powinna wystarczyć.

Usunął ziemię z wierzchu skrzynki, aż widać było prawie stopę kwadratową metalu, a potem wbił w nią czubek noża. Metal był przerdzewiały i ostrze weszło jak w masło. Carey powiększył otwór i przeciął blachę, tworząc pas, który mógł uchwycić palcami. Złapał i szarpnął — zgrzytnęła rozdzielana blacha.

Po pięciu minutach zrobił w wieku otwór na tyle duży, że mógł włożyć weń rękę; w środku namacał twardy prostokątny przedmiot. Chwycił coś, co prawdopodobnie było książką, lecz gdy spróbował ją wyjąć, okazało się, że znalazł się w sytuacji małej ściskającej orzech w butelce. Książka była zbyt duża, aby mogła zmieścić się w otworze, więc puścił ją i zajął się powiększaniem wyrwy w wieku.

W końcu zdołał wyjąć książkę. To był notatnik akademicki w twardej oprawie i gdy Carey przekartkował go, zobaczył mnóstwo matematycznych symboli i długich równań.

— Trafiliśmy! — oświadczył z zadowoleniem.

Następnym uśmiechem losu był rulon papierów owinięty gumową taśmą. Guma trzasnęła pod dotknięciem, ale papiery, przez długi czas zwinięte, utrzymały swój kształt i Carey z trudem je rozprostował. Pierwsze strony były zapisane gęstym maczkiem po fińsku, a pierwsze równanie znajdowało się na czwartej stronie. Później równania pojawiały się coraz częściej, a ostatnie stronicie były całkowicie zapisane matematycznymi wzorami.

— Skąd będziemy wiedzieli, że mamy to, czego szukamy? — zapytał Armstrong.

— Nie będziemy, weźmiemy wszystko.

Carey znów wskoczył do dziury i sięgnął ręką. Po dziesięciu minutach wyjął wszystko ze skrzynki, która okazała się tylko na pół pełna, ale mimo to książki i papiery tworzyły spory stos.

Carey wyjął z kieszeni kilka zwiniętych papierowych toreb.

— Zasyp tę dziurę, ja zajmę się łupem.

Z niepokojem spojrzął na zegarek.

— Nie mamy wiele czasu.

Wypełnił trzy mocne papierowe worki dokumentami i zalepił je taśmą klejącą. Armstrong powiedział:

— Za mało ziemi, żeby zasypać dziurę. Wsypuje się do skrzynki.

— Zajmę się tym — rzekł Carey. — Skocz i przynieś te taczki. Wiesz, gdzie są schowane.

— W pustym domu na końcu ulicy. Mam nadzieję, że młody Virtanen umieścił je

we właściwym miejscu.

— Zaraz się przekonasz. Ruszaj się.

Carey zaczął zasypywać otwór i, tak jak mówił Armstrong, ziemi było za mało, więc wziął ją z innych miejsc klombu, starając się sypać ją jak najluźniej. Zabrało mu to dłuższą chwilę, ale kiedy skończył, Armstronga jeszcze nie było.

Wyjął papierowe torby leżące wśród kwiatów o wysokich łodygach i ukrył je w bezpieczniejszym miejscu, w kępie krzaków. Zegarek ostrzegał, że czas ucieka; powinni już wracać do fabryki i przemyścić papiery do autobusu. Wprawdzie wszystko zostało już umówione, ale potrzebny był na to czas, którego mieli coraz mniej.

Zniecierpliwiony podszedł do bramy frontowej i z ulgą zobaczył Armstronga wracającego z taczkami.

— Co cię zatrzymało?

— Ten dureń je schował! — rzucił wściekle Armstrong. — Co kazałeś mu zrobić?

— Wstawić je do środka, żeby nie było ich widać.

— Postawił te cholerne taczki w piwnicy — rzekł Armstrong. — Musiałem przeszukać cały dom, żeby je znaleźć.

— Nieporozumienie, ale najważniejsze, że są. Chodź.

Załadowali dokumenty na taczki i nakryli je brudnymi workami.

Armstrong położył na wierzchu łopatę oraz detektor i chwycił ręczki taczek. Już miał je pchnąć, gdy zatrzymał się.

— Ktoś nadchodzi.

Carey odwrócił się. Zza rogu domu wyszedł jakiś mężczyzna i szedł w kierunku ogrodu. Spoglądał na nich podejrzliwie.

— Co robicie w moim ogrodzie?

Carey wysunął się naprzód.

— Obywatel Kunajew?

— Tak.

Carey opowiedział swoją bajeczkę i dodał:

— Oczywiście, wasza żona o tym wie. Nie narobiliśmy wiele bałaganu.

— Kopaliście dziury? Gdzie?

Carey wskazał ręką.

— Tam, na trawniku.

Wolał nie zwracać uwagi tamtego na klomb. Kunajew podszedł i trącił trawę czubkiem buta.

— Muszę przyznać, że czysto pracujecie.

Mocno tupnął nogą w trawę i Armstrong skrzywił się, myśląc o leżącej pod nią bombie.

— Czy to oznacza, że będziecie wcześniej?

Carey zmarszczył brwi.

— Co będziemy?

— Rozbierać.

— Nic o tym nie wiem, towarzyszu. To nie moja działka. Mnie obchodzą tylko rury wodociągowe.

Kunajew spojrzał na dom.

— Lubilem tu mieszkać, to dobry dom. Teraz chcą go rozebrać i postawić tu jeszcze jedną cholerną fabrykę. Pytam was, czy to w porządku, towarzyszu? Uważacie, że to w porządku?

Carey wzruszył ramionami.

— Postęp czasem wymaga ofiar.

— I to ja jestem tą ofiarą — prychnął Kunajew. — Przenoszą mnie do nowego budynku na drugim końcu miasta. Tandetny, zwariowany nowy dom. Nie taki jak ten, towarzyszu; ci Finowie wiedzieli, jak budować domy.

— Chcecie powiedzieć, że radzieccy robotnicy nie wiedzą? — spytał gładko Carey.

— Tego nie powiedziałem — zachnął się Kunajew.

Podszedł do tacek i podniósł detektor. — To wasza różdżka?

Carey zacisnął wargi.

— Tak.

— Podobna do wykrywacza min, jakiego używałem w czasie wojny. Byłem w Stalingradzie, towarzyszu. Miałem wtedy czternaście lat.

Nadal trzymając detektor pomaszerował w kierunku płotu odgradzającego jego ogród od sąsiedniego.

— Borysie Iwanowiczu, jesteście tam?

— Rany boskie! — szepnął Armstrong. — Co robimy?

Odezwała się jakaś kobieta.

— Właśnie wychodzi na służbę.

— Dzień dobry, Irino Aleksandrowna, poproście go, żeby tu zajrzał. Chcę mu coś pokazać.

— Wynośmy się stąd — nalegał Armstrong.

— Nie możemy odejść bez detektora — wycedził przez zęby Carey. — To wzbudziłoby podejrzenia.

Kunajew wrócił od płotu. Założył słuchawki.

— Wygląda na to, że działa tak samo jak wykrywacz min. Oczywiście, nie jest taki wielki i ciężki, jednak w dzisiejszych czasach elektronika zrobiła spory postęp.

— Działa na innej zasadzie — rzekł Carey. — Skończyliśmy już tutaj, obywatelu Kunajew, musimy wracać do pracy.

— Nie ma pośpiechu, towarzyszu — rzucił niedbale Kunajew. Podszedł do prostokąta powtórnie położonej murawy. — Mówicie, że tu znaleźliście swoją rurę wodociągową?

— Połączenie rur — sprostował Carey, zaciskając zęby.

Kunajew włączył detektor i kilkakrotnie przeszedł z nim tam i z powrotem.

— Działa — stwierdził. — Mógłbym znaleźć to łącze z zamkniętymi oczami, zobaczcie.

Zamknął oczy i znów kilka razy ruszył do przodu i do tyłu.

— No i jak?

— Dokładnie tu — potwierdził Armstrong.

Kunajew otworzył oczy i spojrzał na coś za ich plecami.

— Ach, Borysie Iwanowiczu — powiedział. — To was zainteresuje.

Carey odwrócił się i poczuł gwałtowną pustkę w żołądku. Borys Iwanowicz był milicjantem.

Głównym przedmiotem badań tu, w Sompio, jest ekologia oczyszczalni — wyjaśnił dr Matti Mannermaa. — W północnej Finlandii mamy wiele bagien powstałych w wyniku wysychania płytkich jezior. Sompio zostało wybrane na rezerwat przyrody, ponieważ jest tu nie tylko takie bagno, ale też wzgórze o wysokości ponad pięciuset metrów i kawałek jeziora Lokka. Tak więc mamy tu zróżnicowane siedliska dla wielu stworzeń, szczególnie ptaków.

— To bardzo ciekawe — stwierdził McCready mając nadzieję, że jego twarz wyraża zainteresowanie. Był śmiertelnie znudzony.

— Oczywiście, jestem ornitologiem — kontynuował dr Mannermaa. — Moja praca tu jest podobna do tej, jaką prowadzi się w waszej angielskiej stacji badawczej w Slimbridge.

— Byłem tam — rzekł z nagłym entuzjazmem Harding.

— Ja też — powiedział dr Mannermaa. — Spędziłem tam wiele miesięcy, poznając wasze metody pracy. Przejęliśmy od was stosowanie raketowej siatki. Obrączkujemy wiele ptaków w celu poznania szlaków ich wędrówek.

McCready wskazał na stojak z dubeltówkami pod ścianą biura Mannermaa.

— Widzę, że i polujecie na nie.

— Musimy — odparł Mannermaa. — Prowadzimy stale badania nad zawartością pestycydów w ptasim tłuszczu. Rozbijamy też wiele jajek, panie McCready, aby zbadać grubość skorupki. Oczywiście, zmniejszanie się grubości skorupki jajek jest głównie problemem w przypadku ptaków drapieżnych.

Roześmiał się.

— Nie jestem sentymentalny, lubię pieczoną kaczkę tak samo jak każdy.

— Ja jestem zamięłowanym myśliwym — oświadczył Harding. — W Norfolk często strzelam do ptactwa.

— Mam nadzieję, że nie zabrał pan dubeltówki do Sompio — Mannermaa mrugnął żartobliwie, co przeczyło powadze jego głosu. — No, dobrze, spójrzmy na mapę i zobaczmy, co powinniście zrobić.

Wstał i podszedł do ściennej mapy. Przez kilka minut omawiali trasy i warianty.

— Tutaj jest chata — pokazał Mannermaa. — Na skraju bagna, tuż pod Nattaset, to ta góra. W baraku są prycze i naczynia kuchenne... Prymitywne schronienie, ale lepsze niż namiot.

– To bardzo uprzejmie z pańskiej strony – rzekł McCready. – Bardzo dziękujemy.
– Mamy tam sporo zmagazynowanego sprzętu. Proszę starać się go nie uszkodzić.
– Niczego nie będziemy dotykać – obiecał McCready. – Dziękuję za wszystko, doktorze Mannermaa.

Gdy podawali sobie ręce na pożegnanie, Mannermaa powiedział:

– Mam nadzieję, że pańskim towarzyszom uda się zrobić zakupy. Vuotso to małe miasteczko i wybór może być ograniczony.

– Potrzebujemy tylko podstawowych rzeczy.

– Jeżeli skończą się wam zapasy, znajdziecie w chacie trochę konserw. Możecie zapłacić za nie po powrocie – zaproponował Mannermaa.

McCready z Hardingiem opuścili biuro i wyszli na główną ulicę Vuotso.

– Miły gość, czyż nie? – osądził Harding. – Listy polecające od Careya musiały być naprawdę bardzo dobre.

– Jednak nie możemy brać dubeltówek do Sompio – zmartwił się McCready. – A chciałbym zabrać tam karabin maszynowy.

– Myśli pan, że pojedą tam za nami?

– To pewne. Zostawiliśmy ślad jak jakiś cholerny walec drogowy. Plan Careya działa, i to dobrze ze względu na niego, ale mam wrażenie, że to my będziemy wyciągać kasztany z ognia.

McCready był zły.

– Dobrze mu wystawiać nas na cel, ale kto lubi, jak do niego strzelają? Tę część jego planu, zgodnie z którą miałem was pilnować z zewnątrz, już diabli wzięli. Muszę kiedyś spać. To zbyt poważne zadanie dla jednego człowieka.

– A więc tym razem jedzie pan z nami?

McCready skinął głową. Zmarszczył czoło w zadumie, rozważając wszystkie ewentualności.

– Jeszcze jedno: jak Denison zniesie podróż?

– Jest niezwykle wytrzymały – odparł Harding. – To uderzenie w głowę wiele zmieniło i w znacznym stopniu odblokowało mu pamięć. W miarę upływu czasu przypomina sobie coraz więcej, jednak wygląda na to, że potrafi się z tym uporać.

– Co się stanie, kiedy całkiem odzyska pamięć? Czy załamie się i wróci do butelki?
– zapytał zgryźliwie McCready.

– Nie wiem. Zeszłej nocy zaproponowałem mu whisky. Wydaje się, że ma do niej awersję.

— Mam nadzieję, że to mu zostanie — mruknął McCready.

W istocie Denison czuł się dość dobrze. Kiedy maszerowali w głąb parku narodowego Sompio, próbował zrozumieć powody swojego dobrego samopoczucia i doszedł do wniosku, że jest ono wywołane brakiem przerażenia przy próbach sięgnięcia myślą w przeszłość. A ponadto, oczywiście, otoczenie również miało swój wpływ. Przystanął, głęboko odetchnął czystym chłodnym powietrzem i rozejrzał się wokół.

Obchodzili górę zwaną Nattaset, trzymając się terenu położonego wyżej. W dole rozciągał się krajobraz północnego pustkowiec, zapierający dech w piersiach swym pięknem. Na stałym gruncie rosły wszechobecne brzozy, a między mnóstwem wysepek jaśniała koronkowa płatanina kanałów, odbijających błękit nieba. W oddali lśniło srebrzyście usiane wyspami jezioro. Dookoła zalegały resztki ostatniego zimowego śniegu.

Denison odwrócił się i zobaczył McCready'ego wlokącego się pół mili za nim. Wyglądało na to, że i on przystanął. Denison widział, że agent ogląda teren przez lornetkę — bynajmniej nie dla pięknego widoku. Ten krajobraz nie wywoływał zachwyty McCready'ego. Zbyt wiele było tu miejsc, w których człowiek — a nawet cały regiment — mógł się skutecznie ukryć.

Denison poprawił plecak na ramionach i ruszył dalej, przyspieszając kroku, żeby dogonić pozostałych. Zrównał się z Lyn i powiedział:

— Mieliliśmy szczęście, że nikt nie zaatakował nas, kiedy opuszczaliśmy Kevo. Byłem tak otumaniony, że nie byłoby ze mnie wielkiego pożytku.

Lyn spojrzała na niego z niepokojem.

— A jak teraz się czujesz?

— Świetnie — odparł beztrosko. — Kiedy mogę już sobie coś przypomnieć, czuję się o wiele lepiej. Dziś rano na przykład przypominałem sobie nazwisko człowieka mieszkającego nade mną: Paterson... miły facet.

— I pamiętasz, że byłeś reżyserem filmowym?

— Tak — zaśmiał się. — Tylko nie wyobrażaj sobie, że byłem jakąś grubą rybą w przemyśle filmowym. Moich kawałków nie pokazywano na West Endzie. Przeważnie kręcę filmy popularnonaukowe.

Zmarszczył brwi.

— A raczej kręciłem. Wylano mnie z pracy.

— Nie przejmuj się tym, Giles.

— Nie przejmuję się. W tej chwili mam poważniejsze zmartwienia. Mimo wszystko — westchnął, wracając myślą w przeszłość — wydaje się, że wcale nie byłem miłym facetem.

— Zapomnij o tym! — ucięła szybko i gwałtownie.

Spojrzał na jej profil.

— Martwisz się o mnie, prawda?

W jego głosie było lekkie zdziwienie; od tak dawna nikt nie przejmował się tym, co się z nim stanie. Jedyne, co interesowało Fortescue'a, to czy robota zostanie wykonana — Denison wcale go nie obchodził.

— A czego się spodziewałeś? Że będę klaskać, kiedy zdzielią cię po głowie?

Przeszła jeszcze kilka kroków.

— Nie powinieneś się zgodzić na ten zwariowany plan.

— Carey mnie namówił, on ma dużą siłę perswazji. Jednak ty zgłosiłaś się sama.

Nikt cię nie namawiał. Dlaczego tu przyjechałaś?

Obdarzyła go nikłym uśmiechem.

— Wiesz co, przypominasz Hamleta; pozwalasz innym, aby tobą kierowali.

Roześmiał się.

— Ach, dobra Ofelio.

— Nie porównuj mnie z tą przeklętą malowaną lalą — warknęła. — Nie mam zamiaru zwariować i chodzić w białej szacie. Jednak nadal sadzę, że gdyby Hamlet miał kogoś, kto udzieliłby mu rady, dodałby mu otuchy, sprawy potoczyłyby się inaczej. Ale on miał tylko tego mięczaka, Horacego.

Poczuł nagle przygnębienie.

— Czy chcesz mi dodać otuchy?

— Mówię tylko, że nie możesz liczyć na tę bandę zbójów na usługach Whitehallu.

Nie wierz we wszystko, co mówi ci Carey. To on siedzi w tym interesie, nie ty.

Wydawało się, że jest zła.

Milczał chwilę.

— Możesz mieć rację — przyznał w końcu. — Nie mam żadnych złudzeń. Wiem, że wciągnięto mnie w tę historię bez mojej zgody, ale uczestniczę w niej dobrowolnie i świadomie. Wiem, że mnie wykorzystują, i niezbyt mi się to podoba. Kiedy Carey mi to zaproponował, byłem zmieszany, łagodnie mówiąc, i wydaje mi się, że skorzystał z sytuacji. Nie winie go za to... miał tylko mnie.

— Jednak polepszyło ci się — powiedziała Lyn. — Niedługo będziesz mógł sam podjąć decyzję.

— Zobaczymy — odparł. — Zobaczymy. Poprawił plecak.

— Kiedy dojdziemy do tej chaty?

Szli jeszcze po zapadnięciu nocy, ponieważ Diana chciała dotrzeć do stacji.

— Nie ma sensu zostawać na otwartej przestrzeni, jeśli możemy mieć dach nad głową — oświadczyła.

Wędrówka nocą nie nastroczała problemów; niebo nadal pozostało jasne i o północy mogli poruszać się równie szybko jak w dzień. O drugiej nad ranem zobaczyli chatę.

Była zbudowana z bali i większa, niż się spodziewali. Miała kształt litery „H” — skrzydła dobudowano w miarę potrzeby. Pomieszczenia mieszkalne znajdowały się w środkowej części. Z ulgą zdjęli ciężkie plecaki. Obie kobiety zaczęły przygotowywać posiłek i wysłały mężczyznę po wodę.

Harding i Denison wzięli wiadra i wyszli na zewnątrz. Lekarz zatrzymał się przed chatą i spojrzał na moczary. Jak okiem sięgnąć nie było widać nic prócz wody i trzciny.

— Dobry teren do polowania na kaczki — stwierdził z zachwytem.

Denison klepnął się w kark.

— Dobry teren dla komarów — mruknął.

— Niech pan się nie martwi, te nie roznoszą malarii.

— Chce pan powiedzieć, że zostanę żywcem pożarty? — Denison ponownie uderzył się otwartą dłonią. — Chodźmy po wodę.

Podeszli do brzegu wody i Harding przyjrzał się jej krytycznie.

— Wygląda dobrze, ale lepiej będzie ją przegotować. Napełnili wiadra i Harding wyprostował się.

— Ciekawe, co to takiego?

Denison powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem i sto jardów dalej, tuż nad wodą, zobaczył niską drewnianą chatynkę.

— Pewnie sauna. Finowie lubią stawiać je na brzegach, tak żeby mogli wyskakiwać prosto do wody. Nie zaciągnie mnie pan tam.

— Nie jest wystarczająco wysoka na saunę — rzekł Harding. — Dach znajduje się zbyt nisko. Chyba pójde sprawdzic.

— Dziewczyny będą się awanturować o wodę.

— To zajmie tylko chwilę.

Harding poszedł brzegiem, a Denison wzruszył ramionami. Wziął pełne wiadro i zaniósł je do baraku. Ponieważ powiedziano mu, że to nie wystarczy, wrócił po drugie wiadro.

— Niech pan patrzy, co znalazłem, Denison! — zawołał Harding.

Denison poszedł w kierunku chatynki, przyznając Hardingowi rację; strop był tak niski, że w środku ledwie można by usiąść, nie mówiąc już o staniu. Obszedł ją i znalazł psychiatrę siedzącego w kucki.

— Co to jest?

— To łódka strzelecka — wyjaśnił Harding. — Nie widziałem takiej od lat.

Z miejsca, gdzie stał, Denison zobaczył, że chata składała się wyłącznie z dachu i tworzyła wiatę dla szerokiej, płaskodennej łódki wyglądającej jak wielki eskimoski kajak.

— I co?

Harding zatrząsł się ze śmiechu.

— Mannermaa przestrzegał, żebyśmy nie brali dubeltówki, a trzyma tu tę łódź. Stary diabeł!

Denison pochylił się niżej.

— Nie wiem, co w tym śmiesznego.

— A skąd mógłby pan wiedzieć. Zakładam, że strzelba jest w chacie. Zobaczę, czy uda mi się ją znaleźć.

Harding wskazał na dziób łodzi.

— Niech pan patrzy, tam mocuje się lufę.

Denison spojrział na dwa zaczepy — ten widok nic mu nie mówił.

— Nie wyraża się pan zbyt jasno.

— Tak sędzę. Te rzeczy wyszły już z mody. Tam, u nas, wciąż są czasem używane na wschodnim wybrzeżu, ale nie spodziewałem się, że zobaczę jedną z nich w Finlandii. Zrozumie pan, kiedy pokażę panu strzelbę, jeżeli ją znajdę.

Harding wstał.

— Wracajmy.

Poszli do baraku, zabierając drugie wiadro. Po drodze spotkali McCready'ego, który dopiero przyszedł. Wyglądał na zmęczonego i przygnębionego.

— Ani żywej duszy — oświadczył. — Jednak to mnie nie dziwi.

Wskazał na bagno.

— Mówicie, że jak tu głęboko?

— Niezbyt głęboko — odparł Harding. — Przynajmniej na skraju. Dwie, może trzy stopy.

McCready pokiwał głową.

— W tych trzcinach można by ukryć całą cholerną armię — rzekł ponuro. — Co na kolację?

Denison uśmiechnął się lekko.

— Postawię dziesięć do jednego, że gulasz wołowy.

— To wcale nie jest śmieszne — odburknął McCready i wszedł do chaty.

Po posiłku McCready poczuł się lepiej. Przynajmniej raz nie był to gulasz wołowy i napełniony żołądek, McCready zrobił się senny. Zerknął na prycze w kącie pokoju, gdzie Lyn i Diana już spały, zawinięte w swoje śpiwory.

— No, jesteśmy tu odsłonięci jak tarcza na strzelnicy. Chyba ktoś powinien stanąć na straży.

— Prześpij się trochę — powiedział Denison. — Rzucimy monetę z Hardingiem, który z nas weźmie pierwszą wartę.

— A gdzie on jest?

— Szuka tu jakiejś broni.

McCready ożywił się.

— Broni?

— To ma coś wspólnego z łodzią, którą tu znalazł. Wiesz, on poluje na kaczki. Nie mogłem go zrozumieć.

— Ach, jakaś broń sportowa. — McCready stracił zainteresowanie sprawą. Sięgnął po kubek, dolał sobie kawy i wyjął piersiówkę. Dolał do kawy whisky i zaproponował to samo Denisonowi. — Chcesz trochę?

— Nie, dzięki.

— Przestała ci smakować?

— Tak wygląda.

McCready schował piersiówkę i zaczął sączyć swoją kawę.

— Możecie trzymać straż w chacie — rzekł. — Co pół godziny róbcie obchód i miejcie oko na wzgórze. To nie ma wprawdzie znaczenia, ale miło będzie wiedzieć, kiedy ktoś nadejdzie.

— Przyjdą tu?

— Jeśli nie dziś, to na pewno jutro. Dostaną, czego szukają, to może odejdą. Może. Wzruszył ramionami.

— Nie mam zamiaru dać się zabić dla świstka papieru, który nie ma najmniejszego znaczenia. Ponadto, musimy myśleć o niej — ruchem głowy wskazał pryczę, na której spała Lyn.

— Miło z twojej strony, że tak się przejmujesz.

— Nie bądź tak cholernie zjadliwy — powiedział McCready bez urazy. — Nie namawialiśmy jej, żeby tu jechała, sama się wprosiła.

Przeciągnął się.

— Idę spać.

Denison wziął lornetkę.

— Rozejrzę się trochę.

Wyszedł przed barak i zlustrował teren, oglądając zbocze przez lornetkę, szczególnie drogę, którą przyszli. Niczego nie zauważył. Następnie zwrócił uwagę na moczary. W oddali, na otwartych wodach, dostrzegł czarne punkciki, które po dokładnym sprawdzeniu okazały się stadem ptaków. Nieruchomo unosiły się na wodzie — widocznie spały. Były zbyt duże na kaczki — zapewne gęsi. Może Harding zdołałby je rozpoznać. To i tak nie miało żadnego znaczenia.

Po chwili wrócił do chaty, starając się poruszać jak najciszej, żeby nikogo nie zbudzić. Harding właśnie skończył poszukiwania; przywołał gestem Denisona i szepnął:

— Znalazłem, patrz!

Otworzył rękę, ukazując tuzin małych mosiężnych łusek podobnych do gilz naboju kalibru 22.

— Co to?

— Spłonki — odparł Harding. — Jednak nie mogę znaleźć prochu. Chodź i zobacz strzelbę.

— Dobrze — zgodził się Denison.

Przynajmniej zajmie się czymś do chwili, gdy znów będzie musiał wyjść na zewnątrz.

Poszedł za lekarzem do bocznego pomieszczenia służącego za magazyn. Na ścianie wisiała starannie zwinięta siatka, a wokół stało mnóstwo skrzyń, które zostały odsunięte od ściany, zapewne przez Hardinga.

— Znalazłem ją za nimi — wyjaśnił Harding. — Była nie tyle ukryta, ile schowana

przed niepowołanymi. Kiedy odkryłem czajkę, wiedziałem, że gdzieś tu musi być.

Denison nie miał zielonego pojęcia, o czym tamten mówi, ale posłusznie zrobił krok naprzód i zajrzał za skrzynki. Z początku nie zdawał sobie sprawy z tego, na co patrzy; Harding mówił o strzelbie, i to właśnie Denison spodziewał się ujrzeć — dubeltówkę do polowania na kaczki. Zobaczył coś zupełnie nieoczekiwanego. Istotnie, to była strzelba, co po chwili zrozumiał, ale wprost monstrualnych rozmiarów.

— Do diabła! Co to?

Harding zachichotał.

— Wiedziałem, że będziesz zdziwiony.

— „Zdziwiony” to nieodpowiednie słowo. Raczej zupełnie zbity z tropu. Ile to ma długości?

— Trochę ponad dziewięć stóp, razem z kolbą. Lufa ma około siedmiu stóp.

Denison przyglądał się ogromnej strzelbie. Po chwili schylił się, żeby zerknąć w głąb lufy. Zmierzył otwór kciukiem i stwierdził, że ma ponad półtora cala średnicy. Wziął rurę w garść i podniósł.

— Cholernie ciężka. Jak, do licha, można z tego strzelać? Tego nie można przyłożyć do ramienia.

— Pewnie, że nie — przytaknął Harding. — Oceniam, że waży ponad sto dwadzieścia funtów. Wyrzuca ładunek o wadze prawie pół kilograma.

— No to jak się z tego strzela?

— To strzelba do łódki — powiedział Harding. — Ustawia się ją na dziobie. Widzisz, gdzie mocuje się uchwyty, wkłada się je w zamocowane na łódce obejmy, które amortyzują odrzut. Kolba służy tylko do celowania; gdybyś przyłożył ją do ramienia, wystrzał złamałby ci obojczyk.

Denison podrapał się po szczęce.

— Potężna armata. W życiu nie słyszałem o czymś takim.

— Wymyślono ją w dziewiętnastym wieku — rzekł psychiatra. — Pomysł polega na tym, by leżeć płasko w łódce i wiosłować pagajami przypominającymi rakiетки do ping-ponga. To zupełnie łatwe, ponieważ gdy łódka jest w pełni obciążona, wystaje zaledwie cztery cale nad wodę. Płynąc między trzciniami, podchodzisz ptaki i celujesz wymierzając w ich kierunku dziób łodzi. Kiedy znajdą się w zasięgu strzału, dajesz ognia i, jeśli Bóg da, masz ich cały tuzin.

— To niezbyt sportowo — zauważył Denison.

— Och, to nie jest takie łatwe, jak myślisz. Ptaki trudno podejść; mają większe

szansę, by uciec niż ty, by je upolować.

— Jakimi nabojami strzela się z tej broni?

— Żadnymi — wyszczerzył zęby Harding. — Spróbuj kiedyś pójść do sklepu z bronią i poprosić o półtoracalowe naboje... Sprzedawca pomyśli, że zwariowałeś. Musisz sam je zrobić. Używasz zwykłego czarnego prochu; dobrze go ubijasz, a na wierzch sypiesz śrut i przybitkę. Wkładasz spłonkę w ten stożek — teraz tego nie zrobię, bo nawet bez ładunku w lufie byłby okropny huk — i pociągasz za spust. Młoteczek uderza w spłonkę, spłonka eksploduje, płomień wpada w otwór pośrodku stożka i zapala główny ładunek. Bach!

— I łódkę odrzuca kilka jardów do tyłu.

— Widzę, że załapałeś — ucieszył się Harding. — Spłonka to nowy wynalazek. Początkowo używano krzesiwa i stali, co było bardzo zawodne, ale przy spłonkach niewypał nie zdarza się nawet raz na sto strzałów.

— Ciekawa rzecz — rzekł Denison.

— Jednak bez prochu na nic. — Harding poklepał ciężką kolbę. — Chciałbym ją wypróbować. Podobnie jak Mannermaa, nie mam nic przeciwko pieczonej kaczce.

— A masz coś przeciw spaniu?

Denison sprawdził godzinę.

— Zbudzę cię za dwie godziny, żebyś objął drugą wartę. Lepiej zdrzemnij się trochę.

Denison obudził się, ponieważ ktoś nim potrząsał. Wydał jęk protestu i otworzywszy oczy zobaczył, że pochyła się nad nim Diana.

— Zbudź się, mamy gościa.

Usiadł i przetrął oczy.

— Kto to?

— Chodź i zobacz.

McCready stał przy oknie, patrząc przez lornetkę. Kiedy podszedł Denison, powiedział:

— To jeden z tych, którzy byli w Kevo. Nie Jankes, z tej drugiej bandy.

Denison zobaczył mężczyznę idącego brzegiem moczarów w kierunku chaty. Znajdował się w odległości około czterystu jardów od baraku.

— Sam?

— Nie widzę nikogo innego — odparł McCready. — Muszę przyznać, że ten facet ma tupet.

— Może nie wie, że tu jesteśmy.

— Byłby cholernym głupcem... A do takiej roboty nie wysyła się głupców. Diana, weź broń i stań za drzwiami.

Mężczyzna spokojnie zbliżał się do chaty. Gdyby nie plecak, wyglądałby jak wczasowicz na plaży. Nim minęło dziesięć minut, znalazł się w zasięgu głosu i podniósł ręce, pokazując puste dłonie. Trzymając je w górze podszedł, zatrzymał się dziesięć jardów przed drzwiami i czekał.

— Wie, że tu jesteśmy. — McCready wyjął z plecaka pistolet i wprowadził nabój do komory. Trzymając broń za plecami, podszedł do drzwi. — Jeśli tu wejdziesz, będziesz za jego plecami — powiedział do Diany i otworzył drzwi.

Mężczyzna nadal trzymał ręce w górze. McCready zapytał:

— Czego pan chce?

— Chcę mówić z doktorem Haroldem Meyrickiem.

Mówił po angielsku dość poprawnie, lecz z obcym akcentem. Denison usiłował rozpoznać ten akcent, ale nie zdołał.

— A jeśli doktor Meyrick nie chce z panem mówić?

— Czemu nie pozwoli pan, żeby sam zdecydował? — odparował tamten.

— Kogo mam zapowiedzieć? — zapytał uprzejmie McCready.

— Powiedzmy, że... Herr Schmidta?

McCready nie miał kłopotu z rozpoznaniem akcentu.

— Wolałbym pana Schmidta, a i to niezbyt mi się podoba. Schmidt to nie jest czeskie nazwisko.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Wielu ludzi w Czechosłowacji nosi niemieckie nazwiska.

A kiedy McCready nie odpowiedział, dodał:

— Zaczynają mnie boleć ręce.

— Sam pan je podniósł, sam pan je opuścił, ale jeszcze nie teraz. — McCready podjął decyzję. — W porządku, Mr Smith, proszę do mojego salonu.

Szeroko otworzył drzwi i cofnął się. Tamten uśmiechnął się i wszedł do środka, trzymając ręce nad głową.

Stał jak wryty cztery stopy dalej, gdy McCready wycelował w niego z pistoletu. Diana zamknęła drzwi.

— Obszukaj go! — polecił McCready.

Schmidt obrócił głowę i uśmiechnął się szerzej, widząc pistolet w dłoni Diany.

— Tyle broni — rzekł. — Ja, oczywiście, nie jestem uzbrojony.

— Nie uważam tego za oczywiste — stwierdził McCready, gdy Diana rewidowała przybysza. Kiedy skończyła i nic nie znalazła, McCready niedbale machnął pistoletem. — Teraz proszę zdjąć plecak... powoli.

Schmidt zdjął z ramion plecak i opuścił go na podłogę.

— Tak lepiej — z ulgą rozprostował ramiona. — Wy, ludzie, zbyt szybko chwytnacie za broń. Dlatego przyszedłem z podniesionymi rękami... nie chciałem, żeby ktoś mnie przypadkowo postrzelił. Dlaczego strzelaliście do mnie w Kevo?

— To nie my — zapewnił McCready. — Wpadliście na kogoś innego.

— Myśli pan, że w to uwierzę?

— Nic mnie nie obchodzi, czy pan wierzy czy nie, zaczęliście wojnę ze Stanami Zjednoczonymi. Przyglądałem się temu: was trzech przeciw czterem Jankesom. Jeden z pańskich ludzi miał złamaną rękę, a któryś Amerykanin dostał kulę w nogę. Ja siedziałem w łoży po drugiej stronie rzeki.

— A więc to tak? — zdumiał się Schmidt. — Amerykanie też.

Uśmiechnął się miło do Denisona, a potem znów odwrócił się do McCready'ego.

— To, co ma doktor Meyrick, musi być bardzo ważne.

— A co to pana obchodzi?

— Przyszedłem to zabrać — odparł spokojnie Schmidt.

— Tak po prostu?

— Tak po prostu, panie McCready — uśmiechnął się gość. — Widzi pan, znam pańskie nazwisko. Prawdę mówiąc, znam nazwiska wszystkich tu obecnych. Pani Hansen, doktor Harding, doktor Meyrick i, oczywiście, panna Meyrick. To nie było takie trudne.

— Niewątpliwie — przyznał McCready. — Tylko dlaczego uważa pan, że doktor Meyrick odda panu to coś?

Schmidt spojrział Denisonowi w oczy.

— Myślę, że on ceni bezpieczeństwo własnej córki. To nierozważnie udawać się na poszukiwania, zabierając ze sobą taki skarb, doktorze Meyrick.

Denison zerknął na Lyn, a potem odchrząknął.

— Ale my mamy pana, Mr Schmidt, jeśli tak się pan nazywa.

Schmidt uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Widzę, że nie jest pan taktykiem, doktorze. Widzi pan, ja wcale nie jestem skarbem. Zapewniam, że pan McCready dobrze to rozumie.

— A więc otoczyliście nas, tak? — spytał McCready.

— Oczywiście. Tym razem jest nas więcej niż trzech.

Schmidt spojrział na zegarek.

— Mamy dwadzieścia pięć, nie, dwadzieścia cztery minuty.

— Może blefować. Nikogo nie widziałem — odezwał się od okna Harding.

— Łatwo na to odpowiedzieć — rzekł Schmidt. — Sprawdźcie sami. Jestem gotów zaczekać, jeśli pozwolicie mi usiąść.

Bardzo wolno zrobił krok w bok i przysunął sobie nogą krzesło, nie odrywając oczu od pistoletu McCready'ego.

— W porządku. — McCready oparł się o stół. — Niech mi pan powie, co takiego ma doktor Meyrick, co może interesować Czechów.

Schmidt skrzywił się boleśnie.

— Niech pan nie będzie głupi, McCready.

Wskazał kciukiem na Denisona.

— On za dużo gadał w Sztokholmie. Odkrył, co było w papierach ojca i gdzie one są. Powiedział o tym paru szwedzkim znajomym. Powinien pan wiedzieć, że naukowcy nie umieją dochować tajemnicy. Jednak potem zdał sobie sprawę z tego, o czym mówi, więc zamknął się i wrócił do Anglii.

Zamilkł. Twarz McCready'ego nie wyrażała żadnych uczuć.

— Dalej.

— Po co? — spytał Schmidt. — Zna pan odpowiedzi. Było już za późno, sekret się wydał. Nie ma niczego szybszego od wieści o przełomowym odkryciu. Naukowcy lubią wierzyć w coś, co nazywają wspólnotą myśli, tak więc wiadomość rozeszła się po Szwecji, Niemczech i dotarła do Czechosłowacji.

— I do Stanów Zjednoczonych — zauważył McCready.

Schmidt zgarbił się.

— Wszyscy znają reputację starego Merikkena i jego historię. Można przypuszczać, że schował swoje papiery w jakimś bezpiecznym miejscu. Wasze zachowanie nasuwa nam podejrzenie, iż zakopał je albo kazał zakopać, gdzieś w północnej Finlandii. Stąd to polowanie na skarb, jak już powiedziałem, a wy macie mapę z zaznaczonym krzyżykiem. Mapę lub jej odpowiednik.

Wyprostował się.

— Chcę ją dostać.

McCready obrzucił Denisona niechętnym spojrzeniem.

— Widzisz, jakie są skutki mielenia ozorem.

Oddadzą mapę — zgodnie z planem — jednak nie mogą poddać się zbyt łatwo, ponieważ wzbudziłoby podejrzenia.

— Zdecydujemy demokratycznie — oświadczył. — Będziemy głosować. Harding?

— Myślę, że on blefuje — rzekł obojętnie lekarz. — Sądzę, że tam nikogo nie ma. Powiedz mu, żeby poszedł do diabła.

Schmidt uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. McCready spojrział na Denisona.

— A co z tobą, Meyrick? Lepiej od innych wiesz, jakie to ważne.

— Nie chodzi tylko o mnie — odparł Denison. — Dajcie mu to, czego chce.

— Bardzo mądrze — wtrącił Schmidt.

— Zamknij się — rzucił beznamiętnie McCready. — Diana?

— Jestem przeciw.

McCready odwrócił się. Teraz Schmidt nie widział jego twarzy, więc mrugnął znacząco do Lyn.

— A co ty powiesz?

— Zgadzam się z moim ojcem.

McCready zwrócił się do Schmidta:

— Wygląda na to, że mam decydujący głos, twój się nie liczy.

- Będzie się liczył — Schmidt ruchem głowy pokazał na okno. — Moje głosy są tam.
- Sądzę, że będzie pan to musiał udowodnić. — McCready nie dał zbić się z tropu.
- Może pan blefuje, a może nie, ale mimo wszystko zamierzam pana sprawdzić.
- Ta gra jest bardziej niebezpieczna od pokera.

McCready uśmiechnął się.

— Kiedy pan tu wszedł, powiedział pan, że nie chce zostać przypadkowo postrzelony, tak więc domyślam się, że pańskie głosy na zewnątrz nie będą zbyt gwałtownie oznajmiać swojej obecności. Tak się składa, że pan również jest w środku.

— To tylko pańskie domysły — rzekł Schmidt.

— A pańskie życie. — McCready wycelował w niego broń. — Jeśli choć jedna kula wpadnie do chaty, umrze pan. Jeżeli ja pana nie zabiję, zrobi to Diana. A w razie czego, jest jeszcze doktor Harding.

Schmidt obejrzał się na Dianę, również trzymającą go na muszce. Zerknął na Hardinga, który też miał broń. Czech włożył rękę do kieszeni anoraka.

— Mogę zapalić?

McCready milczał. Schmidt wzruszył ramionami i zapalił papierosa. Wydmuchnął równe kółko dymu. W chacie zaległa pełna napięcia cisza, która trwała i trwała, bez końca.

Armstrong spoconymi dłońmi ścisnął ręczki tacek i pchał je po chodniku z szybkością zdecydowanie niebezpieczną dla chodzących ulicami mieszkańców Enso. Idący obok Carey dobrze wyciągał nogi, »żeby dotrzymać mu kroku, co rusz przechodząc w lekki trucht. Armstrong przystanął na rogu ulicy czekając, aż przejadą samochody.

— Przeklęty Borys Iwanowicz! — irytował się Carey. — Niech nas Bóg broni przed gadatliwymi gliniarzami. Mam nadzieję, że ochrzanią go za to, iż spóźnił się na służbę.

— To już niedaleko — uspokajał Armstrong. — Następną przecznica. Widać już papiernię.

Carey wyciągnął szyję i nagle jęknął.

— I widzę też ten cholerny autobus, właśnie odjeżdża.

— Jedzie w tę stronę? Może uda nam się go zatrzymać.

— Nie, do diabła! Odjeżdża w przeciwnym kierunku. — Carey spojrzął na zegarek.

— Dokładnie o czasie. Huovinen to tchórz, mógł go jakoś zatrzymać.

Dostrzegli przerwę w ruchu i Armstrong zjechał taczka na jezdnię.

— I co teraz? — zapytał, gdy przeszli na drugą stronę.

— Nie wiem — odparł Carey z ciężkim westchnieniem. — Znajdźmy jakieś miejsce, gdzie nie będziemy się zanadto rzucać w oczy.

— Papiernia jest równie dobrym miejscem jak każde.

— Nie, tam będzie stróż. Chodźmy za następny róg i zobaczymy, co znajdziemy.

Mieli szczęście. Po jednej stronie ulicy był wykopany rów.

— Tego nam trzeba — stwierdził Carey. — Zostaniemy tutaj.

Armstrong stanął i postawił taczki.

— Dlaczego tutaj?

Carey westchnął i pociągnął go za kurtkę.

— Nie bądź tępy. Ten strój i odsłonięte rury pasują do siebie. Nie zwrócimy niczyjej uwagi.

Armstrong rozejrzał się wokół.

— Dobrze, że ci tutaj olali dzisiaj pracę.

— Tak — rzekł Carey. — Wskocz do rowu, a będziesz wyglądał naturalnie.

Armstrong zsunął się do wykopu, a Carey przykucnął na skraju.

— Masz jakieś dobre pomysły?

— Ten pusty dom, w którym znalazłem taczki. Moglibyśmy schować się w piwnicy.
— Do jutra? — Carey zastanowił się i potrząsnął głową. — Problemem jest kontrola na przejściu granicznym. Nie doliczą się dwóch osób i niebawem może się tu zrobić trochę niezdrowo.

Armstrong pstryknął palcami.

— Stąd do Imatry biegnie linia kolejowa. Może przejedziemy się pociągiem.
— Nic z tego. Milicja kolejowa jest tu bardzo sprawna, szczególnie przy granicy. Wystarczy, że z przejścia granicznego zadzwonią, że brakuje dwóch Finów, a będą podwójnie skuteczni.

— Właśnie nadchodzi jakiś gliniarz — ostrzegł Armstrong.

Carey nie odwrócił się.

— Mam nadzieję, że nie Borys Iwanowicz.

— Nie.

— A więc popatrz na rurę i powiedz mi, co widzisz. Armstrong schował się w wykopie i za chwilę Carey usłyszał jego głos.

— Nie jest pęknięta.

— Musi być gdzieś pęknięta — powiedział głośno Carey. Za sobą słyszał chrzęst buciorów na żwirowej drodze. — Będziemy musieli przeprowadzić test dymny.

Podniósł wzrok i zobaczył milicjanta.

— Dobry wieczór, towarzyszu.

Milicjant spojrział na niego bez wyrazu.

— Pracujecie po godzinach?

— Zawsze muszę pracować po godzinach, kiedy coś nie gra — odparł zrzędlawie Carey. — Jak nie jedno, to drugie, a zawsze wypada na mnie. Tym razem to rura, która cieknie, a nikt nie wie gdzie.

Milicjant zajrzał do rowu.

— Po co to?

— Kanał ściekowy tej nowej papierni.

Milicjant spojrział na niego oczami twardymi jak kamień.

— Nie odprowadza się ścieków wytwórni celulozy kanałem o takiej średnicy.

— To nie jest główny kanał, tylko coś w rodzaju bocznego odpływu z toalet, stołówki i tak dalej.

Nagle wpadł mu do głowy nowy pomysł — tak wspaniały, że sam się zdziwił.

— Może przeciek jest w papierni. Chyba będę musiał pójść i sprawdzić, czy uda mi

się go tam znaleźć.

Wstał.

— Nigdy nie wiadomo, jakie szkody może taki przeciek wyrządzić pod ziemią... podmyć mury, i w ogóle.

Zmarszczył brwi.

— Tam mają jakieś ciężkie urządzenia.

— Tak mi powiedziano — rzekł mundurowy. — Sprowadzone z Finlandii.

— Nie wiem, dlaczego nie możemy użyć naszych, radzieckich — Carey skrzywił się z dezaprobatą. — Jednak, radzieckie czy fińskie, mogą runąć, jeśli woda podmyje fundamenty. Lepiej pójść i sprawdzić.

— Przykładacie się do swojej pracy — stwierdził milicjant.

— Dlatego pracuję na swoim stanowisku — rzekł Carey. Wskazał kciukiem Armstronga. — Weźcie na przykład tego młodego: nie zostanie inspektorem, choćby żył sto lat. Nie kiwnie palcem, jeśli ktoś mu nie każe.

Odwrócił się w kierunku rowu.

— Chodź, nierobie, idziemy do papierni. Weź taczki i łopatę, mogą się przydać.

Nie czekając, aż Armstrong wygramoli się z wykopu, odszedł, a milicjant poszedł razem z nim.

— Macie rację — przyznał. — Niektórzy z tych młodych to naprawdę nieroby.

— Macie u siebie takich?

Milicjant roześmiał się.

— Nie, u nas nie trzymalibyśmy takich długo. To obiboki, na których natykam się w trakcie pełnienia służby, grają mi na nerwach. Piętnastoletni i szesnastoletni młodzieniaszkowie z włosami do połowy pleców, żłopiący wódkę do upojenia. Nie wiem, skąd ich na to stać. Mnie nie... nie za moją pensję.

Carey pokiwał głową.

— Mam podobne kłopoty z moim synem. To pokolenie jest miękkie jak wosk, ale co robić, towarzyszu? Co robić?

— No, poradzę wam — rzekł milicjant. — Przykażcie temu swojemu synowi, żeby schodził mi z drogi. Ostatnio mam ciężką rękę.

Zatrzymali się przy wejściu do papierni.

— Może macie rację — westchnął Carey. — Może właśnie tak trzeba.

— Trzeba — zapewnił tamten. Zsalutował na pożegnanie. — Mam nadzieję, że znajdziecie swój przeciek, towarzyszu.

— Minutkę — zatrzymał go Carey. — Właśnie coś przyszło mi do głowy. Stróż może nas nie wpuścić.

Milicjant uśmiechnął się.

— Porozmawiam z nim, wszystko będzie w porządku. Wszedł do papierni i Carey mrugnął do Armstronga.

— Porządni faceci z tych rosyjskich gliniarzy, kiedy bliżej się ich pozna... nie licząc Borysa Iwanowicza. Chodź.

— Dzięki za ocenę moich kwalifikacji — rzekł Armstrong. — Właśnie tego mi potrzeba, żeby dostać tu pracę. Po co wchodzimy do środka?

— Postawisz taczki przy baraku administracji, tam w rogu. Potem będziesz odwracał uwagę strażnika, a ja zrobię małe włamanie.

— Przy tym gliniarzu?

— On tu nie zostanie. Musi iść na obchód.

— W porządku, zrobisz swoje włamanko i co potem?

Carey wyszczerzył zęby.

— Potem damy się wykopać z Rosji.

Pół godziny później, gdy szli w kierunku posterunku granicznego, Carey powiedział:

— Martwiłem się o papiery. Nie tak trudno wydostać się z Rosji, ale nie z notatkami Merikkaena. Potem zacząłem rozmawiać z gliną o papierni, i to nasunęło mi ten pomysł. Te projekty zauważyłem w biurze dziś rano.

Armstrong pchał taczki.

— Mam nadzieję, że się uda. Już posterunek.

— Pamiętaj, że nie znasz rosyjskiego — przypomniał Carey. — Fin o twojej pozycji społecznej nie powinien go znać.

— Nie znam też fińskiego — zauważył Armstrong. — A jako Fin chyba powinienem.

— Więc trzymaj dziób na kłódkę — poradził Carey. — W razie potrzeby mów po szwedzku, ale nie odzywaj się, jeśli nie będziesz musiał. Zostaw rozmowę mnie. I módl się, żeby żaden z tych wartowników nie był studentem inżynierii lub matematyki.

W równym tempie trzech mil na godzinę zbliżali się do przejścia granicznego. Armstrong nadal miał na sobie roboczy kombinezon, ale Carey zmienił ubranie. Teraz nie był już Rosjaninem, lecz Finem. Wartownik z umiarkowanym zdziwieniem patrzył

na nadchodzących.

— Dalej nie pójdziecie — oświadczył po rosyjsku, łagodząc stanowcze stwierdzenie uśmiechem.

Carey szybko odparł po fińsku:

— Czy kierowca autobusu powiedział wam, że przyjdziemy? Ten dureń odjechał bez nas. Musieliśmy tu iść aż z piarni.

Słyszając fiński język, wartownik przestał się uśmiechać.

— Skąd się wzięliście, do diabła? — zapytał.

— Nie mówię po rosyjsku — rzekł Carey. — Nie znasz fińskiego?

— Sierzancie! — wrzasnął żołnierz, spychając odpowiedzialność na kogoś innego.

Sierzant wyszedł z wartowni, ospale dopinając pas.

— O co chodzi?

— Pojawili się tu ci dwaj Finowie. Przyszli stamtąd.

— Ach tak, przyszli?

Sierzant podszedł bliżej i obrzucił ich krytycznym spojrzeniem, przez dłuższy czas zatrzymując je na taczkach. Z trudem radząc sobie z fińskim zapytał:

— Skąd przyszliście?

— Z piarni — wyjaśnił powoli Carey. — Kierowca autobusu odjechał bez nas.

Wskazał na taczki.

— Mieliśmy zabrać te papiery i przywieźć je szefowi w Imatrze. Odszukanie ich zajęło nam trochę czasu i kiedy przyszliśmy na plac, autobusu już nie było.

— Co to za papiery?

— Schematy maszyn i obliczenia. Proszę zobaczyć.

Carey odchylił worek zakrywający ładunek taczki i wziął rulon leżący na wierzchu. Rozwinął go i pokazał rysunek sierżantowi.

— To jeden ze schematów.

Sierzant popatrzył bezmyślnie na skomplikowany rysunek.

— Po co zabieracie je z powrotem do Imatry?

— Do poprawki — odparł Carey. — Wciąż to samo. Kiedy składa się skomplikowaną maszynę, nie zawsze wszystko pasuje, zazwyczaj dlatego, że jakiś głupi kreślarz popełnił błąd. Dlatego trzeba poprawiać plany.

Sierzant podniósł głowę i spojrzał na Careya, a potem znów popatrzył na schemat.

— Skąd mam wiedzieć, że tak jest naprawdę? Nic nie wiem o maszynach papierniczych.

— W prawym dolnym rogu jest nazwa firmy i opis rysunku. Chyba tyle może pan przeczytać po fińsku?

Żołnierz nie odpowiedział. Oddał rysunek Careyowi.

— Wszystkie są takie?

— Proszę sprawdzić — zaproponował wspaniałomyślnie Carey.

Sierżant schylił się i zaczął grzebać w stercie papierów. Kiedy się wyprostował, trzymał w ręku zeszyt w twardej oprawie. Otworzył go i spojrzał na szeregi matematycznych równań.

— A to?

— Muszę zobaczyć — powiedział Carey. — To może dotyczyć chemii lub mechaniki. Pochylił się nad stroną, którą tamten oglądał.

— Ach tak, to obliczenia szybkości walca. Ta maszyna jest bardzo nowoczesna, krzyk techniki. Wie pan, że papier wychodzi z niej z szybkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę? Przy takich prędkościach potrzebna jest duża dokładność.

Sierżant przekartkował notatnik i rzucił go z powrotem na taczki.

— Dlaczego notatki mogły dotyczyć chemii?

— Produkowanie papieru to proces zarówno chemiczny, jak mechaniczny — odparł z entuzjazmem Carey. — Używa się siarczków, siarczanów i pulpy i wszystko trzeba zmieszać w odpowiednich proporcjach, żeby uzyskać różne rodzaje papieru. Pokażę panu, o co chodzi.

Poszperał w stercie na taczkach i wyjął zwój papieru.

— To są potrzebne do tego obliczenia. Proszę spojrzeć, to równania do otrzymywania bibułki kosmetycznej, a tu obliczenia dla zwykłego papieru gazetowego.

Sierżant zbył machnięciem ręki podsunięte pod nos wzory.

— Przykro mi — rzekł. — Nie jestem upoważniony, żeby was przepuścić. Będę musiał porozumieć się z kapitanem.

Odwrócił się, aby wejść do wartowni.

— Perrrkele! — zaklął Carey z typowym dla Fina naciskiem na „r”. — Przecież liczyliście i cholernie dobrze wiecie, że wjechało nas trzydziestu sześciu, a wróciło tylko trzydziestu czterech.

Sierżant zatrzymał się w pół kroku. Powoli odwrócił się i spojrzał na wartownika, który bezradnie wzruszył ramionami.

— No? — zapytał groźnie sierżant.

Żołnierz miał pecha.

- Jeszcze nie odnotowałem tego w książce.
- Ilu ich wyjechało?
- Trzydziestu czterech i kierowca.
- A ilu wjechało rano?
- Nie wiem. Nie stałem rano na warcie.
- Nie wiesz! — Sierżant był bliski apopleksji. — To po co w ogóle liczyć?
Głęboko nabrał powietrza.
- Przynieś mi książkę — rozkazał lodowatym głosem.

Wartownik sztywno skinął głową i pobiegł do wartowni. Nim upłynęło piętnaście sekund, wrócił z małą książką raportów. Sierżant przewrócił kilka kartek i obrzucił go spojrzeniem, które mogło zmrozić krew w żyłach.

- Wjechało trzydziestu sześciu — powiedział łagodnie. — A ty nie wiedziałeś.

Pechowy wartownik miał dość rozsądku, aby się nie odzywać. Sierżant spojrzał na zegarek.

- Jak dawno przejechał ten autobus?
- Jakieś trzy kwadransy temu.
- Jakieś! — wrzasnął sierżant. — Powinieneś to wiedzieć co do sekundy.
Trzasnął ręką w książkę.
- Powinieneś był to zapisać.

Zacisnął wargi, tak że tworzyły wąską linię i temperatura jego spojrzenia jeszcze opadła.

— Przez „jakieś” trzy kwadransy dwaj obcy obywatele chodzili sobie po niewłaściwej stronie granicy i nikt o tym nie wiedział. Czy mam o tym zameldować kapitanowi? — zapytał cicho.

Wartownik milczał.

- No, gadaj! — ryknął sierżant.
- Ja... ja nie wiem — odparł zgnębiony żołnierz.
- Nie wiesz — powtórzył podoficer lodowatym tonem. — A wiesz co? Wiesz, co stałoby się ze mną — tu stuknął się palcem w pierś — gdybym mu zameldował? Przed upływem tygodnia zostałbym przeniesiony na chińską granicę, tak samo jak ty, mały śmierdzielu, jednak z tego powodu wcale nie byłbym szczęśliwszy.

Carey starał się zachować obojętny wyraz twarzy, przecież udawał, że nie zna rosyjskiego. Zobaczył początek uśmiechu na twarzy Armstronga i kopnął go w kostkę.

- Stań na baczność! — ryknął sierżant i wartownik wyprężył się sztywno jak kij.

Podoficer podszedł do niego i spojrzał mu w oczy z odległości nie większej niż sześć cali. — Nie mam zamiaru przenosić się na Daleki Wschód — oświadczył. — Jednak gwarantuję ci jedno. Nim upłynie tydzień, będziesz żałował, że nie jesteś na chińskiej granicy, i to po tamtej stronie. Cofnął się.

— Stój tu, dopóki nie pozwolę ci się ruszyć — nakazał spokojnie i podszedł do Careya.

— Jak się nazywasz? — spytał po fińsku.

— Maenpaa — rzekł Carey. — Rauno Maenpaa. A on to Simo Velling.

— Wasze przepustki?

Carey i Armstrong pokazali dokumenty, a sierżant sprawdził je i oddał im.

— Zameldujcie się tu, kiedy będziecie jutro przejeżdżać. Zgłóście się do mnie i do nikogo innego.

Carey skinął głową.

— Możemy iść?

— Możecie — przyzwolił znużonym głosem podoficer. Odwrócił się i wrzasnął do nieszczęsnego wartownika: — No, na co czekasz? Aż ci trawa wyrośnie między palcami? Podnieś szlaban.

Żołnierz skoczył wykonać rozkaz. Podniósł szlaban i Armstrong przepchnął taczki na drugą stronę. Carey już miał pójść za nim, ale przystanął. Obrócił się do sierżanta i powiedział:

— Wie pan co, produkcja papieru to bardzo ciekawy proces. Kiedy fabryka ruszy, powinien pan tam pójść i zobaczyć. To bardzo widowiskowe.

— Może tak zrobię — odrzekł sierżant.

Carey uprzejmie skinął głową i poszedł za Armstrongiem. Głęboko nabrał tchu w piersi, jakby oddychał innym powietrzem.

Schmidt sprawdził godzinę.

— Jedna minuta.

Upuścił niedopałek papierosa na podłogę i przydepnął go nogą.

— Zaczekamy — postanowił McCready. Skinął na Denisona. — Spójrz przez okno, zobacz, czy ktoś tam jest. Pan też, Harding.

Denison podszedł do okna. Wokół panował spokój i nic się nie poruszało oprócz fal marszczących wodę w oddali i trzciny, lekko kołyszących się na wietrze.

— Wszędzie spokój.

— Tu też — zameldował Harding przy oknie z tyłu. — Na wzgórzu nie widać śladu ruchu.

— Chyba próbuje nas pan nabrać — powiedział McCready. — Byłoby cholernie zabawne, gdyby nie było tam nikogo.

Schmidt wzruszył ramionami.

— Zaczekajcie.

Denison dostrzegł jakiś ruch w kępie trzciny na skraju mokradła.

— Tam jest coś lub ktoś. Widzę jakiegoś człowieka. On... Przerwała mu seria strzałów. Ziemia przed chatą wytrysnęła w górę, wyrzucona uderzeniami kul. Odprysk kamienia uderzył w szybę pod nosem Denisona; szkło pękło gwiazdźście. Denison cofnął się pospiesznie.

Strzały ucichły i zapadła głucha cisza. McCready odetchnął.

— Broń automatyczna. Co najmniej trzech strzelców.

— Pięciu — sprostował Schmidt. — Siedmiu ludzi, ze mną ośmiu.

Włożył rękę do kieszeni i wyjął paczkę papierosów.

— Właśnie oddałem mój głos.

McCready niedbale położył pistolet na stole.

— Władza wyrasta z armatnich luf. Wasze armaty są większe.

— Byłem pewien, że zachowacie się rozsądnie — powiedział z aprobatą Schmidt. — Gdzie ta mapa, czy cokolwiek to jest?

— Daj mu ją — polecił McCready.

Denison wyjął z kieszeni zwiniętą kartkę papieru i podał ją Schmidtowi, który z zainteresowaniem obejrzał plan. Po chwili ciekawość zmieniła się w zdumienie.

— I to wszystko?

— Wszystko — odparł Denison.

— A to słowo — Schmidt przeczytał z trudem: — Luonnonpuisto. Co ono oznacza?

— W dosłownym tłumaczeniu „park narodowy” — wyjaśnił McCready. — Pozostałe trzy słowa oznaczają jezioro, wzgórze i przesmyk. Te liczby to koordynaty w stopniach. Jeśli znajdziecie jezioro, wzgórze i przesmyk tak ułożone względem siebie i znajdujące się w parku narodowym, to rozwiążecie problem.

Uśmiechnął się do Schmidta.

— Nie mogę powiedzieć, że życzę wam więcej szczęścia, niż my mieliśmy.

— Niewiele na początek. — Schmidt był zawiedziony. — A w dodatku to fotokopia.

— Ktoś ukradł nam oryginał w Kevo. Nasz przyjaciel oberwał przy okazji po głowie.

A więc to nie wasza robota?

— Najwyraźniej nie — odparł Schmidt. — Amerykanów?

— Nie sądzę.

— A ja tak, ponieważ tu ich nie ma. Może zostali w Kevo, mierzyć kąty teodolitem, tak jak on — Schmidt wskazał na Denisona.

— Może — przytaknął wymijająco McCready.

Schmidt patrzył na papier.

— To głupota. Dlaczego nie podał nazwy parku narodowego?

— A po co? Przecież on go znał. To tylko aide-memoire dla zanotowania liczb. Widzi pan, Merikken wiedział, gdzie są papiery, i myślał, że sam je wykopie. Nie spodziewał się, że zginie podczas bombardowania. Jednak ponieważ każdy zakątek tego pustkowiec wygląda tak samo, zabezpieczył się, mierząc te kąty.

McCready uśmiechnął się ironicznie.

— Odszukanie tych papierów nie będzie łatwe, szczególnie jeśli będą wam w tym przeszkadzać.

Skwaszony Schmidt złożył papier i schował go do kieszeni.

— Gdzie wasz teodolit?

— Tam, w rogu.

— Macie coś przeciw temu, że go pożyczę? — spytał z gryzącą ironią.

— Proszę bardzo, postaramy się o inny.

Schmidt wstał, podszedł do drzwi i otworzył je. Krzyknął coś po czesku i wrócił do środka.

— Połóżcie broń na stole.

Po chwili wahania McCready zdecydował:

— W porządku, niech wszyscy położą broń obok mojej.

— Okazuje pan zdrowy rozsądek — stwierdził Schmidt. — Nie możemy sobie pozwolić na wypadki z bronią, szczególnie takie, w których giną ludzie.

Roześmiał się.

— Jeśli tylko ja będę miał broń, obaj będziemy bezpieczni. Diana niechętnie odłożyła pistolet, a Harding poszedł w jej ślady.

Kiedy drzwi otworzyły się i do chaty wszedł następny mężczyzna, na stole leżało pięć pistoletów. Przybyły miał karabin automatyczny i gdy Schmidt dostrzegł, że McCready spogląda nań z ostrożnym zainteresowaniem, wyjaśnił ochoczo:

— Pożyczyliśmy kilka z arsenałów NATO. Nie są złe. Powiedział coś do swojego człowieka i wskazał na plecaki, po czym zgarnął pistolety. Trzy z nich włożył do kieszeni, a pozostałe dwa wziął w ręce.

— Mówił pan coś o przeszkadzaniu — zwrócił się do McCready'ego. — Wy już mi nie przeszkadzacie. Wypadacie z gry.

Drugi mężczyzna wysypywał na podłogę zawartość plecaków. Wydał okrzyk zdumienia, gdy znalazł składany karabin McCready'ego. Schmidt uśmiechnął się.

— Nigdy pan nie rezygnuje, panie McCready, ale spodziewałem się tego. Zostaniecie w chacie. Jeżeli spróbujecie wyjść, mam poważne obawy, że możecie być zastrzeleni.

— Jak długo mamy tu siedzieć?

Schmidt wzruszył ramionami.

— Jak długo uznam za stosowne.

— Będzie nam potrzebna woda — wtrąciła się Diana.

Schmidt spojrział na nią z namysłem, po czym szybko kiwnął głową.

— Nie jestem pozbawiony ludzkich uczuć. Wskazał na Hardinga i Denisona.

— Wy przyniesiecie wodę. Reszta pozostanie tutaj.

Denison chwycił dwa puste wiadra.

— Będzie nam potrzeba jak najwięcej. Wezmę jeszcze miski — postanowił Harding.

Człowiek z automatycznym karabinem zawiesił broń na ramieniu razem ze składanym AR-7 McCready'ego. Zabrał teodolit i statyw, po czym opuścił chatę; Denison i Harding poszli za nim, a pochód zamykał Schmidt z pistoletem w każdej ręce.

McCready popatrzył, jak idą na skraj mokradła, i puścił oko do Diany:

— Wygląda na to, że kupili ten kit. Przez kilka następnych tygodni wszystkie parki

narodowe w Finlandii będą pełne Czechów z teodolitami. To powinno wzbudzić podejrzenia Finów.

Denison szedł w kierunku bagna nieprzyjemnie świadomy tego, że mężczyzna za jego plecami trzyma dwa pistolety. Schylił się i zaczął napełniać wiadra. Schmidt szerokim zamachem ramienia rzucał wszystkie pistolety w bagno, jeden po drugim. Rozrzucił je w różne strony i Denison wiedział, że nie uda się już ich wyłowić. Wyprostował się i zapytał:

— Skąd będziemy wiedzieli, że możemy już wyjść z chaty?

Schmidt uśmiechnął się ponuro.

— Nie będziecie — oświadczył stanowczo. — Będziecie musieli zaryzykować.

Denison popatrzył najpierw na niego, a potem na Hardinga, który bezradnie wzruszył ramionami.

— Wracajmy do chaty — powiedział.

Schmidt stał podparty rękami pod boki i nie spuszczał ich z oczu, aż doszli do baraku. Kiedy zamknęli za sobą drzwi, poprawił plecak, rzekł coś krótko do swojego towarzysza i ruszył brzegiem mokradła w kierunku, z którego przybył, tym samym miarowym krokiem.

Denison miał wrażenie, że ze wszystkich wydarzeń, jakie miały miejsce, od kiedy wciągnięto go w tę zwariowaną awanturę, czas spędzony w chacie w Sompio można było określić najłatwiej jako okropnie irytujący. Cała piątka była uwięziona — „stłoczona, ściśnięta i zapuszkowana” — jak to ironicznie określił Harding — i żadne z nich nic nie mogło na to poradzić, szczególnie po tym, jak McCready „sprawdził sytuację”.

Kiedy minęły dwie godziny, oświadczył:

- Chyba powinniśmy coś zrobić. Wystawię nos i sprawdzę sytuację.
- Uważaj — ostrzegł Harding. — Myliłem się co do Schmidta, on nie blefuje.
- Nie może trzymać tu swoich ludzi w nieskończoność. Wyszlibyśmy na głupków, gdyby nie było tu nikogo.

Otworzył drzwi, wyszedł za próg i zanim zdążył zrobić krok, padł strzał. Kula odłupała drzazgi z belki tuż obok jego głowy, tak że pokazało się białe drewno. McCready błyskawicznie wskoczył do środka i zatrzasnął drzwi.

- Na zewnątrz jest zbyt gorąco — stwierdził.
- Jak myślisz, ilu ich tam jest? — dopytywał się Harding.
- A skąd mam wiedzieć? — warknął rozsierdzony McCready.

Przyłożył rękę do policzka i wyciągnął drzazgę, a potem spojrzał na krew na końcach palców.

— Widziałem tego, który strzelił — odezwał się spod okna Denison. — Był tam, w trzcinach.

Zwrócił się do McCready'ego:

- Nie sadzę, żeby zamierzał cię zabić. To był tylko strzał ostrzegawczy.
- Skąd możesz wiedzieć? — McCready pokazał krew na palcach. — Kula przeleciała blisko.

— Ma karabin automatyczny — wyjaśnił Denison. — Gdyby chciał cię zabić, przeciąłby cię serią.

Po raz pierwszy McCready uzmysłowił sobie zimną logikę Denisona, która tak zdumiewała Careya. Niechętnie pokiwał głową.

- Chyba masz rację.
- A co do tego, ilu ich tam jest — ciągnął Denison — to trudno powiedzieć. Wystarczyłby jeden przed chatą, a drugi z tyłu, ale wszystko zależy od tego, jak długo

Schmidt zamierza nas tu trzymać. Jeżeli dłużej niż dwadzieścia cztery godziny, to jest ich więcej niż dwóch, ponieważ muszą kiedyś spać.

— A my nie możemy wymknąć się pod osłoną nocy, bo tu nie zapada ciemność — stwierdził Harding.

— No to równie dobrze możemy się odprężyć — orzekł Denison. Odszedł od okna i usiadł przy stole.

— No, niech mnie szlag! — zaklął McCready. — Wszystko przemyślałeś, tak?

Denison spojrział na niego z lekkim uśmiechem.

— Masz coś do dodania?

— Nie — odparł z niesmakiem McCready.

Podszedł do Diany i zaczął naradzać się z nią po cichu.

Harding dosiadł się do Denisona.

— A więc jesteśmy tu uwięzieni.

— Ale zupełnie bezpieczni — stwierdził ze spokojem Denison. — Dopóki nie zrobimy czegoś cholernie głupiego, takiego jak przejście przez te drzwi.

Rozwinął mapę Parku Narodowego Sompio i zaczął ją studiować.

— Jak się czujesz? — zagadnął Harding.

— Świetnie. Dlaczego pytasz?

— Jako twój osobisty uzdrowiciel uważam, że nie będę ci już potrzebny. Jak tam pamięć?

— Wraca po kawałku. Czasami wydaje mi się, że układam puzzle.

— Nie chcę zagłębiać się w ten delikatny temat — powiedział Harding — ale czy pamiętasz swoją żonę?

— Beth? — Denison skinął głową. — Tak, pamiętam ją.

— Ona nie żyje, wiesz — rzekł Harding spokojnie i wyraźnie. — Czy pamiętasz, jak to się stało?

Denison odsunął mapę i westchnął.

— Tak, ten przekłety wypadek drogowy.

— I co o tym myślisz?

— A jak sądzisz, do diabła? — zapytał Denison z tłumioną złością. — Czuję smutek i gniew, ale to było ponad trzy lata temu i nie możesz oczekiwać, że będę rozpaczał całe życie. Zawsze będę żałował Beth... była wspaniałą kobietą.

— Smutek i gniew — powtórzył Harding. — Wszystko w porządku. To zupełnie normalne.

Ponownie zadumał się nad tajemnicami ludzkiego umysłu. Denison najwidoczniej pozbył się poprzedniego poczucia winy; zniknął irracjonalny element jego osobowości. Harding zastanawiał się, co by było, gdyby opisał przypadek Denisona i opublikował go w jakimś czasopiśmie — „Rola wielorakiego wstrząsu psychicznego w leczeniu irracjonalnego poczucia winy”. Wątpił, czy taka kuracja znalazłaby zastosowanie w terapii.

— Na razie nie rezygnuj, doktorze — zachęcił Denison. — Chcę jeszcze skorzystać z twoich usług.

— Coś nie tak?

— Nie ze mną. Martwię się o dziewczynę. Spójrz na nią. — Ruchem głowy wskazał na Lyn, która leżała na pryczy z rękami splecionymi pod głową i wpatrywała się w sufit. — Prawie się do mnie nie odzywa. Unika mnie, a kiedy podejść, odchodzi. To zaczyna rzucać się w oczy.

Harding wyjął paczkę papierosów i sprawdził jej zawartość.

— Chyba będę musiał zacząć je sobie wydzielać — rzekł smętnie. — Ja też zastanawiałem się nad Lyn. Jest trochę wyobcowana, oczywiście, nic w tym dziwnego, ponieważ musi uporać się z poważnym problemem.

— Ach tak? Jaki to problem? Mało wszyscy mamy problemów?

Harding zapalił papierosa.

— To sprawa osobista. Rozmawiała ze mną o tym... hipotetycznie i w zawoalowanej formie. Rozwiąże go tak czy inaczej.

Psychiatra zaczął bębnić palcami po stole.

— Co o niej myślisz? — zapytał.

— To miła osoba. Trochę zagubiona, ale to wina wychowania. Myślę, że ten problem jest związany z jej ojcem.

— W pewnym sensie — zgodził się Harding. — Powiedz mi, jaka była różnica wieku między tobą a twoją żoną?

— Dziesięć lat — odparł Denison. — Dlaczego pytasz?

— Tak sobie — zbagatelizował sprawę lekarz. — To mogłoby znacznie wszystko ułatwić — mówię o tym, że miałeś żonę o tyle młodszą od siebie. Nosileś brodę, prawda?

— Tak — potwierdził Denison. — O co ci, do licha, chodzi?

— Na twoim miejscu znów zapuściłbym brodę — poradził Harding. — Twoje obecne rysy trochę zbijają Lyn z tropu. Może lepiej będzie, jak ukryjesz twarz za

zarostem.

Denisonowi opadła szczęka.

— Uważasz... Diana mówiła mi, że... Nie, to niemoż...

— Ty głupcze! — powiedział cicho Harding. — Zakochała się w Denisonie, ale ten ma twarz Meyricka, jej ojca. To wystarczy, żeby złamać serce każdej dziewczynie, więc zrób z tym coś.

Odstawił krzesło i wstał.

— Porozmawiaj z nią, ale delikatnie.

Poszedł w drugi koniec pokoju i dołączył do McCready'ego i Diany, zostawiając Denisona gapiącego się na Lyn.

McCready zorganizował stałą obserwację.

— Nie sądzę, aby coś miało się zdarzyć — zawyrokował. — Jednak chciałbym wiedzieć wcześniej, gdyby tak się stało. Ci, którzy nie pełnią warty, mogą robić, co chcą. Radzę spać.

Wyciągnął się na pryczy i poszedł za swoją radą.

Harding powędrował do magazynku, a Denison ponownie zaczął studiować mapę Sompio. Od czasu do czasu słyszał szuranie i trzaski, gdy Harding przesuwiał skrzynki. Diana stała na straży przy oknie i cicho rozmawiała o czymś z Lyn.

Po paru godzinach Harding wrócił, zmęczony i rozchełstany. W ręce miał coś, co Denison uznał za litrową puszkę farby.

— Znalazłem.

— Co znalazłeś?

Harding postawił puszkę na stole.

— Proch. Podważył wieko puszki.

— Spójrzcie.

Denison popatrzył na ziarnisty czarny proszek.

— I co z tego?

— To, że możemy nabić strzelbę. Znalazłem też trochę śrutu. McCready zamrugał oczami i usiadł.

— Jaką strzelbę?

— Tę mocowaną na łódce, o której panu mówiłem. Wtedy nie był pan zainteresowany.

— Wtedy mieliśmy swoją broń — odparł McCready. — Jaka to strzelba?

Dubeltówka?

— Można ją tak nazwać — powiedział Harding, a Denison uśmiechnął się nieznacznie.

— Lepiej ją obejrzę. — McCready spuścił nogi z pryczy. — Gdzie ona jest?

— Pokażę panu — powiedział lekarz i wyszedł z McCreadym, a Denison zwinął mapę i podszedł do okna. Wyjrzał przez nie i westchnął.

— O co chodzi? — spytała Diana. — Znudzony?

— Zastanawiam się, czy nasi przyjaciele jeszcze tu są.

— Jedyne sposob, aby sprawdzić, to wystawić głowę.

— Wiem — rzekł Denison. — Ktoś z nas wcześniej czy później musi to zrobić. Myślę, że ja spróbuję. Minęły trzy godziny, od kiedy McCready próbował wyjść.

— Nie — zaprotestowała Lyn. Wydawało się, że to słowo wyrwało jej się mimowolnie. — Nie — powtórzyła. — Zostaw to... zawodowcom.

Diana uśmiechnęła się.

— Mówisz o mnie? Jestem chętna.

— Nie kłóćmy się — załagodził Denison. — Wszyscy jedziemy na jednym wózku. W każdym razie to dobre lekarstwo na nudę. Uważaj na te trzciny, Diano.

— W porządku — powiedziała, gdy szedł do wyjścia. Lyn patrzyła na niego tępym wzrokiem.

Powoli otworzył drzwi i odczekał minutę, zanim wyszedł na zewnątrz, a gdy to zrobił, trzymał ręce nad głową. Czekał nieruchomo przez następną minutę, a kiedy nic się nie stało, zrobił krok naprzód. Diana krzyknęła i w tej samej chwili dostrzegł poruszające się trzciny na skraju moczarów. Kłasnęcie strzału złało się z grzechotem kamieni sześć stóp przed nim i rykoszet ze świstem przeleciał mu nad głową.

Pomachał rękami, trzymając je wysoko, i ostrożnie wycofał się do chaty. McCready wpadł do pokoju.

— Co się stało?

— Tylko sprawdzałem temperaturę. Ktoś musi to zrobić.

— Nie próbujcie, kiedy mnie nie ma.

McCready podszedł do okna.

— A więc nadal ktoś tam jest.

Denison uśmiechnął się do Lyn.

— Nie ma się czym przejmować — zapewnił ją. — Po prostu trzymają nas w zagrodzie.

Odwróciła się bez słowa. Denison spojrział na McCready'ego.

— Co sądzisz o strzelbie Hardinga?

— Nie jest zachwycony — zamiast McCready'ego odezwał się lekarz.

— Na miłość boską! — wykrzyknął McCready. — To nie strzelba, to cholerne lekkie działo. Nawet gdybyś zdołał ją podnieść, a nie zdołasz, nie możesz wystrzelić. Odrzut złamie ci ramię. Jest bezużyteczna.

— Nie trzeba nią wymachiwać — tłumaczył cierpliwie Harding. — Jest przeznaczona do mocowania na łódce, tak jak szesnastocalowe działo na okręcie. Na lądzie rzadko się je spotyka ze względu na kłopoty z amortyzacją odrzutu, ale na statku można ich zamontować tuzin, ponieważ woda amortyzuje odrzut.

— Właśnie o to mi chodzi — powiedział McCready. — Jest tak samo bezużyteczna jak szesnastocalowe działo, gdybyśmy je mieli. Proch to co innego; może uda nam się go wykorzystać.

— Do wyrobu ręcznych granatów? — ironizował Denison. — Po co? Chcesz rozpętać wojnę?

— Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby się stąd wydostać.

— Wydostaniemy się, kiedy wypuszczą nas Czesi — rzekł Denison. — I nikomu nie stanie się krzywda. Kupili ten numer z lipną mapą ukrytego skarbu, więc po co ten pośpiech? Gdybyś teraz zaczął walczyć, to walczyłbyś dla samej walki, a to byłoby po prostu głupotą.

— Oczywiście, masz rację — zgodził się McCready, ale w jego głosie było słychać lekkie rozgoryczenie. — Stajesz na warcie, Harding, potem Denison, a później ja.

— Nie ma pan nic przeciw temu, że stojąc na warcie pobawię się trochę tą bronią? — zapytał Harding. — To mnie interesuje — dodał przepraszająco. — Jestem zamięłowanym myśliwym.

— Tylko bez niespodziewanych wystrzałów — ostrzegł McCready. — Moje serce mogłoby nie wytrzymać. I nikt nie wychodzi przez te drzwi, dopóki nie wyrażę zgody.

Denison przeciągnął się.

— Chyba spróbuję się zdrzemnąć. Zbudźcie mnie, kiedy nadejdzie moja kolej.

Położył się na boku na swojej pryczy i przez chwilę patrzył na Hardinga, który męczył się ze strzelbą. Lekarz miał arkusz papieru i wydawało się, że robi małe torebki.

Denisonowi opadły powieki i w końcu zasnął.

Zbudził go Harding, potrząsając za ramię.

— Obudź się, Giles, twoja kolej.

Denison ziewnął.

— Czy coś się stało?

— Niczego nie zauważyłem. Denison wstał i podszedł do okna.

— Zdaje się, że rozpracowałem tę strzelbę — rzekł Harding. — Przygotowałem nawet kilka ładunków. Szkoda, że nie mogę ich wypróbować.

W jego głosie słychać było żal.

Denison rozejrzał się po pomieszczeniu. Pozostali spali w najlepsze, bo pora była po temu — właśnie minęła północ.

— Lepiej odpocznij. Kiedy wyruszemy, pewnie będziemy musieli poruszać się szybko.

Harding położył się na pryczy, a Denison sprawdził widok za oknem. Słońce świeciło mu w oczy, wisząc tuż nad horyzontem, daleko nad moczarami; znajdowało się w najniższym położeniu — teraz zaczynało się wznosić. Osłonił oczy. Słońce wydawało się lekko zamglone, jakby nad bagnami unosiła się jakaś rzadka, niemal niewidoczna mgielka. Pewnie gdzieś pali się las, pomyślał i odwrócił się do stołu, aby popatrzeć na rezultaty pracy Hardinga.

Lekarz zrobił sześć ładunków: toporne, cylindryczne torebki z papieru, zawiązane bawełnianą nitką. Denison podniósł jeden z nich i przez papier wyczuł ziarnka śrutu. Ładunek okazał się bardzo ciężki; zważył go w dłoni i ocenił na mniej więcej dwa funty. Szkoda, że nie można spełnić życzenia Hardinga, pomyślał, ale — jak stwierdził McCready — strzelanie z tej broni było niewykonalne.

Denison schylił się i podniósł strzelbę, napinając mięśnie i zataczając się pod jej ciężarem. Chwycił ją mocno i przycisnął kolbę do ramienia. Muszka zakreślała szerokie kręgi. Celowanie było niemożliwe, a odrzut dwufuntowego ładunku opuszczającego lufę rozpląszczyłby strzelca na ziemi. Potrząsnął głową i odłożył strzelbę.

Godzinę później widok za oknem był zupełnie inny. Rozproszony blask zastąpił światło słoneczne, a mgielka nad bagnami zgęstniała. Nadal widział wiatę, pod którą była łódź, także trzciny i skraj moczarów, ale dalej odbłask wody zniknął, a za nim rozpościerała się perlowa szarość.

Zbudził McCready'ego.

— Chodź i popatrz na to.

McCready w zamyśleniu spojrział na opar, a Denison powiedział:

— Wciąż gęstnieje. Jeżeli nadal tak będzie, to za godzinę widoczność spadnie do dziesięciu jardów.

— Myślisz, że powinniśmy spróbować ucieczki?

— Uważam, że powinniśmy się przygotować — powiedział ostrożnie Denison. — I sądzę, że zanim mgła zgęstnieje, musimy się przekonać, czy nasi przyjaciele jeszcze tam są.

— Masz na myśli mnie — odparł kwaśno McCready.

Denison wyszczerzył zęby.

— Teraz twoja kolej, a może jesteś zdania, że teraz powinien spróbować Harding albo Diana?

— Chyba zgłoszę się na ochotnika, ale najpierw obudźmy pozostałych.

Dziesięć minut później mieli pewność, że oblegający wciąż tam są. McCready zatrzasnął drzwi.

— Ten drań mnie nie lubi. Kula przeleciała tak blisko, że poczułem podmuch.

— Widziałem go — oświadczył Denison. — Jest sto jardów stąd, nie więcej. Mógł cię zabić, ale nie zrobił tego.

— Mgła zgęstniała — zauważyła Diana. — Przez ostatnie dziesięć minut jeszcze bardziej.

— Niech wszyscy się spakują — polecił McCready.

Zaczęli zbierać swoje rzeczy, wszyscy prócz Denisona, który podszedł do okna, aby spojrzeć na moczary. Piętnaście minut później dołączył do niego McCready.

— Nie idziesz?

— Widoczność spadła do pięćdziesięciu jardów — ocenił Denison. — Zastanawiam się, co by było, gdyby ktoś teraz wyszedł na zewnątrz.

— Jeżeli ten Jasio nadal siedzi w trzcinach, to niczego nie zobaczy.

— Dlaczego myślisz, że on nadal jest w trzcinach? Jeśli ma choć trochę rozumu, to podszedł bliżej. Tak samo pozostali.

— Pozostali?

— Logicznie rzecz biorąc, musi ich być co najmniej czterech: dwóch pilnuje z przodu i z tyłu, a dwóch śpi.

— No, nie wiem — powątpiewał McCready. — To tylko teoria.

— Spróbuj wyjść przez okno na tyłach — poradził sucho Denison. Potarł szczękę. — Jednak masz trochę racji; brak w tym sensu, prawda? Przecież Schmidt mógł

umieścić dwóch swoich w chacie. Zaoszczędziłby dwóch ludzi.

McCready potrząsnął głową.

— Jest na to za sprytny. Mając karabin zabijający z odległości ćwierć mili nie podchodzisz z nim na trzy jardy. Strażnika znajdującego się tak blisko łatwo zagadać i sprowokować do fałszywego ruchu. My nie możemy pogadać z tymi żartownisiami na zewnątrz, bo oni przemawiają do nas kulami. Postukał w szybę.

— Jednak Schmidt nie przewidział mgły. Opar szybko gęstnieje, a kiedy widoczność spadnie do dziesięciu jardów, chyba będziemy mieli szansę.

— Chcesz ryzykować, twoja sprawa — powiedział beznamiętnie Denison. — Ale jeżeli myślisz, że będę błdził po omacku między czterema facetami uzbrojonymi w automaty, to jesteś stuknięty. Może i nie chcą nas zabić, ale to pewne jak cholera, że mogą to zrobić przypadkowo. Ja nie idę i Lyn też nie. Ani Harding, jeśli mu to powiem.

— Przepuszczasz taką okazję. — McCready skrzywił się z niesmakiem.

— Okazje to nie mój interes, a w tym wypadku nie ma sensu ryzykować. Powiedz mi, założmy, że wydostaniesz się z chaty, co zrobisz?

— Skieruję się z powrotem do Vuotso — odparł McCready. — Jeśli pójdę skrajem moczarów, na pewno go nie ominę.

— Nie ominiesz go — zgodził się Denison. — Czechów także. Zrobisz coś, co jest oczywiste. Podejź tutaj.

Podszedł do stołu i rozłożył mapę, używając ładunków Hardinga do przyciśnięcia rogów.

— Wcale nie doradzam opuszczania stacji, nie w obecnej sytuacji, ale w razie potrzeby trzeba iść tędy.

McCready powiódł wzrokiem za palcem Denisona.

— Przez bagna! Oszalałeś.

— A co w tym szalonego? Tego się nie spodziewają. Nie przyjdzie im do głowy, żeby nas tu szukać.

— Mimo to twierdzą, że zwariowałeś. Dobrze obejrzałem te mokradła ze wzgórza. Nie widać, gdzie kończy się ląd, a gdzie zaczyna się woda, i nie wiadomo, jak jest głęboka. Piekielnie łatwo tam utonąć, szczególnie jeśli mgła nie pozwala dojrzieć niczego, co znajduje się dalej niż dziesięć jardów od ciebie.

— Nie wtedy, kiedy masz łódkę — nie ustępował Denison. — Obie dziewczyny i jeden z nas w łódce, dwaj pozostali popychają. W miejscach, gdzie jest głęboko,

trzymają się burt, a siedzący w łodzi wiosłują i ciągną ich.

Postukał palcem w mapę.

— Moczary mają dwie mile szerokości, nawet po ciemku możesz przepłynąć je w dwie godziny. Kiedy znajdziesz się po drugiej stronie, skierujesz się na zachód i musisz natrafić na główną drogę na północ od Rovaniemi.

Pochylił się nad mapą.

— Dojdiesz do niej gdzieś między Vuotso i Tankapirtti, a cała podróż nie zajmie ci więcej niż siedem czy osiem godzin.

— No, niech mnie diabli! Rzeczywiście, dobrze to przemyślałeś — przyznał McCready.

— Na wszelki wypadek. — Denison wyprostował się. — Jednak nie ma takiej nagłej potrzeby. Jesteśmy o wiele bezpieczniejsi tutaj, niż bylibyśmy na zewnątrz. Gdyby ucieczka stąd była kwestią życia lub śmierci, opowiedziałbym się za nią, ale teraz nie widzę takiej konieczności.

— Jesteś naprawdę chłodno kalkulującym draniem — wycedził McCready. — Zastanawiam się, jak można cię rozzłościć. Czy nie denerwuje cię to, że ci Czesi zrobili z nas głupków?

— Nie tak bardzo, żeby wystawiać się na kule. — Denison wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Powiem ci coś. Tak zależało ci na demokratycznym podjęciu decyzji, kiedy robiłeś w konia Schmidta, że zgodzę się teraz na głosowanie.

— Bzdury! — rzekł McCready. — Ta decyzja jest słuszna lub nie. Głosowanie tego nie zmieni. Myślę, że masz rację, ale...

Przerwał mu pojedynczy wystrzał w pobliżu chaty, po którym nastąpiły długie serie z automatów. Ogień ustał, a McCready i Denison w milczeniu spojrzeli na siebie. Padł kolejny strzał — tym razem huk nie był tak głośny jak przy wystrzale z karabinu — i szyba w oknie rozsypała się z trzaskiem.

— Padnij! — wrzasnął McCready, rzucając się na podłogę. Leżąc płasko na brzuchu, obrócił głowę do Denisona. — Sądzę, że teraz zaszła już ta twoja nagła potrzeba.

Zapadła cisza.

Denison leżał na podłodze chaty i patrzył na McCready'ego, który mówił:

— To chyba był strzał z pistoletu, brzmiał inaczej. Mam nadzieję, że się nie mylę.

— Na litość boską, dlaczego?

McCready odparł ponuro:

— Módl się, żeby nie zaczęli strzelać w barak z tych cholernych karabinów. Są na wyposażeniu NATO i mają piekielną siłę przebicia. W Irlandii Północnej żołnierze stwierdzili, że mogą przestrzelić z nich dom — przez obie ściany.

Denison odwrócił głowę.

— Nic ci się nie stało, Lyn?

Leżała na podłodze obok swojej pryczy.

— Chyba... Chyba nie — odpowiedziała drżącym głosem.

— A mnie tak — rzekł Harding. — Zdaje się, że mnie trafili. Ręka mi zdrętwiała.

Diana pochyliła się nisko, przebiegła przez barak i klapnęła obok lekarza.

— Masz zakrwawioną twarz.

— To zapewne te odpryski szkła. Ale najbardziej niepokoi mnie ramię. Czy możesz je obejrzyć?

— Chryste! — rzucił wściekle McCready. — Jedna nędzna kula i musiała kogoś trafić. I co myślisz teraz, Denison? Nadal uważasz, że nie ma po co uciekać?

— Nic nie słyszę. — Denison podczołgał się do okna i ostrożnie wystawił głowę. — Mgła znacznie zgęstniała. Nic, cholera, nie widać.

— Zjeżdżaj stamtąd — warknął McCready.

Denison schował głowę, ale został skulony pod oknem.

— Co z Hardingiem?

— Kość jest złamana — wyjaśnił Harding. — Czy ktoś może podać mi to czarne pudełko? Jest w moim plecaku.

— Ja przyniosę — zaofiarowała się Lyn.

McCready podczołgał się do lekarza i obejrzał jego ramię. Diana rozdarła mu rękaw koszuli, odsłaniając ranę — mały otwór. Ręka Hardinga wyglądała dziwnie — wydawało się, że ma dodatkowy staw.

— To strzał z pistoletu — stwierdził McCready. — Gdyby został pan trafiony przez kulę z tego karabinu, w ogóle nie miałby pan ręki.

Znów rozległy się serie z broni automatycznej, ale tym razem z większej odległości. Odgłos przypominał terkot maszyny do szycia i był przerywany pojedynczymi strzałami. Urwał się równie nagle, jak się zaczął.

— To wygląda na bitwę — powiedział McCready. — Co o tym myślisz, Denison?

— Myślę, że czas ruszać — odparł pytany. — Jedna kula już trafiła, może ich być więcej. Ty i ja pójdziemy do łodzi; Diana i Lyn pomogą Hardingowi, gdy tylko upewnimy się, że droga wolna. Zostawimy plecaki i pójdziemy bez obciążenia. Weź kompas, jeśli go masz.

— Mam go w kieszeni.

McCready spojrział na Hardinga i zobaczył, że lekarz napełnił strzykawkę i robi sobie zastrzyk w ramię.

— Jak się pan czuje, doktorze?

— To uśmierzy ból — wyjaśnił Harding wyjmując igłę. — Może ktoś owinie to bandażem.

— Mogę zrobić coś lepszego — zaproponowała Diana. — Mogę zrobić łupki.

— Świetnie — ucieszył się Harding. — Mam złamaną rękę, a nie nogę. Mogę iść i za pięć minut będę gotowy. Czy mówiłeś coś o łódce?

— To pomysł Denisona.

— To czemu nie zabierzemy strzelby?

— Weź to cholerstwo i... — McCready urwał i spojrział na Denisona. — Co o tym myślisz?

Ten pomyślał o dwóch funtach kaczego śrutu.

— Tym można kogoś ciężko przestraszyć.

— Zawiąz to mocniej — rzekł Harding do Lyn. — I podaj mi te ładunki ze stołu.

Podniósł głowę.

— Idźcie na zwiady, a zanim wrócicie, my naładujemy broń.

— Dobrze — zgodził się McCready. — Chodźmy.

Teraz, kiedy miał coś do roboty, opuściło go zniechęcenie.

— Zaraz po wyjściu za drzwi zaczynamy się czułgać. Otworzył drzwi i do chaty wsączyły się pasma mgły. Gdy leżąc na podłodze wystawił głowę za framugę, zobaczył, że widoczność spadła do piętnastu jardów i dalej obniżała się w miarę, jak znad bagien nadpływała mgła. Wyczołgał się na zewnątrz i zaczekał na Denisona, a potem przyłożył mu usta do ucha i szepnął:

— Pójdziemy osobno, ale tak, żebyśmy się widzieli... dziesięć jardów powinno

wystarczyć. Będziemy poruszać się na przemian, dziesięciojardowymi skokami.

Gdy Denison skinął głową, McCready ruszył naprzód, po dziesięciu krokach przypadł do ziemi i po chwili dał mu znak ręką. Denison pobiegł w bok, aż zrównał się z McCreadym, padł na ziemię i wpatrywał się w mgłę, ale niczego nie widział. McCready znowu skoczył naprzód i stanął, a wtedy Denison poszedł w jego ślady. Robili tak do chwili, gdy ręka Denisona zanurzyła się w wodzie. Dotarli na skraj mokradła.

Leżał tam, rozglądając się na boki, usiłując dojrzeć coś w perłowszarej mgłę i łowiąc uchem najlżejsze dźwięki. Kiedy spojrział w górę, dostrzegł końce sztywnych trzciny, a jedyne co słyszał, to cichy szmer, z jakim poruszał je delikatny wietrzyk. Z mokradeł dolatywały sporadyczne ptasie piski.

McCready dołączył do niego.

— Gdzie łódź?

— Po lewej, sto jardów stąd.

Poszli — powoli i osobno. Ze względu na większe doświadczenie prowadził McCready. W końcu stanął i gdy Denison doszedł do niego, zobaczył majaczący we mgle zarys wiaty. McCready przyłożył usta do ucha Denisona.

— Tam może ktoś być. Podejdę z przeciwnej strony. Daj mi dokładnie cztery minuty, a potem ruszaj.

Poczłgał się dalej i zniknął.

Denison leżał, patrząc na sekundnik swojego zegarka. Cztery minuty dłużyły mu się piekielnie. Kiedy upłynęły dokładnie dwie minuty, strzelanina wybuchła na nowo. Wydawało mu się, że strzały rozległy się w pobliżu chaty, ale nie był tego pewien. Mimo wilgotnego chłodu mgły poczuł, że się poci.

Gdy minęły cztery minuty, ostrożnie ruszył naprzód i zajrzał w mrok pod dachem wiaty. Po drugiej stronie nie widział nikogo, aż nagle poruszenie po przeciwnej stronie sprawiło, że serce stanęło mu w gardle — jednak zaraz poznał McCready'ego.

— Lepiej wyciągnijmy stąd łódź i doholujmy ją na plażę — zaproponował cicho Denison. Wszedł do wody i starając się nie pluskać wyprowadził łódkę. Razem wyciągnęli ją na kamienisty brzeg — z głośnym chrzęstem.

— Chryste Panie, cicho! — szepnęła McCready. — Słyszałeś tę ostatnią kanonadę?

— Wydawało mi się, że strzelają za moimi plecami.

— A mnie zdawało się, że strzelają na mokradłach — rzekł McCready. — We mgle źle słyhać. Zniekształca dźwięki. Wracajmy i zabierzmy pozostałych.

Bez przygód dotarli do chaty. McCready zamknął drzwi i powiedział:

— Wygląda na to, że nikogo tam nie ma... przynajmniej nie przy moczarach. Ten twój pomysł może być całkiem niezły.

— Nie poszedłbym w żadnym innym kierunku — rzucił krótko Denison. — Gotowa jesteś do drogi, Lyn?

Dziewczyna twarz miała bladą, ale uniosła brodę rezolutnym gestem, który Denison zdążył już poznać.

— Jestem gotowa.

— McCready i ja pójdziemy pierwsi. Ty ruszysz za nami i pomożesz Hardingowi, jeśli będzie trzeba. Nie będziemy szli zbyt szybko, skoro mamy nieść strzelbę.

— Jest nabita, ale zabezpieczona — wyjaśnił Harding. Twarz miał ściągniętą bólem. — Wystrzeli dopiero wtedy, gdy się ją odbezpieczy i połóż spłonkę na panewce.

— Lepiej, żebyśmy wiedzieli, co robimy — powiedział McCready. — Czy jest pan pewien, że ta broń wypali, doktorze? Nie chcę, żebyśmy taszczyli kawał starego żelastwa.

— Wystrzeli — zapewnił Harding. — Sprawdziłem proch, pali się dobrze, a w czasie ostatniej strzelaniny sprawdziłem też spłonkę.

Denison nie wiedział, jak głośny jest huk eksplodującej spłonki, jednak to mogło tłumaczyć fakt, że jeden ze strzałów rozległ się w okolicach chaty.

— Myślę, że dopóki nie wypłyniemy na mokradła, powinniśmy rozegrać to bezpiecznie. Niech Harding wejdzie do łódki pierwszy... ze względu na swoją ranę... i ty też, George, na wypadek strzelaniny. Dziewczyny i ja będziemy ciągnąć łódź.

McCready kiwnął głową, ale Harding zaprotestował:

— Chcę, żeby Denison płynął ze mną.

McCready wytrzeszczył oczy.

— Złóżcie to na karb szoku albo utraty krwi. Jednak tak chcę. Wierzcie mi, wiem, co robię.

McCready spojrział bezradnie na Denisona.

— Co ty na to?

— Nie mam nic przeciwko temu. Jeśli on tak chce...

— Dobrze — ucieszył się Harding. — Chodź tu.

Podszedł z nim do miejsca, gdzie leżała strzelba.

— Wszystko przygotowane do zabrania na łódź. Zamocujemy ją bez trudu, po prostu wstawimy w uchwyty i zaciśniemy obejmę.

Po chwili dodał:

— Strzelając z czegoś takiego, musisz pamiętać o dwóch sprawach.

— Mów.

— Po pierwsze: kiedy pociągasz za spust, trzymaj głowę z daleka. Z panewki tryśnie płomień, który może paskudnie poparzyć ci twarz. Po drugie: przy strzale leżysz na brzuchu, masz ograniczoną swobodę celowania w bok, ponieważ kolba przesuwa się tylko tyle, na ile pozwolą luzy w uchwytach. Jednak zanim pociągniesz za spust, oderwij kolana od dna łódki. To ważne.

— Dlaczego?

Harding potrząsnął głową.

— Chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, co to za broń. Jeśli w momencie strzału będziesz klęczał w łódce, odrzut połamie ci nogi. Uważaj.

— Wszchemocny Boże! —jęknął Denison. Ze zdziwieniem spojrział na Hardinga. — Dlaczego wybrałeś mnie, a nie McCready'ego?

— McCready zbyt dobrze zna się na broni. Mógłby popełnić błąd i uznać, że zna się także i na tej. Chcę, żeby ktoś zrobił dokładnie to, co mówię, a nie to, co uważa za stosowne. — Uśmiechnął się kwaśno. — Nie wiem, czy z tego wystrzelimy. W tych okolicznościach przypuszczam, że nie, ale wierz mi, kiedy pociągniesz za spust, będziesz zapewne równie zdziwiony jak człowiek, do którego strzelisz.

— Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Jak twoja ręka?

Harding spojrział na zaimprovizowany temblak.

— Nieźle, dopóki działa zastrzyk. Nie zabieram mojej apteczki, ale schowałem w kieszeni strzykawkę ze środkiem znieczulającym. Jeszcze jedno. Jeżeli wystrzelimy, na mokradłach trudno będzie ponownie załadować strzelbę. Trzeba to zrobić na płytkiej wodzie; McCready stanie przed dziobem ze stemplem i wepchnie ładunek. Porozmawiam z nim o tym.

Podszedł do McCready'ego, a Denison nachylił się nad strzelbą. Nagle wydała mu się bardziej realna, nie wyglądała już jak stara żelazna rura, lecz jak śmiercionośna broń. Wyprostował się i zobaczył stojącą obok Lyn.

— Dodatkowy sweter — powiedziała podając mu go. — Na wodzie zawsze jest zimno.

— Dzięki. — Uśmiechnął się, biorąc sweter z jej rąk. — A w wodzie będzie jeszcze zimniej. Nie powinnaś tu przyjeżdżać, Lyn, to nie miejsce dla ciebie. Obiecasz mi coś?

— To zależy.

— Jeżeli okaże się, że są kłopoty... jeśli dojdzie do strzelaniny, obiecaj, że będziesz trzymać się z dala. Wskakuj w trzciny i znikaj. Nie ryzykuj, jeśli nie musisz.

Wskazała na Hardinga.

— A co z nim?

— Zostaw go zawodowcom. Zajmą się nim.

— Gdyby nie ja, nie byłby tu — stwierdziła ponuro. — A ty akurat jesteś odpowiednią osobą, żeby mówić o niepodejmowaniu ryzyka.

Wzruszył ramionami.

— W porządku, ale jest coś, co możesz dla mnie zrobić. Znajdź kłębek sznurka. Może Harding wie, gdzie go znaleźć.

Podszedł do nich McCready.

— Jesteśmy gotowi do drogi. Pomóż mi nieść strzelbę. Gdy ją podnieśli, usłyszeli kilka pojedynczych strzałów.

— Co tam się dzieje, do licha? Nie strzelają do nas, a więc do kogo? — zastanawiał się McCready.

Denison chwycił kolbę strzelby.

— Kogo to obchodzi? Korzystajmy z okazji.

Tym razem doszli na brzeg szybciej, mimo że dźwigali broń; znali kierunek i wiedzieli, dokąd iść. W pięć minut położyli strzelbę na dziobie łódki. Bez trudu weszła na miejsce i Harding objaśnił, jak ją zamocować.

Denison rozwinął trzydziestostopowy kłębek sznurka, który znalazła Lyn. Podał koniec McCready'emu.

— Trzymaj — szepnął. — Jeśli napotkasz jakieś kłopoty, pociągnij, a zatrzymam się. Dwa szarpnięcia i ruszę dalej.

— Cholernie dobry pomysł. Denison klepnął Hardinga w ramię.

— Wsiądź, zanim ją spuścimy na wodę.

Harding usłuchał, a Denison z McCreadym zepchnęli łódź na wodę. Dno znów zazgrzytało o kamienie i przez chwilę czekali, wstrzymując oddech w obawie, że ktoś ich usłyszał. Denison wszedł do łodzi i położył się za strzelbą. Podał drugi koniec sznurka Hardingowi.

— Jak poczujesz szarpnięcie, daj mi znać. Gdzie są wiosła?

— Na dnie, tuż przy kolbie.

Poszperał i znalazł pagaje o krótkich rączkach i szerokich piórach. Zanim włożył je w wodę, spojrział przed siebie. Leżał na brzuchu, mając oczy nie wyżej niż stopę nad

wodą. Przed nim, na dziobie, była dziewięciostopowa strzelba. W łódce, na swoim miejscu, wyglądała mniej niezgrabnie. Była nabita.

— Poczekaj! — szepnął Harding. — Weź tę igłę i wepchnij ją w otwór panewki.

Denison sięgnął ręką i odciągnął kurek. Mechanizm zaskoczył i Denison wsunął igłę w kanał panewki, aż poczuł, że przebiła papierowy ładunek. Poruszał nią na boki, poszerzając dziurę, która pozwolił płomieniowi dotrzeć do prochu, a potem oddał igłę lekarzowi, który wręczył mu spłonkę.

— Lepiej trzymaj ją w ręce, dopóki nie będziesz gotów do strzału. Tak bezpieczniej — poradził Harding.

Denison kiwnął głową, wziął pagaje i zaczął wiosłować najszybciej jak mógł, długimi, spokojnymi ruchami. Łódź ruszyła naprzód, szybciej niż oczekiwał. Od jej dziobu biegły na wodzie dwie ukośne zmarszczki, gdy cicho ślizgała się przez mgłę.

Denison postanowił trzymać się blisko porośniętego trzciną brzegu. W kanałach na środku łatwiej byłoby wiosłować, ale przy brzegu szuwary dawały im osłonę. Ponadto musiał myśleć o pozostałych — brodzili w wodzie, a przy trzcinach z pewnością było płycej.

— McCready dał mi swój kompas — szepnął Harding. — Jaki kurs?

— Północno-zachodni — odparł Denison. — Jeśli będziemy musieli zmienić kurs, to kieruj się raczej na północ niż na zachód.

— No to cała naprzód!

Leżał w niewygodnej pozycji i od wiosłowania szybko zaczęły go boleć mięśnie, szczególnie barków. Piersiami ocierał o deski dna, aż wydawało mu się, że zedrze sobie skórę. Ten, kto używał łodzi, musiał leżeć na jakimś kocu.

Kiedy uznał, że przepłynęli prawie dwieście jardów, przestał wiosłować i odpoczął. Z tyłu słyszał słaby plusk i kiedy się odwrócił, zobaczył trójkę pozostałych. Dalej nie było nic prócz szarej mgły. McCready dotarł do łódki, brodząc po pas w wodzie.

— Dlaczego się zatrzymałeś?

— Piekielnie ciężko się wiosłuje. Niewygodna pozycja. Nic mi nie będzie.

Na brzegu rozległy się szybko następujące po sobie strzały i seria z broni automatycznej.

— Nadal się tłuką — szepnął McCready. — Chciałbym wiedzieć, czy...

Padł kolejny strzał, tak blisko, że McCready instynktownie schylił się, a Denison mocniej przywarł do dna łodzi. Po lewej zachlupotało coś kilkakrotnie, jakby ktoś biegł po płytkiej wodzie, potem dźwięk ucichł i znów zapadła cisza.

McCready wyprostował się.

— Prosto w bagno. Ruszajmy stąd.

Denison znów zaczął wiosłować i łódź bezszelestnie popłynęła przez mgłę. Uświadomił sobie, że Harding nie powiedział jeszcze ani słowa, więc odwrócił głowę.

— Nic ci nie jest?

— Wiosłuj dalej — odrzekł lekarz. — Trochę bardziej na lewo.

W miarę jak wpływali na moczary, mgła zaczęła się rozchodzić — pojawiały się gęste kłęby i odcinki wolnej przestrzeni, najwidoczniej oczyszczone lekkim podmuchem, który delikatnie muskał policzek Denisona. Chwilami widoczność nie przekraczała pięciu jardów, a dziesięć sekund później mgła rozstępowała się tak, że widział przed sobą wszystko na jakieś czterdzieści jardów. Nie podobało mu się to, nie był w stanie przewidzieć, na co mogą trafić.

Z tyłu McCready brodził do pół uda w wodzie. Dno było zdradliwe — przeważnie porośnięte gnijącą roślinnością, lecz od czasu do czasu trafiał się groźący skruceniem nogi kamień lub niespodziewana dziura. Obejrzał się i zobaczył, że niższej od niego Lyn woda sięga do pasa. Wyszczrzył do niej zęby, a ona zrewanżowała mu się słabym uśmiechem.

Po piętnastu minutach McCready usłyszał za sobą zduszony krzyk. Obejrzał się i zobaczył Lyn zanurzoną w wodzie po szyję i zaczynającą płynąć. Nic dziwnego, jemu woda sięgała już do piersi, dwukrotnie pociągnął więc za sznurek. Łódka cofnęła się cicho, gdy Denison wolno powiosłował w tył i zatrzymał się przy McCreadym.

— Będziesz musiał zmienić kurs. Tracimy grunt pod nogami.

Denison skinął głową i w milczeniu wskazał kierunek, w którym miał zamiar popłynąć, trzymając się blisko trzciny i zmierzając w stronę czegoś, co wyglądało na oddalony o pięćdziesiąt jardów przylądek. Gdy mgła ponownie zgęstniała i zasłoniła cypel, na nowo podjął wiosłowanie. Łagodny wietrzyk jeszcze raz rozwiął opar. Spoglądając wzdłuż lufy strzelby Denison dostrzegł jakiś ruch. Najciszej jak mógł włożył wiosła w wodę. Łódka powoli zatrzymała się. Mgła znów opadła, ale Denison czekał, w nadziei, że McCready okaże rozsądek i nie podejdzie do niego, aby sprawdzić, co się stało.

Kiedy poczuł na policzku silniejszy podmuch wiatru, był przygotowany na rozejście się oparów i gwałtowną poprawę widoczności. Jakiś człowiek stał na przylądku, będącym zaledwie zwirowatym cypelkiem wystającym z brzegu. Inny mężczyzna szedł ku niemu, rozpryskując wodę, i obaj machali do siebie.

Denison sięgnął ręką i wcisnął spłonkę w otwór panewki, wiosłując drugą ręką. Łódź obróciła się powoli, a z nią lufa strzelby. Gdy prymitywna muszka naszła na cel, ruszył wiosłem w przeciwną stronę, żeby powstrzymać obrót.

Trzymał palec na spuście, ale wahał się, czy strzelać. Ci ludzie równie dobrze mogli być niewinnymi Finami przypadkowo uwikłanymi w walkę z tymi stukniętymi, skorymi do strzelania Czechami. Jeden z mężczyzn odwrócił się z krzykiem i Denison zrozumiał, że tamten zauważył łódkę. Drugi podniósł rękę i zanim zasłoniły go kłęby mgły, Denison zobaczył dwa krótkie błyski.

Teraz nie było wątpliwości — żaden niewinny Fin nie strzelałby bez uprzedzenia. Denison pociągnął za spust, w ostatniej chwili przypomniawszy sobie o odwróceniu głowy i oderwaniu kolan od desek dna.

Po chwili trwającej jedno uderzenie serca strzelba wypaliła. Z otworu pod kurkiem trysnął płomień, który go oślepił, jednak nie na tyle, aby nie widział monstrualnego jęzora ognia, który wyleciał z lufy. Pomarańczowożółty na brzegach, a biały w środku, wystrzelił na dwanaście stóp przed łódkę, oślepiając strzelca. Towarzyszyło temu głucho bum. Łódź zadygotała i gwałtownie szarpnęła się w wodzie, a deski dna podskoczyły pod Denisonem. Potem wszystko ucichło, chmura dymu uniosła się w górę, a w powietrzu rozszedł się kwaśny zapach spalonego prochu.

Chociaż ogłuszony wystrzałem, Denison usłyszał przeraźliwy wrzask z przodu. Przed oczami tańczyły mu czerwone płatki, kiedy próbował przeniknąć spojrzeniem nieprzeniknioną mgłę, ale nie dojrzał niczego. Z tyłu zajazgotał automat i nagle przed dziobem łodzi na całej szerokości kanału trysnęły fontanny wody, wyrzucone oddaną na oślep serią. W górze zaświstało i na głowę posypały mu się kawałki trzciny.

Ogień ustał.

Po chwili Harding spytał słabym głosem:

— Ładujemy ponownie?

— Ile to zajmie?

— Pięć minut.

— Chryste, nie! — Denison gorączkowo chwycił za wiosła.

Podwinął nogi i przysiadł na piętach, żeby uzyskać lepsze oparcie. Nie mieli tu na co czekać, a zachowanie ciszy nie było już teraz tak ważne, jak potrzeba szybkiego opuszczenia tego miejsca. Wkładał wiosła do wody, pchając łódź naprzód. Mijając cypel, rozglądał się uważnie, żeby nie wylądować na mieliźnie, no i nie spotkać tych, którzy tam przedtem byli.

Wciąż dudnił mu pod czaszką potworny huk wystrzału. Rany boskie, co się stało z tymi, w których wymierzył lufę? Spojrzał w bok, lecz ujrzał tylko snujące się pasma mgły, a jedynym słyszalnym dźwiękiem był szybki chlupot reszty towarzyszy, którzy przyspieszyli kroku, żeby nadążyć za łódką.

Wiosłował do utraty tchu, od czasu do czasu zmieniając kurs, gdy kanał wił się wśród bagnistych wysepek lub kiedy nakazywał to pilnujący kompasu Harding. Przez pół godziny machał pagajami najszybciej jak mógł, później zatrzymał się, krańcowo wyczerpany. Siedział zgarbiony, nie wyciągając wiosła z wody. Z trudem oddychał przez ściśnięte gardło i wydawało mu się, że pękną mu płuca. Harding położył mu rękę na plecach.

— Odpocznij — powiedział. — Dość już zrobiłeś.

Dotarł do nich McCready, pół idąc, pół płynąc.

— Jezu! — wysapał. — Ale narzuciłeś tempo!

Denison uśmiechnął się słabo.

— To przez tę ostatnią serię. Tego już było dla mnie za wiele. Chciałem jak najszybciej wydostać się z bagna.

McCready przytrzymał się burty i spojrzał na strzelbę.

— Kiedy wypaliłeś, byłem pewien, że rozerwało lufę. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

— Jak daleko dotarliśmy?

Harding zdrową ręką pogmerał na dnie łodzi. Wyjął mapę, mokrą i ociekającą wodą, i podał Denisonowi, który rozwinął ją. Lekarz wskazał palcem.

— Myślę, że właśnie przeszliśmy przez ten szeroki pas wody.

— Była nie tylko szeroka, ale i głęboka — rzekł McCready. — Musieliśmy płynąć.

— Przebyliśmy więcej niż połowę drogi — stwierdził Denison. — Niedaleko będzie suchy grunt.

Diana i Lyn brodziły w płytszej wodzie, wzdłuż trzciny. Były przemoczone i rozczochrane. Denison machnął wiosłem i skierował łódź w ich stronę.

— Nic wam się nie stało? — zatroszczył się cicho.

Diana ze znużeniem skinęła głową, a Lyn spytała:

— Ile jeszcze?

— Niedaleko — odparł Denison. — Resztę drogi możesz płynąć w łódce.

McCready skinął głową.

— Sądzę, że przedarliśmy się. Od dłuższej chwili nie słyszałem żadnych strzałów.

Harding wciąż robił coś przy dnie łodzi.

— Obawiam się, że mamy kłopoty — oświadczył. — Myślałem, że to zbiera się woda ściekająca z wiosł, ale teraz widzę, że mamy przeciek. Łódź tonie.

— O cholera! — zaklął McCready.

— To moja wina — powiedział z przygnębieniem Harding. — Chyba odmierzyłem za dużo prochu. Odrzut był za silny i łódka nie wytrzymała.

Denison sapnął. McCready niewiele się pomylił — strzał naprawdę mógł rozerwać lufę.

— Zdaje się, że będzie pan musiał odbyć resztę drogi pieszo, doktorze. Czy da pan radę? — zaniepokoił się Denison.

— Nic mi nie będzie, muszę tylko zrobić sobie drugi zastrzyk.

— Wepchniemy łódź w trzciny — zdecydował McCready. — A potem ruszymy. Mgła chyba zaraz zacznie się podnosić i chcę wydostać się z bagien, zanim to nastąpi.

Carey szedł szpalerem wysokich drzew i spoglądał na dom. Nie był to budynek, jaki można by spotkać w Anglii — architektura różniła się od wyspiarskiej, głównie detalami — jednak pomyślał, że gdyby ten dom stał w Wielkiej Brytanii, nazywano by go dworkiem — chociaż niezbyt okazałym.

Carey przystanął i zapalił fajkę, rozmyślając nad historią tej ziemi. W czasach, kiedy Finlandia była Wielkim Księstwem i częścią rosyjskiego imperium, ten dom mógł być rezydencją jakiegoś pomniejszego szlachcica, a może bogatego fińskiego kupca. Nieco później należał do pewnej firmy w Helsinkach, która wykorzystywała go jako dom wczasowy dla kadry kierowniczej i miejsce zebrań zarządu. Teraz wynajmował go brytyjski wywiad do swoich własnych, tajemniczych celów.

Carey, wędrujący po okolicy w tweedzie od Harrisa i w zadumie pykający fajkę, z całą pewnością w każdym calu — lub centymetrze — wyglądał na dziedzica, czy jak tam nazywano w Finlandii bogatego ziemianina. Zapalił następną zapalną i osłaniając ją dłonią, przyłożył do odpornej fajki. Jeśli był zaniepokojony, to nie dawał tego po sobie poznać. Podświadomie martwił się o McCready'ego i jego grupkę, która jeszcze nie wróciła, ale myśli miał zaprzątnięte głównie tym, co działo się w Londynie. Jego szef, Sir William Lyng, najwidoczniej nie mógł poradzić sobie z Thorntonem i walka w Whitehallu stawała się coraz bardziej zaciekle.

Udało mu się rozpać fajkę i zerknąwszy w kierunku domu, zobaczył nadchodzącego Armstronga. Zaczekał, aż tamten podejdzie blisko, tak żeby nie trzeba podnosić głosu, i spytał:

— Czy ten jajogłowy nadal ślęczy nad równaniami?

— Już skończył.

— Najwyższy czas. Znalazł to?

— Nikt mi nic nie mówił — odparł Armstrong. — Jednak chce się z panem widzieć. Jeszcze jedno: dzwonił George McCready. Nie mógł wiele powiedzieć przez telefon, ale wydaje mi się, że ma co opowiadać. Potrzebuje opieki medycznej dla rannego w ramię.

— Kto?

— Doktor Harding.

Carey mruknął coś pod nosem.

— Czy są inne ofiary?

— George nic nie wspominał.

— Dobrze! Chodźmy zobaczyć się z jajogłowym.

Armstrong zrównał się z szefem.

— Jest też jakiś facet, który chce się z panem spotkać, nazywa się Thornton.

Carey zwolnił kroku.

— Jest tutaj?

— Zaprowadziłem go do biblioteki.

— Czy widział jajogłowego?

— Nie sędzę.

— Nie może.

Carey spojrział z ukosa na Armstronga.

— Czy wiesz coś o Thorntonie?

— Widziałem go kilka razy. Jednak nie rozmawiałem z nim. Dla mnie to trochę za wysokie progi.

— Tak — potwierdził Carey. — To cwaniak z Whitehallu i w dodatku jeden z najsprytniejszych. Oto moje dokładne rozkazy dotyczące Thorntona: wrócisz do biblioteki i zaproponujesz mu herbatę, to mu się spodoba. Zajmij go, dopóki nie przyjdę. Nie chcę, żeby się tu kręcił; denerwuje mnie. Rozumiesz?

— Tak — potwierdził Armstrong. — W czym problem?

— Tam w domu toczy się spór o kierunek prowadzonej polityki i Thornton trochę za bardzo podskakuje. To cię wcale nie obchodzi, dopóki słuchasz rozkazów... Moich rozkazów. Jeżeli Thornton próbuje ci rozkazywać, odeślij go do mnie.

— W porządku.

— Powiem ci coś o Thorntonie — rzekł bez ogródek. — To draskur, słowo godne Lewisa Carrolla. Oznacza połączenie drania ze skurwysynem. Tak więc w obecności Thorntona nie mów ani słowa o naszej operacji. To następny rozkaz.

— Nawet jeśli mnie zapyta?

— Odeślij go do mnie — odparł Carey. — Nie będziesz miał żadnych kłopotów. Wiem, że on ma mocne plecy, a ty jesteś tylko pionkiem, ale pracujesz w innym wydziale. Jeżeli będzie próbował naciskać, powiedz mu uprzejmie, żeby poszedł do diabła, a ja cię poprę. Uśmiechnął się.

— A mnie poprze Lyng, więc jesteśmy kryci.

Armstrong przyjął jego słowa z ulgą.

— Jasne.

Carey kiwnął głową.

— Dobrze. Ty zajmiesz się Thorntonem. Ja idę pogadać z jajogłowym.

Człowiekiem, którego Carey określał mianem jajogłowego, był Sir Charles Hastings, FRS ⁵, znany fizyk. Carey, który miał kiepską opinię o naukowcach, traktował go szorstko i bez zbytniego szacunku, co Sir Charles, posiadający poczucie humoru, uważał za zabawne. Wchodząc teraz cło pokoju, Carey zapytał:

— I jaka ocena?

Sir Charles podniósł plik papierów.

— Odpowiedź nie jest jednoznaczna. Oto najważniejszy dokument. Doktor Merikken opisuje w nim pewien pomysł i rozwija go w bardzo interesujący sposób. Może pan wie, że zjawisko ugięcia zostało wykorzystane w obecnie używanych teleskopach ogniskujących promienie X, ale Merikken poszedł w swych rozważaniach znacznie dalej, co jest niezwykle zważywszy, że pracował nad tym tyle lat temu.

Sir Charles przerwał na chwilę, zastanawiając się nad geniuszem uczonego.

— Merikken nie tylko opracował teorię, ale również sprawdził ją w swoim laboratorium... oczywiście, to jedyny rozsądny sposób. Oto spis jego doświadczeń, których wyniki są wprost zdumiewające. W pierwszym doświadczeniu uzyskał odbicie rzędu dwudziestu pięciu procent padających promieni X.

— Niech pan zaczeka chwilę — przerwał mu Carey. — Jak to się ma do tego, co dotychczas zdołano uzyskać?

Sir Charles zaśmiał się krótko.

— Nie ma żadnego porównania. Oprócz innych zastosowań, to odkrycie zrewolucjonizuje astronomię; umożliwi zastosowanie wysokorozdzielczego teleskopu na promienie X. Jednak to było zaledwie pierwsze z doświadczeń Merikkena. W ostatnim z przeprowadzonych testów uzyskał znacznie lepszy rezultat, a przecież jego aparat nie był tak dobry jak dzisiejsze instrumenty.

Carey nie wiedział, co zrobić z rękami, wyjął więc swoją fajkę.

— A zatem, jeżeli zbierzemy grupę naukowców, damy im piekielnie dużo pieniędzy i trochę czasu, powinniśmy ulepszyć to, co zrobił Merikken. Czy zgadza się pan z tym, Sir Charles?

— Rzeczywiście. Nie ma w tym nic, co przeczyłoby prawom fizyki. Rzecz sprowadza się do rozwiązań inżynierskich, do bardzo zaawansowanej inżynierii, muszę dodać,

⁵ FRS — członek Królewskiego Towarzystwa Naukowego (przyp. tłum.).

ale nic poza tym.

Rozłożył ręce.

— Skonstruowanie lasera na promienie X, dotychczas niemal niemożliwe, stało się teraz prawdopodobne.

Carey wskazał ustnikiem fajki na papiery.

— Czy w tych papierach jest jeszcze coś ważnego? Sir Charles potrząsnął głową.

— Zupełnie nic. Tu, na przykład — podniósł oprawiony w twarde okładki zeszyt — mamy szereg obliczeń dla poziomów elektronów jądra atomowego. Prymitywne i całkiem bezużyteczne.

W jego głosie pojawiło się lekceważenie.

— Tak samo cała reszta papierów — dodał.

— Dziękuję panu, Sir Charles. — Carey zawahał się. — Byłbym zobowiązany, gdyby został pan w tym pokoju do mojego powrotu. Nie sędzę, żeby moja nieobecność potrwała dłużej niż kilka minut.

Nie zwracając uwagi na uprzejme zdziwienie fizyka, opuścił pokój.

Przed drzwiami do biblioteki przystanął i wyprostował się, zanim otworzył drzwi. Thornton wyciągał się wygodnie w skórzanym fotelu, a Armstrong stał pod oknem. Armstrong wyglądał na znękanego i przyjął nadejście Careya z widoczną ulgą.

— Dzień dobry — rzekł Thornton miłym głosem. — Muszę przyznać, że ma pan świetnie wyszkolony personel, Carey. Mr Armstrong umie milczeć jak grób.

— ...dobry — rzucił uprzejmie Carey.

— Wpadłem tylko, żeby dowiedzieć się, jak idzie Sir Charlesowi Hastingsowi. Z pewnością wie pan, że wszyscy niecierpliwie oczekujemy na rezultaty waszych wysiłków.

Carey usiadł, zastanawiając się, skąd Thornton wie o Sir Charlesie. Nabierał pewności, że w biurze Lynga musi być jakiś przeciek. Odparł bez ogródek:

— Będzie pan musiał zapytać o to Sir Williama Lynga.

Głos Thorntona stał się nieco mniej miły.

— No cóż, jestem pewien, że możemy przeprosić Mr Armstronga i przedyskutować tę sprawę.

Zwrócił się do Armstronga.

— Jeśli pan wybaczy...

Armstrong zrobił krok w stronę drzwi, ale zatrzymał się, gdy Carey warknął:

— Zostań, Ian.

Thornton zmarszczył brwi.

— Jak pan wie, są pewne... hmm... szczegóły, których Mr Armstrong nie powinien znać.

— Zostaje tu — oświadczył beznamiętnie Carey. — Potrzebuję świadka.

— Świadka? — Thornton podniósł brwi.

— Dość — uciął Carey. — Po zakończeniu tej operacji sporządzę pełny raport... włącznie z tym, co usłyszę w tym pokoju. Armstrong zrobi to samo. Niezależnie. Rozumie pan?

— Na to nie mogę się zgodzić — odparł sztywno Thornton.

— A więc nie musi pan niczego mówić. Tego, czego pan nie powie, Armstrong nie usłyszy. — Carey uśmiechnął się uprzejmie. — O której ma pan samolot do Londynu?

— Muszę przyznać, że nie ułatwia mi pan zadania — rzekł z urazą Thornton.

Carey nie patyczkował się.

— Nie mam zamiaru niczego panu ułatwiać. Plątał mi się pan pod nogami w czasie całej tej operacji. Nie podobało mi się to i nie podoba się Lyngowi.

Thornton zapomniał o pozorach uprzejmości.

— Myślę, że źle oceniasz swoją sytuację, Carey. Nie jesteś taki wielki, żeby nie można było cię ruszyć. Kiedy minister przeczyta mój raport, myślę, że czeka cię wstrząs.

Carey wzruszył ramionami.

— Pan napisze swój raport, a ja napiszę swój. A co do ministra, to nie wiem. Nie mam kontaktu z Radą Ministrów, zostawiam to Lyngowi.

Thornton wstał.

— Po moim raporcie może nie być już Lynga. Na pańskim miejscu nie liczyłbym na jego poparcie.

— Lyng umie sam toczyć swoje bitwy — odparował Carey. — Do tej pory był w tym bardzo dobry, Ian, odprowadź pana Thorntona do samochodu. Nie sędzę, aby miał coś jeszcze do powiedzenia.

— Jeszcze jedna drobna sprawa. — Thornton chciał mieć ostatnie słowo. — Są pewni ludzie spoza waszego wydziału, którzy są w to zamieszani. Lepiej upewnijcie się, że Denison i ta dziewczyna Meyricka będą siedzieć cicho. To wszystko, co mam do powiedzenia.

Wymaszerował z pokoju, odprowadzany przez Armstronga. Carey westchnął i wyjął zapalki, żeby zapalić fajkę, ale spojrzął na nią z niesmakiem i odłożył nie zapalając. W

końcu usłyszał trzask zamykanych drzwiczek i chrzęst opon na podjeździe. Kiedy Armstrong wrócił, Carey zapytał go:

— Odjechał?

— Tak.

— A więc daj mi papierosa, na miłość boską!

Armstrong zdziwił się, ale wyjął paczkę papierosów. Podając ogień szefowi, powiedział:

— Był pan trochę szorstki dla Thorntona, prawda?

Carey niewprawnie zaciągnął się i zakaszłał.

— Nie ma innego sposobu na takiego drania. To największy oszust w Whitehallu, ale zrozumie aluzję, jeśli dostatecznie mocno walnie się go w łeb.

— Dziwię się, że ścierpiał takie traktowanie. Nie obawia się pan, że wyszarpię panu stołek spod siedzenia? Myślałem, że on jest grubą rybą w korytarzach władzy.

— Korytarze władzy! — Carey wyglądał tak, jakby miał zamiar splunąć. — Ciekawe, czy C. P. Snow wiedział, że wymyślił najbardziej oklepany frazes dwudziestego wieku.⁶ Nie boję się Thorntona, nie może mnie osiągnąć bezpośrednio. Zresztą i tak niebawem idę na emeryturę i mogę mu napluć w oko, kiedy tylko mam ochotę.

Nie zaciągając się, wydmuchnął dym.

— To nie twoja sprawa, Ian. Rób swoje i nie zwracaj sobie głowy polityką.

— Nawet nie wiem, o co tu chodzi — odparł z uśmiechem Armstrong.

— Tak jest dla ciebie lepiej. — Carey wstał i wyjrzał przez okno. — Czy zauważyłeś coś dziwnego w czasie tej rozmowy?

Armstrong zastanowił się.

— Nie, nie sadzę.

— A ja tak. Thornton wściekł się na mnie i popełnił błąd.

Carey zaciągnął się i wydmuchnął wielki kłęb dymu.

— Skąd wiedział o Denisonie? Odpowiedz mi, synu, a wygrasz duże cygaro.

Z obrzydzeniem spojrział na papieros, po czym gwałtownie zdusił go w popielniczce.

— Daj mi znać, kiedy przybędą McCready i Denison — rzekł krótko.

⁶ Korytarze władzy — tytuł książki C. P. Snowa (przyp. tłum.).

Denison leżał w staromodnej wannie, zanurzony po szyję w gorącej wodzie. Nie ruszał się pozwalając, aby ciepło rozluźniło mu wszystkie zeszywniałe mięśnie. Ramiona wciąż okropnie go bolały po wiosłowaniu przez mokradła Sompio. Otworzył oczy i spojrzał na wyszukaną sztukaterię sufitu, a potem na stojący w rogu kaflowy piec — potężne urządzenie wystarczające do ogrzania sali balowej, a nie tylko łazienki. Doszedł do wniosku, że zimy w Finlandii bywają mroźne.

Kiedy woda ostygła, wyszedł z wanny, wytarł się i założył swój — a raczej Meyricka — szlafrok. Spojrzał nań i pomacał materiał. Z napomknień Careya wynikało, że życie na wysokiej stopie już się skończyło. Denison nie przejmował się tym. W ciągu minionych dni miał większe szansę nędznie zginąć, niż użyć życia.

Wyszedł z łazienki i ruszył wyłożonym boazerią korytarzem do pokoju, który mu przydzielono. Wyglądało na to, że brytyjski wywiad raczej nie czuł wstrętu do życia na wysokiej stopie; ta wiejska posiadłość przypominała mu staromodne powieści detektywistyczne: pan hrabia zostaje znaleziony martwy w swoim gabinecie i w ostatnim akcie okazuje się, że zabił go służący. Pisarze w tamtych czasach zdawali się uważać, że wszyscy prócz służby mają swoich służących.

Miał już wejść do swojego pokoju, gdy drzwi naprzeciwko otworzyły się i stanęła w nich Lyn.

— Giles, masz chwilę czasu?

— Oczywiście.

Trzymała otwarte drzwi, więc wszedł do jej sypialni.

— Jak tam Harding?

— To twardy gość — odparła. — Sam wyjął sobie kulę i poskładał ramię. Powiedział, że to nic w porównaniu z wycięciem wyrostka robaczkowego, który usuwali sobie niektórzy lekarze. Diana i ja pomogłyśmy mu obandażować ranę.

— Nie sądzę, żeby miały go jeszcze trafić jakieś kule — powiedział Denison. — Z tego, co usłyszałem od Careya, wynika, że ta operacja już się prawie skończyła. Mówił coś o tym, że jutro lecimy do Anglii.

— Zatem udało mu się, zdobył to, co chciał?

— Widocznie. Był tu jakiś naukowiec, który sprawdził papiery. Diana i Ian Armstrong odlecieli z nim do Anglii.

Usiadł na łóżku.

— A więc już po wszystkim. Co będziesz teraz robił?

— Chyba wrócę do kręcenia filmów.

Potarł szczękę i poczuł szorstki zarost.

— Carey powiedział, że chce o tym ze mną porozmawiać, ponieważ to może okazać się nie takie proste, zwłaszcza teraz, kiedy mam czyjaś twarz.

Machnął ręką.

— Cała ta skandynawska afera musi być trzymana w tajemnicy, a więc nie mogę teraz wrócić do Fortescue'a. Zadałby zbyt wiele pytań, na które nie mógłbym odpowiedzieć. Problem w tym, że światek filmowy jest mały i jeśli Fortescue nie zada mi tych pytań, to zrobi to ktoś inny.

— Jaka więc jest odpowiedź?

— Chyba człowiek nazwiskiem Iredale — odparł smętnie. — To chirurg plastyczny. Nie powiem, żeby cieszył mnie ten pomysł, zawsze obawiałem się szpitali.

— Zrób to, Giles... Proszę. Nie mogę...

Czekał, aż skończy, ale milczała, odwróciwszy głowę. Usiadł przy niej i wziął ją za rękę.

— Przykro mi, Lyn. Dałbym wszystko, żeby to się nie zdarzyło. Nie podobała mi się rola, którą przed tobą grałem, i powiedziałem o tym Careyowi. Właśnie miałem nakłonić go, żeby z tym skończył, kiedy... kiedy się zorientowałaś. Bardzo chciałbym, żebyśmy spotkali się w innych okolicznościach.

Nadal nie odzywała się i Denison przygryzł wargę.

— Co będziesz robić?

— Dobrze wiesz, co. Nie mam nadzwyczajnego dyplomu, więc będę uczyć, tak powiedziała mojemu ojcu. — W jej głosie dźwięczała gorycz.

— Kiedy zaczniesz?

— Nie wiem. Trzeba załatwić wiele spraw związanych ze śmiercią tatusia. Carey obiecał, że pociągnie za sznurki i ułatwi mi formalności, ale i tak będzie mnóstwo do załatwienia... jego testament i tym podobne rzeczy. Chodzi o duże pieniądze... te jego fabryki, a ponadto dom. Oświadczył mi kiedyś, że jeśli umrze, odziedziczę jego dom. To stwierdzenie było typowo w jego stylu: powiedział „jeśli”, a nie „kiedy”.

Arogancki drań — pomyślał Denison. A głośno powiedział:

— Nie zaczniesz uczyć tak szybko.

— Te twoje inne okoliczności... — rzekła Lyn. — Może dałoby się je jakoś zaaranżować.

— Chciałabyś?

— Och tak, zacząć wszystko od nowa.

— Zacząć od nowa — rozważał Denison. — Podejrzewam, że wszyscy czasem tego chcemy. Zazwyczaj to niemożliwe.

— Nie dla nas. Po operacji przez jakiś czas będziesz rekonwalescentem. Przyjedź do mnie i zostań ze mną przez ten czas.

Mocno ścisnęła jego dłoń.

— Jeśli zobaczę twarz Gilesa Denisona w domu mojego ojca, może uda nam się zacząć od nowa.

— Coś jak egzorcyzm. Może poskutkuje.

— Możemy spróbować.

Podniosła rękę do jego twarzy i dotknęła blizny na jego policzku.

— Kto ci to zrobił, Giles? I kto porwał mojego ojca, żeby pozwolić mu utonąć w morzu?

— Nie wiem — odparł Denison. — I nie sądzę, żeby Carey wiedział.

W pokoju leżącym bezpośrednio pod sypialnią Lyn McCready składał raport Careyowi. Prawie skończył.

— Zrobiło się straszne zamieszanie. Czesi strzelali do wszystkiego, co się rusza.

Urwał i poprawił się:

— Tylko nie w nas.

— Kim byli ich przeciwnicy?

— Nie wiem. Mieli pistolety, nic większego. Widzieliśmy ich tylko raz, na mokradłach, kiedy Denison poczęstował ich śrutem z tej przerośniętej gwintówki. Niemożliwy facet z tego Denisona.

— Zgadza się — rzekł Carey.

— Nie traci głowy, kiedy robi się gorąco, i jest dobrym taktykiem. To był jego pomysł, żeby iść przez bagno. Bardzo dobry pomysł, ponieważ nie nadzialiśmy się na Czechów. Kiedy łódź zatoniła, poprowadził nas dalej.

McCready uśmiechnął się.

— Powiązał nas tym trzydziestostopowym sznurkiem. I dobrze wyliczył czas: dotarliśmy do głównej drogi dokładnie po siedmiu godzinach od chwili opuszczenia chaty.

— Mielicie jakieś kłopoty w Vuotso?

McCready potrząsnął głową.

— Wślizgnęliśmy się po cichu, wsiedliśmy do samochodów i odjechaliśmy. Niedaleko Rovaniemi przebraliśmy się w suche ciuchy, żeby jako tako wyglądać w drodze na południe.

McCready wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— W Vuotso jest pewien gość... dr Mannermaa. Będzie trochę zły z powodu utraty swojej łódki i strzelby.

— Załatwię to — obiecał Carey. — Mówiłeś, że Czesi byli również w Kevo.

— Czesi, Amerykanie, a w pobliżu kręcili się również Niemcy. Nie mówiłem o nich pozostałym, ponieważ Niemcy nie weszli do gry.

— Z Niemiec Wschodnich czy Zachodnich? — spytał ostro Carey.

— Nie wiem. Mówią tym samym narzeczem.

— I był jeszcze ten facet, który rąbnął Denisona w głowę i zabrał oryginał mapy — przypomniał Carey.

— Wcale go nie widziałem — powiedział McCready. — Musiał być sam, pracował w pojedynkę.

— Cztery grupy — rzekł w zamyśleniu Carey. — I nie wykryliśmy obecności żadnych Rosjan.

— Pięć — poprawił McCready. — Jest jeszcze ta banda, która podstawiała Denisona na miejsce Meyricka. Ci nie ganialiby za nami po Kevo i Sompio. Wiedzieli, że nie ma po co.

Carey chrząknął.

— Mam swoją teorię na temat tego, kto zrobił świństwo Denisonowi i Meyrickowi, i nie sądzę, żeby byli w to zamieszani Rosjanie.

— Mówiłeś, że był tu Thornton. Czego chciał?

— Nie dowiedziałem się. Nie chciałem z nim rozmawiać inaczej, jak w obecności świadka, więc zrejterowałem. Jest zbyt sprytny, żeby się na to złapać. Jednak wiedział o Sir Charlesie Hastingsie i o Denisonie.

— Na Boga, naprawdę?! Będziemy musieli zatkać ten przeciek po powrocie do Londynu. Co stwierdził Hastings?

— Och, mamy te papiery. Zabrał fotokopie do Londynu. Teraz musimy przygotować następną fazę operacji. Mam nadzieję, że dziś w nocy nic się nie stanie, ponieważ chciałbym wyłączyć z tego Denisona i dziewczynę. Jutro o dziesiątej odlatują z Helsinek.

- A gdzie są teraz oryginały papierów?
 - W bibliotece, w sejfie.
 - W tym antyku? Mógłbym otworzyć go wsuwką mojej babci.
- Carey uśmiechnął się.
- Czy w tych okolicznościach ma to jakiegokolwiek znaczenie?
 - Nie, chyba nie – przyznał McCready.

Tego wieczora Denison poszedł spać z kurami, ponieważ miał wiele nocy do odespania, a musiał wstać wcześniej, żeby złapać samolot do Londynu. Powiedział dobranoc Lyn i wrócił do swojego pokoju, gdzie rozebrał się powoli. Zanim położył się do łóżka, zaciągnął zasłony, zaciemniając pokój. Chociaż znajdowali się już daleko od kręgu polarnego, nadal było bardzo jasno, co denerwująco utrudniało zaśnięcie. O północy robiło się ciemniej, ale i tak był to tylko półmrok. Z głębokiego snu wyrwało go czyjeś poszturchiwanie.

— Obudź się, Giles!

— Mmm. Kto to?

W pokoju panowała ciemność, ale zauważył jakąś niewyraźną sylwetkę.

— To ja, Lyn — szepnęła.

Podparł się na łokciu.

— O co chodzi? Zapal światło.

— Nie! Lepiej nie. Dzieje się coś dziwnego.

Denison usiadł i przetaił oczy.

— Co takiego?

— Nie wiem dokładnie. Jacyś ludzie są w domu, w bibliotece. Amerykanie. Pamiętasz tego człowieka, którego mi przedstawiłeś? Tego nudziarza?

— Kiddera?

— Tak. Wydaje mi się, że on tam jest. Słyszałam jego głos. Kidder! Człowiek, który przesłuchiwał go w hotelu w Helsinkach po tym, jak porwano go z sauny. Człowiek, który dowodził grupką Amerykanów w Kevo. Zawsze jowialny i śmiertelnie nudny Jack Kidder.

— Chryste! — rzekł Denison. — Podaj mi spodnie, są gdzieś na krześle.

W mroku usłyszał jakieś szmery i Lyn wcisnęła mu spodnie w wyciągniętą po omacku rękę.

— Czemu włóczysz się po domu w środku nocy?

— Nie mogłam spać — usprawiedliwiła się Lyn. — Stałam przy oknie mojej sypialni, kiedy zobaczyłam tych mężczyzn w ogrodzie. Wciąż jest na tyle jasno, że zdołałam ich dostrzec. Wydało mi się, że mają złe zamiary, skradali się w kierunku domu. Potem wszyscy zniknęli i nie wiedziałam, co robić. Chciałam szukać Careya lub McCready'ego, ale nie wiedziałam, gdzie są ich pokoje. Wyjrzałam na korytarz i

zobaczyłam światło w bibliotece, a kiedy podkrađłam się do drzwi, usłyszałam głos Kiddera.

— Co mówił?

— Nie wiem. To był tylko pomruk, ale rozpoznałam głos. Nie miałam pojęcia, co robić, więc przyszałam i zbudziłam ciebie.

Denison włożył bosa stopy w buty.

— Na oparciu krzesła leży sweter.

Lyn znalazła i podała mu go.

— Ja też nie wiem, gdzie jest pokój Careya. Chyba zajrzę na dół.

— Uważaj — ostrzegła Lyn. — Mam już dość strzelaniny.

— Tylko posłucham... Ale w razie czego wrzeszcz, ile sił w płucach.

Cicho otworzył drzwi sypialni i ciemnym korytarzem ostrożnie podkrađł się do schodów, unikając skrzypiących desek w podłodze. Potem na palcach zszedł na dół, trzymając się balustrady. Drzwi do biblioteki były zamknięte, ale przez szparę nad progiem sączyło się światło. Denison przystanął przed drzwiami i nasłuchiwał. Z pokoju dobiegał jedynie niski pomruk męskich głosów. Pochylił się więc \przyłożył ucho do dziurki od klucza — wtedy natychmiast rozpoznał gruby głos Kiddera. Nie mógł rozróżnić słów, ale poznał głos. Inny człowiek powiedział coś cieńszym głosem i Denison wiedział, że to Carey.

Wyprostował się i zaczął gorączkowo rozmyślać, co robić. Lyn mówiła o mężczyznach, a to oznaczało, że oprócz Kiddera byli tu jeszcze inni. Mógł narobić hałasu i zbudzić cały dom, ale jeśli Kidder trzymał Careya na muszce, to byłoby zbyt ryzykowne. Denison doszedł do wniosku, że zanim cokolwiek zrobi, powinien zorientować się, co właściwie się dzieje. Odwrócił się i, zobaczywszy Lyn na szczycie schodów, przyłożył palec do ust. Potem chwycił za klamkę i bardzo ostrożnie przekręcił gałkę.

Drzwi uchyliły się odrobinę i głosy natychmiast stały się wyraźniejsze. Mówił Carey:

— ...i w Sompio znów mieliście kłopoty?

— Jezu! — jęknął Kidder. — Myślałem, że wpadliśmy na całą fińską armię, ale okazało się, że to ci przekłeci Czesi. Zraniliśmy jednego i zaczął kłąć jak opętany. Kto, do cholery, spodziewałby się Czechów w samym środku Finlandii? A w dodatku uzbrojonych w automaty i jakiś okropny miotacz płomieni. To dlatego jestem taki obandażowany.

Carey roześmiał się.

— To byli nasi.

Denison uchylił drzwi na pół cala i spojrzał przez szparę. Zobaczył Careya stojącego przy sejfie w rogu, ale nadal nie widział Kiddera. Carey mówił:

— To nie był miotacz płomieni, tylko cholernie wielka dubeltówka, z której strzelał nie kto inny, jak nasz szacowny doktor Meyrick.

— Ten facet jest nieobliczalny.

— Nie powinniście porywać go z hotelu w Helsinkach — rzekł Carey. — Myślałem, że mi pan ufa.

— Nie ufam nikomu. Nie byłem pewny, czy nie chce mnie pan wykiwać. Trzymał pan karty przy orderach... wciąż nie wiem, gdzie są papiery. W każdym razie od Meyricka niczego się nie dowiedziałem. Naopowiadał mi kupę bzdur, w które prawie uwierzyłem, a potem sprawnie zaczął miażdżyć mi krtań. Macie w Anglii bardzo atletycznych fizyków, Carey.

— To niezwykle facet — przyznał Carey.

Kidder zaczął ostrzejszym tonem:

— Chyba dosyć już tych pogawędek. Gdzie są papiery Merikkena?

— W sejfie — odparł Carey. — I wolałbym, żeby pan schował ten pistolet.

— To tylko rekwizyt na wypadek, gdyby ktoś tu zajrzał. Dla pańskiej ochrony. Nie chciałby pan, żeby się rozeszło, że... hmm... współpracuje pan z nami, prawda? Co się panu stało, Carey? Kiedy dowiedzieliśmy się, że chce pan zawrzeć umowę, nikt w to nie uwierzył. Nie taki praworządny facet, jak powszechnie szanowany Mr Carey.

Carey wzruszył ramionami.

— Idę na emeryturę i czego się dorobiłem? Przez całe życie balansowałem na linie i mam zszargane nerwy oraz wielki wrzód. Strzelałem do ludzi i do mnie strzelano. Podczas wojny gestapo robiło ze mną rzeczy, o których wolę nie pamiętać. I po co? Dostanę emeryturę, która ledwie wystarczy mi na tytoń i whisky.

— Niepotrzebny jak stara rękawiczka. — Kidder uśmiechnął się drwiąco.

— Może pan się śmiać — powiedział szorstko Carey. — Niech pan poczeka, aż będzie pan w moim wieku.

— Już dobrze, dobrze! — ułagodził go Kidder. — Wierzę. Jest pan stary i potrzeba panu forsy. Wiem, że w waszym Ministerstwie Finansów siedzą sami centusie. Powinien pan pracować po naszej stronie płotu. Wie pan, jaki budżet ma CIA?

— No i kto teraz urządza sobie pogawędki? — spytał kwaśno Carey. — Jednak skoro

mówimy o pieniądzach, lepiej postarajcie się, żeby umówiona suma wpłynęła na to konto w szwajcarskim banku.

— Zna pan nas. Wie pan, że gramy fair, jeżeli pan też tak gra. Może otworzy pan ten sejf? — zaproponował Kidder.

Denison nie mógł uwierzyć własnym uszom. Wszystkie fizyczne i psychiczne katusze, jakie przecierpiał, miały być daremne, ponieważ Carey — właśnie Carey! — zdradził. Nie uwierzyłby, gdyby nie słyszał tego z ust samego Carey a. Sprzedawać informacje cholernym Amerykanom!

Denison zastanowił się nad sytuacją. Z tego co słyszał, w bibliotece było ich tylko dwóch. Carey stał w miejscu, skąd Denison dobrze go widział — przy sejfie. Zapewne Kidder zwrócony był twarzą do niego, a plecami do drzwi. Można tak założyć, ponieważ nikt nie prowadzi drugiej rozmowy, pokazując rozmówcy plecy. Ale Kidder miał pistolet, który — traktowany jako rekwizyt czy nie — mógł wystrzelić.

Denison rozejrzał się wokół. Lyn nadal tkwiła w tym samym miejscu, ale nie mógł jej prosić o pomoc. Na stoliku obok spostrzegł dużą wazę, zrobił krok i złapał ją. Kiedy wrócił do drzwi, zobaczył, że Carey otworzył sejf i wyjmuje zeń papiery, układając je na wierzchu.

Kidder mówił:

— ...wiem, że zgodziliśmy się ścigać Meyricka i McCready'ego tylko po to, żeby nikt niczego nie podejrzewał, ale nie spodziewaliśmy się takich fajerwerków. Do diabła — zaklął ze złością — mogli mnie zabić!

Carey schylił się, aby wyjąć resztę papierów.

— Ale nie zabili.

Denison cicho otworzył drzwi. Kidder stał plecami do niego, trzymając pistolet w opuszczonej ręce, a Carey wsadził głowę do sejfu. Denison zrobił jeden szybki krok i rąbnął Kiddera wazą w głowę. Waza rozleciała się na kawałki, a pod Amerykaninem ugięły się kolana — runął jak długi na podłogę.

Carey był kompletnie zaskoczony. Poderwał się i wyrznął głową w sejf. To dało Denisonowi czas na podniesienie pistoletu upuszczonego przez Kiddera. Kiedy Carey odwrócił się, Denison trzymał go już na muszce.

— Ty nędzny draniu! — wysapał Denison. — Nie przeszedłem przez całe to piekło, żebyś zrobił ze mnie durnia.

Zanim Carey zdążył cokolwiek powiedzieć, do pokoju wpadł jak burza McCready. Zobaczył broń w ręku Denisona i to, w kogo była wymierzona; stanął jak wryty..

— Zwar...

— Zamknij się! — rzucił wściekle Denison. — Pewnie też masz w tym swój udział. Wydało mi się dziwne, że Carey tak szybko pozbył się Diany i Armstronga. Co takiego ważnego wydarzyło się w Londynie, że wsadziłeś Dianę do samolotu, nie dając jej nawet tyle czasu, żeby mogła się przebrać?

Carey zrobił krok naprzód.

— Daj mi tę broń — polecił stanowczo.

— Nie ruszaj się.

— O co tu chodzi, Giles? — odezwała się od drzwi Lyn.

— Ci cholerni patrioci urządzili wyprzedaż — odparł Denison. — Za pieniądze na szwajcarskie konto.

Wycelował w Careya, który zrobił kolejny krok.

— Mówiłem ci, żebyś się nie ruszał.

Carey nie zwrócił na to uwagi.

— Ty idioto! — powiedział. — Oddaj mi broń i porozmawiajmy spokojnie.

Denison odruchowo cofnął się o krok.

— Carey, ostrzegam cię — wycedził, trzymając pistolet w wyciągniętej ręce. — Jeszcze krok, a strzelę.

— Nie, nie strzelisz — zapewnił z przekonaniem Carey i zrobił następny krok.

Denison zacisnął palec na spuście, a Carey błyskawicznie wyciągnął rękę — dłonią naprzód, jak policjant zatrzymujący ruch. Pchnął lufę pistoletu na moment przed tym, jak Denison pociągnął za spust.

Broń nie wypaliła.

Denison poczuł, że Carey silnie naciska na lufę pistoletu, odpychając go w tył. Dwukrotnie nacisnął na spust, ale nic się nie stało. A potem było już za późno, ponieważ Carey błyskawicznie uderzył go kantem dłoni w kark. Denisonowi pociemniało w oczach i resztką świadomości zarejestrował jeszcze dwie rzeczy: szybko zbliżającą się pięść Careya oraz krzyk Lyn.

Poblady McCready spojrział na nieprzytomnego Denisona. Ze świstem wypuścił powietrze z płuc.

— Masz szczęście, że nie odbezpieczył broni.

Carey podniósł pistolet.

— Odbezpieczył — stwierdził zimno.

Lyn podbiegła do Denisona i pochyliła się nad nim, a potem odwróciła się do

Careya.

— Zraniłeś go, niech cię diabli!

— Próbował mnie zabić — wyjaśnił spokojnie Carey.

— Chcesz powiedzieć, że pistolet był odbezpieczony? To jak...?

Carey zważył pistolet w dłoni.

— Kidder zaopatrzył się tu, na miejscu. Pewnie w myśl zasady: „daj żyć miejscowemu rusznikarzowi”. To husqvarna model 40, broń szwedzkiej armii. Niezły pistolet, ale nie bez wad. Lufa ma luz rzędu jednej szesnastej cala. Jeśli popchniesz ją do tyłu, spust nie działa.

Nacisnął muszkę lewą dłonią i pociągnął za spust. Nic się nie stało.

— Widzisz?

— Nie postawiłbym na to swojego życia — rzekł z podziwem McCready. — A oprócz tego strzela normalnie?

Carey mrugnął do niego.

— Sądzę, że Kidder ma na zewnątrz przyjaciół. Zaprośmy ich.

Rozejrzał się wokół.

— I tak nigdy nie lubiłem tej wazy.

Podniósł broń i wycelował w stojącą na drugim końcu pokoju wazę, bliźniaczo podobną do tej, którą Denison rozbił na głowie Kiddera. Wystrzelił i naczynie rozleciało się na kawałki. Carey opuścił rękę.

— To ich powinno tu ściągnąć.

Czekali spokojnie, tworząc przedziwną grupę. Lyn była zbyt zajęta próbami ocucenia Denisona, żeby zwracać uwagę na wydarzenia. Drgnęła, słysząc strzał, ale zdecydowanie ignorowała Careya. Kidder leżał nieprzytomny. Bandaże na jego twarzy rozchyliły się, ukazując krwawe punkciki po kaczym śrucie, którym oberwał w Sompio. Carey i McCready stali na środku pokoju, milczący i czujni.

Zasłona przy drzwiach tarasu poruszyła się gwałtownie, jakby pod podmuchem wiatru. Kobiety głos powiedział:

— Rzuć broń, Carey!

Carey położył pistolet na stole i odsunął się. Zasłona rozchyliła się i do pokoju weszła Mrs Kidder. Nadal była tą samą myszowatą, niepozorną kobietką, ale do tego obrazu dziwnie nie pasował pistolet, który trzymała w dłoni. Za nią stali dwaj barczyści mężczyźni.

— Co się stało?

Jej głos też był inny: twardy i zdecydowany. Carey wskazał na Denisona.

— Nasz przyjaciel wpadł tu niespodziewanie. Ogłuszył pani małżonka... o ile on istotnie nim jest.

Mrs Kidder opuściła broń i mruknęła coś przez ramię. Jeden z mężczyzn przeszedł przez pokój i pochylił się nad Kidderem.

— A papiery? — spytała.

— Na sejfie. Nie ma problemu.

— Nie? — spytała. — A dziewczyna?

Podniosła broń i wycelowała w plecy Lyn.

— Powiedziałem, że nie ma problemu — odparł twardo Carey.

Wzruszyła ramionami.

— Pański kłopot.

Drugi z mężczyzn podszedł do sejfu i zaczął wrzucać papiery do brezentowego worka. Carey zerknął na McCready'ego, a potem na Kiddera, który właśnie zaczął dochodzić do siebie. Zamruczał coś, niezbyt głośno, ale wystarczająco, żeby Carey usłyszał.

Kidder mówił po rosyjsku.

Mamrotanie ucichło gwałtownie, gdy pochyłony nad Kidderem mężczyzna postawił go na nogi. Powłókł go do drzwi na taras i chociaż Carey nie widział tego wyraźnie, miał nieodparte wrażenie, że niosący przypadkiem położył dłoń na ustach Kiddera.

Człowiek przy sejfie skończył napełniać worek i wrócił pod okno. Mrs Kidder powiedziała:

— Jeśli to jest to, czego chcemy, otrzyma pan swoje pieniądze zgodnie z umową.

— Tylko nie zapomnijcie — rzekł Carey. — Zbieram na stare lata.

Spojrzała na niego z pogardą i nie odpowiadając wyszła na taras, a mężczyzna z brezentowym workiem poszedł za nią. Carey przez chwilę czekał w milczeniu, a potem podszedł, zamknął okno i zasunął rygle. Wrócił na środek pokoju i zaczął nabijać fajkę.

— Wiesz, że Kidder usiłował mi wmówić, że jest z CIA? Zawsze myślałem, że ten jego amerykański akcent jest za dobry, żeby mógł być prawdziwy. Jasne, mówił płynnie, ale nazbyt idiomatycznie. Żaden Amerykanin nie sypie bez przerwy dowcipnymi powiedzonkami.

Zapalił zapalną.

— Wygląda na to, że Rosjanie jednak weszli do gry.

- Czasem jesteś dla mnie trochę za cwany – stwierdził McCready.
- I dla mnie – dodała Lyn. – Giles miał rację, jesteś skończonym draniem. Carey rozpalił fajkę.
- George, nasz przyjaciel Giles miał ciężki dzień. Połóżmy go do łóżka.

Denison przespacerował się po St. James Park, ciesząc się delikatnym październikowym słońcem. Przeszedł przez ulicę przy Guards Memorial i pomaszerował przez Horse Guards Paradę oraz pod łukiem pałacu, aby wejść do Whitehallu, zrecznie omijając gwardzistę, który brzęknął szablą. O tej porze roku turyści trafiali się rzadko i dziedziniec był prawie pusty.

Przebiegł Whitehall i wszedł do dużego budynku po przeciwnej stronie, po raz tysięczny zastanawiając się, kto chce się z nim widzieć. To musiało mieć coś wspólnego z tym, co zdarzyło się w Skandynawii. Podał swoje nazwisko portierowi i gładził brodę czekając, aż ten sprawdzi je w swojej książce audiencji. Niezły zarost w tak krótkim czasie, pomyślał nieco chełpliwie.

Portier podniósł głowę.

— Tak, panie Denison. Pokój 541. Zaraz ktoś pana zaprowadzi. Proszę tylko podpisać się tutaj, jeśli pan łaskaw.

Denison skrobął podpis i poszedł za pryszczatym młodzieńcem mrocznymi korytarzami, do staromodnej windy i znów korytarzami.

— To tu — oznajmił młodzian, otwierając drzwi. — Pan Denison.

Denison wszedł, a drzwi za jego plecami zamknęły się bezszelestnie. Popatrzył na biurko, za którym nikt nie siedział, a potem odwrócił się, widząc jakiś ruch pod oknem.

— Widziałem, jak przechodziłeś przez Whitehall — powiedział Carey. — Rozpoznałem cię tylko po chodzie. Boże, ale się zmieniłeś.

Denison stał nieruchomo.

— Czy to z tobą mam się zobaczyć?

— Nie. Jestem tu tylko po to, żeby cię przygotować. Nie stój tak. Chodź tu i siadaj. To wygodny fotel.

Denison podszedł i usiadł w fotelu obitym skórą. Carey oparł się o biurko.

— Mam nadzieję, że pobyt w szpitalu nie był bardzo męczący.

— Nie był — odparł krótko Denison.

Był cholernie męczący, ale nie miał zamiaru mówić o tym Careyowi.

— Wiem — rzekł Carey. — Byłeś zaniepokojony i zły. Bardziej niespokojny niż rozszoszczony. Niepokoiłeś się, ponieważ nadal pracuję w wydziale; chciałeś złożyć skargę, ale nie wiedziałeś do kogo. Obawiałeś się, że naruszysz tajemnicę państwową i

możesz mieć kłopoty. Jednocześnie nie chciałeś, żeby uszło mi na sucho to, o co mnie podejrzewasz.

Wyjął fajkę.

— Domyślam się, że ty i Lyn Meyrick przeprowadziliście wiele poważnych rozmów w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

Carey potrafił być przerażający. Wydawało się, że czyta mu w myślach. Denison przyznał niechętnie:

— Myśleliśmy o czymś takim.

— Zupełnie zrozumiałe. Chodzi nam o to, żebyście nic nie mówili. Oczywiście, gdybyście coś ujawnili, moglibyśmy was ukrzyżować, ale wtedy byłoby już za późno. W niektórych innych krajach postarano by się, żebyście już nigdy nikomu niczego nie powiedzieli, ale tutaj nie robi się takich rzeczy.

Zmarszczył brwi.

— A przynajmniej, jeśli uda mi się temu zapobiec. Tak więc musimy przekonać was, że nie powinniście o tym mówić. Dlatego przyjdzie tu Sir William Lyng, żeby cię przekonać.

Nawet Denison słyszał o Lyngu; był szychą w Ministerstwie Obrony.

— Będzie miał trudne zadanie.

Carey uśmiechnął się i zerknął na zegarek.

— Trochę się spóźnia, więc lepiej przeczytaj ten wyciąg. To tajemnica, ale nie taka wielka. Przedstawia przyjęty ostatnio tok rozumowania.

Wziął z biurka teczkę i rzucił ją na kolana Denisonowi.

— Wracam za kilka minut.

Wyszedł z pokoju i Denison otworzył teczkę. Gdy przeczytał pierwsze zdania, na jego twarzy pojawiło się zdumienie, zwiększające się w miarę lektury. Doszedł do końca i znowu zaczął czytać od początku. Wszystko zaczęło układać mu się w logiczną całość.

Carey wrócił pół godziny później z niskim, eleganckim mężczyzną, przypominającym ptaka szybkością i precyzją ruchów.

— Giles Denison, Sir William Lyng.

Denison wstał, aby przywitać się z przybyłym. Podali sobie ręce i Lyng powiedział wesoło:

— A więc to pan jest tym Denisonem. Wiele panu zawdzięczamy, Mr Denison. Proszę usiąść.

Stanął za biurkiem i spojrzał na Careya.

— Czy on...?

— Tak, przeczytał wypracowanie — potwierdził Carey.

Lyng usiadł.

— No i co pan sądzi o tym, co pan przeczytał?

— Nie jestem pewien — odparł Denison, potrząsając głową.

Lyng spojrzał w sufit.

— A jak by pan nazwał ten dokument?

— To chyba esej na temat morskiej strategii.

Lyng uśmiechnął się.

— Wcale nie esej. To skrót morskiej strategii sporządzony na wysokim szczeblu Ministerstwa Obrony. Omawia działania marynarki w wypadku, gdyby między państwami Układu Warszawskiego i NATO wybuchł konflikt na skalę wojny konwencjonalnej. Co pana w tym uderzyło? Co uznano za główny problem?

— Jak odróżnić jedną łódź podwodną od drugiej. W jaki sposób rozróżnić je, żeby zatopić jedną, a nie drugą. Trzeba będzie zatopić te łodzie podwodne, które atakują inne łodzie i statki.

— Zakładając, że ten kraj znajduje się w stanie wojny z Rosją, z jakiego ewentualnego powodu moglibyśmy nie chcieć zatopić niektórych ich łodzi? — zapytał Lyng.

Denison podniósł teczkę.

— Według tego dokumentu nie chcielibyśmy zatapiać ich rakietowych łodzi podwodnych, uzbrojonych w rosyjskie odpowiedniki rakiet Polaris.

— Dlaczego? — dążył dalej Lyng.

— Ponieważ gdybyśmy zatopili ich zbyt wiele w trakcie wojny konwencjonalnej, Rosjanie mogliby uznać, że została zachwiana równowaga w broni atomowej. W takim wypadku mogliby doprowadzić do eskalacji wojny i użyć broni nuklearnej, dopóki jeszcze ją mają.

Lyng wyglądał na zadowolonego. Zerknął na Careya.

— Dobrze odrobił swoje zadanie domowe.

— Mówiłem panu, że to bystry facet.

Denison poruszył się w fotelu. Nie podobało mu się, że mówią o nim tak, jakby go tu nie było.

— Ciekawy problem, prawda? — rzekł Lyng. — Jeśli nie zatopimy ich

konwencjonalnych okrętów podwodnych, ryzykujemy, że przegramy wojnę. Jeżeli zatopimy zbyt wiele ich łodzi raketowych, grozi nam katastrofa nuklearna. Jak rozpoznać jedną łódź od drugiej w ogniu bitwy?

Pstryknął palcami.

— To nie nasz kłopot, zajmują się tym naukowcy i inżynierowie, ale czy zgadza się pan z tą argumentacją?

— No, tak — przyznał Denison. — Rozumiem, o co chodzi, ale nie wiem, co to ma wspólnego z tym, co zdarzyło się w Finlandii. Bo chyba dlatego tu jestem.

— Tak, dlatego — potwierdził Lyng. Wskazał na teczkę w rękę Denisona. — To tylko przykład toku rozumowania. Czy masz coś do powiedzenia, Carey?

Carey pochylił się do przodu.

— Od czasu wynalezienia bomby atomowej ludzkość chodzi po linie. Bertrand Russel powiedział kiedyś: „Rozsądnym jest oczekiwać, że człowiek może bezpiecznie chodzić po linie przez dziesięć minut; byłoby nierozsądne zakładać, iż można robić to bez wypadku przez dwieście lat”.

Zgarbił się.

— No cóż, balansujemy na tej linie już od trzydziestu lat. Teraz chcę, żebyś wyobraził sobie linoskoczka: ma długą tyczkę dla utrzymania równowagi. Co się stanie, jeśli nagle zawieszysz mu duży ciężar na jednym końcu tyczki?

— Zapewne spadnie. — Denison zaczynał rozumieć, o co im chodzi.

Lyng oparł się łokciami o biurko.

— Człowiek nazwiskiem Merikken wynalazł coś, co w jego czasach nie miało żadnego zastosowania. Teraz to coś okazuje się zdolne do strącania rakiet w locie. Panie Denison, założmy, że Rosja posiada taką broń, a nie ma jej żadne inne państwo. Jak pan sądzi, co się stanie?

— To zależy od proporcji między jastrzębiami a gołębiami w rosyjskim rządzie, ale gdyby byli pewni, że mogą odeprzeć amerykańskie uderzenie, mogliby zaryzykować próbę rozpoczęcia wojny nuklearnej.

— Meyrick latał z ozorem po Sztokholmie, zanim zgłosił się do nas — rzekł Carey. — A wieści szybko się rozchodzą. Nasz problem polegał na tym, że papiery były w Rosji, a gdyby wpadły w ręce Rosjan, ci nie wypuściliby ich z garści. No cóż, Rosjanie mają te dokumenty, ale my mamy fotokopie.

Denison nie wyzbył się podejrzeń.

— Przecież sprzedałeś je Amerykanom.

— Kidder był Rosjaninem — wyjaśnił Carey. — Rozgłosiłem, iż można mnie kupić, ale Rosjanie wiedzieli, że nigdy nie sprzedałbym się im. Mimo wszystko mam jakieś zasady — zauważył skromnie. — Tak więc spróbowali mnie okpić. Nie miałem nic przeciwko temu.

— Niezbyt rozumiem.

— W porządku — powiedział Carey. — Rosjanie znają sekret, a kiedy im powiemy, będą wiedzieli, że i my go znamy. A potem przekazemy go Jankesom. I poinformujemy ich, że Rosjanie też to mają. Zawiesimy ciężar na obu końcach tyczki.

Lyng rozłożył ręce.

— Wynik remisowy. Linoskoczek pozostaje na linii.

— W tę aferę byli też zamieszani inni, ale to plotki. — Carey lekceważąco machnął ręką. — Czesi i zachodni Niemcy.

Uśmiechnął się.

— Mam podstawy przypuszczać, że człowiek, który rąbnął cię w głowę w Kevo, był Żydem. Izrael bardzo chciałby mieć coś, czym mógłby się bronić przed rakietami SAM III, którymi bawią się Syryjczycy. Jednak w rzeczywistości liczy się tylko Ameryka i Rosja. No, może jeszcze Chiny.

Zerknął na Lynga.

— Może później — wtrącił Lyng, spoglądając na Denisona. — Nasz kraj już przestał być imperium, ale wielu jego mieszkańców, szczególnie starszych, nadal reprezentuje imperialny styl myślenia. Nie przystaje on do ery atomowej, lecz, niestety, jest wciąż żywy. Gdyby podano do publicznej wiadomości, że przekazaliśmy Rosjanom coś, co gazety niewątpliwie uznałyby za superbroń, sądzę, że jedną z pomniejszych konsekwencji tego faktu byłby upadek rządu.

Denison podniósł brwi.

— Pomniejszych!

Lyng uśmiechnął się zimno.

— Polityczny skład obecnego rządu nie ma znaczenia. Musi pan rozróżnić rząd od państwa; rządy powstają i upadają, ale państwo zostaje, a rzeczywista władza kryje się w aparacie państwowym, w biurach Whitehallu, w tym, co Lord Snow tak trafnie nazwał korytarzami władzy.

Carey prychnął.

— W każdej chwili można oczekiwać, iż jakiś dziennikarz napisze, że w korytarzach władzy wieją nowe wiatry.

— Może się tak zdarzyć — zgodził się Lyng. — Władza państwowa nie jest monolitem; to kontrola i równowaga, naciski i opory. Wielu ludzi, z którymi pracuję, hołduje starym poglądom, szczególnie w Ministerstwie Wojny.

Przez chwilę wyglądał na przygnębionego.

— Na przykład niektórzy ze starszych oficerów marynarki dowodzili niszczycielami w czasie drugiej wojny światowej.

Wyciągnął rękę i wskazał palcem teczkę leżącą na kolanach Denisona.

— Czy może pan sobie wyobrazić, jak zachowaliby się ci ludzie, opętani przeszłością, gdyby przyszło im wydać rozkaz zatapiania tylko takich, a nie innych łodzi podwodnych?

Potrząsnął głową.

— Trudno się wyzbyć starych przyzwyczajęń. Bardziej prawdopodobne, że powiedzieliby zgodnie z dawną tradycją: „Cała naprzód i pal diabli torpedy!” Walczyliby do zwycięstwa, zapominając o tym, że wojny nuklearnej nikt nie wygra. Oni zapominają o równowadze, a równowaga jest wszystkim, panie Denison. Oni nie pamiętają o człowieku na linie.

Westchnął.

— Gdyby wieści o tym, co zaszło w Finlandii, dostały się do publicznej wiadomości, nie tylko upadłby obecny rząd, co jest mniej istotne, ale również znacząco przesunęłaby się szala równowagi w państwie. My, usiłujący utrzymać równowagę, przegralibyśmy z tymi, którzy wąsko pojmują dobro tego kraju, i może mi pan wierzyć, że kraj i świat nie stałyby się przez to bezpieczniejsze. Czy rozumie pan to, co mówię, panie Denison?

— Tak — odparł Denison.

Stwierdził, że mówi ochrypłym głosem, i odkaslnął. Nie spodziewał się, że zostanie wmieszany w sprawy polityki wysokiego szczebla.

Nagle Lyng przestał przemawiać jak rozpatrujący sprawę sędzia i odezwał się bardziej neutralnym tonem:

— Panna Meyrick przedstawiła nam konkretną groźbę. Wyśmiała skuteczność D-notice i powiedziała, że studenci dwudziestu uniwersytetów nie będą się tym przejmować. Z żalem przyznaję, że prawdopodobnie ma rację. Jak pan wie, nasi studenci, a przynajmniej ich część, nie słyną z trzeźwego myślenia. Kroki zmierzające do zrealizowania tej groźby mogłyby mieć katastrofalne skutki.

— Czemu nie porozmawiacie z nią o tym?

– Chcemy, lecz sądzimy, że ma pan na nią pewien wpływ. Byłoby szkoda, gdyby gniew i uraza Miss Meyrick spowodowały szkody, które panu opisałem.

Denison milczał przez dłuższą chwilę, a potem westchnął i powiedział:

– Rozumiem sytuację. Porozmawiam z Lyn.

– Kiedy ją pan zobaczy?

– Spotkamy się na Horse Guards o dwunastej.

– To za dziesięć minut. Niech pan jej to jakoś wyjaśni, a później ja zamienię z nią kilka słów.

Carey wstał i wyciągnął rękę.

– Wybaczasz mi?

– Chciałem cię zabić – westchnął Denison. – I prawie mi się udało.

– Bez urazy – stwierdził Carey. – Pamiętam, że uderzyłem cię naprawdę mocno.

Denison wstał i uściśnął mu dłoń.

– Bez urazy.

Lynę uśmiechnął się i zaczął grzebać w płaskiej walizeczce, usuwając się w cień. Carey cofnął się i popatrzył krytycznie na Denisona.

– Nie do wiary... Mam na myśli to, jak się zmieniłeś.

Denison dotknął ręką twarzy.

– Iredale poprawił powiekę, to było łatwe, i usunął bliznę. Zmienił mi nos... Nadal trochę mnie boli. Postanowiliśmy zostawić resztę; usuwanie silikonu łączyłoby się ze zdejmowaniem całej skóry twarzy, więc darowaliśmy to sobie. Na szczęście broda wiele zasłania.

Po chwili zapytał:

– Kto to zrobił, Carey?

– Nie wiem – rzekł Carey. – Nie mamy pojęcia.

Spojrzał z lekkim zakłopotaniem na Denisona.

– Jak Lyn potraktowała robotę Iredale'a?

Denison nieoczekiwanie zmieszał się.

– Hmm... No, tak... Ja...

Carey uśmiechnął się i wyjął notes.

– Potrzebny mi twój adres.

Podniósł głowę.

– Obecnie to Lippscott House pod Brackley, Buckinghamshire.

– Czy mogę uznać, że przez jakiś czas znajdę cię pod tym adresem?

— Przez jakiś czas — odparł Denison.

— Zaproście mnie na ślub — powiedział Carey. Odłożył notes i spojrział za okno, na Whitehall. — Jest Lyn. Podziwia konie. Nie sądzę, żebyśmy mieli coś jeszcze do omówienia, Giles. Będę w kontakcie. Gdybyś potrzebował pracy, przyjdź do mnie. Mówię serio.

— Nigdy więcej — oświadczył Denison. — Mam dość.

Lyng wyszedł zza biurka.

— Wszyscy robimy to, co uważamy za słuszne.

Uścisnęli sobie ręce.

— Miło mi było pana poznać, panie Denison.

Kiedy wyszedł, Lyng włożył swoje papiery z powrotem do walizki, a Carey stanął przy oknie i zapalił fajkę. Potrwało chwilę, zanim dobrze się rozpałała. Lyng czekał cierpliwie, a później spytał:

— I co?

Carey popatrzył na Whitehall i zobaczył, jak Denison przechodzi przez ulicę. Lyn podbiegła do niego i pocałowali się, a potem wzięli się za ręce i przeszli między konnymi gwardzistami i pod łukiem.

— To rozsądni ludzie, nie będzie z nimi kłopotów.

— Dobrze! — Lyng podniósł teczkę z fotela, na którym zostawił ją Denison.

Carey obrócił się na pięcie.

— Jednak Thornton to co innego.

— Zgadzam się — przytaknęła Lyng. — Minister ceni jego rady. Będziemy musieli gęsto tłumaczyć się z tej operacji, nawet jeśli Denison dochowa tajemnicy.

Carey rzucił zjadliwie:

— Jeśli o mnie chodzi, Thornton może bawić się w dzielnego wojownika Whitehallu pod warunkiem, że jedyną bronią, której używa, jest memorandum. Jednak kiedy zaczyna mieszać się w operacje, trzeba mu dać po łapach.

— To tylko podejrzenia, nie mamy dowodów.

— Śmierć Meyricka, chociaż przypadkowa, była niepotrzebna. Jednak to, co zrobił Denisonowi, jest potworne i niewybaczalne. A gdyby położył rękę na papierach Merikkena, jego tajne laboratoria pracowałyby dwadzieścia cztery godziny na dobę.

— Zapomnij o tym. Nie ma dowodu — powtórzył Lyng.

Carey uśmiechnął się szeroko.

— Przed chwilą skłamałem. Po raz pierwszy okłamałem Denisona. Mam dowód, a

jakże. Znalazłem dowody łączące Thorntona z tym łajdakiem, chirurgiem plastycznym. Pomógł mi w tym Iredale. A niedługo znajdę i tego drania psychologa, który gmerał w mózgu Denisona. Z wielką przyjemnością obedrę Thorntona ze skóry.

Lyng nadstawił ucha.

— To pewne? Niezbite dowody?

— Żelazobeton.

— A więc nie ruszysz Thorntona — rozkazał ostro Lyng. — Daj mi te dowody, a ja się nim zajmę. Nie rozumiesz, co to oznacza? Możemy zneutralizować Thorntona... wypada z gry. Jeśli będę miał na niego taki bicz, mogę zawsze trzymać go w ryzach.

— Ale... — Carey powstrzymał się. — A gdzie tu sprawiedliwość? — zapytał ponuro.

— Och, sprawiedliwość — powiedział obojętnie Lyng. — To zupełnie inna sprawa. Nikt nie powinien oczekiwać od tego świata sprawiedliwości. Jeśli się jej spodziewa, jest głupcem.

Wziął Careya pod rękę i rzekł łagodnie:

— Chodźmy, cieszymy się słońcem, póki możemy.